

Arundhati Roy

Bóg rzeczy małych

(The god of small things)

Przełożył Tomasz Bieroń

Podziękowania

Pradipowi Krishenowi, mojemu najbardziej wymagającemu krytykowi, mojemu najbliższemu przyjacielowi, mojej miłości. Bez ciebie książka ta nie byłaby tą książką.

Pii i Mathvie za to, że należą do mnie.

Aradhanie, Arjunie, Bete, Chandu, Carlowi, Golakowi, Indu, Joannie, Naheedowi, Philipowi, Sanju, Veenie i Vivece za to, że pomagali mi przez te lata, których potrzebowałam, aby napisać tę książkę.

Pankajowi Mishrze za wyekspediowanie jej w świat.

Alokowi Rai i Shomitowi Mitterowi za to, że byli czytelnikami, o jakich marzy każdy pisarz.

Davidowi Godwinowi, latającemu agentowi, przewodnikowi i przyjacielowi. Za tę podróż do Indii, na którą się bez namysłu zdecydował. Za sprawienie, że rozstały się wody. Neelu, Sushmie i Krishanowi za to, że podtrzymywali mnie na duchu i dbali o stan moich ścięgien.

Na koniec z całego serca dziękuję Dadi i Dadzie. Za ich miłość i wsparcie.

1. Marynaty i Przetwory „Paradise”

Maj w Ajemenem to miesiąc gorący, melancholijny. Dni są długie i wilgotne. Rzeka wysycha, a na nieruchomych, pylistozielonych drzewach czarne wrony raczą się jasnymi owocami mango. Czerwone banany dojrzewają. Owoce chlebowców pękają. Rozwiązłe muszki bzyczą bezmyślnie w powietrzu nasiąkniętym zapachem owoców. Potem, oszołomione otępiającym słońcem, tłuką głowami w czyste szyby okienne i umierają.

Noce są przejrzyste, lecz nasycone lenistwem i ciężkie od oczekiwania.

Jednak z początkiem czerwca nadciąga południowo-za chodni monsun, a z nim przychodzą trzy miesiące wiatru i deszczu z krótkimi okresami ostrego, migotliwego słońca, w którym bawią się zachwycone dzieci i chcą je jak najdłużej zatrzymać. Krajobraz staje się bezwstydnie zielony. Zacierają się granice, gdy płoty z tapioki zapuszczają korzenie i zakwitają. Ceglane mury pokrywa mechata zieleń. Pędy pieprzu śmigają do góry po słupach elektrycznych. Dzikie bluszcze przepelzają przez nasypy z laterytu i przeskakują przez zalane drogi. Pomiędzy bazarami kursują łodzie. W kałużach, które wypełniają dziury w drogach, pływają małe rybki.

Padało, kiedy Rahel wróciła do Ajemenem. Ukośne srebrne sznury wbijały się w sypką ziemię, rozorywując ją jak kule karabinu maszynowego. Stary dom na wzgórzu wciąż miał stromy, dwuspadowy dach jak naciśnięty na uszy kapelusz. Ściany, tu i ówdzie powleczone mchem, rozmiękły i powybrzuszały się od wilgoci, która podchodziła od dołu. Dziki, zarośnięty ogród pełen był szeptów i ruchliwych małych stworzeń. Pośród chaszczki szczur ocierał się jak wąż o lśniący kamień. Pełne nadziei żółte żaby żeglowały w błotnistym stawie w poszukiwaniu partnerów. Skąpana w wodzie mangusta przesmyrgnęła przez okryty liśćmi podjazd.

Dom wyglądał na opuszczony. Drzwi i okna były pozamykane. Na werandzie z przodu nie stały krzesła ani stoły. Lecz na zewnątrz wciąż parkował błękitny plymouth z chromowanymi statecznikami, a w domu wciąż mieszkała Baby Koćamma. Była ciotką Rahel, a ściślej, młodszą siostrą jej babci. W rzeczywistości nazywała się Nawomi, Nawomi Ipe, lecz wszyscy mówili na nią Baby. Przydomek Baby Koćamma zyskała sobie, kiedy była już wystarczająco dorosła, aby zostać ciotką. Rahel nie przyjechała jednak do niej. Ani ona, ani ciotka nie robiły sobie w tej kwestii żadnych złudzeń. Rahel przyjechała do swego starszego brata Esthy. Byli bliźniętami dwujajowymi. Z ciąży mnogiej, jak to nazywają lekarze. Urodzili się z dwóch osobnych, lecz

jednocześnie zapłodnionych jajeczek. Estha – Esthappen – był starszy o osiemnaście minut.

Nigdy nie byli do siebie zbyt podobni. Jeszcze w dzieciństwie, kiedy Estha i Rahel mieli chude, dziecięce ciała, robaki i twarze pyzate jak późny Elvis, nie słyszało się zwyczajowego: „Które jest które?”, ze strony wiecznie uśmiechniętych krewnych czy biskupów Kościoła syryjskiego, którzy często odwiedzali Ayemenem House, licząc na datki.

Gorzej odróżniali byli w głębszych, bardziej utajonych sferach.

W tych wczesnych, amorficznych latach, kiedy dopiero zaczęła się pamięć, kiedy życie składało się z samych Początków i wszystko było Na Zawsze, Esthappen i Rahel myśleli o sobie razem jako „Ja”, a osobno, indywidualnie, jako „My”. Jakby stanowili rzadką odmianę bliźniaków syjamskich, fizycznie odrębnych, lecz zrośniętych duszami.

Teraz, wiele lat później, Rahel nawiedza wspomnienie o tym, jak obudziła się pewnej nocy, chichocząc z komicznego snu Esthy.

Ma również inne wspomnienia, które formalnie nie dla niej były przeznaczone.

Pamięta na przykład (choć jej tam nie było), co Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna powiedział do Esthy w kinie Abhilash Talkies. Pamięta również smak kanapek z pomidorami, które Estha jadł w pociągu pocztowym do Madrasu.

A to tylko małe rzeczy.

W każdym razie teraz Rahel myśli o sobie i swym bracie”Oni”, ponieważ osobno nie są już tym, czym byli albo czym sądzili, że będą.

Już nigdy.

Ich żywoty mają teraz swój rozmiar i kształt, inny u Esthy, inny u Rahel.

Obrysy, granice, kontury i kresy pojawiły się jak drużyna skrzatów na ich osobnych horyzontach. Niskie stworzenia o długich cieniach, które pełniły straż na zamglonym pograniczu. Delikatne półksiężyce narosły im pod oczami, mieli teraz tyle lat co Ammu, kiedy umarła. Trzydzieści jeden. Jeszcze nie starzy.

Już nie młodzi.

W wieku umieralnym.

Niewiele brakowało, a Estha i Rahel urodziliby się w autobusie. Samochód, w którym Baba, ich ojciec, wioził Ammu, ich matkę, do szpitala w Shillong na poród, zepsuł się na krętej drodze przejeżdżającej przez plantację herbaty w Asamie. Zostawili samochód i zatrzymali zatłoczony autobus komunikacji publicznej. Z charakterystycznym współczuciem nędzarzy dla ludzi

stosunkowo zamożnych, a może dlatego, że ciąża Ammu była gigantyczna, siedzący pasażerowie ustąpili parze miejsca i przez resztę podróży ojciec Esthy i Rahel musiał przytrzymywać brzuch matki (a przy okazji ich samych), żeby się nie kolebał. Potem się rozwiedli i Ammu wróciła do Kerali.

Estha twierdził, że gdyby urodzili się w autobusie, mieliby dożywotnie prawo do darmowych przejazdów autobusami.

Nie wiadomo, skąd to wiedział, lecz przez wiele lat bliźnięta miały do rodziców trochę żalu, że ich tego prawa pozbawili. Byli również przekonani, że gdyby zostali przejechani przez samochód na pasach dla pieszych, rząd zapłaciłby za ich pogrzeb. W ich wyobrażeniu po to były właśnie pasy dla pieszych. Darmowy pogrzeb. Rzecz jasna, w Ajemenem nie było pasów dla pieszych, a więc i perspektywy darmowego pogrzebu, nie było ich zresztą również w Kottajam, najbliższym mieście, lecz widzieli pasy z okna samochodu, kiedy jechali do Koczinu, oddalonego o dwie godziny drogi.

Rząd nie zapłacił za pogrzeb Sophie Mol, ponieważ nie została przejechana na pasach dla pieszych. Pogrzeb odbył się w Ajemenem, w starym kościele, który został na nowo pomalowany. Była kuzynką Esthy i Rahel, córką wujka Chacka. Przyjechała z wizytą z Anglii. Estha i Rahel mieli siedem lat, kiedy zmarła. Sophie Mol miała lat prawie dziewięć. Zrobiono dla niej specjalną, mniejszą trumnę.

Wyściełaną satyną.

Z błyszczącym mosiężnym uchwytem.

Leżała w trumience ubrana w rozszerzane u dołu spodnie z krempliny, z włosami związanymi wstążką i elegancką torebką Made in England, którą bardzo lubiła. Twarz miała bladą i pomarszczoną, jak kciuk praczki od zbyt długiego przebywania w wodzie. Wierni zebrali się wokół trumienki i żółty kościół napęczniał jak gardło dźwiękiem smutnych śpiewów. Księża z kręconymi brodami kołysali kadzielnicami na łańcuchach i nie uśmiechali się do dzieci, tak jak to zawsze robili podczas niedzielnych mszy.

Długie świece na ołtarzu były pokrzywione. Krótkie nie. Staruszka, która udawała daleką krewną rodziny (nikt jej nie znał) i często pojawiała się w pobliżu zwłok na pogrzebach (nałogowa „grzebaczka”? utajona nekrofilka?), nasączyła wacik wodą kolońską i z pobożną, choć trochę wyzywającą miną wtarła ją w czoło Sophie Mol. Sophie Mol pachniała wodą kolońską i trumiennym drewnem.

Margaret Koćamma, angielska matka Sophie Mol, nie pozwoliła Chackowi, biologicznemu ojcu Sophie Mol, objąć się pocieszająco ramieniem.

Rodzina stała zbита w gromadkę. Margaret Koćamma, Chacko, Baby Koćamma, a obok Baby Koćammy jej szwagierka Mammaci – babcia Esthy i Rahel [jak również Sophie Mol). Mammaci była prawie ślepa i wychodząc z domu, zawsze zakładała ciemne okulary. Wypływały spod nich łzy i drgały na podbródku jak krople deszczu na krawędzi dachu. W spranobiałym sari wyglądała na skurczoną w sobie i schorowaną. Chacko był jedynym synem Mammaci. Własny smutek jakoś znosiła. Od jego smutku pękało jej serce. Ammu, Escie i Rahel pozwolono wziąć udział w pogrzebie, lecz musieli stać osobno, nie z resztą rodziny. Nikt na nich nie patrzył.

W kościele było tak gorąco, że białe płatki aralii marszczyły się i więdły. W jednym z kwiatów w trumnie zdechła pszczoła. Ammu drżały ręce, a wraz z nimi śpiewnik kościelny. Skórę miała zimną. Estha stał blisko niej, śnięty, bolące oczy migotały mu jak szkło, rozpalonym policzkiem dotykał nagiej skóry drżącej ręki Ammu, w której trzymała śpiewnik.

Z kolei Rahel była rozbudzona, zapiekle czujna i zmęczona walką z Prawdziwym Życiem.

Zauważyła, że Sophie Mol przebudziła się na pogrzeb. Zwróciła jej uwagę na Dwie Rzeczy. Rzeczą Pierwszą była świeżo odmalowana wysoka kopuła żółtego kościoła, na którą Rahel nigdy wcześniej nie patrzyła od wewnątrz. Pomalowana była na niebiesko, udając niebo na którym przesuwały się chmury i maleńkie bzyzące odrzutowce rozsnuwające za sobą siatkę białych smug. To prawda (trzeba to powiedzieć), że łatwiej było zauważyć te rzeczy, leżąc w trumnie, niż stojąc w ławkach między biodrami smutnych dorosłych i ich śpiewnikami.

Rahel pomyślała o człowieku, któremu chciało się wspiąć pod kopułę razem z farbami – biała do chmur, niebieska do nieba, srebrna do odrzutowców – z pędzlami i rozpuszczalnikiem. Wyobraziła go sobie tam w górze, podobnego do Weluthy, nagiego i lśniącego, siedzącego na desce, zwisającego na linie z rusztowania pod wysoką kopułą kościoła, malującego srebrne odrzutowce na niebieskim kościelnym niebie.

Pomyślała, co by się stało, gdyby lina pękła. Wyobraziła sobie, jak malarz spada niczym granatowa gwiazda z nieba, które namalował. Leży połamany na gorącej posadzce kościoła, ciemna krew wycieka mu z czaszki jak sekret. Esthappen i Rahel zdążyli się już dowiedzieć, że świat zna inne sposoby, aby kogoś złamać. Ten zapach był im już znajomy. Słodkomdły. Jak przekwitłe róże na wietrze.

Drugą Rzeczą, na którą Sophie Mol zwróciła uwagę Rahel, był nietoperz.

Podczas mszy żałobnej Rahel obserwowała, jak mały czarny nietoperz, delikatnie wczepiając się pazurkami, pnie się do góry po kosztownym pogrzebowym sari Baby Koćammy.

Kiedy dotarł do miejsca między sari a bluzką, do jej smutnej skóry, do jej obnażonej przepony, Baby Koćamma wrzasnęła i zaczęła się oganiać śpiewnikiem. Śpiew ustał pośród ogólnych: „Co to było? Co się stało?”, szelestów i furkotów sari. Smutni księża palcami ciężkimi od złotych pierścieni otrzepali swe kręcone brody, jakby pająki znieacka utkały tam pajęczyny.

Nietoperzyk wzleciał do nieba i zamienił się w odrzutowiec bez smugi za ogonem.

Tylko Rahel zauważyła, że Sophie Mol trzyma w zaciśniętej dłoni monetę.

Smutny śpiew rozległ się na nowo, ten sam smutny werset został powtórzony. Żółty kościół ponownie napęczniał głosami jak gardło.

Kiedy opuścili trumnę Sophie Mol do grobu na małym cmentarzu za kościołem, Rahel wiedziała, że ona jeszcze nie umarła. Słyszała (w imieniu Sophie Mol) miękkie odgłosy czerwonej gliny i twarde odgłosy pomarańczowego laterytu, który obtłukiwał błyszczącą politurę trumny. Słyszała głucho dudnienie przez politurowane trumienne drewno, przez wyściełającą trumnę satynę. Glina i drewno tłumili smutne głosy księży.

W Twoje ręce powierzamy, Ojczy miłosierny, Duszę naszej zmarłej siostry, I oddajemy jej ciało ziemi.

Z prochu powstałaś, w proch się obrócisz.

Pod ziemią Sophie Mol krzyknęła i zaczęła szarpać satynę zębami. Przez ziemię i kamień nie słychać jednak krzyku. Sophie Mol umarła, bo nie miała czym oddychać.

Zabił ją jej pogrzeb. Z prochu w proch w proch w proch.

Na płycie nagrobnej wykuty był napis: „Promyk słońca, co tak krótko nas ogrzewał”.

Po pogrzebie Ammu zabrała bliźnięta z powrotem na posterunek policji w Kottajam. Znali to miejsce. Spędzili tam sporo czasu poprzedniego dnia. Wiedzieli, że ściany i meble wydzielają ostro, wędzony odór starego moczu, więc zawczasu zatkali nosy.

Ammu spytała o oficera dyżurnego, a kiedy zaprowadzono ją do jego biura, powiedziała mu, że zaszła jakaś tragiczna pomyłka i że ona chciałaby złożyć oświadczenie. Poprosiła o widzenie z Weluthą.

Wąsy inspektora Thomasa Mathew podrygiwały jak sympatyczne wąsy maharadży z reklamy Air India, lecz oczy miał podstępne i zachłanne.

– Nie sądzi pani, że już trochę za późno na takie rzeczy? powiedział. Mówił w malajalam

z twardym akcentem kottajamskim. Raz po raz zerkał na piersi Ammu. Powiedział, że policja wie wszystko, co potrzebuje wiedzieć, i że policja z Kottajam nie przyjmuje oświadczeń od veshya lub ich nieślubnych dzieci. Ammu odparła, że to się jeszcze okaże. Inspektor Thomas Mathew wyszedł zza biurka i zbliżył się do Ammu ze swoją pałką.

– Na pani miejscu – powiedział – poszedłbym grzecznie do domu.

Potem postukał ją pałką w piersi. Delikatnie. Jakby wybierał owoce mango na targu. Wskazywał te, które chce mieć zapakowane i doręczone. Inspektor Thomas Mathew najwyraźniej wiedział, z kim może sobie pozwolić na takie rzeczy. Policjanci mają ten instynkt.

Na czerwono-niebieskiej tablicy za jego plecami było napisane:

Posłuszeństwo Odpowiedzialność Lojalność Inteligencja Czystość Jawność Apolityczność

Kiedy opuścili posterunek, Ammu płakała, więc Estha i Rahel nie zapytali jej, co to znaczy veshya. Nie spytali jej nawet, co to znaczy „nieślubny”. Po raz pierwszy widzieli swoją matkę płaczącą. Płakała bezgłośnie. Jej twarz była nieruchoma jak kamień, lecz oczy nabiegały łzami, które spływały po jej napiętych policzkach. Bliźnięta były ledwo żywe ze strachu na ten widok. Łzy Ammu uczyniły rzeczywistym wszystko, co do tej pory zdawało się nierzeczywiste. Wrócili do Ajemenem autobusem. Konduktor, wąski w ramionach mężczyzna w mundurze koloru khaki, podszedł do nich, trzymając się poręczy. Oparł się kościstymi biodrami o tył siedzenia i zastukał ręcznym kasownikiem przed oczami Ammu. Gest ten oznaczał: „Dokąd?” Rahel czuła zapach pliku biletów autobusowych i kwaśny odór stalowych poręczy pozostały na dłoniach konduktora.

– Nie żyje – szepnęła do niego Ammu. – Zabiłam go.

– Do Ajemenem – powiedział szybko Estha, żeby konduktor nie zdążył się zdenerwować.

Wyjął pieniądze z torebki Ammu. Konduktor podał mu bilety. Estha złożył je starannie i wsadził sobie do kieszeni. Potem objął maleńkimi ramionami swą sztywną, płaczącą matkę.

Dwa tygodnie później Estha został Oddany. Ammu kazano odesłać go do ojca, który tymczasem zrezygnował ze swej samotnej pracy na plantacji herbaty w Asamie i przeniósł się do Kalkuty, gdzie pracował w firmie produkującej pigment z sadzy lamp olejnych. Ożenił się powtórnie, przestał pić (z grubsza biorąc) i tylko od czasu do czasu miewał nawroty. Od tej pory Estha i Rahel nie widzieli się ani razu.

Teraz, dwadzieścia trzy lata później, ich ojciec Od-Oddał Esthę. Wysłał go do Ajemenem z walizką i listem. Walizka była pełna eleganckich nowych ubrań. Baby Koćamma pokazała Rahel list. Napisany był pochyłym, kobiecym pismem wychowanki szkoły zakonnej, lecz

podpisał się ojciec. W każdym razie pod tekstem widniało jego imię i nazwisko. Rahel nie umiała rozpoznać charakteru pisma ojca. Pisał w liście, że zrezygnował z posady w fabryce pigmentu i wyjeżdża do Australii, gdzie otrzymał pracę jako szef ochrony w fabryce ceramiki i nie może zabrać Esthy ze sobą. Życzył całej rodzinie w Ajemenem wszystkiego najlepszego i obiecał, że zajrzy do Esthy, jeżeli kiedykolwiek wróci do Indii, co jednak uważał za mało prawdopodobne.

Baby Koćamma powiedziała Rahel, że może zatrzymać list, jeżeli ma ochotę. Rahel włożyła go z powrotem do koperty. Papier rozmiękł i dawał się złożyć jak płótno. Zapomniała już, jak wilgotne potrafi być monsunowe powietrze w Ajemenem. Nasiąknięte kredensy skrzypiały. Zamknięte drzwi otwierały się z trzaskiem. Książki stawały się miękkie i faliste między okładkami. Nieznane owady nadlatywały wieczorami jak myśli i spalały się na wątych, czterdziestowatowych żarówkach Baby Koćammy. Za dnia ich chrupkie, spopielone zwłoki zaścierały podłogi i parapety i dopóki Koću Maria nie zmiotła ich do plastikowego kosza na śmieci, w powietrzu unosił się zapach spalenizny. Czerwcowy deszcz, wciąż taki jak dawniej.

Niebo otworzyło się i woda runęła z hukiem, ożywiła apatyczną starą studnię, omszyła chlewy bez świni, zbombardowała odstałe kałuże koloru herbaty, tak jak pamięć bombarduje odstałe umysły. Trawa była mokrozielona i wyglądała na zadowoloną z życia. Szczęśliwe glisty baraszkowały purpurowo w błotnistej brei. Zielone pokrzywy pochylały się, drzewa uginały.

Trochę dalej, na wietrze i w deszczu, nad brzegiem rzeki, w nagłej grzmistociemności dnia, szedł Estha. Miał na sobie podkoszulek koloru rozgniecionych truskawek, teraz ciemniejszy, bo przemoczony, i wiedział, że przyjechała Rahel. Estha zawsze był dzieckiem małowównym, toteż nikt nie potrafił dokładnie określić, kiedy (to znaczy, w którym roku, nie wspominając już o miesiącu i dniu) przestał mówić. To znaczy, zupełnie przestał mówić. Problem w tym, że nie było żadnego „dokładnie wtedy”. Jakby jakiś interes stopniowo podupadał i został zlikwidowany. Ledwo zauważalne wyciszenie. Jakby po prostu skończyły mu się tematy do rozmowy, jakby nie miał już nic więcej do powiedzenia. Lecz milczenie Esthy nigdy nie było krępujące. Nigdy nie było nachalne. Nigdy nie było hałaśliwe. Nie było milczeniem oskarżającym, protestującym, lecz swego rodzaju estywacją, uspieniem, psychologicznym odpowiednikiem tego, co robią ryby płucodyszne, aby przetrwać porę suchą, tyle że w przypadku Esthy wyglądało na to, że pora sucha trwać będzie wiecznie.

Z czasem nabrał umiejętności wtapiania się w tło – w regały biblioteczne, ogrody, zasłony,

przedpokoje, ulice, potrafił wyglądać jak przedmiot nieożywiony, dla niewprawnego oka niemal niewidoczny. Upływała zazwyczaj dłuższa chwila, zanim obcy zauważyli jego obecność, nawet jeżeli przebywali w tym samym pokoju co on. Jeszcze dłużej trwało, zanim zauważyli, że nic nie mówi. Niektórzy w ogóle tego nie zauważali.

Estha zajmował bardzo mało miejsca w świecie.

Po pogrzebie Sophie Mol, kiedy Estha został Oddany, ich ojciec posłał go do szkoły męskiej w Kalkucie. Nie był wybitnym uczniem, ale też nie odstawał szczególnie od reszty. „Przeciętny uczeń” albo „Zadowolające postępy, pisali zazwyczaj jego nauczyciele na świadectwach rocznych. „Nie uczestniczy w zajęciach grupowych”. Ten zarzut często się pojawiał. Nigdy jednak nie wyjaśnili, co rozumieją przez zajęcia grupowe. Estha ukończył szkołę z przeciętnym wynikiem, lecz nie chciał iść na studia. Zamiast tego, początkowo ku zakłopotaniu ojca i macochy, zaczął zajmować się domem. Jakby próbował w taki sposób zarobić na utrzymanie. Zamiatał, szorował, robił pranie. Nauczył się gotować i kupować warzywa. Sprzedawcy na bazarze, usadowieni za piramidami lśniących oleiszczy warzyw, zaczęli go rozpoznawać i obsługiwali go przy wtórce protestów innych klientów. Dawali mu porzewiałe puszki po taśmach filmowych, do których wkładał wybrane przez siebie warzywa. Nigdy się nie targował. Oni nigdy nie liczyli mu za dużo. Kiedy warzywa zostały zważone i zapłacone, sprzedawcy przesyrywali je do jego czerwonego plastikowego koszyka na zakupy (na dnie cebula, na wierzchu bakłażany i pomidory) i zawsze dokładali za darmo gałązkę kolendry i garść zielonych papryczek. Estha wiozł warzywa do domu zatłoczonym tramwajem. Cicha bańka powietrza unosząca się na morzu zgiełku. Jeżeli chciał czegoś podczas posiłków, wstawał i przynosił sobie sam. Milczenie, kiedy już przyszło, zostało na dobre i rozrosło się w Escie. Wypełzło z jego głowy i oplotło go zachłannie ramionami. Kołysało go do rytmu pradawnego, płodowego bicia serca. Szperało zdrowymi, dobrze odkarmionymi mackami po wnętrzu jego czaszki, odkurzało zakamarki jego pamięci, usuwało stare zdania, zdejmowało mu je z końca języka. Odzierało jego myśli ze słów, które je wyrażały, zo stawiając je obstrugane i nagie. Nie do wypowiedzenia. Odrętwiało. Komuś z zewnątrz mogło się więc wydawać, że w ogóle ich nie ma. Powoli, z upływem lat, Estha odsunął się od świata. Przyzwyczyił się do niemiłej ośmiornicy, która w nim zamieszkała i spryskiwała jego przeszłość atramentowym środkiem uśmierającym. Z czasem przyczyna milczenia schowała się, leżała pogrzebana gdzieś głęboko w jego kojących fałdach.

Kiedy Khubcand, jego ukochany, ślepy, łysy, sikający pod siebie siedemnastoletni kundel, postanowił odegrać długi, rozdzierający spektakl śmierci, Estha pielęgnował go w tej ostatniej męczarni, jakby zależało od tego jego własne życie.

W ostatnich miesiącach przed śmiercią Khubcand, który miał jak najlepsze intencje, lecz wyjątkowo niesprawny pęcherz, włókł się do przeznaczonej specjalnie dla niego uchylnej klapy w drzwiach do ogrodu z tyłu domu, przepychał głowę na zewnątrz i sikał w kilku rzutach, do środka. Potem, z pustym pęcherzem i czystym sumieniem, patrzył na Esthę zmętniałymi zielonymi oczami, które wyzierały z jego posiwiałej czaszki jak zarośnięte zielonym stawy, i człapał z powrotem na swą wilgotną poduszkę, zostawiając na podłodze mokre ślady stóp. Kiedy Khubcand leżał umierający na swej poduszce, Estha widział okno sypialni odbite na jego śliskich, purpurowych jądрах. I niebo za oknem. Raz zobaczył przelatującego przez ogród ptaka. Dla Esthy – zanurzonego w zapachu przekwitłych róż, rozdartego wspomnieniami o złamanym człowieku – fakt, że coś tak kruche, tak niemiłosiernie delikatnego przeżyło, otrzymało prawo do istnienia, był cudem. Ptak w locie odbity w jądрах starego psa. Estha roześmiał się.

Po śmierci Khubcanda Estha rozpoczął swe wędrówki. Przechadzał się całymi godzinami. Początkowo patrolował tylko sąsiedztwo, lecz z czasem zaczął się wypuszczać coraz dalej. Ludzie przyzwyczaili się do jego widoku na drodze. Dobrze ubrany mężczyzna o spokojnym kroku. Twarz mu ściemniała i ogorzała. Słońce pomarszczyło ją, wytrawiło. Nadało mu fizjonomię mędrca, którym nie był. Jak rybak w mieście.

Z jego morskimi tajemnicami.

Teraz, kiedy został Od-Oddany, Estha wędrował po całym Ajemenem.

W niektóre dni spacerował wzdłuż brzegów rzeki, która śmierdziała łajnem i pestycydami kupionymi za kredyty z Banku Światowego. Większość ryb wyzdychała. Te, które przeżyły, owrzodziały i miały chore płetwy.

W inne dni chodził drogą. Mijał nowe, polukrowane domy, zbudowane za pieniądze przywiezione z Zatoki przez pielęgniarki, murarzy, druciarzy i urzędników bankowych, którzy w jakimś odległym miejscu ciężko pracowali i wiedli pozbawione radości życie. Mijał urażone starsze domy, pozieleniałe z zazdrości, przycupnięte za prywatnymi podjazdami pośród prywatnych kauczukowców. Każdy był podupadającym udzielnym księstwem, które miało do opowiedzenia swoją własną historię.

Estha mijał wioskową szkołę, którą jego pradziadek wybudował dla dzieci niedotykalnych.

Mijał złoty kościół Sophie Mol. Mijał młodzieżowy klub kung-fu. Mijał przedszkole „Milusińscy” (dla dotykalnych, mijał sklep, w którym sprzedawano na kartki ryż, cukier i banany zwisające złotymi pęczkami spod sufitu. Tanie pisma pornograficzne z artykułami na temat fikcyjnych zbrodniarzy seksualnych z południowych Indii wisiały przyczepione żabkami do sznurków. Obracały się leniwie na ciepłym wietrze, kusząc uczciwych kartkowych klientów mignięciami dorodnych ciał nagich kobiet leżących w kałużach podrabianej krwi. Czasami Estha mijał Lucky Press – drukarnię starego towarzysza K.N.M. Pilleja, niegdyś siedzibę partii komunistycznej w Ajemenem, gdzie odbywały się nocne zebrania ideologiczne i gdzie drukowano teksty pieśni rewolucyjnych Partii Marksistowskiej. Trzepocząca na dachu flaga zestarzała się

i oklapła. Kolor czerwony wypłowił.

Sam towarzysz Pillej wychodził rano w szarzejącej kamizelce, a na miękkim białym mundu odciskał się kształt jego jąder. Towarzysz Pillej nacierał się ciepłym, pieprzowym olejkim kokosowym, ugniatając swe stare, rozlazłe ciało, które łatwo odchodziło od kości, jak guma do zucia. Mieszkał teraz sam. Jego żona Kaljani zmarła na raka jajników. Jego syn Lenin wyjechał do Delhi, gdzie pracował jako administrator budynków dla zagranicznych ambasad.

Jeżeli towarzysz Pillej stał przed domem i nacierał się olejkim, kiedy przechodził Estha, zawsze go pozdrawiał.

– Estha Mon! – wołał do niego swym wysokim, piskliwym głosem, trochę już zżartym i postrzępionym, jak trzcina cukrowa odarta z kory. – Dzień dobry! Jak zawsze na spacer? Estha mijał go, ani nieuprzejmy, ani uprzejmy. Po prostu milczący.

Towarzysz Pillej klepał się po całym ciele dla pobudzenia krążenia. Nie wiedział, czy Estha rozpoznaje go po tylu latach. Nie żeby mu na tym szczególnie zależało. Chociaż odegrał

w całej sprawie niepoślednią rolę, towarzysz Pillej w najmniejszym stopniu nie poczuwał się do odpowiedzialności za to, co się stało. Odłożył to zdarzenie ad acta jako nieuchronną konsekwencję koniecznej polityki. Gdzie drwa rąbią i tak dalej. Zresztą towarzysz K.N.M. Pillej był człowiekiem na wskroś politycznym. Zawodowym rębaczem drew. Szedł przez świat jak kameleon. Nigdy się nie odsłaniał, nigdy nie sprawiał wrażenia, że się kamufluje. Z każdej awantury wychodził bez uszczerbku.

Był pierwszą osobą w Ajemenem, która dowiedziała się o powrocie Rahel. Wiadomość ta nie tyle go wzburzyła, co podnieciła jego ciekawość. Estha był dla towarzysza Pilleja człowiekiem

niemal zupełnie obcym. Jego wydalenie z Ajemenem odbyło się tak nagle i tak bezceremonialnie. I tak dawno. Lecz Rahel towarzysz Pillej znał całkiem dobrze. Obserwował ją, kiedy dorastała. Zastanawiał się, co skłoniło ją do powrotu. Po tylu latach.

Do przyjazdu Rahel w głowie Esthy panowała cisza i spokój. Jego siostra przywiozła jednak ze sobą dźwięk mijających się pociągów, jak również światło i cień, które padają na pasażera siedzącego przy oknie. Świat, przez lata nie mający dostępu do jego głowy, nagle wlał się do środka i Estha nie słyszał samego siebie w tym hałasie. Pociągi. Samochody. Muzyka. Giełda. Tama pękła i rwące wody porwały ze sobą wszystko. Komety, skrzypce, parady, samotność, chmury, brody, fanatycy, flagi, trzęsienia ziemi, rozpacz – wszystko zostało wymiecione przez spiętrzoną nawałnicę.

Estha, idąc nabrzeżem rzeki, nie czuł wilgoci deszczu ani drżenia zmarzniętego szczeniaka, który zaadoptował go na jakiś czas i człapał u jego boku. Estha minął mangostan i do tarł na skraj laterytowej skarpy, wrzynającej się w rzekę. Kucnął i kołysał się na deszczu. Mokre błoto pod jego butami chlupotało obscenicznie. Zmarznięty szczeniak dygotał – i nie spuszczał go z oczu.

Baby Koćamma i Koću Maria, karłowata kucharka o sercu pełnym octu i drażliwym usposobieniu, były jedynymi osobami, które wciąż mieszkały w Ayemenem House, kiedy Es tha został Od-Oddany. Mammaci, ich babcia, nie żyła. Chacko mieszkał teraz w Kanadzie i bez większych sukcesów handlował antykami.

Co się zaś tyczy Rahel:

Po śmierci Ammu (kiedy ostatni raz przyjechała do Ajemenem, spuchnięta od kortyzonu i z klekotem w piersiach, który przypominał wołanie z daleka) Rahel błąkała się bez celu. Ze szkoły do szkoły. Wakacje spędzała w Ajemenem, w zasadzie nie zauważana przez Chacko i Mammaci (którzy stali się rozłaźli od smutku, oklapli w żałobie jak para pijaków w barze), a sama nie zwracała większej uwagi na Baby Koćammę. Jeżeli chodzi o wychowanie Rahel, Chacko i Mammaci starali się przez jakiś czas, lecz nie wychodziło im. Zapewniali jej utrzymanie (jedzenie, ubranie, chesne), lecz przestali się nią interesować.

Utrata Sophie Mol przesuwiała się przez Ayemenem House miękko jak jakieś spokojne stworzenie w skarpetkach. Chowiała się w książkach i jedzeniu. W futerale na skrzypce Mammaci. W strupach na goleniach Chacka, które stale rozdrapywał. W jego flaczejących, kobiecych nogach.

To dziwne, że czasami wspomnienie śmierci trwa znacznie dłużej niż wspomnienie życia,

które śmierć zabrała. Z upływem lat wspomnienie o Sophie Mol (poszukiwacze małych mądrości: „Dokąd lecą stare ptaki, aby umrzeć? Dlaczego martwe ptaki nie spadają z nieba jak kamienie?” Zwiastunce brutalnej rzeczywistości: „Jesteście oboje w całości kolorowi, a ja tylko w połowie”. Guru makabry: „Widziałam człowieka tuż po wypadku, oko mu się huśtało na nerwie jak jo-jo”) powoli się zacierało. Utrata Sophie Mol nabrała wigoru. Zawsze powracała. Jak owoc o odpowiedniej porze roku. Co sezon. Coś równie trwałe jak posada rządowa. Utrata Sophie Mol przeprowadziła Rahel z dzieciństwa (od szkoły do szkoły) w kobiecość.

Rahel została po raz pierwszy wciągnięta na czarną listę szkoły klasztornej Nazareth, kiedy miała jedenaście lat: złapano ją przed furtką ogrodu jej wychowawczyni na przyozdabianiu kwiatkami świeżego krowiego placka. Na apelu następnego dnia rano kazano jej wyszukać w słowniku oksfordzkim słowo „deprawacja” i odczytać na głos jego definicję. „Cecha charakteru lub stan bycia zdeprawowanym lub zepsutym”, przeczytała Rahel, mając za plecami rząd zakonnice o surowych ustach, a przed sobą morze chichoczących uczennic. „Moralna przewrotność; wrodzone zepsucie ludzkiej natury spowodowane grzechem pierworodnym; zarówno wybrani, jak i nie wybrani, przychodzą na świat w stanie całkowitej d. i wyobcowania od Boga, i bez pomocy łaski Bożej nie mogą podnieść się z grzechu. J. H. Blunt”.

Sześć miesięcy później, w następstwie powtarzających się skarg starszych dziewcząt, została wydalona ze szkoły. Oskarżano ją (najzupełniej słusznie) o to, że chowa się za drzwiami i celowo zderza się ze starszymi koleżankami. Kiedy dyrektorka przesłuchiwała ją na okoliczność tych wybryków (stosując perswazję, chłostę, morzenie głodem, Rahel w końcu wyznała, że robiła to dla sprawdzenia, czy bolą ją piersi.

W tej chrześcijańskiej instytucji nie uznawano istnienia piersi. A skoro nie istnieją, to jak mogą boleć?

Było to jej pierwsze wydalenie. Drugie było karą za papierosy. Trzecie za podpalenie sztucznego koka wychowawczyni, do którego kradzieży Rahel przyznała się pod presją. W każdej szkole, do której chodziła, nauczyciele zwracali uwagę na to, że Rahel:

- a) Jest niezwykle uprzejmym dzieckiem.
- b) Nie ma przyjaciół.

Wyglądało na to, że jest przykładem dobrze wychowanej, osamotnionej formy zepsucia. I właśnie dlatego, stwierdzali jednomyślnie (delektując się swą nauczycielską dezaprobatą, smakując ją na języku, ssąc jak cukierek), nie wolno jej pobbłażać.

Sprawia wrażenie, szeptali do siebie, jakby nie umiała być dziewczynką.

Było to dosyć trafne spostrzeżenie.

Co dziwne, brak opieki ze strony dorosłych sprawił, że jej dusza przypadkowo wyszła na swobodę.

Rahel dorastała bez żadnego planu. Bez kogoś, kto zaaranżowałby jej małżeństwo. Bez kogoś, kto zapłaciłby jej posag, a zatem bez obowiązkowego męża oczekującego na horyzoncie.

Dopóki nie robiła wokół tego zbyt wiele hałasu, pozwalano jej drążyć tematy, które ją interesowały. Kwestię piersi: czy bołą. Kwestię koków: czy dobrze się palą. Kwestię życia: jak należy żyć.

Kiedy skończyła szkołę, została przyjęta do przeciętnego college'u architektury w Delhi. Nie żeby poważnie interesowała się architekturą. Czy nawet powierzchownie. Po prostu podeszła do egzaminu wstępnego i przypadkiem się dostała. Profesorom zaimponował nie tyle jej talent, co rozmiary (ogromne) jej naszkicowanych węglem martwych natur. Niedbałe, niechlujne linie omyłkowo wzięto za oznakę artystycznej pewności siebie, lecz tak naprawdę ich autorka nie była żadną artystką.

Spędziła w college'u osiem lat, nie ukończywszy pięcioletnich studiów i nie uzyskawszy dyplomu. Czesne było niskie i bez większych problemów można się było jakoś utrzymać, mieszkając w akademiku, jedząc w dotowanej studenckiej stołówce, rzadko chodząc na zajęcia, a zamiast tego pracując jako kreślarka w ponurych firmach architektonicznych, które wykorzystywały studentów jako tanią siłę roboczą do przygotowywania prezentacji i zwały na nich winę, kiedy były jakieś zastrzeżenia. Innych studentów, szczególnie chłopców, onieśmiało jej zamknięcie w sobie i zapiekły brak ambicji. Zostawili ją samej sobie. Nie zapraszali jej do swych ładnych domów ani na hałaśliwe imprezy. Nawet profesorowie trochę się zrazili – do jej cudacznych, niepraktycznych projektów rysowanych na tanim brązowym papierze, do jej obojętności na ich pełną pasję krytykę.

Pisywała czasami do Chacka i Mammaci, lecz ani razu nie przyjechała do Ajemenem. Nie przyjechała, kiedy zmarła Mammaci. Nie przyjechała, kiedy Chacko wyemigrował do Kanady.

Podczas studiów w college'u architektury poznała Larry'ego McCaslina, który zbierał w Delhi materiały do pracy doktorskiej na temat energooszczędności architektury ludowej. Po raz pierwszy zauważył Rahel w uczelnianej bibliotece, a kilka dni później na targu Khan. Miała na sobie dżinsy, biały podkoszulek i kawałek starej patchworkowej narzuty, zapięty pod szyją na

guzik i wlokący się z tyłu jak peleryna. Jej zwichrzone włosy były zawiązane do tyłu, aby wyglądały na proste. Po prawej stronie nosa migotał maleńki diament. Miała absurdalnie piękne obojczyki i zgrabny, wysportowany krok.

Oto idzie motyw jazzowy, pomyślał Larry McCaslin i wszedł za nią do księgarni, gdzie żadne z nich nie patrzyło na książki.

Rahel grawitowała bezwładnie ku małżeństwu, tak jak pasażer grawituje ku wolnemu miejscu w poczekalni lotniska.

Z poczuciem, że potrzebuje usiąść. Pojechała z Larrym do Bostonu.

Larry był na tyle wysoki, że kiedy trzymał żonę w ramionach, a ona przyciskała mu policzek do serca, widział wierzch jej głowy, ciemne zarośla włosów. Kiedy dotykał palcem miej sca koło jej ust, czuł mikroskopijny puls. Lubił ten punkt i to nikłe, niepewne kołatanie tuż pod skórą. Dotykał jej w tym miejscu, słuchał oczami, jak przyszyły ojciec, który dotyka brzucha matki, aby poczuć kopanie dziecka.

Trzymał ją, jakby była podarunkiem. Złożonym w miłości.

Czymś nieruchomym i małym. Nieznośnie cennym.

Lecz kiedy się kochali, jej oczy sprawiały mu ból. Zachowywały się, jakby należały do kogoś innego. Kogoś obserwującego. Spoglądającego przez okno na morze. Na łódkę na rzece. Albo na przechodnia w kapeluszu, który spaceruje we mgle.

Martwiło go to, ponieważ nie wiedział, co to spojrzenie oznacza. Umieścił je gdzieś pomiędzy obojętnością a rozpaczą. Nie wiedział, że w niektórych krajach, na przykład w tym, z którego pochodziła Rahel, różne rodzaje rozpaczrywalizują ze sobą o prymat. I że osobista rozpacz nigdy nie może być wystarczająco rozpaczliwa. Że coś się zmienia, kiedy osobista rozpacz odwiedza przydrożną świątynię ogro mnej, gwałtownej, wirującej, napierającej, idiotycznej, obłąkanej, nieprzenikalnej z zewnątrz publicznej rozpaczrywalizacji narodu. Że Wielki Bóg wyje jak gorący wiatr i żąda posłuszeństwa. Potem Mały Bóg (swojski i powściągliwy, prywatny i skończony) odchodzi wypalony, śmiejąc się drętwo z własnego tchórzostwa. Zahartowany potwierdzeniem swego braku znaczenia, staje się odporny i prawdziwie obojętny.

Nic nie miało większego znaczenia. Nic nie było wystarczająco istotne. Ponieważ zdarzyły się Gorsze Rzeczy. W kraju, z którego pochodziła, wiecznie balansującym pomiędzy tragedią wojny a katastrofą pokoju, ciągle zdarzały się Gorsze Rzeczy.

Mały Bóg roześmiał się zatem z rezygnacją i radośnie pomknął przed siebie. Jak chłopiec

w krótkich spodenkach. Gwizdał, kopał kamyki. Źródłem jego kruchego uniesienia były stosunkowo niewielkie rozmiary jego nieszczęścia. Właził ludziom do oczu i napełniał je smutkiem.

To, co Larry McCaslin widział w oczach Rahel, nie było wcale rozpaczą, lecz rodzajem wymuszonego optymizmu.

I pustką, którą niegdyś wypełniały słowa Esthy. Trudno było od niego oczekiwać, by to zrozumiał. Że pustka w jednym z bliźniąt jest tylko wersją milczenia drugiego. Że pustka i milczenie są do siebie doskonale dopasowane. Jak dwie łyżki włożone w siebie. Jak znające się na wylot ciała kochanków.

Po rozwodzie Rahel przez kilka miesięcy pracowała jako kelnerka w restauracji włoskiej w Nowym Jorku. A potem przez kilka lat jako nocna sprzedawczyni w kuloodpornej kabinie stacji benzynowej pod Waszyngtonem, gdzie pijacy od czasu do czasu wymiotowali do tacy na pieniądze, a alfonsi składali jej propozycje bardziej lukratywnego zajęcia. Dwa razy widziała, jak strzelano do kierowców przez szybę samochodu. Raz z przejeżdżającego auta wypadł mężczyzna z nożem w plecach.

Potem Baby Koćamma napisała do niej list z informacją, że Estha został Od-Oddany. Rahel zrezygnowała z pracy na stacji benzynowej i z przyjemnością opuściła Amerykę. Aby powrócić do Ajemenem. Do Esthy w deszczu.

W starym domu na wzgórzu Baby Koćamma siedziała przy stole jadalnym i zdzierła grubą, pienistą gorycz ze starego ogórka. Miała na sobie obwisłą krepową nocną koszulę w kratkę, z bufiastymi rękawami i plamami po kurkumie. Pod stołem wymachiwała swymi drobnymi, wypedikiurowanymi stopami, jak małe dziecko na wysokim krześle. Były obrzęknięte, jakby nadmuchiwane. W dawnych czasach, zawsze kiedy ktoś odwiedzał Ajemenem, Baby Koćamma pod nosiła temat dużych stóp swych gości. Prosiła, aby pozwolili jej przymierzyć ich pantofle i mówiła: „Spójrzcie, o ile są na mnie za duże!” Potem chodziła w nich po domu, unosząc trochę sari, aby wszyscy mogli podziwiać jej maleńkie stópki. Obierała ogórek z miną ledwo skrywanego triumfu. Była zachwycona, że Estha nie odezwał się do Rahel. Że spojrział na nią i poszedł dalej. W deszcz. Potraktował ją jak wszystkich innych. Miała osiemdziesiąt trzy lata. Jej oczy rozsmarowywały się jak masło za grubymi szklami okularów.

– A nie mówiłam? – powiedziała do Rahel. – Czego się spodziewałaś? Specjalnego traktowania? On zwariował, mówię ci! On już nie poznaje ludzi! A co myślałaś?

Rahel milczała.

Czuła rytm kołysania się Esthy i wilgoć deszczu na jego skórze. Słyszała zgiełkliwy, skotłowany świat w jego głowie. Baby Koćamma niepewnie podniosła wzrok na Rahel. Zdążyła już pożałować, że napisała do niej o powrocie Esthy. Ale co mogła zrobić innego? Mieć go na głowie do końca życia? W imię czego? Nie czuła się za niego odpowiedzialna. A może powinna?

Milczenie usadowiło się między Rahel i Baby Koćammą jak ktoś trzeci. Obcy. Napuchnięty. Trujący. Baby Koćamma zanotowała w pamięci, żeby na noc zamknąć na klucz drzwi sypialni. Zastanawiała się, co powiedzieć.

– Jak ci się podoba mój kok?

Zaogórczoną ręką dotknęła nowej fryzury. Zostawiła na niej wyraźnie widoczną gorzką kałużę ogórkowej piany. Rahel nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyła, jak Baby Koćamma obiera ogórek. Na podołku miała kupkę żółtych pasków skórki. Jej włosy, pofarbowane na czarny jak inkaust kolor, przypominały rozwiniętą ze szpulki nić. Farba zrobiła jej na czole jasnoszarą smugę, która wyglądała jak zdublowana grzywka. Rahel zauważyła, że Baby Koćamma zaczęła się malować. Szminka. Antymon. Odrobina różu. Ponieważ drzwi zewnętrzne były zamknięte i ponieważ nie uznawała innych żarówek jak czterdziestowatowe, jej uszminekowane usta miały nieco inny odcień niż w naturze.

Schudła na twarzy i w ramionach, skutkiem czego z osoby obłej stała się osobą stożkową. Lecz za stołem, kiedy nie widać było jej olbrzymich bioder, wyglądała niemal rachitycznie. Nikłe światło pokoju jadalnego starło zmarszczki z jej twarzy, która, choć dziwna i zapadnięta, stała się dzięki temu młodsza. Baby Koćamma była obwieszona biżuterią. Biżuterią nieżyjącej babci Rahel. Założyła wszystko, co było. Migoczące pierścienie. Brylantowe kolczyki. Złote bransolety i pięknie wykonany złoty łańcuch, którego od czasu do czasu dotykała, aby się upewnić, że wciąż tam jest i że należy do niej. Jak panna młoda, która nie może uwierzyć swemu szczęściu.

Ona przeżywa swoje życie na wspak, pomyślała Rahel.

Było to zaskakująco trafne spostrzeżenie. Baby Koćamma rzeczywiście przeżywała swoje życie na wspak. Jako młoda kobieta wyrzekła się świata materialnego, a teraz, jako staruszka, najwyraźniej garnęła się do niego. Wzięła go w objęcia, a on odwzajemnił uścisk.

W wieku osiemnastu lat Baby Koćamma zakochała się w przystojnym mnichu z Irlandii, ojcu Mulliganie, który został wysłany na rok do Kerali z seminarium w Madrasie. Studiował hinduskie teksty religijne, aby móc je fachowo potępić.

W każdy czwartek rano ojciec Mulligan przyjeżdżał do Ajemenem, aby odwiedzić ojca Baby Koćammy, wielbego E. Johna Ipe'a, który był kapłanem w kościele Mar Thoma. Wielbny Ipe był znany we wspólnocie chrześcijańskiej jako człowiek, którego osobiście pobłogosławił patriarcha Antiochii, suwerenny zwierzchnik syryjskiego Kościoła chrześcijańskiego – epizod ten wszedł do folkloru Ajemenem.

W 1876 roku, kiedy ojciec Baby Koćammy miał siedem lat, jego ojciec zabrał go na spotkanie z patriarchą, który odwiedzał chrześcijan syryjskich w Kerali. Stanęli tuż przed grupą ludzi, do których patriarcha zwracał się z zachodniej werandy Kalleny House w Koczinie. Korzystając ze sposobności, ojciec szepnął coś synowi do ucha i wypchnął go do przodu. Przyszły wielbny, który, sparaliżowany treścią, o mało co się nie wywrócił, złożył przerażone usta na pierścieniu patriarchy i solidnie go obślinił. Patriarcha wytarł pierścień w rękaw i pobłogosławił chłopca. Już jako dorosły człowiek i ksiądz, wielbny Ipe wciąż nazywany był Punnjan KuridżuMałym Pobłogosławionym – i ludzie przywozili mu łodziami swe dzieci aż z Alleppej i Ernakulam, aby je pobłogosławił. Chociaż między ojcem Mulliganem a wielbnym Ipe'em istniała znaczna różnica wieku i chociaż należeli do różnych wyznań (które łączyła jedynie wzajemna niechęć), obaj lubili przebywać w swoim towarzystwie i ojciec Mulligan często bywał zapraszany na lunch. Tylko jeden z nich dostrzegał podniecenie seksualne, które wzbierało jak przyptyw morza w szczupłej dziewczynie kręcącej się po jadalni jeszcze długo, chociaż już posprzątało ze stołu.

Z początku Baby Koćamma usiłowała uwieść ojca Mulligana cotygodniowymi teatralnymi spektaklami miłosierdzia. W każdy czwartek, w porze odwiedzin ojca Mulligana, Baby Koćamma siłą zaciągała jakieś biedne wiejskie dziecko pod studnię i myła je twardym czerwonym mydłem, tak mocno, że aż bolały je sterczące żebra.

– Dzień dobry, ojczy! – wołała Baby Koćamma na jego widok z uśmiechem nie przystającym do żelaznego uścisku, w którym trzymała namydlone ramię dziecka.

– Dzień dobry, Baby! – odpowiadał ojciec Mulligan, zatrzymując się i składając parasol.

– Chciałam ojca o coś zapytać – mówiła Baby Koćamma. – W pierwszym liście do Koryntian, rozdział dziesiąty, wers dwudziesty trzeci, napisane jest: „Wszystko wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść”. Ojczy, jak to możliwe, że wszystko wolno w oczach Pana? Rozumiem, że niektóre rzeczy są dozwolone, ale...

Ojciec Mulligan czuł się więcej niż pochlebiony uczuciami, jakie wzbudzał w atrakcyjnej

młodej dziewczynie, która stała przed nim z drżącymi, stworzonymi do całowania ustami i pałającymi, czarnymi jak węgiel oczami. On sam też był młody i chyba trochę zdawał sobie sprawę, że poważne wyjaśnienia, za pomocą których rozpraszał jej udawane wątpliwości teologiczne, są zupełnie nie do pogodzenia z obietnicą, którą emanowały jego szmaragdowopromienne oczy.

W każdy czwartek, nie zrażeni bezlitosnym słońcem południa, stali razem przy studni. Młoda dziewczyna i nieulekły jezuita, oboje owładnięci niechrześcijańskim pożądaniem. Wykorzystujący Biblię jako pretekst do bycia ze sobą. Nieszczęsne namydlone dziecko, poddane przymusowej kąpieli, nieodmiennie wyślizgiwało się jej z rąk podczas rozmowy i uciekało. Ojciec Mulligan powracał do rzeczywistości i mówił:

– Ajaj! Lepiej je złapmy, zanim ono złapie przeziębienie. Ponownie otwierał parasol i odchodził w czekoladowym habicie i wygodnych sandałach, jak śmigły wielbłąd, który musi zdążyć na umówioną porę. Ciągnął za sobą na smyczy bolące serce Baby Koćammy, które roztrącało liście i podskakiwało na kamyczkach. Posiniaczone i prawie złamane. Czwartkowe dysputy teologiczne ciągnęły się przez cały rok. Wreszcie nadszedł czas powrotu ojca Mulligana do Madrasu. Ponieważ miłosierdzie nie przyniosło żadnych wymiernych rezultatów, zrozpaczona Baby Koćamma złożyła wszystkie swe nadzieje w wierze.

Wykazując się zapiekłą determinacją (która u młodej dziewczyny uchodziła w owych czasach za coś równie negatywnego jak wada cielesna – zajęcza wargą czy szpotawa stopa), Baby Koćamma wbrew woli swego ojca została zakonnicą Kościoła rzymskokatolickiego. Uzyskawszy specjalną dyspensę z Watykanu, złożyła wstępne śluby i wstąpiła do zakonu w Madrasie. Miała nadzieję, że dzięki temu będzie się mogła legalnie spotykać z ojcem Mulliganem. Wyobrażała sobie, jak siedzą razem w mrocznych, grobowych pomieszczeniach z ciężkimi aksamitnymi kotarami i rozmawiają o teologii. Niczego więcej nie pragnęła. O niczym więcej nie śmiała marzyć. Być blisko niego. Na tyle blisko, żeby czuć zapach jego brody. Widzieć zgrzebny splot jego sutanny. Kochać go przez samo patrzyenie na niego.

Bardzo szybko zdała sobie sprawę, że jej cel jest nieosiągalny. Stwierdziła, że starsze zakonnice zmonopolizowały księży i biskupów wątpliwościami teologicznymi, których wyrafinowanie przerastało jej możliwości intelektualne i że może upłynąć wiele lat, zanim znajdzie się w pobliżu ojca Mulligana. Była coraz bardziej znerwicowana i nieszczęśliwa. Od ustawicznego drapania się w kornet wyskoczyła jej na głowie uporczywa wysypka. Baby

Koćamma uważała, że mówi po angielsku znacznie lepiej od wszystkich innych zakonnicek. Czuli się przez to jeszcze bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Rok po wstąpieniu Baby Koćammy do klasztoru jej ojciec zaczął otrzymywać zagadkowe listy. „Najdroższy Tatusiu, jestem zdrowa i szczęśliwa w służbie Najświętszej Maryi Panny. Lecz Koh-i-nur wydaje się nieszczęśliwa i stęskniona za domem. Najdroższy Tatusiu, Koh-i-nur wymiotowała po lunchu i ma gorączkę. Najdroższy Tatusiu, klasztorne jedzenie wyraźnie nie odpowiada Koh-i-nur, chociaż mnie smakuje. Najdroższy Tatusiu, Koh-i-nur jest smutna, ponieważ jej rodzina chyba jej nie rozumie i nie interesuje się jej losem...” Osobą, która się w końcu zorientowała, że Koh-i-nur i Baby Koćamma to jedna i ta sama osoba, była jej matka. Przypomniała sobie, że dawno temu pokazała Baby Koćammie kopię testamentu swego ojca (czyli dziadka Baby Koćammy).

We fragmencie poświęconym wnukom napisał: „Mam siedem klejnotów, w tym jeden, który nazywa się Koh-i-nur”. Zapisał wszystkim po trochu pieniędzy i biżuterii, nie wyjaśniając, kogo uważa za swój Koh-i-nur. Matka Baby Koćammy zorientowała się, że Baby Koćamma, z siebie tylko wiadomego powodu, uznała, że miał na myśli właśnie ją – i wiele lat później, w klasztorze, wiedząc, że matka przełożona czyta przed wysłaniem wszystkie listy, przywróciła Koh-i-nur do życia, aby powiadomić rodzinę o swych kłopotach.

Wielebny Ipe pojechał do Madrasu i zabrał córkę z klasztoru. Cieszyła się, że porzuca życie zakonne, lecz nie chciała wrócić do poprzedniego wyznania i do końca życia pozostała katoliczką. Wielebny Ipe zdał sobie sprawę, że jego córkę „otacza atmosfera skandalu” i istnieje małe prawdopodobieństwo, aby udało jej się kiedykolwiek znaleźć męża. Uznał, że skoro Baby Koćamma nie może wyjść za mąż, nie zaszkodzi, jeżeli zdobędzie wykształcenie. Załatwił jej więc studia na uniwersytecie w Rochester w Ameryce.

Dwa lata później Baby Koćamma wróciła z Rochester jako dyplomowana ogrodniczka, jej miłość zaś do ojca Mulligana jeszcze się wzmogła. Z dawnej szczupłej, atrakcyjnej dziewczyny nie pozostało ani śladu. Będąc w Rochester, przybrała na wadze, a mówiąc wprost, zrobiła się gruba. Nawet strachliwy krawiec Ćellappen z Chungam Bridge zbuntował się i liczył jej za sari tyle co za bush-shirts.

Aby miała mniej czasu na melancholijne rozmyślenia, ojciec Baby Koćammy powierzył jej opiekę ogród przed Ayemenem House. Zamieniła ogród w niezwykle zjawisko, które ludzie przyjeżdżali oglądać aż z Kottajam.

Był to obły, pochyły kawałek ziemi, obwiedziony stromym żwirowym podjazdem. Baby Koćamma przekształciła go w bujny labirynt karłowatych żywopłotów, skał i gargulców. Jej ukochanym kwiatem była kitnia. Anthurium andraeanum. Miała ich całą kolekcję, „Rubrum”, „Honeymoon” i cały szereg odmian japońskich. Ich pojedyncze mięsiste pochwy obejmowały całą gamę kolorów, od pstroczarnego przez krwisto czerwony po śliskopomarańczowy. Ich silnie rozwinięte, kropkowane kolby były zawsze żółte. Na środku ogrodu Baby Koćammy, w otoczeniu gazonów kanny i floksów, marmurowy cherubin sikał srebrnym łukiem do płytkiej sadzawki, w której kwitł jeden niebieski lotos. W każdym rogu sadzawki stały w niedbałych pozach różowe gipsowe gnomy o rumianych licach i w czerwonych spiczastych czapkach.

Baby Koćamma spędzała w ogrodzie popołudnia. W sari i gumiakach. W jasnopomarańczowych rękawicach ogrodni czych trzymała olbrzymi sekator. Jak treser lwów poskramiała wijące się bluszcze i dokarmiała najeżone kaktusy. Ograniczała swobodę bonsai i rozpieszczała rzadkie orchidee. Na przekór klimatowi próbowała wyhodować szarotkę i chińską gujawę.

Co wieczór smarowała stopy śmietaną i wycinała naskórki paznokci.

Ostatnio, po ponad pięćdziesięciu latach niestrudzonej, pedantycznej pielęgnacji, ogród popadł w zaniechanie. Zostawiony samemu sobie, poplątał się i zdziczał, jak cyrk, w którym zwierzęta zapomniały swych sztuczek. Chwast, który ludzie nazywają komunistycznym patcha (ponieważ pleni się w Kerali jak komunizm), wyparł bardziej egzotyczne rośliny. Tylko bluszcze rosły dalej jak paznokcie u trupa. Wchodziły przez nosy do wnętrza różowych gnomów z gipsu i zakwitały w ich wydrążonych głowach. Gnomy miały takie miny, jakby były zdziwione albo zamierzały kichnąć.

Przyczyną tego nagłego i bezceremonialnego porzucenia była nowa miłość. Baby Koćamma zainstalowała na dachu Ayemenem House antenę satelitarną. Siedziała w salonie przed telewizorem i miała przed sobą cały świat. Nietrudno było zrozumieć niesamowite podniecenie, które odczuwała. Telewizja pochłonęła ją w jednej chwili. Blondynki, wojny, klęski głodu, piłka nożna, seks, muzyka, zamachy stanuwszystko to przyjechało jednym pociągiem. Wszyscy jednocześnie się rozpakowali, nocowali w tym samym hotelu.

W Ajemenem, gdzie do tej pory źródłem największego hałasu był dźwięczny klakson autobusu, teraz można było przywołać jak służbę krwawe wojny, klęski głodu, malownicze masa kry i Billa Clintona. Tak więc, podczas gdy jej ogród więdł i umierał, Baby Koćamma śledziła

rozgrywki amerykańskiej ligi NBA, mecze krykieta i wszystkie wielkoszlemowe turnieje tenisowe. W dni powszednie oglądała Modę na sukces i Santa Barbara: kruche, uszmińkowane blondynki o fryzurach sztywnych od sprayu uwodziły androidów i broniły swych seksualnych imperiów. Baby Koćamma uwielbiała ich odblaskowe ubrania i inteligentne, cięte riposty. W ciągu dnia przypominały jej się różne nie związane ze sobą odzywki i rechotała do siebie.

Koću Maria, kucharka, wciąż nosiła ciężkie złote kolczyki, które na zawsze zdeformowały jej płatki uszu. Lubiała program o zapasach, w którym Hulk Hogan i Mr Perfect, o szyjach grubszych niż głowy, mieli na sobie pstrokate legginsy z lycry i masakrowali się nawzajem brutalnie. Śmiech Koću Marii miał w sobie nutkę okrucieństwa, którą słyszy się niekiedy u dzieci.

Całymi dniami przesiadywały w salonie, Baby Koćamma na fotelu plantatorskim z wysokim oparciem albo na szezlongu (zależnie od stanu stóp), Koću Maria obok niej na podłodze (skacząc po kanałach, kiedy tylko mogła), zamknięte razem w hałaśliwym telewizyjnym milczeniu. Jedna miała włosy białe jak śnieg, druga pofarbowane na kolor węgla. Korzystały ze wszystkich reklamowanych zniżek, uczestniczyły we wszystkich konkursach i dwa razy wygrały, podkoszulek i termos, który Baby Koćamma trzymała zamknięty w kredensie.

Baby Koćamma uwielbiała Ayemenem House i meble, które odziedziczyła, przeżywszy wszystkich. Skrzypce Mammaci i stojak na nuty, szafy od Ooty'ego, plastikowe fotele w kształcie koszy, łóżka z Delhi, wiedeńską toaletkę z popękkanymi gałkami z kości słoniowej. Palisandrowy stół jadalny zrobiony przez Weluthę.

Kląski głodu z BBC i wojny telewizyjne, które napotykała, skacząc po kanałach, przerażały ją. Jej stare lęki przed rewolucją i zagrożeniem marksistowskim odrodziły się na nowo, podsycane telewizyjnymi wizjami świata, w którym wzrasta liczba zrozpaczonych i wydziedziczonych ludzi.

W czystkach etnicznych, głodzie i ludobójstwie widziała bezpośrednie zagrożenie dla swoich mebli.

Drzwi i okna zwykle były zamknięte na klucz i haczyk, chyba że z nich korzystała. Okna otwierała tylko w konkretnych celach. Aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Aby zapłacić za mleko. Aby wypuścić na dwór osę (którą kazała Koću Marii ścigać po domu z ręcznikiem).

Założyła nawet kłódkę przy swej smutnej, obłazącej z farby lodówce, w której trzymała tygodniowy zapas maślanych bułeczek kupowanych przez Koću Marię w piekarni w Kottajam.

I dwie butelki wody ryżowej, którą piła zamiast zwykłej wody. Na półce pod zamrażalnikiem trzymała pozostałości serwisu w brzózki, który otrzymała w spadku po Mammaci.

Do pojemnika na ser i masło włożyła kilkanaście buteleczek insuliny, którą kupiła jej Rahel. Wiedziała, że w tych czasach nie wolno nikomu ufać, bo nawet najbardziej niewinny z pozoru człowiek może okazać się łasy na zastawę stołową, bułeczki maślane czy importowaną insulinę.

Nawet do bliźniąt nie miała zaufania. Uważała je za Zdolne do Wszystkiego. Absolutnie Wszystkiego. Mogą nawet z powrotem ukraść mi swoją terazniejszość, pomyślała i z ukłuciem w sercu zdała sobie sprawę, że bardzo szybko zaczęła je traktować tak, jakby ponownie stały się jedną istotą. Po tych wszystkich latach. Zdecydowana nie dopuścić do tego, aby przeszłość wtargnęła w jej życie, natychmiast przeredagowała swą myśl. Ona. Ona może z powrotem ukraść mi swoją terazniejszość.

Patrzyła na Rahel stojącą przy stole kuchennym i zauważyła tę samą upiorną ukradkowość, zdolność do tkwienia w całkowitym bezruchu i milczeniu, którą opanował Estha. Milczenie Rahel trochę ją onieśmialo.

– To co, jakie masz plany? – spytała niepewnym głosem. Jak długo zostajesz? Już zdecydowałaś?

Rahel próbowała coś powiedzieć. Efekt był poszarpany jak kawałek blachy z puszki. Podeszła do okna i otworzyła je. Aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Zamknij, kiedy już się naoddychasz – powiedziała Baby Koćamma, zatraskując twarz jak szafę.

Z okna nie było już widać rzeki.

Nie było widać rzeki, odkąd Mammaci zabudowała tylną werandę pierwszymi drzwiami harmonijkowymi w Ajeme nem. Portrety olejne wielbnego E. Johna Ipe'a i Alejuty Ammaci (pradziadków Esthy i Rahel) zostały przeniesione z tylnej werandy na frontową.

Wisiały tam teraz, Mały Poblógosławiony i jego żona, po obu stronach wypchanej głowy bawołu.

Zamiast w stronę rzeki wielbny Ipe kierował swój władczy uśmiech przodka w stronę ulicy.

Wyraz twarzy Alejuty Ammaci był bardziej niepewny. Jakby chciała się odwrócić, ale nie mogła. Być może trudniej jej było zostawić rzekę. Oczami patrzyła w tym samym kierunku co mąż. Sercem patrzyła gdzie indziej. Ciężkie, matowe złote kolczyki kunukku (znamiona Dobroci Małego Poblógosławionego) naciągnęły jej płatki uszne i zwisały aż do ramion. Przez otwory

w uszach widać było gorącą rzekę i ciemne drzewa, które się nad nią pochylały. I rybaków w łodziach. I ryby. Choć nie było już z niego widać rzeki, dom przechował ją w sobie, tak jak muszla na zawsze przechowuje w sobie morze.

Przechowywał w sobie jej nurt, fale, mknące ryby.

Przez okno jadalni, przy którym stała z wiatrem we wło sach, Rahel widziała, jak deszcz bębni o porzewiały blaszany dach niegdysiejszej fabryki marynat jej babci.

Marynaty i Przetwory „Paradise”.

Fabryka stała pomiędzy domem a rzeką.

Produkowano tam pikle, napoje owocowe, dżemy, curry i ananasy w puszcze. I dżem bananowy, nielegalnie, odkąd urząd kontroli żywności zakazał jego produkcji, ponieważ zgodnie z przepisami nie był to ani dżem, ani galaretka. Za rzadki na galaretkę, za gęsty na dżem. Wątpliwa, nieklasyfikowalna konsystencja, powiedzieli.

Takie były obowiązujące normy.

Z perspektywy czasu Rahel pomyślała, że problemy z klasyfikacją, jakie miała jej rodzina, sięgały znacznie głębiej niż sprawa dżemowo-galaretkowa.

Najbardziej nieklasyfikowalni byli chyba Ammu, Estha i ona sama. Ale nie tylko oni. Także inni. Wszyscy łamali normy. Wszyscy chodzili po zakazanych terenach. Wszyscy majstrowali przy prawach, które mówią, kogo i jak należy kochać. I jak bardzo. Prawa, dzięki którym babcie są babciami, wujkowie wujkami, matki matkami, kuzyni kuzynami, dżem dżemem, a galaretka galaretką.

Był to czas, kiedy wujkowie stawali się ojcami, matki kochankami, a kuzyni umierali i urządzano im pogrzeby.

Był to czas, kiedy niewyobrażalne stawało się wyobrażalne, a niemożliwe działo się naprawdę.

Jeszcze przed pogrzebem Sophie Mol policja znalazła Weluthę. Miał szorstką skórę w miejscu po kajdankach. Zimnych kajdankach o kwaśnometalicznym zapachu. Kojarzyły się ze stalowymi poręczami w autobusie i zapachem dłoni konduktora. Kiedy było już po wszystkim, Baby Koćamma powiedziała: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”. Jakby ona sama nie miała nic wspólnego z sianem i zbieraniem. Na swych małych stópkach wróciła do haftowania ścięciem krzyżkowym. Jej małe palce u nóg nie dotykały podłogi. To ona wymyśliła, że Estha powinien zostać Oddany.

Żaloba i gorycz po śmierci córki zrodziły w Margaret Koćammie gniew i agresję. Nic nie mówiła, lecz łoła Escie skórę przy każdej okazji, zanim wróciła do Anglii.

Rahel patrzyła, jak Ammu pakuje niewielki kufer Esthy.

– Może mają rację – powiedziała Ammu szeptem. – Może chłopiec potrzebuje Baby.

Rahel zobaczyła, że oczy Ammu są czerwonomartwe. Skonsultowali się z bliźniakolożką z Hajdarabadu. Odpisała, że niewskazane jest rozdzielać bliźnięta jednojajowe, natomiast bliźnięta dwujajowe w niczym się nie różnią od normalnego rodzeństwa i chociaż z pewnością nie ominie ich stres, który dotyka wszystkie dzieci z rozbitych rodzin, do tego się to ograniczy. Żadnych nadzwyczajnych cierpień. Estha został więc Oddany. Wsadzony do pociągu z blaszanym kufrem i w beżowych butach w szpic. Jechał w pierwszej klasie nocnym pociągiem pocztowym do Madrasu, a potem ze znajomym ojca z Madrasu do Kalkuty.

Miał kanapki z pomidorem w pojemniku podróżnym, termos z orłem i przerażające obrazy w głowie.

Deszcz. Pędząca, atramentowa woda. I zapach. Mdlącośłodki. Jak przekwitłe róże na wietrze.

Najgorsze jednak, że niósł w sobie wspomnienie młodego mężczyzny z ustami starca. Wspomnienie napuchniętej twarzy i przetrąconego, obróconego o 180 stopni uśmiechu. Po zwiększającej się kałuży przezroczystej ciecicy z odbiciem nagiej żarówki. Przekrwionego oka. które otworzyło się, pomyszkowało i utkwilo w nim spojrzenie. W Escie. A co zrobił Estha? Spojrzał w tę ukochaną twarz i powiedział: Tak. Tak, to był on.

Słowo, do którego nie mogła dotrzeć ośmiornica Esthy:

Tak. Odkurzanie jakoś nie pomagało. Słowo to zakleszczyło się głęboko w jakiejś fałdzie czy bruździe, jak włókna owocu mango między zębami trzonowymi. Smutek nie był w stanie go stamtąd wypędzić.

W sensie praktycznym nie byłoby chyba błędem powiedzieć, że wszystko zaczęło się od przyjazdu Sophie Mol do Ajemenem. Może to prawda, że wszystko może się zmienić w ciągu jednego dnia. Że parędziesiąt godzin może wpłynąć na bieg całego życia. A kiedy tak się stanie, te parędziesiąt godzin, jak ocalałe resztki spalonego domu – zwęglony zegar, osmalona fotografia, przysmalone meble – trzeba wyjąć spośród zgliszczy i obejrzeć. Zachować. Wytłumaczyć.

Małe zdarzenia, zwyczajne rzeczy, stłuczone i na powrót sklezione. Nasycone nowym znaczeniem. Nagle stają się zbiegającym się końcem opowieści.

A jednak teza, że wszystko się zaczęło od przyjazdu Sophie Mol do Ajemenem, jest tylko jedną z możliwości.

Równie dobrze można by utrzymywać, że naprawdę wszystko zaczęło się tysiące lat temu. Na długo przed przybyciem marksistów. Przed zajęciem Malabaru przez Brytyjczyków, przed Holendrami, przed Vasco da Gama, przed podbojem Kalikatu przez Zamorina. Przed wyłowieniem z morza trzech syryjskich biskupów purpuratów zamordowanych przez Portugalczyków, oplecionych przez węże i z ostrygami w brodach. Można by utrzymywać, że wszystko zaczęło się znacznie wcześniej, niż chrześcijaństwo przyplęło żaglowcami i Kerała naciągnęła nim jak woda herbatą z torebki.

Że naprawdę wszystko zaczęło się w dniach, kiedy stanowiono Prawa Miłości. Prawa, które mówiły, kogo i jak należy kochać.

I jak bardzo.

2. Ćma Pappaciego

Wszakże, z przyczyn praktycznych, w beznadziejnie praktycznym świecie...

...był błękitny grudniowy dzień w sześćdziesiątym dziewiątym roku (oczywiście tysiąc dziewięćset). Był to ten okres w życiu rodziny, kiedy jej ukryta moralność, tracona przez jakąś nieznaną siłę, wypływa na powierzchnię i pozostaje tam przez jakiś czas. Na oczach wszystkich. Każdy może ją zobaczyć.

Błękitny plymouth, ze słońcem na chromowanych statecznikach, pomknął obok pól młodego ryżu i starych drzew kauczukowych drogą do Koczinu. Dalej na wschód, na niewielki obszar o zbliżonym krajobrazie (dżungle, rzeki, pola ryżowe, komuniści) zrzucano wystarczającą liczbę bomb, aby go pokryć kilkunastocentymetrową warstwą stali. Tutaj jednak panował pokój i rodzina w plymoucie podróżowała bez lęków i złych przeczuc. Plymouth należał niegdyś do Pappaciego, dziadka Rahel i Esthy. Teraz, po jego śmierci, był własnością Mammaci, ich babki. Rahel i Estha jechali do Koczinu, aby po raz trzeci obejrzeć film Dźwięki muzyki. Znali na pamięć wszystkie piosenki.

Po kinie mieli się zatrzymać w hotelu Sea Queen, gdzie unosił się zapach starego jedzenia. Zalałowili rezerwację. Następnego dnia wcześniej rano mieli pojechać na lotnisko w Koczinie, aby odebrać byłą żonę Chacka – ich angielską ciotkę, Margaret Koćamkę – i kuzynkę Sophie Mol. Przyjeżdżały z Londynu, aby spędzić święta w Ajemenem. W tym samym roku drugi mąż Margaret Koćammy, Joe, zginął w wypadku samochodowym. Kiedy Chacko dowiedział się o tej tragedii, zaprosił ją wraz z córką do Ajemenem. Nie mógł znieść myśli o tym, że miałyby spędzić w Anglii samotne, smutne święta. W domu pełnym wspomnień.

Ammu powiedziała, że Chacko nigdy nie przestał kochać Margaret Koćammy. Mammaci nie zgodziła się z nią. Jej zdaniem on jej nigdy nie kochał.

Rahel i Estha nie znali Sophie Mol osobiście. Dużo jednak o niej słyszeli przez ubiegły tydzień. Od Baby Koćammy, od Koću Marii, a nawet od Mammaci. One również miały ją pierwszy raz zobaczyć na oczy, ale zachowywały się tak, jakby ją dobrze znały. Tydzień upłynął pod hasłem: Co pomyśli sobie Sophie Mol?

Przez cały tydzień Baby Koćamma niestrudzenie podsłuchiwała prywatne rozmowy bliźniąt i za każdym razem, gdy usłyszała, że mówią w malajalam, karała ich niewielką grzywną, którą

potrącała im z kieszonkowego. Kazała napisać każdemu po sto razy: „Zawsze będę mówił(a) po angielsku”. Kiedy skończyli, parafowała kartki czerwonym długopisem, aby nie mogły zostać ponownie wykorzystane.

Przez całą drogę powrotną kazała im ćwiczyć angielską piosenkę samochodową. Mieli zwracać szczególną uwagę na poprawną wymowę.

Ra-duj-cie się (nie sie) w Panu Radujcie się, powiadam, I jeszcze (nie jesze) raz radujcie się w Panu.

Pełne imię Esthy brzmiało Esthappen Jako. Rahel była po prostu Rahel. Chwilowo nie mieli nazwiska, ponieważ Ammu rozważała powrót do nazwiska panińskiego, choć pomyślała, że kobieta nie ma zbyt wielkiego wyboru, gdyż musi zdecydować się albo na nazwisko męża, albo ojca.

Estha miał na sobie beżowe buty w szpic i kurtkę z Elvisem. Swoją Specjalną Kurtkę Na Wyjazdy. Jego ulubioną piosenką Elvisa było Party. Some people like to rock some people like to roll, śpiewał, kiedy nikt go nie słyszał, przygrywając sobie na paletce do badmintona i wywijając usta jak Elvis. But mooning' an' a-grooin' gonna satisfy mah soul, less have a party...

Estha miał skośne, zaspane oczy, a jego nowe przednie zęby wciąż były nierównej długości. Nowe zęby Rahel czekały w dziąsłach jak słowa w piórze. Nikt nie mógł zrozumieć, jakim sposobem osiemnastominutowa różnica wieku spowodowała takie rozbieżności w czasie ząbkowania. Większość włosów Rahel piętrzyła się na jej głowie jak fontanna. Spinała je za pomocą „Love-in-Tokyo” – dwóch kuleczek na gumce, które nie miały nic wspólnego ani z miłością, ani z Tokio. W Kerali „Love-in-Tokyo” wytrzymały próbę czasu i jeszcze dziś można je dostać w każdej szanującej się pasmanterii. Dwie kuleczki na gumce.

Na zabawkowym zegarku Rahel czas był namalowany. Za dziesięć druga. Jedną z jej ambicji było posiadanie zegarka, na którym mogłaby dowolnie nastawiać czas (zdaniem Rahel właśnie do tego służył Czas, żeby go nastawiać). Zza jej czerwonych okularów przeciwsłonecznych w złotych oprawkach świat był czerwony. Ammu powiedziała, że źle działają na oczy, i poradziła, aby je jak najrzadziej zakładała. Jej Lotniskowa Sukienka czekała w walizce Ammu. Wraz z „twarzowymi” majtkami.

Prowadził Chacko. Był cztery lata starszy od Ammu. Rahel i Estha nie mogli do niego mówić „Ćaćen”, ponieważ on nazywał ich wtedy Ćetan i „Ćeduthi”. Jeżeli mówili do niego „Ammawen”, on nazywał ich „Appoi” i „Ammej”. Jeżeli mówili do niego „wujku”, on mówił do

nich „ciociu”, co przy ludziach było krępujące. Więc mówili do niego „Chacko”. W pokoju Chacka książki ciągnęły się od podłogi do sufitu. Miał je wszystkie przeczytane i cytował długie fragmenty bez żadnego powodu. A przynajmniej bez powodu widocznego dla innych. Na przykład tego ranka, gdy przejeżdżali przez bramę, żegnając się z Mammaci, która stała na werandzie, Chacko nagle powiedział: „Gatsby był w porządku, jak się w końcu okazało: to, co czyhało na niego, co płynęło w ślad za jego marzeniem, jak mętna piana za okrętem, tylko to zgasiło we mnie na jakiś czas zainteresowanie dla próżnych żalów ludzkich i krótkoskrzydłych uniesień”.

Byli do tego tak przyzwyczajeni, że nie trącili się nawet łokciami ani nie wymienili spojrzeń. Chacko studiował w Oksfordzie, toteż miał prawo do wyskoków i ekscentryzmów, które innym były zabronione.

Twierdził, że pisze kronikę rodzinną, za której nieopublikowanie rodzina będzie musiała mu zapłacić. Ammu odparła, że w rodzinie jest tylko jedna osoba, która miałaby powody dać się w ten sposób zaszantażować, a mianowicie sam Chacko.

Oczywiście to było wtedy. Przed Trwogą.

Ammu siedziała w plymousie na przednim siedzeniu, obok Chacka. Miała wtedy dwadzieścia siedem lat i na dnie żołądka nosiła lodowatą świadomość, że dla niej życie już się skończyło. Dano jej szansę. Popelniła błąd. Wyszła za niewłaściwego człowieka.

Ammu zakończyła edukację w tym samym roku, w którym jej ojciec zrezygnował z pracy w Delhi i przeniósł się do Ajemenem. Pappaci uważał, że studia uniwersyteckie dla dziewczyny to tylko niepotrzebny wydatek, więc Ammu, chcąc nie chcąc, musiała opuścić Delhi i pojechać z nimi. Młoda dziewczyna nie miała w Ajemenem wiele do roboty prócz pomagania matce w prowadzeniu domu i oczekiwania na oferty małżeńskie. Ponieważ jej ojca nie stać było na przyzwoity posag, żadnych ofert nie składano. Minęły dwa lata. Jej osiemnaste urodziny przeszły nie zauważone przez rodziców. Ammu wpadała w coraz większą rozpacz. Całymi dniami marzyła o wyrwaniu się z Ajemenem i spod kurateli swego porywczego ojca i zgorzkniałej, zrezygnowanej matki. Obmyślała rozmaite plany. W końcu udało jej się zrealizować jeden z nich. Pappaci zgodził się, aby spędziła lato u dalekiej krewnej, która mieszkała w Kalkucie.

Tam, na czymś weselu, Ammu poznała swego przyszłego męża.

Przyjechał na urlop z Asamu, gdzie pracował jako pomocnik zarządcy na plantacji herbaty. Pochodził z rodziny niegdyś bogatych zamindarów, którzy po podziale kraju wyemigrowali do

Kalkuty z Bengalu Wschodniego.

Był niewysoki, lecz silnie zbudowany. O miłej aparycji.

Nosił staroświeckie okulary, w których wyglądał bardzo poważnie, co kłóciło się z jego niewymuszonym urokiem i sztubackim, lecz absolutnie rozbajającym poczuciem humoru.

Choć miał dopiero dwadzieścia pięć lat, od sześciu lat pracował na plantacjach herbaty. Nie poszedł na studia, co tłumaczyło jego sztubacką wesołość. Oświadczył się Ammu pięć dni po jej poznaniu. Ammu nie udawała, że jest w nim zakochana. Rozważyła wszystkie za i przeciw i przyjęła oświadczyzny. Pomyślała, że każdy mężczyzna jest lepszy od powrotu do Ajemenem. Wysłała rodzicom list, w którym powiadomiła ich o swej decyzji. Nie odpisali.

Ammu miała huczne wesele, zgodne z kalkucką tradycją.

Kiedy później rozmyślała o tym dniu, zdała sobie sprawę, że trochę gorączkowy blask w oczach panny młodej nie brał się z miłości, ani nawet podniecenia perspektywą cielesnych rozkoszy, lecz wypitych ośmiu szklaneczek whisky. Czystej. Bez sody.

Teść Ammu był prezesem zarządu kolei i kiedyś boksował w Cambridge. Był też sekretarzem Bengalskiego Stowarzyszenia Bokserów Amatorów. Podarował parze młodej fiata, którego kazał pomalować na kolor różowego pudru. Po weselu sam odjechał prezentem ślubnym, wraz z całą biżuterią i większością innych prezentów. Zmarł przed przyjściem bliźniąt na świat – na stole operacyjnym, podczas usuwania woreczka żółciowego. W uroczystości kremacji brali udział wszyscy bokserzy z Bengalu. Kondukt żałobników z kanciastymi szczękami i złamanymi nosami.

Kiedy Ammu i jej mąż wyjechali do Asamu, piękna, młoda i butna małżonka stała się ulubienicą Klubu Plantatorów. Wkładała do sari bluzki bez pleców i nosiła wyszywaną srebrną torebkę na łańcuszku. Paliła długie papierosy w srebrnej lufce i nauczyła się wydmuchiwać idealne kółka. Już wcześniej wiedziała, że jej mąż lubi wypić, lecz teraz okazało się, że jest alkoholikiem, z całą pokrętnością i tragicznym urokiem tego gatunku ludzi. Wielu rzeczy nigdy u niego nie rozumiała. Wiele lat po odejściu od niego wciąż się zastanawiała, dlaczego tak bezczelnie kłamał, nawet kiedy było to zupełnie niepotrzebne. Zwłaszcza kiedy było to zupełnie niepotrzebne. W rozmowach ze znajomymi opowiadał, że przepada za wędzonym łososiem, chociaż Ammu wiedziała, że nie cierpi wędzonego łososia. Albo wracał z klubu do domu i mówił Ammu, że oglądał Spotkajmy się w St. Louis, choć tak naprawdę wyświetlali The Bronze Buckaroo. Kiedy go później pytała, dlaczego skłamał, nigdy się nie tłumaczył, nigdy nie

przepraszał. Rechotał tylko pod nosem, doprowadzając Ammu do wściekłości, o jaką się wcześniej nie posądzała.

Ammu była w ósmym miesiącu ciąży, kiedy wybuchła wojna z Chinami. Był październik 1962 roku. Z Asamu ewakuowano żony i dzieci plantatorów. Ammu, nie mogąc w tym stanie podróżować, pozostała na plantacji. W listopadzie, po nieprzyjemnej i męczącej jeździe autobusem do Shillong, pośród pogłosek o chińskiej okupacji i nadciągającej klęsce In dii, urodzili się Estha i Rahel. Przy świetle świecy. W szpitalu z pozasłanianymi oknami. Wyszli z brzucha matki bez większych ceregieli, w odstępie osiemnastu minut. Dwa małe maleństwa zamiast jednego większego. Bliźniacze foczki, śliskie od soków matki. Pomarszczone od wysiłku narodzin.

Ammu sprawdziła, czy mają wszystko na swoim miejscu, po czym zamknęła oczy i zasnęła. Naliczyła czworo oczu, czworo uszu, dwie pary ust, dwa nosy, dwadzieścia palców rąk i dwadzieścia ślicznych paznokietków u palców stóp.

Nie zauważyła, że mają jedną syjamską duszę. Była szczęśliwa, że je urodziła. Ich ojciec leżał na twardej ławce w szpitalnym korytarzu i był pijany.

Kiedy bliźnięta miały dwa lata, pijaństwo ich ojca, spotęgowane przez samotność życia na plantacji, wpędziło go w stan permanentnego ośpienia. Zdarzało się, że całymi dniami leżał w łóżku i nie szedł do pracy. Angielski zarządca plantacji, pan Hollick, wezwał go w końcu do swego domu na „poważną rozmowę”.

Ammu siedziała na werandzie i z niepokojem czekała na powrót męża. Była pewna, że pan Hollick wezwał go w określonym celu: żeby go zwolnić. Zdziwiła się, kiedy wrócił przygnębiony, lecz nie zdruzgotany. Pan Hollick wystąpił z propozycją, którą musi z nią omówić. Zaczął trochę zawstydzony, unikając jej spojrzenia, lecz stopniowo nabierał pewności siebie. Z praktycznego punktu widzenia jest to propozycja, która na dłuższą metę przyniesie korzyść im obojgu, powiedział. A nawet czworgu, jeżeli wziąć pod uwagę edukację dzieci.

Pan Hollick był szczery ze swym młodym zastępcą. Poinformował go o skargach, z jakimi zgłaszali się do niego robotnicy, jak również inni zastępcy zarządcy.

– Obawiam się, że nie mam wyboru – rzekł – i muszę pana poprosić o złożenie rezygnacji.

Zaczekał, aż jego słowa odniosą swój efekt, aż żaloszny mężczyzna po drugiej stronie stołu zacznie drżeć, potem płakać. – Może jednak znajdziemy jakieś rozwiązanie... – powiedział po

chwili. – Może uda się coś wymyślić. Trzeba myśleć konstruktywnie, zawsze to powtarzam. Docenić to, co się ma. – Pan Hollick przerwał, aby zamówić dzbanek czarnej kawy. – Ma pan wielkie szczęście, wspinała rodzina, piękne dzieci, bardzo atrakcyjna żona... – Zapalił papierosa i nie zgasił zapałki, dopóki nie zaczęła parzyć go w palce. – Szalenie atrakcyjna żona...

Płacz ustał. Zaskoczone brązowe oczy spojrzały w pożyłkowane oczy koloru jasnozielonego. Przy kawie pan Hollick zaproponował, aby Baba na jakiś czas wyjechał. Na urlop. Może do kliniki, na leczenie. Dopóki nie wyzdrowieje.

W czasie, kiedy go nie będzie, zasugerował pan Hollick, Ammu zamieszkałaby w jego bungalowie, aby „miał się kto nią opiekować”.

Na plantacji było już trochę małych oberwańców o jasnej karnacji, sprezentowanych przez pana Hollicka robotnikom, które mu się podobały. Był to jednak jego pierwszy wypad w sfery kierownicze.

Ammu obserwowała ruchy ust swego męża. Nie odzywała się. Jej milczenie najpierw go zażenowało, potem rozwścieczyło. Nagle rzucił się na nią, złapał za włosy, uderzył pięścią w twarz i zemdlął z wysiłku. Ammu zdjęła z półki najcięższą książkę, jaką mogła znaleźć – atlas świata – i zaczęła walić go z całej siły. Po głowie. Po nogach. Po plecach i ramionach. Kiedy odzyskał przytomność, zdziwił się, że jest taki posiniaczony. Przeprosił żonę za to, że ją uderzył, lecz natychmiast zaczął molestować, żeby mu pomogła w uzyskaniu przeniesienia. Dalsze życie przebiegało według tego samego schematu: po pijackich rękoczynach następowało popijackie zdręczenie. Ammu czuła wstręt do szpitalnego zapachu zatęchłego alkoholu, który sączył mu się przez skórę, i do suchych, zaskorupiałych wymiocin, którymi miał co rano obrosnięte usta. Kiedy ofiarami rękoczynów stały się też dzieci i wybuchła wojna z Pakistanem, Ammu zostawiła męża i wróciła nie proszona do Ajemenem. Do rodziców. Do wszystkiego, od czego zaledwie kilka lat wcześniej uciekła. Tyle że teraz miała dwójkę małych dzieci. I żadnych złudzeń. Pappaci nie chciał uwierzyć w jej historię – nie dlatego, że miał dobre mniemanie o jej mężu: po prostu nie mógł uwierzyć, że Anglik, jakkolwiek Anglik, mógłby pożądać żony innego mężczyzny.

Ammu kochała swoje dzieci (jakżeby inaczej), lecz ich naiwna bezradność, ich skłonność do kochania ludzi, którzy tak naprawdę nie odwzajemniali tego uczucia, denerwowała ją i czasami miała ochotę zadać im ból – w celach wychowawczych, ochronnych.

Było tak, jakby okno, za którym zniknął ich ojciec, trzymały zawsze otwarte, aby mógł przez

nie wejść każdy przechodzień.

Bliźnięta kojarzyły się Ammu z parą zdeorientowanych żabek po uszy zatopionych we własnym towarzystwie, człapiących ramię w ramię ruchliwą szosą. Zupełnie nieświadomych, co może zrobić z żaby ciężarówka. Ammu nie spuszcza ła z nich oka, cały czas napięta do granic. Była skora do strofowania dzieci, ale jeszcze skorsza do obrażania się za nie. Wiedziała, że ona sama nie otrzyma już następnej szansy. Pozostało jej tylko Ajemenem. Weranda z przodu i weranda z tyłu. Gorąca rzeka i fabryka marynat.

A w tle: nieprzerwany, piskliwy, jazgoczący gwar lokalnej dezaprobaty.

W ciągu pierwszych kilku miesięcy od powrotu do domu rodziców Ammu nauczyła się rozpoznawać obłudę we współczuciu, którym ją obdarzano. Starsze krewne z włosami na brodzie i kilkoma galaretowatymi podbródkami przyjeżdżały na krótko do Ajemenem, aby złożyć jej porozwodowe kon dolencje. Ścisnęły ją za kolano i napawały się jej widokiem. Walczyła z chęcią dania im w twarz. Albo powykręcania im sutek. Kluczem francuskim. Jak Chaplin w Dzisiejszych czasach.

Oglądając się na ślubnych fotografiach, Ammu miała wrażenie, jakby kobieta, na którą patrzyła, była kimś innym. Naiwna, obwieszona klejnotami panna młoda. Jedwabne sari koloru zachodu słońca przetykane złotem. Pierścień na każdym palcu. Białe kropki pasty z drzewa sandałowego nad sklepienymi łukowato brwiami. Usta Ammu wykrzywił gorzki uśmiezek na to wspomnienie – nie samego ślubu, lecz faktu, że pozwoliła się tak bogato udekorować, zanim zaprowadzono ją na szubienicę. Wydawało się to takie absurdalne. Takie niepotrzebne.

Jak polerowanie drewna na opał.

Pojechała do miejscowego złotnika i kazała przetopić ciężką obrączkę ślubną na cieniutką bransoletkę z głowami węży, którą odłożyła dla Rahel.

Ammu wiedziała, że zaślubiny nie są czymś, czego można po prostu uniknąć. W każdym razie praktycznie biorąc. Przez resztę życia była jednak zwolenniczką skromnych wesel w zwyczajnym ubraniu. Stają się dzięki temu mniej upiorne, myślała.

Od czasu do czasu, kiedy Ammu słuchała w radiu swych ukochanych piosenek, coś się jej w środku ruszało. Płynny ból rozlewał się jej pod skórą i ulatywała jak czarownica do lepszego, szczęśliwszego świata. W takie dni było w niej coś niespokojnego i nieujarzmionego. Jakby tymczasowo zawiesiła kodeks moralny macierzyństwa i rozwodnictwa. Nawet chodziła inaczej: stateczny krok matki przeradzał się w coś bardziej dzikiego. Wpinała kwiaty we włosy,

a w oczach nosiła magiczne sekrety. Do nikogo się nie odzywała. Spędzała całe godziny nad rzeką ze swym plastikowym radyjkiem w kształcie mandarynki. Paliła papierosy i pływała o północy. Skąd się wzięły w Ammu te niebezpieczne ciągoty? Ta aura nieprzewidywalności? Z połączenia niedobrych cech, które się w niej kotłowały: bezgranicznej czułości macierzyństwa i straceńczej furii kamikadze. Ten wybuchowy melanz gęstniał w niej i w końcu przywiódł ją do tego, że kochała nocą człowieka, którego jej dzieci kochały za dnia. Korzystała nocą z łódki, z której jej dzieci korzystały za dnia. Łódki, na której siedział Estha, a którą znalazła Rahel.

W dni, kiedy w radiu szły piosenki Ammu, wszyscy starali się nie wchodzić jej w drogę. Wyczuwali, że żyje w półcieniach pomiędzy dwoma światami, tuż poza zasięgiem ich oddziaływania. Że kobieta, którą skazali już na potępienie, ma niewiele do stracenia, toteż może być niebezpieczna. A zatem w dni, kiedy w radiu szły piosenki Ammu, ludzie unikali jej, obchodzili łukiem, ponieważ wszyscy byli zgodni, że najlepiej jest zostawić ją wtedy w spokoju.

W inne dni miała głębokie dołeczki na policzkach, kiedy się uśmiechała.

Miała delikatną twarz o drobnych, wyczelowanych rysach, czarne brwi w kształcie skrzydeł szybującej wysoko mewy, mały, prosty nos i pałającą orzechowobrazową skórę. Tego błękitnego grudniowego dnia w samochodzie pędzące powietrze wyrывało z jej rozwichrzonych włosów małe kosmyki. Miała na sobie bluzkę do sari bez rękawów, jej ramiona lśniły jak nawoskowane. Czasami była najpiękniejszą kobietą, jaką Estha i Rahel w życiu widzieli. A czasami nie była.

Na tylnym siedzeniu plymoutha, między Esthą i Rahel, siedziała Baby Koćamma. Była zakonnica i etatowa stryjeczna babcia. Ludzie, którym się w życiu nie wiedzie, czasem nie lubią swych współtowarzyszy w nieszczęściu: na tej właśnie zasadzie Baby Koćamma nie lubiła bliźniąt, ponieważ uważała je za półosierocone, bezpańskie stworzenia, które czeka marny koniec. Co gorsza, były półhinduskimi hybrydami, które nie miały żadnych szans na poślubienie szanujących się syryjskich chrześcijan. Bardzo chciała im uświadomić, że (podobnie jak ona) mieszkają z cudzej łaski w Ayemenem House, domu ich babki ze strony matki, w którym mieszkać nie mają prawa. Baby Koćamma miała negatywny stosunek do Ammu, ponieważ widziała w niej kobietę wadzącą się z losem, który ona, Baby Koćamma, z wdzięcznością zaakceptowała. Losem nieszczęśliwej kobiety bez mężczyzny. Smutnej Baby Koćammy bez ojca Mulligana.

Z upływem lat udało jej się przekonać siebie samą, że fakt nieskonsumowania jej miłości do

ojca Mulligana wynikał wyłącznie z powściągliwości i niezłomnej woli przestrzegania zasad.

W zupełności zgadzała się z utartym poglądem, że dla zameżnej córki nie ma miejsca w domu jej rodziców. Już prywatnie uważała, że dla córki rozwiedzionej nigdzie nie ma miejsca. Co się tyczy córki rozwiedzionej, która wyszła za mąż z miłości – słowa nie potrafiłyby oddać bezmiaru jej zgorzienia. Temat rozwiedzionej córki, która z miłości wyszła za człowieka z innej społeczności, budził w Baby Koćammie tak gwałtowne emocje, że wołała go w ogóle nie poruszać. Bliźnięta były zbyt młode, aby to wszystko zrozumieć, więc Baby Koćamma z zawiścią patrzyła na chwile ich małego szczęścia, kiedy schwytna przez nie ważka podniosła z ich dłoni mały kamyczek albo kiedy dostały pozwolenie na wykąpanie świń, albo kiedy znalazły jajko – jeszcze ciepłe od kury. Przede wszystkim jednak z zawiścią patrzyła, jaką są dla siebie nawzajem pociechą. Wypatrywała wszelkich oznak, że w głębi duszy są nieszczęśliwe.

W drodze powrotnej z lotniska Margaret Koćamma miała siedzieć z przodu z Chackiem, ponieważ była kiedyś jego żoną. Sophie Mol miała siedzieć między nimi. Ammu miała przesiąść się do tyłu.

Miały być dwie butelki z wodą. Gotowaną dla Margaret Koćammy i Sophie Mol, kranową dla wszystkich pozostałych. Bagaż miał być w bagażniku.

Rahel bardzo podobało się słowo „bagażnik”. Znacznie bardziej niż słowo „krzepki”. „Krzepki” było okropnym słowem. Jak imię karła. „Krzepki Kości Ummen” – przyjazny, mieszczański, bogobojny karzeł o krótkich łydkach i z przedziałkiem z boku.

Na bagażniku dachowym plymoutha stał czterostronny billboard ze sklejki, na którym stylizowanymi literami napisane było „Marynaty i Przetwory ~~Paradise~~”. Pod napisem widniały namalowane słoiki dżemu wieloowocowego i marynowanych limon w oleju, z etykietkami, na których stylizowanymi literami napisane było „Marynaty i Przetwory ~~Paradise~~”. Obok słoików znajdowała się lista wszystkich produktów „Paradise” i tancerz kathakali z zieloną twarzą i wirującą spódniczką. Wzdłuż esowatego spodu spódniczki napisane było, esowato, „Władcy królestwa smaku” – z hasłem tym zgłosił się, nie proszony, towarzysz K.N.M. Pillej. Było to dosłowne tłumaczenie zwrotu Ruchi lokathinde Rajawu, który brzmiał trochę mniej idiotycznie niż „Władcy królestwa smaku”. Ale ponieważ towarzysz Pillej już je wydrukował, nikt nie miał serca poprosić go o zmianę hasła. Władcy królestwa smaku wpisali się więc niestety na stałe w etykietki produktów „Paradise”.

Ammu powiedziała, że tancerz kathakadi na słoiku z dżemem to nieuczciwy chwyt, bo co ma

jedno z drugim wspólnego? Chacko odparł, że nadaje on produktom „Paradise” regionalnego charakteru i znakomicie spełni swoją marketingową rolę, kiedy firma wejdzie na rynki zagraniczne.

Ammu powiedziała, że billboard ich ośmiesza. Wyglądają z nim jak wędrowni cyrki. Z chromowanymi statecznikami. Mammaci zaczęła wyrabiać marynaty na sprzedaż, gdy Pappaci odszedł na emeryturę ze służby państwowej w Delhi i przyjechał do Ajemenem. Stowarzyszenie Biblijne w Kottajam urządzało jarmark i poprosiło Mammaci, aby przyrządziła trochę swojego słynnego dżemu bananowego i pysznej marynaty z owoców mango. Jedno i drugie szybko się sprzedało i Mammaci stwierdziła, że nie jest w stanie nadążyć z realizacją zamówień. Zachwycona swym sukcesem, posta nowiła pójść za ciosem i wkrótce miała zajęcie na cały rok. Tymczasem Pappaci nie umiał sobie poradzić z tym, że został emerytem. Był siedemnaście lat starszy od Mammaci i z przerażeniem zdał sobie sprawę, że jest już starcem, podczas gdy jego żona nadal jest w kwiecie wieku.

Choć Mammaci miała zdeformowane rogowki i była prawie ślepa, Pappaci nie pomagał jej w robieniu marynat, ponieważ nie uważał tego zajęcia za stosowne dla byłego wysokiego urzędnika państwowego. Zawsze był człowiekiem zawistnym, więc teraz nie było mu miło, że jego żona skupia na sobie tyle uwagi. Łaził po obejściu w swych nieskazitelnie skrojonych garniturach, krążył posępnie wokół czerwonych chilli i świeżo okrytej puchem żółtej kurkumy i patrzył, jak Mammaci nadzoruje kupowanie, ważenie, solenie i suszenie limon i mango. Każdego wieczoru prał ją mosiężnym flakonem. Nie było w tym nic nowego, tyle że działo się to teraz częściej. Pewnego wieczoru Pappaci złamał smyczek od skrzypiec Mammaci i wrzucił do rzeki.

Potem, pewnego lata, na wakacje z Oksfordu przyjechał do domu Chacko. Wyrósł na wysokiego mężczyznę i nabrał tężyzny, ponieważ wiosłował dla Balliol College. Tydzień po przyjeździe zobaczył Pappaciego w gabinecie bijącego Mammaci. Przyskoczył do niego, chwycił za rękę z flakonem i wykręcił do tyłu.

– Żeby mi się to już nigdy więcej nie powtórzyło! – powiedział do swego ojca. – Nigdy!

Przez resztę dnia Pappaci siedział na werandzie i wpatrywał się kamiennym wzrokiem w ogródek kwiatowy, nie zwracając uwagi na talerze z jedzeniem, które przynosiła mu Koću Maria. Późnym wieczorem poszedł do swojego gabinetu, chwycił swój ulubiony mahoniowy fotel na biegunach, wyniósł go na podjazd i rozwalił na kawałki kluczem, jakiego używają

hydrauliccy. Z fotela została sterta lakierowanej wikliny i porozłupywanego drewna. Już nigdy nie dotknął Mammaci. Ale też do końca życia ani razu się do niej nie odezwał. Kiedy czegoś od niej potrzebował, korzystał z pośrednictwa Koću Marii lub Baby Koćammy.

W wieczory, kiedy spodziewano się gości, siedział na werandzie i przyszywał do koszul własnoręcznie oderwane guziki, aby stworzyć wrażenie, że Mammaci nie dba o niego.

W pewnym stopniu udało mu się jeszcze pogłębić negatywny stosunek mieszkańców Ajemenem do pracujących żon. Błękitnego plymoutha kupił od starego Anglika w Munnar. Był to w Ajemenem znajomy widok: Pappaci powoli sunący wąską drogą w swym szerokim samochodzie, z wierzchu elegancki, lecz cały spocony pod wełnianym garniturem. Ani Mammaci, ani nikomu z rodziny nie pozwalał korzystać z samochodu czy nawet wsiąść do niego. Plymouth był zemstą Pappaciego.

Pappaci był niegdyś imperialnym entomologiem w Instytucie Pusa. Po uzyskaniu przez Indie niepodległości i wyjeździe Brytyjczyków jego tytuł uległ zmianie: był teraz wicedyrektorem działu entomologii. W roku przejścia na emeryturę osiągnął rangę równą dyrektorowi.

Jego największą życiową porażką było to, że odkryta przez niego ćma nie została nazwana od jego nazwiska.

Wpadła mu do szklanki, kiedy siedział pewnego wieczoru na werandzie domku wypoczynkowego po całym dniu pracy w terenie. Kiedy ją wyjął, zauważył nieprzeciętnie gęste kosmki grzbietowe. Z rosnącym podnieceniem nabił ją na szpilkę, zmierzył i następnego ranka umieścił na kilka godzin w słońcu, aby wyparował alkohol. Potem wsiadł w pierwszy pociąg do Delhi. Do taksonomicznego rozgłosu, a może nawet sławy. Po sześciu nieznośnych miesiącach oczekiwania, ku głębokiemu rozczarowaniu Pappaciego, poinformowano go, że jego ćma została wreszcie rozpoznana jako trochę nietypowa odmiana znanego gatunku należącego do tropikalnej rodziny Lymantriidae.

Prawdziwy cios przyszedł dwanaście lat później, kiedy na skutek radykalnych przetasowań taksonomicznych lepidopteryści uznali, że ćma Pappaciego w istocie stanowi odrębny gatunek z rodzaju dotąd nie znanego nauce. Pappaci siedział już wtedy w Ajemenem, na emeryturze. Było za późno na ubieganie się o prawa do odkrycia. Jego ćmę nazwano od nazwiska tymczasowego dyrektora działu entomologii, młodego urzędnika, którego Pappaci nigdy nie darzył sympatią. Chociaż człowiekiem gwałtownym i zgryźliwym był już na długo przed niedoszłym odkryciem, odpowiedzialność za jego ponure nastroje i nagłe wybuchy agresji spadła na ćmę Pappaciego. Jej

złośliwy upiór – szary, włochaty, z nieprzeciętnie gęstymi kosmkami grzbietowymi – straszyl w każdym domu, w którym mieszkał Pappaci. Dręczył nie tylko jego samego, ale także jego dzieci i wnuki.

Aż do śmierci, nawet w obezwładniającym keralskim upale, Pappaci każdego dnia nosił porządnie odprasowany trzyczęściowy garnitur i złoty zegarek na łańcuszku. Na toalecie, obok wody kolońskiej i srebrnej szczotki do włosów, trzymał swoje zdjęcie z czasów młodości, z upomadowanymi włosami, zrobione w studio fotograficznym w Wiedniu, gdzie odbywał sześciomiesięczny kurs dyplomowy wymagany przed objęciem stanowiska imperialnego entomologa. Podczas tego krótkiego pobytu w Wiedniu Mammaci wzięła pierwsze lekcje gry na skrzypcach. Lekcje zostały nagle przerwane, kiedy nauczyciel Mammaci, Launsky-Tieffenthal, popełnił błąd i powiedział Pappaciemu, że jego żona jest wyjątkowo uzdolniona i jego zdaniem stanowi materiał na muzyka koncertowego.

Mammaci wkleiła do rodzinnego albumu wycinek z „Indian Express” z informacją o śmierci Pappaciego. Tekst brzmiał następująco:

Wybitny entomolog, Śri Benaan John Ipe, syn świętej pamięci wielebnego E. Johna Ipe’a z Ajemenem (popularnie zwanego Punnjan Kuńdżuj, zmarł zeszłej nocy w szpitalu w Kottajam po ciężkim zawale serca. Około pierwszej pięć w nocy poczuł bóle w klatce piersiowej i został przewieziony do szpitala. Zgon nastąpił o drugiej czterdzieści pięć. Śri Ipe cieszył się nie najlepszym zdrowiem przez ostatnie pół roku. Osierocił żonę Sośammę i dwójkę dzieci. Na pogrzebie Pappaciego Mammaci płakała i jej szkła kontaktowe pływały. Ammu powiedziała bliźniętom, że Mammaci płacze, bo była do niego przyzwyczajona a nie dlatego, że go kochała. Przyzwyczajona, że kręci się koło fabryki marynat, przyzwyczajona, że ją od czasu do czasu bije. Ammu powiedziała, że przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, i to zadziwiające, do jakich rzeczy można się przyzwyczaić. Wystarczy spojrzeć wokół siebie, aby się przekonać, że branie w skórę mosiężnym flakonem wcale nie należy do najgorszych.

Po pogrzebie Mammaci poprosiła Rahel, aby wyjęła jej szkła kontaktowe małą pomarańczową pipetką, która miała osobny futerałik. Rahel spytała Mammaci, czy po jej śmierci będzie mogła odziedziczyć pipetkę. Ammu wyprowadziła ją z pokoju i dała jej klapsa.

– Nie chcę już nigdy usłyszeć, jak rozmawiasz z ludźmi o ich śmierci – powiedziała.

Estha powiedział, że Rahel zasłużyła na lanie, ponieważ zachowała się bardzo niedelikatnie.

Zdjęcie Pappaciego w Wiedniu, z upomadowanymi włosami, zostało oprawione w nową

ramkę i postawione w salonie. Był człowiekiem fotogenicznym, eleganckim i zadbanym, z trochę za dużą głową jak na swój niewysoki wzrost. Miał zadatki na drugi podbródek, który uwydatniał się, kiedy spozjrzał w dół lub skinął głową. Na zdjęciu trzymał głowę trochę uniesioną, aby ukryć podwójny podbródek, lecz nie na tyle, by sprawiać wrażenie człowieka wyniosłego. Jego jasnobrązowe oczy patrzyły uprzejmie, lecz z jakąś złowieszczą groźbą, jakby starał się być grzeczny wobec fotografa, a jednocześnie planował zamordowanie żony. Miał mały mięsisty guzek na środku górnej wargi, która opadała na dolną kapryśnym grymasem takim jak u dzieci, które ssą kciuk. Podbródek przecinało wydłużone zagłębienie, które podkreślało czającą się w jego oczach groźbę psychotycznej agresji. Biło od niego powściągane okrucieństwo. Miał na sobie bryczesy w kolorze khaki, chociaż nigdy w życiu nie siedział na koniu.

W jego butach jeździeckich odbijały się światła studyjnych lamp. Na kolanach miał szpicrutę z rączką z kości słoniowej. Na zdjęciu panowała pełna napięcia cisza, co sprawiało, że upał w salonie podszyty był chłodem.

Pappaci zostawił po sobie kufry pełne drogich garniturów i puszkę po czekoladkach ze spinkami do mankietów, które Chacko rozdał taksówkarzom w Kottajam. Zostały przerobione na pierścionki i naszyjniki, które uzupełniły wiano niezamężnych córek.

Kiedy bliźnięta spytały, co to jest naszyjnik, i Ammu powiedziała im: coś do noszenia na szyi, były zachwycone tym przeblyskiem logiki w języku, który do tej pory wydawał im się zupełnie nielogiczny. Na-szyję-naszyjnik. Miało to dla nich precyzję i logikę matematyki. Naszyjniki sprawiły im niezmierną (choć przesadną) satysfakcję i wzbudziły bardzo ciepłe uczucia do języka angielskiego.

Ammu powiedziała, że Pappaci był nieuleczalnym CCP Brytyjczyków, co było skrótem od chhi-chhi poach i oznaczało w hindi człowieka, który sprząta gówna. Chacko powiedział, że poprawnym określeniem na kogoś takiego jak Pappaci jest „anglofil”. Kazał Rahel i Escie wyszukać hasło „anglofil” w Wielkim Leksykonie Encyklopedycznym „Reader’s Digest”. Wyjaśnienie brzmiało: „osoba dobrze usposobiona do Anglików”: Estha i Rahel wyszukali słowo „usposobić”. Leksykon mówił:

1. wpłynąć na kogoś w pewien sposób;
2. uczynić podatnym na coś; nastroić.

Chacko powiedział, że w przypadku Pappaciego chodzi o drugie znaczenie: „uczynić podatnym na coś, nastroić”. Co z kolei znaczy, że Pappaci został nastrojony do lubienia

Anglików.

Chacko powiedział bliźniętom, że chociaż ciężko mu się do tego przyznać, to oni wszyscy są anglofilami. Cała rodzina jest anglofilska. Popchnięta w złym kierunku, uwięziona na zewnątrz swej własnej historii i bez możliwości powrotu, ponieważ ślady zostały zatarte.. Wyjaśnił im, że historia jest jak stary dom nocą. W którym płoną wszystkie lampy. I szepczą przodkowie.

– Aby zrozumieć historię – powiedział Chacko – musimy wejść do środka i posłuchać, co mówią. Oglądnać książki i obrazy na ścianach. Powąchać zapachy.

Estha i Rahel nie mieli żadnych wątpliwości, że Chackowi chodziło o dom po drugiej stronie rzeki, na środku opuszczonej plantacji herbaty, w którym nigdy nie byli. Dom Kari Sejpu. Czarnego sahiba. Anglika, który „zhindusiał”. Który mówił w malajalam i nosił mundu. Miejscowy Kurtz. Prywatne ajemenemskie jądro ciemności. Dziesięć lat wcześniej strzelił sobie w głowę, kiedy rodzice jego młodego kochanka odebrali mu chłopca i posłali do szkoły. Po samobójstwie rozpoczął się długotrwały proces o dom pomiędzy kucharzem i sekretarzem Kari Sejpu. Przez całe lata dom stał pusty. Niewiele osób widziało go od środka. Lecz bliźnięta potrafiły go sobie wyobrazić.

Dom Historii.

Chłodne kamienne posadzki, przyczernione ściany i wzdęte cienie w kształcie żaglowców. Pulchne, przezroczyste jaszczurki mieszkają za starymi obrazami, a kruszący się woskowi przodkowie o twardych paznokciach u nóg i oddechu pachnącym pożółkłymi mapami plotkują szeleszczącym, papierowym szeptem.

– Nie możemy jednak wejść do środka – wyjaśnił Chacko ponieważ wyrzucono nas i zamknięto za nami drzwi. Kiedy zaglądamy przez okna, widzimy tylko cienie. Kiedy próbujemy podsłuchiwać, słyszymy tylko szepty. Nie potrafimy ich zrozumieć, ponieważ w naszych głowach toczy się wojna. Wojna, którą wygrywamy i przegrywamy. Najgorszego rodzaju wojna. Wojna, która bierze sny w niewolę i każe prześnić je na nowo. Wojna, która kazała nam podziwiać naszych zdobywców i gardzić samymi sobą.

– Poślubić naszych zdobywców, chciałeś powiedzieć wtrąciła cierpko Ammu, robiąc aluzję do Margaret Koóammy. Chacko udał, że jej nie słyszy. Kazał dzieciom sprawdzić w słowniku słowo, gardzić. Słownik mówił mieć w po gardzie, lekceważyć, nie szanować; odtrącać coś”. Chacko mówił, że w kontekście wojny, o której opowiadał – wojny o sny – wszystkie te znaczenia znajdują zastosowanie.

– Jesteśmy jeńcami wojennymi – rzekł Chacko. – Nasze sny zostały wykastrowane. Nigdzie nie należymy.

Żeglujemy bez kotwicy po wzburzonych morzach. Być może nigdy nie pozwolą nam przybić do brzegu. Nasze smutki nigdy nie będą dość smutne. Nasze radości nigdy nie będą dość radosne. Nasze marzenia nigdy nie będą dość wielkie. Nasze życie nigdy nie będzie dość ważne. I znaczące.

Potem, aby Estha i Rahel nabrali poczucia perspektywy historycznej (choć w nadchodzących tygodniach samemu Chackowi miało dramatycznie zabraknąć właściwej perspektywy), opowiedział im o Kobiecie Ziemi. Kazał im sobie wyobrazić, że Ziemia – licząca cztery tysiące sześćset milionów lat – jest czterdziestosześcioletnią kobietą – mniej więcej w tym wieku, co Alejamma, nauczycielka, która daje im lekcje malajalam. Potrzeba było całego życia Kobiety Ziemi, aby Ziemia stała się tym, czym jest. Aby wyodrębniły się kontynenty. Aby wydzwignęły się góry. Kobieta Ziemia miała jedenaście lat, powiedział Chacko, kiedy pojawiły się pierwsze organizmy jednokomórkowe. Pierwsze zwierzęta, takie stworzenia jak robaki i meduzy, powstały, dopiero gdy miała czterdzieści lat. Zaledwie osiem miesięcy temu, według tej rachuby, na ziemi żyły dinozaury.

– Cywilizacja ludzka, jaką znamy – powiedział Chacko bliźniętom – zaczęła się zaledwie dwie godziny temu w życiu Kobiety Ziemi. Tyle, ile potrzeba na przejazd samochodem z Ajemenem do Koczinu. Człowiek nabiera większej pokory kontynuował Chacko (ładne słowo, pokora, pomyślała Rahel).

Czy to jest to, co pozostaje, kiedy obedrzeć drzewo z kory?)kiedy sobie uświadomi, że cała historia współczesna, wojny światowe, wojny o sny, człowiek na Księżycu, nauka, literatura, filozofia, dążenie do wiedzy – trwa tyle, ile mrugnięcie oka Kobiety Ziemi. – A my, moi drodzy, wszystko, czym jesteśmy i czym kiedykolwiek będziemy – my jesteśmy tylko iskierką w jej oku – mówił Chacko sentencjonalnie, po czym położył się na łóżku i wbił wzrok w sufit.

Kiedy ogarniał go tego typu nastrój, Chacko mówił takim głosem, jakby czytał z książki. W jego pokoju panowała kościelna atmosfera. Było mu wszystko jedno, czy ktokolwiek go słucha. A jeśli słuchał, to było mu wszystko jedno, czy rozumie. Ammu nazywała to Nastrojami Oksfordzkimi. Później, w świetle wszystkiego, co się wydarzyło, iskierka wydała się zupełnie niewłaściwym określeniem na wyraz oczu Kobiety Ziemi. Iskierka była słowem pofałdowanym, radośnie postrzępionym.

Chociaż Kobieta Ziemia zrobiła na bliźniętach trwale wra żenie, bardziej zafascynował je Dom Historii, który był znacznie bliżej. Często o nim myśleli. O domu po drugiej stronie rzeki.

Stojącym w Jądrze Ciemności.

O domu, do którego nie mogli wejść, pełnym szeptów, których nie rozumieli.

Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że wkrótce jednak do niego wejdą. Że znajdą się po drugiej stronie rzeki w miejscu, w którym być nie powinni, z człowiekiem, którego nie powinni kochać. Że oczyma wielkimi jak talerze będą patrzyli, jak historia odslania się przed nimi na tylnej werandzie. Podczas gdy edukacja większości dzieci w ich wieku skupiała się na innych sprawach, Estha i Rahel uczyli się, jak historia negocjuje swe warunki i pobiera haracz od tych, którzy łamią jej prawa. Usłyszeli jej przerażające grzmotnięcie o ziemię. Poczuli jej zapach i nigdy go nie zapomnieli. Zapach historii.

Zapach przekwitłych róż na wietrze.

Już na zawsze miały być nim przesycone zupełnie zwyczajne rzeczy. Wieszaki na ubrania. Pomidory. Asfalt na drogach. Niektóre kolory. Talerze w restauracji. Milczenie. Pustka w oczach.

Dorastali, próbując na różne sposoby żyć z tym, co się stało. Mówili sobie, że w kategoriach czasu geologicznego było to nic nie znaczące zdarzenie. Mrugnięcie oka Kobiety Ziemi. Że świat widział wiele Gorszych Rzeczy. Dawniej i teraz. Myśl ta nie przynosiła im jednak pociechy.

Chacko powiedział, że oglądanie Dźwięków muzyki to akt skrajnej anglofilii.

– Och, daj spokój, cały świat ogląda Dźwięki muzyki. To światowy przebój.

– To nie zmienia faktu – powiedział Chacko swym głosem lektora. – To-nie-zmie-nia-fak-tu.

Mammaci często powtarzała, że Chacko należy do najinteligentniejszych ludzi w Indiach. „Czym zdaniem? – pytała Ammu. – Na jakiej podstawie?” Mammaci uwielbiała przytaczać historię (pochodzącą od Chacka) o tym, jak to jeden z profesorów w Oksfordzie powiedział, że jego zdaniem Chacko to człowiek wybitny, materiał na premiera.

Reakcją Ammu zawsze było: „Ha! Ha! Ha!”, jak w komiksach.

Mówiła:

a) Wyjazd do Oksfordu nie musi oznaczać, że ktoś jest inteligentny.

b) Człowiek inteligentny nie musi być dobrym premierem. c) Jeżeli ktoś nie potrafi z zyskiem kierować fabryką marynat, to jak będzie kierował całym krajem?

Przede wszystkim zaś:

d) Wszystkie hinduskie matki mają obsesję na punkcie swych synów, wobec czego nie potrafią obiektywnie ocenić ich zdolności.

A ponadto:

e) Po wysokich lotach w Oksfordzie niektórzy spadają na ziemię, jak sławetne samoloty Chacka, które dają obiektywną miarę jego zdolności.

Raz w miesiącu (poza porą monsunową) do Chacka przychodziła paczka. Zawsze zawierała model samolotu do składania z drewna balsa. Złożenie samolotu, z jego małym zbiornikiem paliwa, silniczkiem i śmigiełkiem, zazwyczaj zajmowało Chackowi osiem do dziesięciu dni. Potem zabierał Esthę i Rahel na pola ryżowe w Nattakom, aby pomogli mu go puścić. Nigdy nie latał dłużej niż minutę. Miesiąc po miesiącu pieczołowicie skonstruowane przez Chacka samoloty spadały na błotnistozielone pola ryżu, a Estha i Rahel, jak wyszkolona ekipa ratunkowa, rzucali się na poszukiwanie części wraka.

Ogon, zbiornik, skrzydło.

Ranna maszyna.

Pokój Chacka cały był zagrożony połamanymi drewnianymi samolotami. Co miesiąc przychodził nowy model. Chacko nigdy nie obarczył winą za katastrofę producenta modeli. Dopiero po śmierci Pappaciego Chacko zrezygnował z posady wykładowcy Christian College w Madrasie i przyjechał do Ajemenem ze swym wiosłem z Oksfordu i marzeniem, aby zostać marynatowym potentatem. Wybrał pieniądze z państwowego i prywatnego funduszu emerytalnego (pozbawiając się na przyszłość świadczeń), aby zakupić maszynę do próżniowego zamykania słoików firmy Bharat. Jego wiosło (z wypisanymi złotym kolorem nazwiskami jego kolegów z obsady) zawisło na ścianie fabryki na żelaznych kabłąkach. Do chwili przybycia Chacka fabryka była niewielkim, lecz przynoszącym zyski przedsiębiorstwem. Mammaci prowadziła je jak dużą kuchnię. Chacko zarejestrował fabrykę jako spółkę cywilną i poinformował Mammaci, że ona jest w niej tylko figurantem. Zainwestował w urządzenia (maszyny do puszkowania, kotły, kuchenki) i zwiększył zatrudnienie. Prawie natychmiast w kasie zaczęło brakować pieniędzy, lecz Chacko zaciągnął ogromne pożyczki bankowe pod hipotekę rodzinnych pól ryżowych wokół Ayemenem House. Chociaż Ammu pracowała w fabryce nie mniej niż Chacko, w rozmowach z inspektorami od kontroli żywności i innymi urzędnikami zawsze mówił: moja fabryka, moje ananasy, moje marynaty. Z prawnego punktu widzenia tak rzeczywiście było, ponieważ Ammu, jako córka, nie miała udziałów w spółce.

Chacko powiedział Rahel i Escie, że Ammu nie ma żadnego locus standi, prawa zostania wysłuchaną.

– Dzięki naszemu wspaniałemu męskoszowinistycznemu społeczeństwu – odparła Ammu.

– Co twoje, to moje, a co moje, to także moje – uznał Chacko.

Jak na mężczyznę jego wzrostu i tuszy miał zaskakująco wysoki śmiech. Kiedy się śmiał, trząśł się cały, chociaż sprawiał wrażenie, jakby był nieruchomy.

Zanim Chacko przyjechał do Ajemenem, fabryka Mammaci nie miała nazwy. Wszyscy mówili na produkowane w niej marynaty i dżemy „dojrzałe mango Sośi” albo „marmolada bananowa Sośi”. Sośia to było imię Mammaci. Sośamma. Chacko ochrzcił fabrykę mianem „Marynaty i Przetwory Paradise” i zlecił drukarni towarzysza K.N.M. Pilleja zaprojektowanie i wykonanie etykietek. Jego pierwszym pomysłem były Marynaty i Przetwory „Zeus”, ale przegłosowano go, ponieważ wszyscy mówili, że Zeus jest zbyt mało znany i w żaden sposób nie wiąże się z regionem, w przeciwieństwie do „Paradise”. (Sugestię towarzysza Pilleja Marynaty Paraśuram” – również odrzucono w głosowaniu, lecz z odwrotnej przyczyny: za bardzo wiąże się z regionem). Zainstalowanie billboardu na dachu plymoutha również było pomysłem Chacka.

Po drodze do Koczinu billboard telepał się i zgrzytał, jakby za chwilę miał odpaść.

Zatrzymali się niedaleko Wajkom, aby kupić sznurek i lepiej umocować billboard. To spowodowało opóźnienie o kolejne dwadzieścia minut. Rahel zaczęła się martwić, że nie zdążą na Dźwięki muzyki.

Kiedy dojeżdżali już do przedmieść Koczinu, opadło białoczerwone ramię szlabanu kolejowego. Rahel wiedziała, dla czego tak się stało: bo miała nadzieję, że się nie stanie. Nie nauczyła się jeszcze panować nad swymi nadziejami. Estha powiedział, że to zły znak.

A więc przegapią początek filmu. W którym Julie Andrews jest tylko plamką na wzgórzu, a potem robi się coraz większa i większa, a potem wypełnia cały ekran głosem jak zimna woda i oddechem jak mięta pieprzowa.

Na czerwonym znaku, który wisiał na białoczerwonym ramieniu, był biały napis STOP.

– POTS – powiedziała Rahel.

Na żółtym parkanie widniał czerwony napis: BĄDŹ HINDUSEM – KUPUJ HINDUSKIE.

– EIKSUDNIH JUPUK MESUDNIH ŹDĄB – przeczytał Estha.

Jak na swój wiek bliźnięta dużo przeczytały. Jednym tchem pochłonęły Old Dog Tom, Janet and John i czytanki Ronalda Ridouta. Wieczorami Ammu czytała im Księżę dżungli Kiplinga.

Już pada cień szary na dżungli obszary Sęp Chil i Mang wampir noc wiodący.

Jeżyły im się włoski na ramionach, złociste w świetle lampy przy łóżku. Ammu czytała różnymi głosami, chropowato jak Shere Khan, płaczliwie jak Tabaqui.

Spodoba się, patrzcie no! A co to za słowo? Klnę się na byka, którego zabiłem, mamże czekać z nosem wetkniętym w tę waszą psią jamę na to, co mi się najśluszniej należy? Słyszycie, Shere Khan to mówi!

Więc ja, Raksza (zły duch), ci odpowiem – wołały głośno bliźnięta. Nie jednocześnie, ale prawie. – Mały człowiek należy do mnie, czy słyszysz, Lungri, do mnie! Nie będzie zabity. Będzie żył, aby chodzić z gromadą – polować z gromadą – i zobaczysz, ty łowco małych nagusów, ty żabożerco, rybobójco! Zapoluje on kiedyś na ciebie! Baby Koćamma, która miała pieczę nad ich formalnym wykształceniem, przeczytała im Burzę w wersji skróconej przez Charlesa i Mary Lambów.

„Zbieram z łąki pył jak pszczoła, mówili Estha i Rahel. Spijam rosę, wącham zioła”.

Kiedy więc panna Mitten, misjonarka z Australii i znajoma Baby Koćammy, podczas odwiedzin w Ajemenem dała Escie i Rahel w prezencie książeczkę dla dzieci – Przygody wiewiórki Susie – poczuli się głęboko urażeni. Najpierw przeczytali ją normalnie. Panna Mitten, która należała do sekty chrześcijan „narodzonych po raz drugi”, powiedziała, że jest nimi trochę rozczarowana, kiedy przeczytali jej książeczkę na głos – od tyłu.

„eisuS ikróiwew ydogyZrP. ogenweP ogennesoiw aknar akróiwew eisuS ałizdubo ęis”.

Zwróciły uwagę pannie Mitten, że zarówno „malajalam” jak i „Madam I’m Adam” brzmi tak samo niezależnie od tego, czy jest czytane do przodu czy do tyłu. Nie dostrzegła w tym nic zabawnego i okazało się, że nie wie nawet, co to jest malajalam. Powiedzieli jej, że to język, którym mówią wszyscy mieszkańcy Kerali. Panna Mitten myślała, że język, którym mówi się w Kerali, nazywa się keralski. Estha, który zdążył zapalać do panny Mitten zdecydowaną niechęcią, odparł, że jego zdaniem była to bardzo głupia myśl.

Panna Mitten poskarżyła się Baby Koćammie na bezczelność Esthy i na czytanie przez bliźnięta od tyłu. Powiedziała Baby Koćammie, że zobaczyła szatana w ich oczach. anatazS w hci hczco.

Kazano im napisać: „Już nigdy nie będziemy czytać od tyłu. Już nigdy nie będziemy czytać od tyłu”. Sto razy. Od przodu. Kilka miesięcy później pannę Mitten przejechała furgonetka mleczarska, w Hobart, naprzeciwko boiska do krykieta. Bliźnięta dojrzały ukrytą sprawiedliwość

w fakcie, że furgonetka jechała na wstecznym biegu.

Po obu stronach szlabanu zatrzymywały się kolejne autobusy i samochody. Ambulans z napisem „Szpital Najświętszego Serca” grupa ludzi jechała na ślub. Panna młoda wyglądała przez tylne okno, łuszcząca się farba olbrzymiego czerwonego krzyża częściowo zasłaniała jej twarz. Autobusy nosiły imiona dziewcząt. „Lucykutti”, „Mollykutti”, „Beena Mol”. W języku malajalam „Mol” to mała dziewczynka, a „Mon” to mały chłopiec. „Beena Mol” był pełen pielgrzymów, którzy ogolili sobie głowy w Tirupati. Rahel widziała rząd łysych głów w oknach autobusu, nad rozbryzniętymi w równych odstępach śladami wymiocin. Temat wymiotowania fascynował ją. Sama nigdy nie wymiotowała, ani razu. Zdarzało się to Escie. Kiedy wymiotował, jego skóra robiła się gorąca i połyskliwa, a oczy stawały się bezsilne i piękne. Ammu kochała go wtedy bardziej niż zazwyczaj. Chacko powiedział, że Estha i Rahel są nieprzyzwoicie zdrowi. Tak samo jak Sophie Mol. To dlatego, powiedział, że w przeciwieństwie do większości chrześcijan syryjskich (i Parsów) nie są efektem małżeństw wewnątrzkastowych.

Mammaci odparła, że jej wnuki cierpią na coś znacznie poważniejszego niż małżeństwa wewnątrzkastowe. Miała na myśli rozwiedzionych rodziców. Jakby ludzie mieli do wyboru tylko dwie możliwości: małżeństwo wewnątrzkastowe albo rozwód.

Rahel nie była pewna, na co cierpi, lecz czasami ćwiczyła przed lustrem smutne miny i westchnienia.

„To zdecydowanie najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem” – mówiła do siebie smutno. Rahel była w tym momencie Sydneyem Cartonem, który był Charlesem Darnayem, czekającym na egzekucję na stopniach gilotyny, w komiksowej wersji Opowieści o dwóch miastach Dickensa. Zastanawiała się, co było powodem tak zdyscyplinowanego wymiotowania przez pielgrzymów i czy zwymiotowali naraz, jednym wyreżyserowanym rzygnięciem (może w takt muzyki, do rytmu autobusowego bhadżan), czy też osobno, jeden po drugim.

Z początku, zaraz po opuszczeniu się szlabanu, powietrze wypełniał niecierpliwy odgłos silników na wolnym biegu. Lecz kiedy operator szlabanu na sztywnych nogach wyszedł ze swej budki i niezbornym, rachitycznym krokiem podszedł do stoiska z herbatą, co sygnalizowało długie czekanie, kierowcy zgasili silniki i powysiadali, żeby rozprostować kości. Pełnym dezynwoltury skinieniem znudzonej i sennej głowy bóg szlabanu przywołał zabandażowanych zebraków, ludzi z tacami sprzedających kawałki świeżego kokosa, parippu vadas, na liściach banana. I zimne napoje. Coca-colę, fantę, mleko różane. Trędowaty w brudnych bandażach

podszedł do okna samochodu i zebrał o datek.

– To mi wygląda na rtęciochrom – powiedziała Ammu o jego zaskakująco jasnej krwi.

– Brawo – powiedział Chacko. – Iście burżuazyjne stwierdzenie.

Ammu uśmiechnęła się i uścisnęli sobie ręce, jakby rzeczywiście przyznawano jej dyplom zasługi jako prawdziwej burżujce z krwi i kości. Dla bliźniąt takie chwile były prawdziwym skarbem i nawlekały je jak drogocenne kamienie na (cokolwiek przerzedzony) naszyjnik.

Rahel i Estha przycisnęli nosy do szyb plymoutha. Wyrywające się do świata bulwy z rozmazanymi dziećmi w tle.

Ammu powiedziała: „Nie”, stanowczo i z przekonaniem.

Chacko zapalił charminara. Zaciągnął się głęboko, a potem wyjął sobie z ust listek tytoniu, który został mu na języku. W kabinie plymoutha Rahel nie było łatwo widzieć Esthę, ponieważ Baby Koćamma tronowała pomiędzy nimi jak wzgórze. Ammu zabroniła im siedzieć koło siebie, żeby się nie pokłócili. Kiedy się kłócili, Estha nazywał Rahel Patyczakiem Uchodźcą. Rahel nazywała go Elvis Pelvis i wyginała się w komicznym tańcu, który doprowadzał Esthę do wściekłości. Kiedy kłótnie przeradzały się w rękoczyn, siły były tak wyrównane, że walka ciągnęła się bez końca i rozbijali bądź uszkadzali różne przedmioty, które wpadły im w ręce – lampy stołowe, popielniczki i dzbanki na wodę. Baby Koćamma trzymała się oparcia przedniego siedzenia.

Podczas jazdy tłuszcz jej ramion kołysał się jak ciężkie pranie na wietrze. Teraz zwiślał jak mięsista kotara, odgradzając Esthę od Rahel.

Przy drodze po stronie Esthy było stoisko z herbatą, gdzie oprócz herbaty można było kupić stare glukozowe herbatniki leżące w obsiadłych przez muchy gablotach z przybrudzonego szkła. Był też napój cytrynowy w grubych butelkach z niebieskimi korkami, żeby nie uciekał gaz. I czerwona skrzynka z lodem, opatrzona dosyć smutnym napisem: „Z coca-colą wszystko idzie lepiej”.

Murlidharan, etatowy wariat spod szlabanu, stał w doskonałej równowadze ze skrzyżowanymi nogami na słupku milowym. Jądra i penis zwiślały mu w dół, w kierunku oznaczenia: KOCZIN 23

Murlidharan był nagi, jeżeli nie liczyć wąskiej plastikowej torby, którą ktoś założył mu na głowę jak przezroczysty czepek szefa kuchni. Świat widziany przez worek był nieco przydymiony. Nawet gdyby chciał, Murlidharan nie mógł zdjąć kucharskiego czepka, bo nie miał

rąk. Urwało mu je w Singapurze w 1942 roku, kiedy uciekł z domu, aby dołączyć do walczących szeregów Indyjskiej Armii Narodowej. Po wyzwoleniu zarejestrował się jako weteran walki o wolność I klasy i otrzymał dożywotnią legitymację uprawniającą do darmowych przejazdów kolejowych (również I klasą). Ją również utracił (razem z rozumem), nie mógł więc już mieszkać na dachach pociągów ani w poczekalniach kolejowych. Murlidharan nie miał domu, nie miał drzwi do zamykania, lecz zachował wszystkie stare klucze, które nosił przywiązane u pasa. Jego głowa była pełna szaf, zagraconych utajonymi rozkoszami.

Budzik. Czerwony samochód z dźwięcznym klaksonem.

Czerwony kubek do mycia zębów. Żona z diamentem. Aktówka z ważnymi papierami. Powrót do domu z biura. Fragment dialogu: „Przykro mi, pułkowniku Sabhapathi, ale ja już wyraziłem swoje zdanie”. I chrupkie chrupki bananowe dla dzieci. Patrzył, jak pociągi przyjeżdżają i odjeżdżają. Liczył swoje klucze.

Patrzył, jak powstają i upadają rządy. Liczył swoje klucze. Patrzył na rozmazane dzieci za oknami samochodów, z wrywającymi się na zewnątrz przyciśniętymi do szyb nosami.

Bezdomni, bezsilni, chorzy, mali i zagubieni, wszyscy przechodzili pod jego oknem. On wciąż liczył klucze.

Nigdy nie był pewien, którą szafę będzie musiał otworzyć i kiedy. Siedział na palącym słupku milowym ze splątanymi włosami i oczami jak okna, szczęśliwy, że może czasem odwrócić wzrok. Że ma swoje klucze do przeliczenia. Liczenie dobrze robi.

Liczenie uspokaja.

Licząc, Murlidharan poruszał ustami, z których wychodziły w pełni uformowane słowa.

Onner.

Runder.

Mooner.

Estha zauważył, że włosy na głowie Murlidharana są kręcone i siwe, włosy pod pachami urwanych ramion wiotkie i czarne, a włosy na kroczu czarne i sprężyste. Jeden człowiek i trzy rodzaje włosów. Estha nie mógł zrozumieć, jak to możliwe. Zastanawiał się, kogo by o to zapytać.

Rahel tak napęczniała Czekaniem, że czuła, jakby miała za chwilę się rozprysnąć. Spojrzała na zegarek. Była za dziesięć druga. Pomyślała o Julie Andrews i Christopherze Plummerze całujących się z przekrzywionymi głowami, żeby się nie zderzyć nosami. Ciekawe, czy ludzie

zawsze całują się z przekrzywionymi głowami, pomyślała. Zastanawiała się, kogo by o to zapytać.

Potem doszedł z oddali jakiś pomruk i okrył stojące samochody jak płaszcz. Kierowcy, którzy rozprostowywali kości, wsiedli do samochodów i zamknęli drzwi. Żebracy i sprzedawcy zniknęli. Po kilku minutach na drodze nie było nikogo. Oprócz Murlidharana. Usadowionego na palącym kamieniu milowym. Niewzruszonego i tylko odrobinę zaciekawionego.

Rozległy się hałasy. I gwizdki policyjne.

Zza linii czekających samochodów, po drugiej stronie szlabanu, wyłoniła się kolumna mężczyzn z czerwonymi flagami i transparentami. Hałas narastał z każdą chwilą.

– Podciągnijcie szyby – polecił Chacko. – I bez paniki. Nic nam nie zrobią.

– Może się do nich przyłączysz, towarzyszu? – powiedziała Ammu do Chacka. – Ja poprowadzę.

Chacko nic nie odpowiedział. Pod fałdą tłuszczu na podbródku napiął mu się mięsień. Wyrzucił papierosa na drogę i podciągnął szybę w oknie.

Chacko podawał się za marksistę. Wzywał pracujące w fabryce piękne kobiety do swojego pokoju i pod pretekstem uświadamiania im przywilejów pracowniczych i związek wych flirtował z nimi bezwstydnie. Zwracał się do nich per „towarzyszko”, do siebie również kazał mówić „towarzyszu” (co je bardzo rozśmieszało). Ku ich ogromnemu zakłopotaniu i oburzeniu Mammaci zmuszał je do tego, by usiadły z nim przy stole i wypity herbatę.

Raz nawet zabrał całą ich grupę na kurs zorganizowany przez związki zawodowe w Alleppej. Pojechały autobusem, a z powrotem przyplłynęły statkiem. Wróciły szczęśliwe, ze szklanymi bransoletami i kwiatami we włosach.

Ammu powiedziała, że to wszystko bzdury. Rozpieszczone książątko bawi się w towarzysza. Oksfordzka inkarnacja starej mentalności zamindarów – pan feudalny narzucający się kobietom, których byt od niego zależy.

Gdy maszerujący zbliżyli się, Ammu podciągnęła szybę w swoim oknie. Estha w swoim. Rahel w swoim. (Z wysiłkiem, ponieważ odpadł czarny uchwyt korbki).

Niebieski plymouth nagle wydał się absurdalnie wielki na wąskiej, dziurawej drodze. Jak rozłożysta dama przeciskająca się wąskim korytarzem. Jak Baby Koćamma w kościele, w drodze po chleb i wino.

– Spuście oczy! – powiedziała Baby Koćamma, gdy pierwsze szeregi marszu

protestacyjnego były na wysokości samochodu. – Nie patrzcie na nich. To ich najbardziej prowokuje. Z boku szyi łomotało jej tętno.

W ciągu kilku chwil ulicę zalały tysiące demonstrantów. Samochodowe wysepki na rzece ludzi. Powietrze było czerwone od flag, które poszły w dół, a potem do góry, gdy demonstranci przeciskali się pod szlabanem i przetaczali przez tory czerwoną falą.

Dźwięk tysiąca głosów rozpostarł się nad zastygłymi samochodami jak zrobiony z hałasu parasol.

Inquilab Zindabad!

Thozhilali Ekta Zindabad!

– Niech żyje rewolucja! – wznosili okrzyki. – Robotnicy wszystkich krajów łączcie się!

Nawet Chacko nie umiał zadowalająco wyjaśnić, dlaczego partia komunistyczna cieszyła się w Kerali znacznie większym poparciem niż w całej reszcie Indii, może z wyjątkiem Bengalu.

Istniało kilka rywalizujących ze sobą teorii. Jedna z nich wiązała popularność komunizmu z dużym odsetkiem chrześcijan zamieszkujących ten stan. Dwadzieścia procent mieszkańców Kerali było chrześcijanami syryjskimi, uważającymi się za potomków stu braminów, których święty Tomasz nawrócił na chrześcijaństwo podczas swej podróży na Wschód po zmartwychwstaniu Chrystusa. Ze strukturalistycznego punktu widzenia – brzmiał ten cokolwiek abstrakcyjny wywódmarksizm stanowi prosty substytut chrześcijaństwa. Wystarczy zastąpić Boga Marksem, szatana burżuazją, Niebiosa społeczeństwem bezklasowym, a Kościół partią, nie zmienione natomiast pozostają forma i cel wędrówki. Wyścig z przeszkodami, z nagrodami za metą. Mentalność hinduska wymagałaby bardziej kompleksowej przemiany.

Słabym punktem tej teorii był fakt, że chrześcijanie syryjscy w Kerali należeli z reguły do klasy zamożnych feudalnych panów z dużymi majątkami ziemskimi (lub fabrykami marynat), dla których komunizm był losem gorszym od śmierci. Zawsze głosowali na Partię Kongresu.

Druga teoria przypisywała powodzenie komunizmu stosunkowo niskiemu poziomowi analfabetyzmu w stanie. Być może. Problem w tym, że niski poziom analfabetyzmu był efektem działalności komunistów.

W rzeczywistości sekret polegał na tym, że komunizm zakradł się do Kerali po cichu. Jako ruch reformistyczny, który nigdy otwarcie nie kwestionował tradycyjnych wartości przyjętych przez kastowe, skrajnie tradycjonalistyczne społeczeństwo. Marksisci działali wewnątrz podziałów społecznych, których nigdy nie podważali, ale też nie mówili, że je akceptują.

Proponowali rewolucyjny koktajl: melanz orientalnego marksizmu i ortodoksyjnego hinduizmu, ze szczyptą demokracji.

Chociaż Chacko nie miał legitymacji partyjnej, nawrócił się na ideologię partii w młodym wieku i przez wszystkie trudne lata życia pozostał jej zaangażowanym zwolennikiem. Studiował na uniwersytecie w Delhi podczas euforii 1957 roku, kiedy komuniści wygrali wybory do Parlamentu i Nehru zlecił im misję utworzenia rządu. Bohater Chacka, towarzysz E.M.S. Nambudiripad, przebojowy bramiński kapłan marksizmu w Kerali, został premierem pierwszego w historii demokratycznie wybranego rządu komunistycznego. Komuniści nagle stanęli wobec niezwykłego – zdaniem krytyków absurdalnego – zadania jednoczesnego rządzenia krajem i nawoływania do rewolucji. Towarzysz E.M.S. Nambudiripad opracował swoją własną teorię, jak należy to zrobić. Chacko przestudiował jego traktat zatytułowany Pokojowe przejście do komunizmu z obsesyjną skrupulatnością nastolatka i żarliwą aprobatą bezkrytycznego fana. Rozprawa szczegółowo opisywała, w jaki sposób rząd E.M.S. Nambudiripada zamie rza przeprowadzić reformę rolną, zneutralizować policję, zdezorganizować sądownictwo i „pohamować dłoń reakcyjnego antynarodowego centralnego rządu Kongresu”.

Niestety, nie minął rok, a z pokojowego przejścia wypadła część pokojowa.

Każdego ranka przy śniadaniu imperialny entomolog szydził ze swego teoretyzującego syna marksisty, czytając mu doniesienia gazetowe na temat zamieszek, strajków i przypadków brutalności policji, które wstrząsały Keralą.

– No to jak, panie Marks? – ironizował Pappaci kiedy Chacko siadał do stołu. – Co teraz zrobimy z tymi cholemyimi studentami? Te matoly agitują przeciwko naszemu Rządowi Ludowemu. Unicestwimy ich? Przecież studenci nie są już chyba Ludem?

Przez następne dwa lata polityczne waśnie, podsycane przez Partię Kongresu i Kościół, obróciły się w anarchię. Kiedy Chacko skończył studia i wyjechał do Oksfordu, aby studiować dalej, Kerala znajdowała się na krawędzi wojny domowej. Nehru rozwiązał komunistyczny rząd i rozpisał nowe wybory. Partia Kongresu wróciła do władzy.

Już w 1967 roku – niemal dokładnie dziesięć lat po pierwszym dojściu do władzy – partia towarzysza E.M.S. Nambudiripada została ponownie wybrana. Tym razem jako członek koalicji złożonej z dwóch partii komunistycznych, które się wyodrębniły – Komunistycznej Partii Indii i Komunistycznej Partii Indii (Marksistowskiej). KPI oraz KPI(M).

Pappaci już nie żył. Chacko był rozwiedziony. Marynaty „Paradise” produkowano już

siedem lat.

Keralę nękały niepokoje społeczne, ponieważ panował głód i nie przyszedł monsun. Ludzie umierali. Walka z głodem musiała się znaleźć wśród absolutnych priorytetów każdego rządu.

Podczas swej drugiej kadencji towarzysz E.M.S. z większym umiarem przystąpił do realizacji pokojowego przejścia. Zasłużył tym sobie na gniew Komunistycznej Partii Chin, która potępiła go za „parlamentarny kretynizm” i oskarżyła o „pomoc dla głodujących, a tym samym stępienie świadomości rewolucyjnej”.

Pekin przeniósł swój patronat na najnowszą i najbardziej radykalną frakcję KPI(M) – naxalitów, którzy rozpoczęli powstanie zbrojne w Naxalbari, wiosce bengalskiej. Organizowali chłopów w oddziały zbrojne, zajmowali majątki, eksmitowali właścicieli i powoływali sądy ludowe, które rozprawiły się z wrogami klasowymi. Ruch naxalitów rozlał się na cały kraj i budził trwogę w każdym burżuazyjnym sercu.

W rozhuśtanej już wcześniej Kerali naxalicy wznieśli dodatkowo ferment i strach. Na północy zaczęły się szerzyć morderstwa. W maju tego roku ukazało się w gazetach nieostre zdjęcie właściciela ziemskiego, którego przywiązano do lampy i obcięto mu głowę. Głowa leżała na boku, w pewnej odległości od ciała, w ciemnej kałuży, która mogła być wodą albo krwią. Czarno-biała fotografia, wykonana w szarym świetle przed świtem, nie pozwalała tego stwierdzić.

Oczy zaskoczonego nieboszczyka były szeroko otwarte. Towarzysz E.M.S. Nambudiripad („tchórzliwy pies”, „pachołek Sowietów”) usunął naxalitów ze swojej partii i kontynuował dzieło zaprzęgnięcia gniewu ludu do celów parlamentarnych.

Marsz, który przesuwiał się obok błękitnego plymoutha owego błękitnego grudniowego dnia, stanowił element tego procesu. Został zorganizowany przez Marksistowski Związek Zawodowy Trawankor-Koczin. Ich współtowarzysze z Triwandrum mieli pomaszerować do Sekretariatu i złożyć Kartę Żądań Ludu na ręce samego towarzysza E.M.S. Orkiestra występująca z petycją do dyrygenta. Ich postulaty zawierały żądanie, aby robotnikom zbierającym ryż, którzy musieli pracować na polach jedenaście i pół godziny dziennie – od siódmej rano do wpół do siódmej wieczorem – przyznać godzinną przerwę na lunch. Aby uposażenie kobiet zwiększyć z jednej rupii dwudziestu pięciu paisa dziennie do trzech rupii, a uposażenie mężczyzn z dwóch rupii pięćdziesięciu paisa do czterech rupii pięćdziesięciu paisa dziennie. Postulowano także, aby do niedotykalnych przestać się zwracać ich nazwiskami kastowymi. Żądali, aby nie zwracać się już

do nich per Aću Parajan, Kelan Parawan czy Kuttan Pulajan, lecz po prostu Aću, Kelan czy Kuttan.

Królowie kardamonu, hrabiowie kawy i baronowie kauczuku – starzy kumple z prywatnej szkoły z pensjonatem przyszli ze swych samotnie położonych, ogromnych majątków do Klubu Żeglarskiego i popijali schłodzone piwo. Unieśli szklanki. „To, co zowiemy różą...” – mówili i rechotali, aby ukryć narastającą w sobie panikę.

W marszu uczestniczyli funkcjonariusze partii, studenci i sami robotnicy. Dotykalni i niedotykalni. Na ramionach nieśli beczkę pradawnego gniewu, podpalonego świeżym lontem. Gniew ten zawierał nową, naxalicką domieszkę.

Przez okno plymoutha Rahel słyszała, że najgłośniejszym wykrzykują słowo Zindabad. Widziała, jak wychodzą im żyły na szyi, kiedy mówią to słowo. Widziała, że ramiona niosące flagi i transparenty są twarde i gruzłowate.

Powietrze wewnątrz plymoutha było nieruchome i gorące. Strach Baby Koćammy leżał zwinięty na podłodze samochodu jak nasiąkłe, lepkie cygaro. A był to dopiero początek. Początek strachu, który miał ją zżerać przez całe lata. Który miał jej kazać zamykać okna i drzwi. Który miał wyposażyć ją w drugą grzywkę i drugie usta. Jej strach również pochodził z praczasów. Strach przed wywłaszczeniem.

Próbowała liczyć zielone paciorki różańca, ale nie mogła się skupić. Otwarta dłoń uderzyła o szybę samochodu. Zaciśnięta pięść spadła na rozpaloną błękitną maskę. Maskę otworzyła się. Plymouth wyglądał jak kanciaste niebieskie zwierzę w zoo, które doprasza się, aby je nakarmić.

Dać mu bułkę.

Banana.

Kolejna zaciśnięta pięść uderzyła o maskę, która się zamknęła. Chacko spuścił szybę i zawołał do mężczyzny, który to zrobił:

– Dziękuję, keto! – i dodał: – Valarey, dziękuję!

– Nie podlizuj się, towarzyszu – powiedziała Ammu. – To był przypadek. On wcale nie miał zamiaru nam pomóc. Skąd miałby wiedzieć, że w tym starym samochodzie bije prawdziwie marksistowskie serce?

– Ammu – odparł Chacko z pozorowanym spokojem czy nie mogłabyś na chwilę powściągnąć swego zużytego cynizmu?

Cisza wypełniła samochód jak nasączona gąbka. „Zużytego” cięło jak nóż miękką

substancję. Słońce świeciło z drżącym westchnieniem. Na tym polega kłopot z rodzinami. Jak złośliwi lekarze, którzy dokładnie wiedzą, gdzie boli.

W tym właśnie momencie Rahel zobaczyła Weluthę. Syna Wellji Paapena. Swego ukochanego przyjaciela Weluthę. Weluthę maszerującego z czerwoną flagą. W białej koszuli i mundu, z żyłami gniewu na szyi. Normalnie nigdy nie nosił koszuli.

Rahel błyskawicznie opuściła szybę.

– Welutha! Welutha! – zawołała do niego.

Zastygł na moment i nasłuchiwał, trzymając flagę. Usłyszał znajomy głos w wyjątkowo nieznajomych okolicznościach. Rahel wystawała przez okno samochodu jak luźno przytwierdzony, wiotki róg jakiegoś roślinożernego zwierzęcia w kształcie samochodu. Z fontanną włosów spiętą Love-in-Tokyo i w czerwonych plastikowych okularach przeciwsłonecznych w żółtych oprawkach.

– Welutha! Ividay! Welutha! – Jej również wyszły żyły na szyi.

Zrobił krok w bok i zręcznie zniknął w otaczającym go gniewie.

Wewnątrz samochodu Ammu burzyła się, jej oczy strzelały furią. Dała Rahel klapsa w tyłki, bo cała reszta wystawała na zewnątrz. Jeśli nie liczyć brunatnych stóp w sandałach od Baty.

– Zachowuj się! – zwróciła jej uwagę Ammu.

Baby Koćamma ściągnęła Rahel na dół. Dziewczynka, zdziwiona, klapnęła na siedzenie. Uznała, że zaszło jakieś nieporozumienie.

– To był Welutha! – wyjaśniła z uśmiechem. – Miał flagę! Flaga wydawała się jej wyjątkowo imponującym rekwizytem, na który jej przyjaciel w pełni zasługiwał.

– Ty głupi dzieciaku! – powiedziała Ammu.

Jej nagły, gwałtowny gniew wcisnął Rahel w oparcie siedzenia. Była zaskoczona. Dlaczego Ammu tak się gniewa? O co? – Ale to naprawdę był on! – upierała się Rahel.

– Cicho bądź! – odparła Ammu.

Rahel zauważyła, że czoło i górną wargę Ammu pokrywa warstwa potu, a jej oczy stają się twarde jak kulki do gry. Jak oczy Pappaciego na wiedeńskim zdjęciu. (Ćma Pappaciego szeptała w żyłach jego dzieci!)

Baby Koćamma podciągnęła szybę przy Rahel.

Wiele lat później, w rzeński jesienny poranek w stanie Nowy Jork, w niedzielnym pociągu z Grand Central do Croton Harmon, wspomnienie to nagle powróciło do Rahel. Wyraz twarzy

Ammu. Jak nie pasujący kawałek układanki. Jak py tajnik, który wędruje po stronach książki i nigdy nie zatrzymuje się na końcu zdania.

Twarde jak kulki do gry spojrzenie Ammu. Lśnienie potu na jej górnej wardze. I chłód nagłego, urażonego milczenia.

Co to wszystko znaczyło?

Niedzielny pociąg był prawie pusty. Po drugiej stronie przejścia kobieta z pożyczowanymi policzkami i wąsikiem kaszłała flegmą w papier, który oddzierała ze sterty niedzielnych gazet leżących na jej kolanach. Starannie układała te pakunki w rządki na przeciwległym siedzeniu, jakby prowadziła stoisko z flegmą. Podczas pracy gawędziła sama ze sobą przyjaznym, kojącym głosem.

Pamięć była tą kobietą w pociągu. Kobieta niespełna rozumu: przeszukiwała mroczne przedmioty w szafie i wybierała najmniej istotne – ulotne spojrzenie, uczucie. Zapach dymu. Wycieraczkę samochodową. Oczy matki jak kulki do gry. Kobieta bardzo rozsądną: zostawiała olbrzymie obszary ciemności nie zbadane. Odpamiętane.

Obłęd współpasażerki pocieszył Rahel. Wciągnął ją głębiej w obłąkaną czeluść Nowego Jorku. Odsuwając od innych, straszniejszych rzeczy, które ją prześladowały. Kwaśnometaliczny zapach, jak stalowe poręcze w autobusie, i zapach rąk konduktora, który się ich trzymał. Młody człowiek o ustach starca.

Za oknami pociągu lśnił Hudson, a drzewa przybrały czerwono-brązowe kolory jesieni. Było tylko trochę zimno. Rahel zastanawiała się, dlaczego tak jest, że kiedy myśli o domu, zawsze widzi go w kolorach ciemnego, natłuszczonego drewna łodzi i pustych wnętrzu płomieni, które migotały w mosiężnych lampach.

To naprawdę był Welutha.

Tego jednego Rahel była pewna. Widziała go. On widział ją. Poznałaby go wszędzie, w każdym czasie. A gdyby nie miał na sobie koszuli, poznałaby go od tyłu. Znała jego plecy. Nosił ją na nich. Tyle razy, że nie potrafiłaby zliczyć. Miał na nich jasnobrunatne znamię w kształcie zaostrego su chego liścia. Powiedział, że to liść na szczęście, który sprawia, że monsuny przychodzą na czas. Brunatny liść na brunatnych plecach. Jesienny liść nocą.

Liść na szczęście, który nie przyniósł szczęścia.

Welutha nie był przeznaczony na stolarza.

Dano mu na imię Welutha – co w malajalam znaczy białyponieważ był taki czarny. Jego

ojciec, Wellja Paapen, był parawanem. Zbieraczem soku palmowego. Miał szklane oko. Ciosał dłutem granitowy blok i odłamek przebił mu lewe oko. Jako młody chłopiec Welutha przychodził z Wellją Paapenem pod tylne wejście do Ayemenem House, aby dostarczyć orzechy kokosowe zerwane z drzew na terenie majątku. Pappaci nie wpuszczał parawanów do domu. Nikt ich nie wpuszczał. Nie wolno im było dotykać niczego, z czym mogliby mieć kontakt dotykalni. Kastowi hindusi i kastowi chrześcijanie. Mammaci powiedziała Escie i Rahel, że pamięta z dzieciństwa czasy, kiedy parawanowie mieli obowiązek oddalać się tyłem i ścierać miotłą ślady swych stóp, aby bramini czy chrześcijanie syryjscy nie skalali się, następując na nie.

W czasach ilammaci parawanom, podobnie jak innym niedotykalnym, nie wolno było chodzić po publicznych drogach, zakrywać górnej części ciała, nosić parasola. Kiedy mówili, musieli zasłaniać sobie usta dłonią, aby nie chuchać na rozmówców swym nieczystym oddechem.

Kiedy do Malabaru przybyli Brytyjczycy, pewna liczba parawanów, pelajanów i pulajanów (w tym dziadek Weluthy, Kelan) przeszła na chrześcijaństwo i wstąpiła do Kościoła anglikańskiego, aby uciec od plagi niedotykalności. W ramach dodatkowej zachęty dostali trochę żywności i pieniędzy. Zwano ich ryżowymi chrześcijanami. Już wkrótce zdali sobie sprawę, że wpadli z deszczu pod rynnę. Musieli chodzić do własnych kościołów, z własnymi nabożeństwami i własnymi księżmi. Jako szczególny przywilej otrzymali nawet własnego pariańskiego biskupa. Po uzyskaniu przez Indie niepodległości okazało się, że nie przysługują im żadne uprawnienia przyznawane przez rząd, takie jak zarezerwowana dla nich pula posad czy nisko oprocentowane pożyczki, ponieważ oficjalnie, na papierze, byli chrześcijanami, a zatem bezkastowcami. Przypominało to trochę obowiązek zmiatania śladów swoich stóp. Albo jeszcze gorzej, zakaz zostawiania śladów.

Osobą, która pierwsza zauważyła niezwykłą sprawność manualną Weluthy, była Mammaci, na urlopie od Delhi i imperialnej entomologii. Welutha miał wtedy jedenaście lat, około trzech lat mniej niż Ammu. Był małym sztukmistrzem; potrafił wyczarować skomplikowane zabawki – maleńkie wiatraki, grzechotki, mikroskopijne puzderka z wysuszonych trzcin palmowych; wycinał piękne łódki z łądyg tapioki i figurynki z orzechów nerkowców. Przynosił je Ammu i podawał na wyciągniętej dłoni (jak go nauczono), żeby nie musiała go dotykać, biorąc je do ręki. Chociaż był młodszy od niej, nazywał ją Ammukutti – Małą Ammu. Mammaci przekonała Wellję Paapena, aby go wysłał do szkoły dla niedotykalnych założonej przez jej teścia, Punnjana

Kuńdzu.

Welutha miał czternaście lat, kiedy Johann Klein, stolarz z bawarskiego cechu, przyjechał do Kottajam, aby spędzić trzy lata w Chrześcijańskim Towarzystwie Misyjnym, gdzie uczył miejscowych stolarzy. Każdego popołudnia, po szkole Welutha wsiadał w autobus do Kottajam, gdzie pracował z Kleinem do zmierzchu. W wieku szesnastu lat ukończył szkołę średnią i był zawodowym stolarzem. Miał swój własny zestaw narzędzi i nieomylnie niemiecki zmysł estetyczny. Zbudował dla Mammaci stół jadalny w stylu Bauhausu z dwunastoma palisandrowymi krzesłami i tradycyjny bawarski szezlong z lżejszego drewna chlebowca. Do szopki bożonarodzeniowej dla Baby Koćammy wykonał cały stos rozpiętych na drucie skrzydeł anielskich, które przymocowywało się dzieciom do pleców jak plecaki; tekturowe chmury, z których miał się wyłonić archanioł Gabriel oraz rozbierany żłób, w którym miał się urodzić Chrystus. Kiedy srebrny łuk ogrodowego cherubina z nieznanymi przyczyn wysechł, osobą, która zreperowała jego pęcherz, był Welutha.

Oprócz stolarki Welutha znał się również na maszynach. Mammaci (z niezgłębioną logiką dotykalnych) często mawiała, że gdyby nie był parawanem, mógłby zostać inżynierem. Naprawiał radia, zegary, pompy wodne. Pod jego pieczęcią znajdowała się cała hydraulika i wszystkie urządzenia elektryczne w domu.

Kiedy Mammaci postanowiła zbudować tylną werandę, Welutha zaprojektował i wykonał suwane drzwi harmonijkowe, które stały się w Ajemenem najnowszym krzykiem mody. Welutha wiedział więcej niż ktokolwiek inny na temat maszyn w fabryce.

Kiedy Chacko zrezygnował z pracy w Madrasie i wrócił do Ajemenem z maszyną do próżniowego zamykania słoików firmy Bharat, Welutha zmontował ją i zainstalował. Welutha zajmował się konserwacją nowej maszyny do puszkowania i automatycznej krajarki do ananasów. Welutha oliwił pompę wodną i mały generator dieslowski. Welutha skonstruował pokryte blachą aluminiową, łatwe w czyszczeniu blaty i piece do gotowania owoców.

Jednak ojciec Weluthy, Wellja Paapen, był parawanem starej szkoły. Pamiętał dni zmiatania śladów – jego wdzięczność wobec Mammaci i jej rodziny za wszystko, co dla niego zrobili, była szeroka i głęboka jak wezbrana rzeka. Kiedy miał wypadek z kamiennym odłamkiem, Mammaci załatwiła mu szklane oko i zapłaciła za nie. Jeszcze nie odpracował długu i chociaż wiedział, że się tego od niego nie oczekuje i że nie byłby w stanie tego dokonać – miał poczucie, że oko nie należy do niego. Jego wdzięczność poszerzyła mu uśmiech i przygięła plecy.

Wellja Paapen bał się o swojego młodszego syna. Nie po trafił powiedzieć, co jest tego przyczyną. Nie to, co Welutha mówił lub robił. Nie to, co mówił, ale jak to mówił. Nie to, co robił, ale jak to robił.

Może chodziło po prostu o brak jakichkolwiek wątpliwości. Nieuzasadnioną pewność siebie. W tym, jak chodził, jak trzymał głowę. Jak nie proszony wysuwał własne sugestie.

Jak lekceważył sugestie cudze, nie sprawiając wrażenia zbuntowanego.

Były to cechy całkowicie dopuszczalne, a może nawet pożądane u dotykanych, Wellja Paapen uważał jednak, że u parawana mogą być, będą, a nawet powinny być interpretowane jako arogancja.

Wellja Paapen próbował przestrzec Weluthę. Ponieważ jednak nie potrafił jasno wyrazić, co go niepokoi, Welutha błędnie zrozumiał jego nieskładne zatroskanie. Odniósł wrażenie, że ojciec żałuje mu jego krótkiego terminowania i wrodzonych uzdolnień. Dobre intencje Wellji Paapena wkrótce sprowadziły swary, kłótnie i ogólnie nieprzyjemną atmosferę między ojcem a synem. Ku rozpaczy matki Welutha coraz mniej przebywał w domu. Pracował do późna. Łapał ryby w rzece i smażył na ognisku. Spał poza domem, na brzegu rzeki. Pewnego dnia zniknął. Przez cztery lata nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. Mówiono, że pracuje na budowie dla Ministerstwa Opieki Społecznej i Budownictwa w Triwandrum. Później pojawiła się nieuchronna pogłoska, że został naxalitą. Że siedział w więzieniu. Ktoś powiedział, że widział go w Quilon.

Nie było go jak zawiadomić, kiedy jego matka, Ćella, zmarła na gruźlicę. Potem Kuttappen, jego starszy brat, spadł z drzewa kokosowego i uszkodził sobie kręgosłup. Był sparaliżowany i niezdolny do pracy. Welutha dowiedział się o wypadku dopiero po roku.

Minęło pięć miesięcy, odkąd wrócił do Ajemenem. Z nikim nie rozmawiał na temat tego, gdzie był i co robił.

Mammaci ponownie przyjęła Weluthę do pracy jako stolarza w fabryce i zleciła mu również konserwację urządzeń. Wzbudziło to wielkie niezadowolenie wśród dotykanych pracowników fabryki, ponieważ ich zdaniem parawanowie nie byli przeznaczeni na stolarzy. A już z całą pewnością nie należało ponownie przyjmować do pracy wyrodnych parawanów.

Aby udobruchać pozostałych pracowników, a także dlatego, że wiedziała, iż nikt inny nie zatrudni Weluthy jako stolarza, Mammaci płaciła mu mniej niż płaciłaby dotykalnemu więcej, niż płaciłaby parawanowi. Mammaci nie zapraszała go do domu (chyba że potrzebowała, aby coś naprawił bądź zainstalował). Uważała, że powinien być wdzięczny za pozwolenie

przebywania na terenie fabryki i dotykania rzeczy, których dotykali dotykalni. Mówiła, że dla parawana jest to wielki awans.

Kiedy po wielu latach spędzonych poza domem powrócił do Ajemenem, Welutha wciąż miał w sobie to samo zdecydowanie. I tę samą pewność siebie. Wellja Paapen bał się o niego bardziej niż kiedykolwiek. Lecz tym razem zachował to dla siebie. Nie odzywał się ani słowem.

W każdym razie dopóki nie ogarnęła go Trwoga. Dopóki nie widział, noc w noc, małej łódki płynącej przez rzekę. Wracającej o świcie. Dopóki nie zobaczył, czego jego niedotykalny syn dotykał. Więcej niż dotykał.

Wchodził.

Kochał.

Kiedy ogarnęła go Trwoga, Wellja Paapen poszedł do Mammaci. Patrzył prosto przed siebie nie splecionym okiem. Płakał swoim własnym. Jeden policzek lśnił od łez. Drugi był suchy. Wellja Paapen kręcił głową z lewa na prawo i z powrotem, dopóki Mammaci nie kazała mu przestać. Drżał cały jak człowiek chory na malarię. Mammaci kazała mu przestać, lecz nie potrafił, ponieważ nie można komenderować strachem. Nawet strachem parawana. Wellja Paapen powiedział Mammaci, co widział. Poprosił Boga o przebaczenie za to, że spłodził potwora. Zaoferował się, że zabije syna gołymi rękami. Zniszczy to, co uczynił.

Baby Koćamma usłyszała jakiś hałas z sąsiedniego pokoju i poszła sprawdzić, co się tam dzieje. Zobaczyła, że szykują się nieszczęścia i kłopoty i w głębi serca ucieszyła się z tego. Powiedziała (między innymi): „Jak ona mogła znieść ten zapach? Zauważyłaś, jak oni dziwnie pachną, ci parawanowie?” Wzdrygnęła się teatralnie, jak dziecko karmione na siłę szpinakiem. Nad dziwny zapach parawanów przedkładała zapach irlandzko-jezuicki.

Bez porównania.

Welutha, Wellja Paapen i Kuttappen mieszkali w niewielkiej chacie z laterytu, w dół rzeki od Ayemenem House. Dla Esthappena i Rahel to trzy minuty biegu wśród drzew kokosowych. Dopiero co przyjechali do Ajemenem z Ammu i byli zbyt młodzi, żeby pamiętać Weluthę sprzed jego zniknięcia. Lecz po swoim powrocie bardzo się z nim zaprzyjaźnili. Nie wolno im było odwiedzać go w jego domu, ale robili to wbrew zakazowi. Przesiadali u niego godzinami, na ziemi – zgarbione znaki przestankowe w sadzawce ścinków drewnai dziwili się, skąd on zawsze wie, jakie zgrabne kształty czekają na niego w drewnie. Uwielbiali patrzeć, jak drewno w rękach Weluthy staje się miękkie i plastyczne jak plastelina. Nauczył ich posługiwać się heblem. Jego

dom (w pogodny dzień) pachniał świeżymi obrzynkami drewna i słońcem. Czerwonym curry rybnym gotowanym z czarną tamaryndą. Zdaniem Esthy najlepszym curry rybnym na całym świecie. Welutha zrobił Rahel najszczęśliwszą wędkę w jej życiu i nauczył bliźnięta łowić ryby.

Tego błękitnego grudniowego dnia to rzeczywiście był on, jego ujrzała przez czerwone okulary przeciwsłoneczne, jak maszeruje z czerwoną flagą przez przejazd kolejowy pod Koczinem.

Stalowy wrzask gwizdków policyjnych powybił dziury w Parasolu Hałasu. Przez postrzępione otwory Rahel widziała fragmenty czerwonego nieba. Na czerwonym niebie kołowały czerwone kanie, wypatrując szurów. W żółtych oczach miały drogę i maszerujące czerwone flagi. I białą koszulę na czarnych plecach ze znamieniem.

Maszerującą.

Strach, pot i puder zmieszały się w fiołkoworóżową pastę pomiędzy pierścieniami tłuszczu na szyi Baby Koćammy.

Ślina stężała w białe kropelki w kącikach jej ust. Wydawało się jej, że widziała w procesji mężczyznę podobnego do naxality Rajana, którego zdjęcie było w gazetach i o którym krążyły pogłoski, że przeniósł się z Palghat na południe. Wydawało się jej, że spojrział prosto na nią.

Mężczyzna z czerwoną flagą i twarzą jak węzeł otworzył drzwi od strony Rahel, ponieważ nie były zamknięte. Cała grupa mężczyzn zatrzymała się, aby popatrzeć.

– Gorąco ci, dziecinko? – mężczyzna z twarzą jak węzeł uprzejmie spytał Rahel w malajalam. A potem, nieprzyjemnym głosem: – To poproś tatusia, żeby ci kupił klimatyzację! Zarechotał, zachwycony swym dowcipem i inteligencją. Rahel uśmiechnęła się do niego, szczęśliwa, że wziął Chacka za jej ojca. Jakby byli normalną rodziną.

– Nie odpowiadaj! – przykazała jej Baby Koćamma chrapliwym szeptem. – Patrz w dół! Patrz w dół!

Mężczyzna z flagą przerzucił uwagę na nią. Wzrok miała wbity w podłogę samochodu. Jak nieśmiała, przerażona panna młoda, która została wydana za obcego człowieka.

– Dzień dobry, siostrze – rzekł mężczyzna staranną angielszczyzną. – Jak się nazywasz?

Kiedy nie odpowiedziała, odwrócił się do współdemonstrantów.

– Nie nazywa się.

– A może Modalali Mariakutti? – zasugerował ktoś z chichotem. „Modalali” znaczy w malajalam właściciel ziemski. – A, B, C, D, X, Y, Z – powiedział ktoś inny szyderczo.

Do samochodu przybliżyli się kolejni studenci. Dla ochrony przed słońcem wszyscy mieli na głowach chusty albo bombajskie bawełniane ręczniczki do rąk z nadrukami. Wyglądali jak statyści, którzy zeszli z planu malajalamskiej wersji filmu Ostatnia podróż Sindbada.

Mężczyzna z twarzą jak węzeł dał Baby Koćamma w prezencie swoją czerwoną flagę.

– Masz – powiedział. – Trzymaj.

Baby Koćamma wzięła flagę, nie patrząc na niego.

– Pomachaj – przykazał.

Pomachała. Nie miała wyboru. Flaga pachniała nowym płótnem i sklepem. Szorstka i zakurzona. Baby Koćamma próbowała machać flagą tak, jakby to nie było machanie. – Teraz powiedz Inquilab Zindabad!

– Inquilab Zindabad – szepnęła Baby Koćamma.

– Grzeczna dziewczynka.

Tłum ryknął śmiechem. Rozległ się ostry dźwięk gwizdka. – No to doskonale – rzekł mężczyzna z twarzą jak węzeł do Baby Koćammy, jakby zawarli jakąś korzystną dla obu stron transakcję. – Do widzenia!

Zatrzasnął błękitne drzwi. Baby Koćamma zachwiała się.

Ludzie zebrani wokół samochodu rozproszyli się i wrócili do przerwane marszu.

Baby Koćamma zwinęła czerwoną flagę i położyła ją na półce za tylnym siedzeniem. Włożyła różaniec z powrotem pod bluzkę. Próbowła się czymś zająć, aby ocalić trochę godności.

Gdy minęli ich ostatni maszerujący, Chacko powiedział, że teraz już można pootwierać okna.

– Jesteś pewna, że to był on? – spytał Rahel.

– Kto? – Rahel stała się nagle czujna.

– Jesteś pewna, że to był Welutha?

– Nnnno... – Rahel grała na zwłokę, usiłując odszyfrować paniczne sygnały myślowe Esthy.

– Pytałem, czy jesteś pewna, że mężczyzna, którego widziałaś, to był Welutha – powtórzył Chacko po raz trzeci. – Nnno... tak... prawie... – odparła Rahel.

– Jesteś prawie pewna? – spytał Chacko.

– Nie... to był prawie Welutha. Wyglądał prawie jak on... – Czyli nie jesteś pewna?

– Prawie nie.

Rahel poszukała wzrokiem aprobaty Esthy.

– To musiał być on – uznała Baby Koćamma. – Triwandrum tak go zmieniło. Kiedy stamtąd wracają, wydaje im się, że są wielkimi politykami.

Jej przenikliwość nie zrobiła na nikim większego wrażenia. – Musimy mieć na niego oko – powiedziała Baby Koćamma. – Jeżeli zaczniesz coś kombinować w fabryce ze związkami zawodowymi... Zauważyłam pewne rzeczy, jakąś niegrzeczność, jakąś niewdzięczność... Któregoś dnia poprosiłam go, żeby mi pomógł przynieść kamieni do skalnej rabaty, a on... – Widziałem Weluthę w domu, zanim wyjechaliśmy – przerwał jej Estha radosnym tonem. – Więc to nie mógł być on.

– Dla jego własnego dobra – odparła ponuro Baby Koćamma – życzę mu, żeby to nie był on. A następnym razem nie przerywaj, Esthappen.

Była rozczarowana, że nikt jej nie zapytał, co to jest skalna rabata.

Przez następne dni Baby Koćamma skupiła całą swoją energię na publicznym upokarzeniu Weluthy. Zaostrzyła swoją furię jak ołówek. Welutha urósł w jej wyobraźni do rangi symbolu komunistycznego marszu. I mężczyzny, który kazał jej machać flagą partii marksistowskiej. I mężczyzny, który nazwał ją Modalali Mariakutti. I wszystkich mężczyzn, którzy się z niej śmiali.

Znienawidziła go.

Po sposobie, w jaki Ammu trzymała głowę, Rahel poznała, że wciąż jest wściekła. Rahel spojrzała na zegarek. Za dziesięć druga. Pociąg wciąż nie nadjeżdża. Położyła brodę na ramie okna. Czowała, jak szorstki filc chroniący szybę wciska się jej w skórę podbródka. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne, aby lepiej się przyjrzeć martwej żabie rozplaskaconej na drodze. Była tak martwa i tak płaska, że bardziej niż żabę przypominała plamę po żabie na drodze. Rahel zastanawiała się, czy wóz mleczarski zrobił z panny Mitten rozplaskaconą plamę po pannie Mitten.

Z niezachwianą pewnością osoby głęboko wierzącej Wellja Paapen oznajmił bliźniętom, że na świecie nie istnieje coś takiego jak czarne koty. Powiedział, że istnieją tylko dziury po kotach we wszechświecie.

Na drogach było tyle plam.

Rozplaskaconych plam po pannie Mitten we wszechświecie.

Rozplaskaconych plam po żabie we wszechświecie. Rozplaskaconych wron, które próbowały zjeść rozplaskacone plamy po żabach we wszechświecie.

Rozplaskanych psów, które jadły rozplaskane plamy po wronach we wszechświecie.

Piór. Owoców mango. Śliny. Przez całą drogę do Koczinu.

Słońce świeciło przez okno plymoutha prosto na Rahel. Zamknęła oczy i chłonęła światło. Nawet za powiekami było jasne i gorące. Niebo było pomarańczowe, a drzewa kokosowe przypominały morskie zawilce, wymachujące mackami w nadziei, że schwytają i zjedzą nie podejrzewającą niczego chmurę. Przez niebo przepłynął przezroczysty cętkowany wąż z widlastym językiem. Potem przezroczysty rzymski żołnierz na cętkowanym koniu. Kiedy Rahel oglądała rzymskich żołnierzy w komiksach, najbardziej dziwiło ją, że zawsze tyle się napracowali nad założeniem zbroi i hełmu, lecz nogi pozostawiali bez ochrony. To nie miało żadnego sensu. Musieli się w tym strasznie pocić i w ogóle.

Ammu opowiedziała im historię Juliusza Cezara, jak został zasztyletowany w senacie przez Brutusa, swego najlepszego przyjaciela. Jak upadł na ziemię z nożami w plecach i powiedział: „Et tu, Brute? – I poległ Cezar?”

– To tylko dowodzi – powiedziała Ammu – że nikomu nie można ufać. Matce, ojcu, bratu, mężowi, najlepszemu przyjacielowi. Nikomu.

Kiedy dzieci spytały, czy ich dwojga to również dotyczy, powiedziała, że się zobaczy. Nie można wykluczyć, powiedziała, na przykład, że Estha wyrośnie na męską szowinistyczną świnię.

Wieczorem Estha stawał na łóżku owinięty prześcieradłem, mówił: „Et tu, Brute? – I poległ Cezar!” – po czym walił się na łóżko, nie zginając kolan, jak zasztyletowany trup. Koću Maria, która spała na macie na podłodze, oznajmiła, że poskarży się Mammaci.

– Powiedz matce, żeby cię zabrała do domu twojego ojcamówiła. – Tam możesz popsuć tyle łóżek, ile chcesz. Te łóżka nie są twoje. To nie jest twój dom.

Estha zmartwychpowstawał i mówił: „Et tu, Koću Maria? – I poległ Estha!” – i umierał ponownie.

Koću Maria była przekonana, że „Et tu” to jakiś angielski wulgaryzm i czekała na sposobność, by poskarży się Mammaci.

Kobieta w sąsiednim samochodzie miała na ustach okruszki herbatników. Jej mąż zapalił poherbatnikowego papierosa. Wypuścił przez nos dwa kłęby dymu i przez krótką chwilę wyglądał jak dzik. Pani Dzikowa spytała Rahel tonem, jakim się mówi do niemowlaka, jak ma na imię.

Rahel zignorowała ją i niechący wydmuchnęła bąbelek śliny.

Ammu nie znosiła, gdy wydmuchiwali bąbelki śliny. Powiedziała, że przypomina jej to Babę. Ich ojca. Powiedziała, że miał zwyczaj wydmuchiwać bąbelki śliny i ruszać nogą. Według Ammu jest to zachowanie stosowne dla urzędników, lecz nie dla arystokratów.

Arystokraci to ludzie, którzy nie wydmuchują bąbelków śliny i nie ruszają nogą. Ani nie siorbią.

Baba nie był urzędnikiem, lecz Ammu mówiła, że często zachowywał się jak urzędnik.

Kiedy byli sami, Estha i Rahel bawili się czasem w urzędników. Wydmuchiwali bąbelki śliny, ruszali nogą i gulgotali jak indyki. Pamiętali swego ojca, którego znali w okresie między wojnami. Kiedyś pozwolił im się zaciągnąć swoim papierosem i był zły, ponieważ zaczęli go ssać i oślinili filtr. – To nie jest lizak! – powiedział, autentycznie rozgniewany. Pamiętali jego gniew. I gniew Ammu. Pamiętali, jak Ammu i Baba przerzucali się nimi między sobą jak kulami bilardowymi. Ammu odpychała Esthę od siebie i mówiła do Baby:

„Masz, weź sobie jedno. Nie mogę się zajmować obojgiem”. Później kiedy Estha spytał ją o to, Ammu przytuliła go i powiedziała, że coś mu się musiało przyśnić.

Na jedynym jego zdjęciu, jakie widzieli (Ammu pozwoliła im raz na nie popatrzeć), był w białej koszuli i okularach. Wyglądał jak przystojny, zapalony gracz w krykieta. Jedną ręką przytrzymał Esthę, który siedział mu na ramionach. Estha uśmiechał się, opierając podbródek na głowie ojca. Drugim ramieniem Baba trzymał z boku Rahel. Miała naburmuszoną minę, a jej dziecięce nóżki dyndały w powietrzu. Ktoś pomalował im policzki w różowe ciapki.

Ammu powiedziała, że wziął je na ręce tylko do zdjęcia, a i wtedy był taki pijany, iż bał się, że je upuści. Ammu powiedziała, że stała tuż za kadrem, aby je złapać, gdyby to zrobił. Mimo to Estha i Rahel uważali, że to bardzo ładne zdjęcie (nie podobały im się tylko ciapki na policzkach).

– Przestań! – powiedziała Ammu, tak głośno, że Murlidharan, który zeskoczył z kamienia milowego, aby zaglądnąć do plymoutha, odskoczył do tyłu i przerażony zatrzepotał kikutami ramion.

– Co? – spytała Rahel, ale od razu wiedziała, o co chodzi. O bąbelek śliny. – Przepraszam, Ammu.

– Przepraszam nie przywróci zmarłego do życia – powiedział Estha.

– Dajże spokój! – przerwał Chacko. – Nie możesz jej dyktować, co ma robić z własną śliną!

– Nie wtrącaj się – odwarknęła Ammu.

– To przypomina jej przeszłość – mądrze wyjaśnił Chackowi Estha.

Rahel założyła okulary przeciwsłoneczne. Świat przybrał gniewny kolor.

– Zdejmij te idiotyczne okulary! – rozkazała Ammu. Rahel zdjęła idiotyczne okulary.

– Traktujesz je po faszystowsku – oponował Chacko. Nawet dzieci mają jakieś prawa, na litość boską!

– Nie wzywaj imienia Pana Boga swego nadaremno odparła Baby Koćamma.

– Mam bardzo dobry powód – sprzeciwił się Chacko.

– Przestań pozować na wielkiego obrońcę dzieci! – powiedziała Ammu. – Kiedy przychodzi co do czego, nic cię nie obchodzą. Ja też.

– W końcu to nie ja jestem za nie odpowiedzialny – odparł Chacko. Powiedział, że Ammu, Estha i Rahel to kamienie młyńskie u jego szyi.

Tyły nóg Rahel były mokre od potu. Skóra jej się ślizgała po tapicerce siedzenia ze skaju. Rahel i Estha wiedzieli, o co chodzi z kamieniami młyńskimi. W Buncie na Bounty kiedy ludzie zmarli na morzu, zawijano ich w prześcieradła i wyrzucano za burtę z kamieniami u szyi, żeby ciała nie wypłynęły. Estha zastanawiał się, skąd wiedzieli, ile kamieni młyńskich mają zabrać ze sobą w podróż.

Estha położył sobie głowę na kolanach.

Pękł mu bąbelek śliny.

Poplamiona żabą droga zaczęła dymić odległym dudnieniem pociągu. Liście ignamu po drugiej stronie torów zaczęły zgodnie kiwać głowami. Taktaktaktaktak.

Łysi pielgrzymi w „Beena Mol” zaintonowali kolejny bhadżan.

– Ech, ci hindusi – powiedziała Baby Koćamma z oburzeniem w głosie. – Nie mają żadnego szacunku dla ludzkiej prywatności.

– Mają za to rogi i łuski zamiast skóry – odparł Chacko sarkastycznie. – Słyszałem też, że ich dzieci wylęgają się z jaj. Rahel miała na czole dwa guzy i Estha powiedział jej, że wyrosną z nich rogi. A przynajmniej jeden, ponieważ była półhinduską. Nie wykazała się refleksem i nie spytała o o jego rogi. Bo przecież on też był półhindusem.

Pociąg zaklekotał im przed oczyma pod słupem gęstego czarnego dymu. Liczył trzydzieści dwa wagony, a w drzwiach pełno było młodych mężczyzn w hełmowatych fryzurach, którzy jechali na kraj świata, aby zobaczyć, co się stało z ludźmi, którzy spadli. Ci z nich, którzy za bardzo się wychylali, sami też spadali. W smagającą ciemność, z rozwichrzonymi fryzurami.

Pociąg zniknął tak szybko, że trudno im było uwierzyć, iż kazano im tak długo czekać. Liście ignamu kiwały głowami jeszcze długo po zniknięciu pociągu, jakby całkowicie się z nim zgadzały i nie miały żadnych wątpliwości. Ażurowa powłoka sadzy spłynęła w dół jak brudne błogosławieństwo i delikatnie okryła samochody.

Chacko zapalił silnik plymoutha. Baby Koćamma próbowała być wesoła. Zaczęła śpiewać piosenkę.

Smutno jakoś dzwoni Zegar w Ratuszu I sygnaturki na wie-ży.

A w lasku Śmieszny Mały Ptaszek Robi...

Spojrzała na Esthę i Rahel, czekając, aż zaśpiewają „ku-ku”. Nie zaśpiewali.

Pęd powietrza uderzał w samochód. Za oknami przelatywały zielone drzewa i słupy telefoniczne. Nieruchome ptaki przesuwały się na ruchomych drutach, jak nie odbierany bagaż na lotnisku.

Błady dzienny księżyc unosił się ciężko na niebie i podążał za nimi krok w krok. Wielki jak brzuch piwosza.

3. Wielki człowiek

Laltain, mały człowiek Mombatti Brud oblegał Ayemenem House jak średniowieczna armia zamek wroga. Zatykał każdą szparę i kleił się do okien. Muszki bzycały w czajniczkach na herbatę. Zdechłe owady leżały w pustych flakonach.

Podłoga była lepka. Białe ściany przybrały niejednolity szary kolor. Mosiężne zawiasy i klamki były matowe i tłuste w dotyku. Rzadko używane gniazdka były zalepione brudem, żarówki okryte oleistą błoną. Błyszczały tylko gigantyczne karaluchy, które harcowały po domu jak lakierowani chłopcy na posyłki po planie filmowym.

Baby Koćamma już dawno przestała to wszystko zauważać.

Koću Maria, która wszystko zauważała, przestała się przejmować.

Szezlóng, na którym wypoczywała Baby Koćamma, miał dziury w gnijącej tapicerce, wypełnione zgniecionymi skorupami po orzechach.

W geście nieświadomej demokratyzacji oglądające telewizję pani i służąca sięgały do tej samej miski z orzechami. Koću Maria wrzucała sobie orzechy do ust, Baby Koćamma dostojnie podnosiła.

W programie Best of Donahue publiczność w studio oglądała fragment filmu, w którym czarny uliczny grajek śpiewał Somewhere Over the Rainbow na stacji metra. Śpiewał z uczuciem, jakby naprawdę wierzył w słowa piosenki. Baby Koćamma śpiewała wraz z nim, jej cienki, wibrujący głos był pogrubiony przez orzechową miazgę. Uśmiechała się, przypominając sobie tekst. Koću Maria spojrzała na nią jak na wariatkę i zgarnęła więcej orzechów, niż jej przysługiwało. Przy wyższych partiach grajek uliczny odrzucał głowę do tyłu i prążkowane różowe sklepienie jego ust wypełniało cały ekran telewizora. Miał na sobie złachmaniony strój gwiazdy rockowej, ale brak zębów i niezdrowa, blada cera kazały domyślać się człowieka, który żyje w nędzy i rozpacz. Musiał przerywać śpiewanie za każdym razem, gdy przyjeżdżał lub odjeżdżał pociąg, czyli dosyć często.

Potem w studio zapaliły się światła i Donahue przedstawił publiczności grajka, który, co zostało starannie zaaranżowane, podjął piosenkę dokładnie w tym momencie, w którym musiał ją przerwać na filmie (bo przyjechał pociąg) – wzruszające zwycięstwo pieśni nad pociągiem.

Po chwili grajek znów przerwał w połowie, kiedy Phil Donahue objął go ramieniem

i powiedział: „Dziękuję panu. Dziękuję panu bardzo”.

Oczywiście to zupełnie co innego, kiedy zamiast turkotu metra przerywa ci Phil Donahue. To przyjemność. To zaszczyt.

Publiczność w studio klaskała i wyglądała na przepelnioną współczuciem.

Grajek promieniał antenowym szczęściem i na kilka chwil nędza i rozpacz się schowały. Powiedział, że zawsze marzył o tym, aby zaśpiewać w programie Phila Donahue, nie zdając sobie sprawy, że właśnie został pozbawiony również i tego marzenia.

Bywają marzenia większe i mniejsze. „Duży Człowiek Laltain sahib, Mały Człowiek Mombatti”, jak stary kulis z Biharu, który wychodził po wycieczkę szkolną Esthy na dworzec kolejowy (niezmiennie, rok po roku), mawiał o snach.

Piosenka Dorothy z Czarnoksiężnika z Krainy Oz o lepszym świecie „gdzieś nad tęczą”.

Duży Człowiek Latarnia. Mały Człowiek Świeca Łojowa.

Olbrzymi Człowiek Światłówki, nie dodał. I Mały Człowiek Stacja Metra.

Wychowawcy targowali się z nim, gdy włókł się za nimi z bagażem chłopców, jego krzywe nogi stawały się jeszcze bardziej wykrzywione. Okrutne uczniaki małpowały jego sposób chodzenia. Jaja-w-Klamrach, nazywali go.

Najmniejszy Człowiek Żyłaki – wyraźnie zapomniał powiedzieć, gdy odchodził z połową sumy, o którą poprosił, i jedną dziesiątą tego, na co rzeczywiście zapracował. Deszcz przestał padać. Szare niebo zmaśliło się, chmury zbiły się w niewielkie grudki, jak podlej jakości wysp materaca. W drzwiach kuchni stanął Esthappen, mokry (i wyglądający na mądrzejszego niż naprawdę był). Za jego plecami lśniła długa połać trawy. Szczenię stało obok niego na stopniach. Krople deszczu zsuwały się po półkolistym dnie zardzewiałej rynny na krawędzi dachu, jak błyszczące kulki liczydła.

Baby Koćamma oderwała wzrok od telewizora.

– Przylazł – zwróciła się do Rahel, nie pofatygowawszy się nawet, aby ściszyć głos. – A teraz patrzcie. Nie odezwie się. Pójdzie prosto do swojego pokoju. Zaraz zobaczycie. Szczenię skorzystało z okazji i usiłowało wgramolić się do środka. Koću Maria załomotała pięścią w podłogę i krzyknęła:

– Hop! Hop! Poda Patti!

Szczenię roztropnie poniechało swych zamierzeń. Rytuał ten był mu najwyraźniej znajomy.

– Spójrzcie! – zawołała Baby Koćamma. Była wyraźnie podniecona. – Pójdzie prościutko do

swojego pokoju i wypierze ubranie. Ma obsesję czystości... nie odezwie się ani słowem!

Przypominała strażnika w rezerwacie przyrody, który pokazuje jakieś zwierzę w trawie. Dumny z tego, że umie przewidzieć jego ruchy. Zna na wylot jego przyzwyczajenia i upodobania.

Włosy Esthy były pozlepiane w pasemka i przyklejone do głowy. Przypominały odwrócone płatki kwiatu. Przeświecały między nimi białe plamy czaszki. Strużki wody spływały mu po twarzy i szyi. Wszedł do swojego pokoju.

Wokół głowy Baby Koćammy wykwitła aureola dumy.

– Widziałyście? – powiedziała.

Koću Maria skorzystała z okazji i przerzuciła na kanał, na którym szło Prime Bodies.

Rahel poszła za Esthą do jego pokoju. Niegdyś pokoju Ammu.

Pokój zatrzymał dla siebie swoje tajemnice. Niczego nie wyjawiał. Nie zostawił śladów w postaci skotłowanej pościeli, ściągniętego bez rozwiązywania sznurówek buta albo mokrego ręcznika wiszącego na oparciu krzesła. Albo przeczytanej do połowy książki. Wyglądał jak sala szpitalna, którą właśnie posprzątano. Podłoga była czysta, ściany białe. Szafa zamknięta. Buty poukładane. Kosz na śmieci pusty.

Obsesyjna czystość pokoju była jedyną pozytywną wskazówką, że Estha ma wolę. Jedyną sugestią, że być może ma również jakiś Pomysł na Życie. Cichym jak szept wyrazem niechęci do wegetowania na resztkach po innych. Przy ścianie pod oknem na desce do prasowania stało żelazko. Sterta złożonych, pomiętych ubrań czekała na wyprasowanie.

Cisza wisiała w pokoju jak tajemna utrata czegoś.

Straszliwe upiory zbyt charakterystycznych zabawek obsiadły pióra wentylatora pod sufitem. Procy. Misia koala (od panny Mitten) z naderwanymi oczami z guzików. Nadmuchiwanej gęsi (przebitej przez policjanta papierosem). Dwóch długopisów z milczącymi krajobrazami ulic i czerwonymi londyńskimi autobusami, które pływały w nich tam i z powrotem. Estha odkręcił kran i woda zadudniła o dno plastikowego wiadra. Rozebrał się w lśniącej łazience. Zrzucił zabłocone džinsy. Sztywne. Ciemnoniebieskie. Trudne do zdjęcia. Ściągnął podkoszulek w kolorze rozgniecionych truskawek, krzyżując nad głową gładkie, szczupłe, umięśnione ramiona. Nie usłyszał, jak jego siostra stanęła w drzwiach.

Rahel patrzyła, jak jego brzuch wsysa się do środka, a klatka piersiowa wydyma, gdy podkoszulek odszedł mu od ciała, zostawiając skórę mokrą i miodową. Jego twarz, szyja i trójkąt

pod szyją były ciemniejsze od reszty ciała. Również jego ramiona były w dwóch odcieniach. Bledsze do miejsca, w którym kończyły się rękawy. Ciemnobrunatny mężczyzna w bladomiodowym ubraniu. Czekoladowy z przebłyskami kawy. Wysokie kości policzkowe i oczy ściganego zwierzęcia. Rybak w łazience wykładanej białą glazurą, z morskimi sekretami w oczach.

Widział ją? Naprawdę się rozzłościł? Wiedział, że ona tam jest?

Nigdy nie wstydzili się wobec siebie swych ciał, ale w czasach, gdy przebywali ze sobą, byli za młodzi, żeby wiedzieć, co to jest wstyd.

Teraz już byli wystarczająco starzy.

Starzy.

W sam raz w wieku umieralnym.

Co za dziwne słowo, starzy, pomyślała Rahel, i powiedziała do siebie: „starzy”.

Rahel w drzwiach łazienki. Wąskie biodra. („Powiedz jej, że będą musieli zrobić cesarkę!” – powiedział do jej męża pijany ginekolog, kiedy czekali na resztę na stacji benzynowej). Jaszczurka na mapie na jej spłówałym podkoszulku. Długie, rozwichrzone włosy z głębokorudym połyskiem henny opadały jej nieporządnymi kosmykami na kark. Brylant w nosie migotał. Czasami. Czasami nie. Cienka złota bransoleta z głowami węża świeciła pomarańczowo wokół nadgarstka. Smukłe węże szeptały do siebie, stykając się głowami. Przetopiona obrączka ślubna jej matki. Delikatny puszek zmiękczał ostre linie chudych, kanciastych ramion.

Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie, jakby wrosła w skórę swojej matki. Wysokie kości policzkowe. Głębokie dołeczki, kiedy się uśmiechała. Była jednak wyższa, jędrniejsza, bardziej płaska i kanciasta niż kiedyś Ammu. Pewnie mniej atrakcyjna dla tych, którzy lubią u kobiet krągłości i miękkości. Tylko jej oczy były bezdyskusyjnie piękniejsze. Ogromne. Jaśniejsze. „Można się w nich utopić”, jak powiedział i przekonał się na swą zgubę Larry McCaslin.

Rahel szukała w nagości brata oznak podobieństwa.

W kształcie kolan. W wysklepieniu podbicia stopy. W pochyłości ramion. W zgięciu łokcia. W paznokciach u nóg, które sterczały na końcach trochę do góry. W rzeźbionych zagłębieniach po obu stronach naprzężonych, pięknych pośladków. Jak napięta skórka śliwki. Pupy mężczyzn nigdy nie stają się dorosłe. Jak szkolne tornistry, natychmiast przywołują wspomnienia z dzieciństwa. Dwie blizny po szczepieniach błyszczały mu na ramieniu jak monety. Ona była

szczepiona w uda.

Dziewczęta zawsze są szczepione w uda, mawiała Ammu.

Rahel obserwowała Esthę z zaciekawieniem matki, która patrzy na swe mokre dziecko. Siostry, która patrzy na brata. Kobiety, która patrzy na mężczyznę. Bliźniaczki, która patrzy na swego brata bliźniaka.

Wypuściła wszystkie te latawce naraz.

Był nagim, przypadkowo spotkanym obcym mężczyzną.

Był tym, którego znała, zanim zaczęło się życie. Był tym, który wyprowadził ją (płynąc) z pochwy ich pięknej matki. Nieznośna polaryzacja. Obcość-bliskość nie do pogodzenia ze sobą.

Na płatku ucha Esthy połyskiwała kropla deszczu. Gęsta i srebrna w świetle jak ciężka kulka rtęci. Wyciągnęła rękę. Dotknęła kropli. Zabrała ją.

Estha nie spojrział na nią. Uciekł w jeszcze większy bezruch. Jakby jego ciało posiadało władzę wsysania jego zmysłów do środka (zawężlonych, w kształcie jajka), zabierania ich z powierzchni jego skóry w jakieś głębsze, bardziej niedostępne zakamarki.

Cisza podkasała spódnicę i pomknęła, jak Kobieta-Pająk, po śliskiej ścianie łazienki.

Estha włożył swoje mokre ubrania do wiadra i zaczął je prać kruszącym się, jasnoniebieskim mydłem.

4. Abhilash Talkies

Abhilash Talkies reklamowało się jako pierwsze w Kerali kino z ekranem panoramicznym. Dla podkreślenia tego faktu fasadę budynku zaprojektowano w formie betonowej repliki zakrzywionego ekranu panoramicznego. Na górze widniał neonowy napis „Abhilash Talkies” po angielsku i w malajalam. Toalety nazywały się ON i ONA. ONA dla Ammu, Rahel i Baby Koćammy. ON dla samego Esthy, ponieważ Chacko pojechał zarezerwować pokój w hotelu Sea Queen.

– Dasz sobie radę? – spytała zatroskana Ammu.

Estha skinął głową.

Przez czerwone drzwi z laminatu, które powoli zamykały się same, Rahel poszła za Ammu i Baby Koćammą do ONEJ. Odwróciła się, aby pomachać nad śliskooleistą marmurową podłogą Escie Samemu (z grzebieniem), w beżowych butach w szpic. Estha czekał w brudnym marmurowym holu z sa motnymi, obserwującymi lustrami, aż czerwone drzwi zabiorą jego siostrę. Potem odwrócił się i począł do ONEGO.

W ONEJ Ammu zasugerowała, aby Rahel nie siadała na sedesie. Powiedziała, że publiczne klozety są brudne. Tak jak pieniądze. Nigdy nie wiadomo, kto ich dotykał. Trędowaci. Rzeźnicy. Mechanicy samochodowi. (Ropa. Krew. Smar.)

Kiedy pewnego razu Koću Maria zabrała ją do masarni, Rahel zauważyła, że na zielonym banknocie pięciorupowym, który wydał im rzeźnik, jest maleńka grudka czerwonego mięsa. Koću Maria starła grudkę kciukiem. Krew zostawiła po sobie czerwoną smugę. Koću Maria włożyła sobie banknot za stanik. Pachnące mięsem krwawe pieniądze.

Rahel była za niska, aby kucnąć nad sedesem, więc Ammu i Baby Koćamma przytrzymały ją. Wisiała wysoko w górze ze ściągniętymi majtkami, stopy w sandałach od Baty dyndały w powietrzu. Przez jakiś czas nic się nie wydarzyło. Rahel spojrzała na swą matkę i cioteczną babkę z łobuzerskimi (co teraz?) pytajnikami w oczach.

– No, dalej – powiedziała Ammu. – SssĂĂĂiii.

SssĂĂĂiii jak siusiu. Mmmmm jak Dźwięki muzyki.

Rahel zachichotała. Ammu zachichotała. Baby Koćamma zachichotała. Kiedy spadły pierwsze krople, Ammu i Baby Koćamma skorygowały położenie Rahel w powietrzu. Nie była

zawstydzona. Kiedy skończyła, Ammu podtarła ją papierem toaletowym.

– Kto pierwszy, ty czy ja? – Baby Koćamma spytała Ammu. – Wszystko jedno – odparła Ammu. – Ty.

Rahel przytrzymała jej torebkę. Baby Koćamma uniosła pomięte sari. Rahel lustrowała olbrzymie nogi swej ciotecznej babki. (Wiele lat później, kiedy słuchała czytanego na głos rozdziału z podręcznika do historii – „Cesarz Babur miał skórę koloru pszenicy i uda jak słupy” – scena ta mignęła jej przed oczyma. Baby Koćamma kucnęła jak ptak nad publiczną muszlą klozetową. Niebieskie żyły jak gruzłowata włóczka biegly do góry po jej przezroczystych goleniach. Dołączki na tłustych kolanach. Owłosionych. Biedne stópki, które musiały dźwigać taki ciężar!) Baby Koćamma nie czekała ani pół chwili. Z głową wysuniętą do przodu. Głupawy uśmiech. Piersi opadające nisko. Melony w bluzce. Pupa do góry i do tyłu. Kiedy rozległ się gulgoczący, pienisty dźwięk, słuchała oczami. Żółty potok pędził przez górską przełęcz.

Rahel podobało się to wszystko. Trzymanie torebki. Wszyscy sikający przy wszystkich. Jak przyjaciele. Wtedy jeszcze nie wiedziała, jak bardzo cenne jest to poczucie. Jak przyjaciele. Już nigdy nie były później tak bardzo razem. Ammu, Baby Koćamma i ona.

Kiedy Baby Koćamma załatwiła się, Rahel spojrzała na zegarek.

– Strasznie długo ci zeszło, Baby Koćamma – powiedziała. – Jest za dziesięć druga.

Mnhamaharannie (pomyślała Rahel) Trzy kobiety w wannie, Zostań jeszcze chwilę, powiedziała Poivol:za.

Powolny to osoba, pomyślała. Powolny Kurier. Powolny Kutti. Powolna Mol. Powolna Koćamma.

Powolny Kutti. Szybki Werhese. I Kuriakose. Trzech braci z łupieżem. Ammu wysikała się migiem. Na ściankę muszli klozetowej, aby nie było słyhać. Z jej oczu zniknęła twardość jej ojca, znów miała swoje własne oczy. Uśmiechnęła się uroczo i nie była już chyba rozgniewana. O Weluthę czy bąbelek śliny.

Był to Dobry Znak.

Estha Sam w ONYM sikał na kulki naftaliny i niedopałki papierosów w pisuarze. Sikanie do muszli klozetowej byłoby Kapitulacją. Na sikanie do pisuaru był za niski. Musiał na czymś stanąć. W kącie znalazł brudną miotłę i kubel w połowie wypełniony mleczną cieczą (fenylem), w której pływało coś czarnego. Wiotka szmata do podłogi i dwie zardzewiałe puste puszki. Nie wiadomo po czym. Może po produktach firmy „Paradise”. Po kawałkach ananasa w syropie.

Albo po plastrach. Po plastrach ananasa. Puszki jego babci przywróciły Escie Samemu honor: ustawił je przed pisuarem, stanął jedną nogą na każdej i sikał ostrożnie, niemal nieruchomym strumieniem. Jak Mężczyzna. Niedopałki papierosów, wcześniej nawilgłe, teraz były mokre i wirowały. Trudno byłoby je zapalić. Kiedy był już gotów, Estha przesunął puszki pod umywalkę, nad którą wisiało lustro. Umył ręce i zmoczył włosy. Potem, za dużym dla niego grzebieniem Ammu, starannie odtworzył swój czub. Przyliżał do tyłu, popchnął do przodu i zaczesał szpice na boki. Włożył grzebień z powrotem do kieszeni, zszedł z puszek i odstawił je do kąta obok kubła, szmaty i miotły. Ukłonił się tym wszystkim przedmiotom. Kubłowi, miotle, puszkom i wiotkiej szmacie do podłogi.

– Ukłoń się – powiedział z uśmiechem, ponieważ kiedy był młodszy, wydawało mu się, że podczas ukłonu trzeba powiedzieć: „Ukłoń się”. Że aby to zrobić jak należy, trzeba powiedzieć te słowa. „Ukłoń się, Estha” – mówili. Kłaniał się i mówił: „Ukłoń się”. Oni patrzyli po sobie ze śmiechem, a on był zmartwiony.

Estha Sam z krzywymi zębami.

Na zewnątrz zaczekał na matkę, siostrę i cioteczną babkę. Kiedy wyszły, Ammu spytała:

– Wszystko w porządku, Esthappen?

– W porządku – odparł Estha i ostrożnie skinął głową, aby nie uszkodzić sobie fryzury.

W porządku? W porządku. Włożył grzebień do jej torebki.

Ammu nagle poczuła, że zalewa ją fala czułości do swego powściągliwego, eleganckiego synka w beżowych butach w szpic, który właśnie wykonał swe pierwsze dorosłe zadanie. Kochającymi palcami przebiegła mu po włosach. Zepsuła mu czub.

Mężczyzna ze stalową latarką powiedział, że film już się zaczął i muszą się pospieszyć. Pędzili po czerwonych schodach wyłożonych starym czerwonym dywanem. Czerwona klatka schodowa z czerwonymi plamami po ślinie w czerwonych kątach. Mężczyzna z latarką podciągnął mundu i trzymał je zwinięte w lewej dłoni pod jądrami. Kiedy wchodził po schodach, mięśnie łydek naprężyły mu się pod skórą jak włochate kule armatnie. Latarkę trzymał w prawej dłoni. Poganiał ich:

– Już dawno się zaczęło.

Nie zobaczyli zatem początku. Nie zobaczyli, jak podnosi się falista aksamitna kurtyna, z żaróweczkami pośród żółtych frędzli. Powoli do góry, przy akompaniamencie Baby Elephant Walk z Hatari. Albo Colonel Bogey's March.

Ammu trzymała Esthę za rękę. Baby Koćamma, dysząca ciężko na schodach, trzymała za rękę Rahel. Baby Koćamma, uginająca się od ciężaru swych melonów, nie chciała się przyznać wobec siebie samej, że ma wielką ochotę obejrzyć ten film. Woląla sobie powiedzieć, że robi to tylko ze względu na dzieci. Prowadziła w umyśle starannie rozplanowany katalog Rzeczy, Które Zrobiła Dla Ludzi oraz Rzeczy, Których Ludzie Dla Niej Nie Zrobili.

Najbardziej lubiła fragmenty z zakonnicami na początku i miała nadzieję, że ich nie ominęły. Ammu wyjaśniła Escie i Rahel, że ludzie zawsze najbardziej lubią to, z czym się najbardziej utożsamiają. Rahel chyba najbardziej utożsamiała się z Christopherem Plummerem, który grał kapitana von Trappa. Chacko w ogóle się z nim nie utożsamiał i nazywał go kapitan von Srapp-Trapp.

Rahel przypominała podekscytowanego komara na smyczy. Fruwająca. Nieważka. Dwa stopnie do góry. Dwa w dół. Stopień do góry. Pokonała pięć razy więcej czerwonych stopni niż Baby Koćamma.

Jestem marynarz Popeye dum dum Mieszkam w cygańskim wozie dum dum Otwieram drzwi I padam na podłogę.

Jestem marynarz Popeye dum dum Dwa do góry. Dwa w dół. Jeden do góry. Hop, hop.

– Rahel – powiedziała Ammu – już zapomniałaś, jaka jest nauczka, prawda?

Nie zapomniała: „Podniecenie zawsze kończy się płaczem”. Dum dum.

Weszli do holu, który nazywał się Princess Circle. Przeszli obok kontuaru, za którym czekały napoje pomarańczowe. I napoje cytrynowe. Pomarańczowe za bardzo pomarańczowe. Cytrynowe za bardzo cytrynowe. Czekolady za bardzo topliwe. Człowiek z latarką otworzył ciężkie drzwi do ciemności, w której mruzczały wentylatory i zęby chrupały orzeszki ziemne. Ciemności, która pachniała oddychającymi ludźmi i olejkiem do włosów. I starymi dywanami. Magiczny zapach Dźwięków muzyki, którego Rahel nigdy nie zapomniała, hołubiła go jak skarb. Zapachy, podobnie jak muzyka, zawierają w sobie wspomnienia. Zaczepnęła głęboko powietrza i zamknęła je w butelce dla potomności.

Estha miał bilety wstępu. Mały Człowiek. Mieszkał w wozie cygańskim. Dum dum.

Mężczyzna z latarką oświetlił różowe bilety. Rząd J. Miejsca 17, 18, 19, 20. Estha, Ammu, Rahel, Baby Koćamma. Przeciskali się obok poirytowanych ludzi, którzy podciągali nogi, aby ich przepuścić. Baby Koćamma przytrzymała Rahel siedzenie. Rahel była za lekka i siedzenie odskoczyło razem z nią. Przycisnęło ją do oparcia jak szynkę w kanapce. Oglądała film między

kolanami. Estha siedział na skraju fotela, bardziej dorośle.

Po bokach ekranu, gdzie nie sięgał już film, kładły się cienie wentylatorów.

Latarka gaśnie. Pora na Światowy Przebój.

Kamera podniosła się ku błękitnemu (tak jak samochód) austriackiemu niebu przy akompaniamencie czystego, smutnego dźwięku dzwonów kościelnych.

Dużo niżej, na ziemi, na dziedzińcu opactwa, błyszczały kostki bruku. Szły po nich zakonnice. Jak powolne cygara. Milczące zakonnice zebrały się w milczeniu wokół matki przełożonej, która nigdy nie czytała ich listów. Otoczyły ją jak mrówki okruszek chleba. Cygara wokół Królowej Cygar. Żadnych włosów na kolanach. Żadnych melonów pod ubraniem. I oddech jak mięta pieprzowa. Przyszły do matki przełożonej poskarżyć się. Słodkie, dźwięczne skargi. Na Julie Andrews, która wciąż była w górach i śpiewała *The Hills Are Alive with the Sound of Music*, przez co znów spóźniła się na mszę.

Włazi na drzewo i drapie się w kolano syknięty melodyjnie zakonnice.

Zawsze ma dziurę w sukience Na mszę idzie w takt walca I gwizdże na schodach...
Widzowie odwracali głowy.

– Szszsz! – mówili. Szsz! Szsz! Szsz!

A pod kornetem Nosi lokówki!

Rozległ się głos spoza ekranu. Był wyraźny i prawdziwy, przeszył ciemność, w której mruczały wentylatory i zęby chrupały orzeszki ziemne. Wśród widzów była zakonnica. Głowy obracały się jak zakrętki butelek. Czarnowłose tyły głów stawały się twarzami, które miały usta i wąsy. Syczące usta z rekinimi zębami. Cała masa. Jak arkusz nalepek.

– Szsz! – mówiły jednocześnie.

Osobą, która śpiewała, był Estha. Zakonnica z czubem. Zakonnica Elvis Pelvis. Nie mógł się powstrzymać.

– Wyrzucić go z sali! – orzekli widzowie, kiedy go zlokalizowali.

Cisza albo za drzwiami. Za drzwiami albo cisza.

Publiczność była Dużym Człowiekiem. Estha był Małym Człowiekiem, z biletami.

– Cicho bądź, Estha, na miłość boską! – powiedziała Ammu wściekłym szeptem.

Estha ucichł. Usta i wąsy zwróciły się z powrotem w stronę ekranu. Lecz potem, bez ostrzeżenia, piosenka powróciła raz jeszcze i Estha znów nie mógł się powstrzymać.

– Mogę wyjść i zaśpiewać na zewnątrz? – spytał Estha (zanim Ammu zdążyła dać mu

klapsa). – Wróć, jak skończy się piosenka.

– Tylko nie licz na to, że jeszcze cię gdziekolwiek zabiorę – odparła Ammu. – Przynosisz nam wszystkim wstyd.

Lecz Estha nie mógł się powstrzymać. Wstał do wyjścia. Przepchnął się obok zagniewanej Ammu. Obok Rahel wciśniętej między kolana. Obok Baby Koćammy. Obok Widowni, która znów musiała podciągać nogi. Nad drzwiami wisiało czerwone światelko z czerwonym napisem WYJŚCIE. Estha WYSZEDŁ.

W holu czekały napoje pomarańczowe czekały napoje cytrynowe. Czekaly topliwe czekolady. Czekaly fotele samochodowe z elektrycznoniebieskiego skaju. Czekaly plakaty Wkrótce na ekranach!”

Estha Sam usiadł na fotelu samochodowym z elektrycznoniebieskiego skaju, w holu Princess Circle kina Abhilash Talkies, i zaczął śpiewać. Głosem zakonnicy, czystym jak krystaliczna woda.

Ale jak sprawić, by została I matki przełożonej słuchała?

Mężczyzna za kontuarem z napojami, który spał na ustawionych w rząd stołkach w oczekiwaniu na przerwę, obudził się. Klejącymi się oczami zobaczył Esthę Samego w beżowych butach w szpic. Ze zburzonym czubem. Mężczyzna zaczął wycierać marmurowy kontuar szmatą w kolorze brudu.

I czekał. Czekając, wycierał. Wycierając, czekał. I patrzył, jak Estha śpiewa.

Jak zatrzymać falę na piasku?

Jak rozwiązać taki problem jak Man’... ja?

– Ej! Eda cheY:fkka! – powiedział Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna zaspanym, lecz surowym tonem. – Co ty, u diabła, wyprawiasz?

Jak zatrzymać w dłoni promień księżyca?

Estha śpiewał.

– Ej! – powtórzył Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna. – Posłuchaj, to jest mój czas na odpoczynek. Zaraz będę się musiał obudzić i pracować. Więc nie możesz mi tu wyśpiewywać piosenek. Uciszyć się.

Jego złoty zegarek był prawie schowany pod kręconymi włosami na przedramieniu. Złoty łańcuszek był prawie schowany pod włosami na piersiach. Białą stylonową koszulę miał rozpiętą aż do miejsca, gdzie zaczynał się wybrzuszać brzuch. Wyglądał jak nieprzyjazny, obwieszony

bizuterią niedźwiedz. Za plecami miał lustra, w których ludzie mogli się przeglądać, kupując zimne napoje i słodczyce. Poprawić czuby i koki. Lustra obserwowały Esthę.

– Mógłbym złożyć na ciebie zażalenie na piśmie – powiedział Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna do Esthy. – Przyjemnie by ci było? Gdybym złożył zażalenie na piśmie?

Estha przestał śpiewać i podniósł się, aby wrócić do środka. – Skoro już nie śpię – rzekł Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna – skoro już mnie zbudziłeś, chociaż to była moja pora na odpoczynek, skoro zakłóciłeś mi sen, przynajmniej chodź się czegoś napić. Przynajmniej to mógłbyś zrobić.

Miał nie ogoloną, obwisłą twarz. Jego zęby, żółte klawisze fortepianu, patrzyły na małego Elvisa Pelvisa.

– Nie, dziękuję – odparł uprzejmie Elvis. – Moja rodzina na mnie czeka. I skończyło mi się kieszonkowe.

– Kieszonkowe? – powiedział Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna przez wciąż patrzące zęby. – Najpierw angielskie piosenki, a teraz kieszonkowe? Gdzie ty żyjesz? Na księżycu?

Estha odwrócił się, by wejść na salę kinową.

– Chwileczkę! – zawołał ostro Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna. – Chwileczkę! – powtórzył trochę łagodniej. Chyba cię o coś pytałem.

Jego żółte zęby były magnesami. Patrzyły, uśmiechały się, śpiewały, pachniały, ruszały się. Hipnotyzowały.

– Pytałem cię, gdzie mieszkasz – powiedział, zarzucając swoją okropną sieć.

– W Ajemenem – odparł Estha. – Mieszkam w Ajemenem. Moja babcia jest właścicielką Marynat i Przetworów „Paradise”. Ma większościowy udział w spółce.

– Ach tak? – zdumiał się Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna. – A z kim spółkuje? – Zaśmiał się okropnie, lecz Estha nie wiedział, z czego. – Nieważne. I tak nie rozumiesz. Chodź i napij się – zaprosił. – Za darmo. Czegoś zimnego. Chodź. Chodź tutaj i opowiedz mi o babci.

Estha podszedł do niego. Przyciągnięty żółtymi zębami.

– Tutaj. Za kontuar – dalej zapraszał Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna. Zniżył głos do szeptu. – To musi pozostać między nami, bo przed przerwą nie wolno podawać napojów. To wbrew przepisom.

Estha poszedł za kontuar, żeby napić się Czegoś Zimnego Za Darmo. Zobaczył trzy wysokie stołki, które były ustawione obok siebie, aby Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna mógł na

nich spać. Drewno było wypolerowane od intensywnego użytkowania.

– Jeśli będziesz tak uprzejmy i potrzywasz mi to – powiedział Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna, podając Es cie swój penis przez miękkie dhoti z białego muślinu – dostaniesz napój. Pomarańczowy? Cytrynowy?

Estha potrzywał, bo musiał.

– Pomarańczowy? Cytrynowy? – pytał Mężczyzna. – Cytrynowo-pomarańczowy?

– Poproszę cytrynowy – odparł uprzejmie Estha.

Dostał zimną butelkę i słomkę. W jednej ręce trzymał butelkę, w drugiej penis. Twardy, gorący, żylasty. Niepodobny do promienia księżyca.

Dłoń Pomarańczowo-Cytrynowego Mężczyzny zacisnęła się na dłoni Esthy. Paznokieć kciuka miał długi jak u kobiety. Poruszał dłonią Esthy w górę i w dół. Najpierw powoli. Potem szybko.

Napój cytrynowy był zimny i słodki. Penis gorący i twardy. Klawisze fortepianu patrzyły.

– A więc twoja babcia prowadzi fabrykę? – zapytał Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna.
– Co tam produkują?

– Różne rzeczy – powiedział Estha, nie patrząc, ze słomką w ustach. – Przeciery, marynaty, dżemy, przyprawę curry. Plasterki ananasa.

– Dobrze – uznał Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna. – Wyśmienicie.

Jego dłoń jeszcze mocniej zacisnęła się na dłoni Esthy. Zaciśnięta i spocona. I coraz szybsza. Szybsza szybsza dłoń Pędzi jak koń Szybsza szybsza Aż koń dłoni Nie dogoni.

Przez namokniętą papierową rurkę (prawie zgniecioną przez ślinę i strach) wydobywała się płynna cytrynowa słodycz. Dmuchając przez rurkę (podczas gdy jego druga dłoń poruszała się w górę i w dół), Estha robił w butelce bąbelki. Lepkosłodkie cytrynowe bąbelki napoju, którego nie był w stanie pić. Sporządził w głowie listę produktów z fabryki jego babci.

MARYNATY SOKI DŻEMY Mango Pomarańczowy Bananowy Zielona papryka Winogronowy Wieloowocowy Dynia Ananasowy Marmolada grejpfrutowa Czosnek Mangowy Limona Potem potnokolczasta twarz wykrzywiła się, a dłoń Esthy była mokra; gorąca i lepka. Oblepiona białkiem jajka. Białym białkiem jajka. Nie dogotowanego na miękko.

Napój cytrynowy był zimny i słodki. Penis był miękki i pomarszczony jak pusta skórzana portmonetka. Szmatą w kolorze brudu mężczyzna wytarł drugą dłoń Esthy.

– A teraz wypij – powiedział, z czułością szczypiąc Esthę w pośladek. Napięte śliwki

w rurowatych spodniach. I beżowych butach w szpic. – Nie może się zmarnować – powiedział. – Pomyśl o tych wszystkich biednych ludziach, którzy nie mają co jeść ani pić. Masz szczęście, jesteś bogaty, dostajesz kieszonkowe i odziedziczysz po babci fabrykę. Powinieneś podziękować Bogu, że nie masz zmartwień. A teraz pij. Tak więc za kontuarem w holu Princess Circle kina Abhilash Talkies, pierwszego kina w Kerali z ekranem panoramicznym, Esthappen Jako wypił darmową butelkę gazowanego strachu o smaku cytrynowym. Zbyt cytrynowego zbyt zimnego. Zbyt słodkiego. Gaz wychodził mu nosem. Wkrótce miał dostać kolejną butelkę (darmowy gazowany strach). Ale jeszcze o tym nie wiedział. Trzymał lepką Drugą Dłoń daleko od ciała.

Nie wolno jej było niczego dotknąć.

Kiedy Estha dokończył napój, Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna powiedział:

– Wypiłeś? Dzielny z ciebie chłopak.

Wziął pustą butelkę, zgniótł słomkę i wysłał Esthę z powrotem w Dźwięki muzyki.

Gdy znów znalazł się w lepkiej od olejku do włosów ciemności, Estha ostrożnie trzymał Drugą Dłoń daleko od ciała (do góry, jakby niósł w niej wymyśloną pomarańczę). Przetoczył się obok Widowni (która podciągała nogi), obok Baby Koćammy, obok Rahel (wciąż wciśniętej między oparcie i siedzenie), obok Ammu (wciąż zagniewanej). Estha usiadł, wciąż trzymając w dłoni klejącą się pomarańczę.

Na ekranie był kapitan von Srapp-Trapp. Christopher Plummer. Arogancki. Bezwzględny. Z okrutnymi ustami. I stalowoostрым policyjnym gwizdkiem. Kapitan z siedmiorgiem dzieci. Czystych jak paczka miętusów. Udawał, że ich nie kocha, ale kochał. Kochał je. Kochał ją (Julie Andrews), ona kochała jego, oni kochali dzieci, dzieci kochały ich. Wszyscy kochali się wzajemnie. Były to czyste białe dzieci, a łóżka miały miękkie, puchate, pie-rzy-nia-ste.

Dom, w którym mieszkali, miał jezioro, ogrody, szerokie schody, białe drzwi i okna i zasłony w kwiaty.

Czyste białe dzieci, nawet te duże, bały się grzmotu. Aby przestały się bać, Julie Andrews kładła je do swego czystego łóżka i śpiewała im piosenkę o swych ulubionych rzeczach.

Oto kilka spośród jej ulubionych rzeczy:

- 1) Dziewczęta w białych sukienkach z szarfami z niebieskiej satyny.
- 2) Dzikie gęsi w locie, z księżycem na skrzydłach.
- 3) Czajniki z jasnego mosiądzu.
- 4) Dzwonki do drzwi, dzwonki przy saniach i sznycel z makaronem.

5) Itd.

Potem pewne dwujajowe bliźnięta siedzące na widowni Abhilash Talkies zadały sobie kilka pytań, które domagały się odpowiedzi. Na przykład:

a) Czy kapitan von Srapp-Trapp ruszał nogą, kiedy siedział? Nie.

b) Czy kapitan von Srapp-Trapp wydmuchiwał bąbelki śliny?

W żadnym wypadku.

c) Czy kapitan von Srapp-Trapp siorbał?

Nie.

Och, kapitanie von Srapp-Trapp, kapitanie von Srapp-Trapp, czy mógłbyś pokochać tego brzdąca z pomarańczą w zatęchłej sali kinowej?

Właśnie trzymał w dłoni pisiorka Pomarańczowo-Cytrynowego Mężczyzny, ale czy mimo to mógłbyś go pokochać?

A jego siostrę bliźniaczkę? Wciśniętą między siedzenie a oparcie z fontanną spiętą Love-in-Tokyo?

Kapitan von Srapp-Trapp też miał do nich kilka pytań. a) Czy są to czyste białe dzieci?

Nie. (Ale Sophie Mol jest).

b) Czy wydmuchują bąbelki śliny?

Tak. (Ale Sophie Mol nie wydmuchuje).

c) Czy ruszają nogami, kiedy siedzą? Jak urzędnicy?

Tak. (Ale Sophie Mol nie rusza).

d) Czy któreś z nich, albo oboje, trzymali w dłoni pisiorki obcych ludzi?

N... ntak. (Ale Sophie Mol nie trzymała).

– W takim razie przykro mi – powiedział kapitan von Srapp-Trapp. – Nie wchodzi w grę. Nie mogę ich pokochać. Nie mogę być ich Babą. O nie.

Kapitan von Srapp-Trapp nie mógł.

Estha położył sobie głowę na kolanach.

– Co ci jest? – spytała Ammu. – Jeśli znów się mazgaisz, zabieram cię prosto do domu.

Proszę usiąść prosto. I oglądać. Po to tu przyszliśmy.

WypiJ.

Oglądaj film.

Pomyśl o wszystkich biednych ludziach.

Szczęśliwy bogaty chłopiec z kieszonkowym. Żadnych zmartwień.

Estha usiadł prosto i oglądał. W żołądku mu się przewracało. Czuł się zielonofaliście, lepkowodniście, grudowato, ośliżle, tonąco, bezdenno-dennie.

– Ammu? – powiedział.

– Co ZNOWU? – „ZNOWU” warknięte, szczeknięte, wyplute.

– Mdli mnie – poskarżył się Estha.

– Tylko cię mdli czy będziesz wymiotował? – W głosie Ammu dało się słyszeć zatroskanie.

– Nie wiem.

– Pójdziemy spróbować? – zapytała Ammu. – Poczujesz się lepiej.

– Dobrze – odparł Estha.

Dobrze? Dobrze.

– Dokąd idziecie? – chciała wiedzieć Baby Koćamma.

– Estha spróbuje zwymiotować – odparła Ammu.

– Dokąd idziecie? – spytała Rahel.

– Mdli mnie – powiedział Estha.

– Mogę pójść popatrzeć?

– Nie – odparła Ammu.

Znów przeciskanie się obok Widowni (chowającej nogi). Poprzednim razem żeby zaśpiewać. Teraz żeby spróbować zwymiotować. Wyjście WYJŚCIEM. W marmurowym holu Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna jadł coś słodkiego.

Wydęty policzek poruszał się. Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna wydawał z siebie miękki, ssący dźwięk wody spływającej z umywalki. Na kontuarze leżało zielone opakowanie. Ten człowiek mógł jeść słodycze za darmo. Miał przed sobą rząderek darmowych słodyczy w butelkach z ciemnego szkła. Wycierał marmurowy kontuar szmatą w kolorze brudu, którą trzymał w owłosionej ręce z zegarkiem. Kiedy zobaczył promieniującą kobietę z wypolerowanymi ramionami i małego chłopca, twarz okryła mu się cieniem. Potem błysnął swym fortepianowym uśmiechem.

– Znowu tutaj? – spytał.

Escie żołądek podchodził już do gardła. Ammu zaprowadziła go jak lunatyka do toalety. ONA.

Wisiał przyciśnięty przez Ammu do brudnej umywalki.

Nogi dyndały mu w powietrzu. Umywalka miała stalowe kurki i plamy rdzy. I brązową siatkę pęknięć, przypominającą plan jakiegoś wielkiego, skomplikowanego miasta.

Esthą wstrząsały konwulsje, ale nic nie wyszło na zewnątrz. Tylko myśli. Wyływały, a potem wpływały z powrotem. Ammu ich nie widziała. Wisiały jak chmury burzowe nad umywalkowym miastem. Lecz umywalkowi mieszkańcy byli zajęci swymi codziennymi umywalkowymi sprawami. Umywalkowe samochody i umywalkowe autobusy wciąż pędziły we wszystkich kierunkach. Umywalkowe życie toczyło się dalej. – Nie? – spytała Ammu.

– Nie – odparł Estha.

Nie? Nie.

– W takim razie umyj twarz – powiedziała Ammu. – Woda zawsze pomaga. Umyj się, a potem pójdziemy się napić gazowanego napoju cytrynowego.

Estha umył twarz i ręce i twarz i ręce. Rzęsy miał mokre i posklejane.

Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna złożył na pół zielone opakowanie po słodyczach i pociągnął wzdłuż zgięcia polakierowanym paznokciem kciuka. Ogłuszył muchę zwiniętym czasopismem. Delikatnie strącił ją z kontuaru na podłogę. Leżała na grzbiecie i wymachiwała osłabionymi odnóżami.

– Miły chłopak – powiedział do Ammu. – Ładnie śpiewa. – To mój syn – odparła Ammu.

– Naprawdę? – Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna spojrzał na Ammu zębami. – Naprawdę? Wygląda pani na młodszą!

– Nie czuje się dobrze – mówiła Ammu. – Pomyślałam, że mu pomoże, jeśli napije się czegoś zimnego.

– Jasne – powiedział Mężczyzna. – Jasnejasne. Pomarańczowocytrynowy? Cytrynowypomarańczowy?

A więc padło to straszne pytanie.

– Nie, dziękuję. – Estha spojrzał na Ammu. Zielonofaliste, oślizłe, bezdenno-denne uczucie.

– A pani? – Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna spytał Ammu. – Coca-colaFanta? LodyMlekoróżane?

– Nie, dla mnie nic, dziękuję – odparła Ammu. Kobieta z głębokimi dołeczkami na policzkach i polerowanymi ramionami.

– Proszę – rzekł Mężczyzna, podając garść słodyczy jak hojna stewardesa. – To dla pani małego Mona.

– Nie, dziękuję – odparł Estha, patrząc na Ammu.

– Weź, Estha – mówiła Ammu. – Nie bądź niegrzeczny.

Estha wziął.

– Podziękuj.

– Dziękuję – powiedział Estha. (Za słodycze, za białe białko jajka).

– Nie ma za co – odparł Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna po angielsku.

– Mon mówi, że państwo są z Ajemenem – zagaił.

– Tak – potwierdziła Ammu.

– Często tam jeżdżę – powiedział Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna. – Rodzina mojej żony pochodzi z Ajemenem. Wiem, gdzie jest wasza fabryka. Marynaty „Paradise”, prawda? Pani Mon mi powiedział.

Wie, gdzie znaleźć Esthę. To chciał mu przekazać. Ostrzegął go.

Ammu zobaczyła rozpalone guziki oczu swego syna.

– Musimy już iść, bo dostanie gorączki. Jutro przyjeżdża jego kuzynka – wyjaśniła Wujkowi.

– Z Londynu – dodała od niechcenia.

– Z Londynu? – W oczach Wujka zabłysnął szacunek. Do rodziny z londyńskimi koneksjami.

– Zostań tu z Wujkiem, Estha. Ja pójdę po Baby Koćammę i Rahel – powiedziała Ammu.

– Chodź – zapraszał Wujek. – Chodź i usiądź koło mnie na stołku.

– Nie, Ammu! Nie, Ammu, nie! Chcę pójść z tobą!

Ammu, zaskoczona histerycznym uporem swego zazwyczaj tak spokojnego syna, przeprosiła Pomarańczowo-Cytrynowego Wujka.

– Normalnie tak się nie zachowuje. No to chodź, Esthappen. Ponownie zapach sali. Cienie wentylatorów. Tyły głów. Szyje.

Kołnierze. Włosy. Koki. Warkocze. Końskie ogony.

Fontanna spięta Love-in-Tokyo. Mała dziewczynka i była zakonnica.

Siedem miętowych dzieci kapitana von Trappa było już po miętowej kąpieli i stało w miętowej kolejce z przylizanymi włosami, śpiewając miętowymi głosami do kobiety, z którą kapitan prawie się ożenił. Blondwłosej baronessy, która błyszczała jak diament.

WZgórza ożyły Dźwiękiem muzyki.

– Musimy iść – zwróciła się Ammu do Baby Koćammy i Rahel.

– Ale Ammu! – zaprotestowała Rahel. – Nie było jeszcze Najważniejszych Rzeczy! Jeszcze jej nawet nie pocałował! Jeszcze nie podał flagi Hitlera! Jeszcze nie zostali zdradzeni przez Rolfa Postmana!

– Estha źle się czuje – powiedziała Ammu. – Idziemy!

– Jeszcze nie przyszli hitlerowscy żołnierze!

– Idziemy! – rozkazała Ammu. – Wstawajcie!

– Jeszcze nie zaśpiewali Piosenki pastuszka.

– Estha musi wyzdrowieć, zanim przyjedzie Sophie Moluznała Baby Koćamma.

– Nie musi – odparła Rahel, ale głównie do siebie.

– Co powiedziałaś? – spytała Baby Koćamma, która uchwyciła intencję, ale nie usłyszała samych słów. – Nic – odrzekła Rahel.

– I tak słyszałam – powiedziała Baby Koćamma.

W holu Wujek przestawiał swoje butelki z ciemnego szkła. Szmatą w kolorze brudu wycierał okrągłe plamy, które butelki zostawiały na marmurowym kontuarze. Przygotowywał się na przerwę. Był Czystym Pomarańczowo-Cytrynowym Wujkiem. Miał serce stewardesy uwięzione w ciele niedźwiedzia. – Jednak wychodzicie? – zapytał.

– Tak – odparła Ammu. – Gdzie możemy złapać taksówkę?

– Przez bramę, do góry ulicą i w lewo – informował, patrząc na Rahel. – Nie powiedziała mi pani, że ma pani też małą Mol.

I wyciągnąwszy kolejną garść słodyczy:

– Proszę, Mol, dla ciebie.

– Weź moje! – powiedział szybko Estha, nie chcąc, żeby Rahel zbliżała się do tego człowieka.

Lecz Rahel ruszyła już w jego stronę. Gdy szła ku niemu, uśmiechnął się do niej. W tym fortepianowym uśmiechu, w tym spojrzeniu było coś, co kazało jej stanąć. Nigdy w życiu nie widziała czegoś tak ohydneho. Okręciła się na pięcie, szukając wzrokiem Esthy.

Odsunęła się od owłosionego mężczyzny.

Estha wcisnął jej słodycze do ręki i poczuła jego rozpalone gorączką palce, których końce były zimne jak śmierć.

– Cześć, Mon – pożegnał Wujek Esthę. – Pewnie się kiedyś zobaczymy w Ajemenem.

A więc znów czerwone schody. Tym razem Rahel zostaje z tyłu. Ociąga się. Nie, nie chcę

iść. Tona cegieł na smyczy. – Przemily człowiek ten Pomarańczowo-Cytrynowiecpowiedziała Ammu.

– E! – zachnęła się Baby Koćamma.

– Nie sprawia takiego wrażenia, ale był szalenie miły dla Esthy – mówiła Ammu.

– To może za niego wyjdiesz! – rzekła Rahel z rozdrażnieniem.

Czas zatrzymał się na czerwonych schodach. Estha zatrzymał się. Baby Koćamma zatrzymała się.

– Rahel – powiedziała Ammu.

Rahel zastygła w bezruchu. Rozpaczliwie żałowała tego, co powiedziała. Nie wiedziała, skąd się wzięły te słowa. Nie wiedziała, że miała je w sobie. Ale teraz są już na zewnątrz i nie wrócą do środka. Kręciły się po czerwonych schodach jak urzędnicy w budynku rządowym. Niektóre stały, niektóre siedziały i ruszały nogami.

– Rahel – powtórzyła Ammu. – Zdajesz sobie sprawę, co właśnie zrobiłaś?

Przestraszone oczy i fontanna patrzyły na Ammu.

– Nie bój się. Nic ci nie zrobię – powiedziała Ammu. Zdajesz sobie sprawę?

– Z czego? – spytała Rahel głosem najcichszym z możliwych.

– Z tego, co właśnie zrobiłaś?

Przestraszone oczy i fontanna patrzyły na Ammu.

– Wiesz, co się dzieje, kiedy kogoś zranisz? – mówiła Ammu. – Kiedy kogoś zranisz, zaczyna cię mniej kochać. Taki skutek mają nieostrożne słowa. Ludzie zaczynają cię mniej kochać.

Zimna ćma o nieprzeciętnie gęstych kosmkach grzbietowych miękko osiadła na sercu Rahel. Tam, gdzie dotykały jej lodowate odnóża ćmy, Rahel dostała gęsiej skórki. Sześć wyprysków na nieostrożnym sercu.

Ammu kochała ją trochę mniej.

A zatem przez bramę, pod górę ulicą i w lewo. Postój taksówek. Zraniona matka, była zakonnica, jedno rozpalone dziecko i jedno zziębnięte w sercu. Sześć wyprysków i ćma. W taksówce śmierdziało snem. Zwiniętym starym ubraniem. Mokrymi ręcznikami. Pachami. Był to w końcu dom taksówkarza. Mieszkał tam. Gdzie miał przechowywać swoje zapachy? Siedzenia zostały zamordowane. Porozrywane.

Z tylnego siedzenia wylał się płat brudnej żółtej gąbki i podrygiwał jak chora na żółtaczkę

wątroba. Kierowca był czujny jak mały gryzoń. Był tak niski, że patrzył na drogę przez kierownicę. Inni kierowcy mogli odnosić wrażenie, że taksówka sama wiezie pasażerów. Jechał szybko, agresywnie, wskakiwał na wolne miejsca, spychał inne samochody na sąsiednie pasy. Przyspieszał na przejściach dla pieszych. Przejeżdżał na czerwonym świetle.

– Czemu pan sobie nie podłoży jakiejś poduszki albo czegoś? – zasugerowała Baby Koćamma przyjaźnie. – Lepiej by pan widział.

– Może by się pani zajęła swoimi sprawami, co? – zasugerował kierowca nieprzyjaźnie.

Kiedy jechali wzdłuż atramentowego morza, Estha wystawił głowę przez okno. Czuł w ustach gorącą, słoną bryzę. Czuł, jak unosi mu włosy. Wiedział, że gdyby Ammu odkryła, co robił z Pomarańczowo-Cytrynowym Mężczyzną, jego też mniej by kochała. Dużo mniej. Poczuł w żołądku zawstydzono nie skotłowane wirujące rozpaprane mdłości. Tęsknił za rzeką. Ponieważ woda zawsze pomaga.

Za oknem taksówki pędziła lepka neonowa noc. W kabinie było gorąco i cicho. Baby Koćamma była czerwona z przejęcia. Uwielbiała nieprzyjemne sytuacje, jeśli to nie ona była ich przyczyną. Za każdym razem, gdy na drogę wbiegał bezpański pies, kierowca robił, co mógł, żeby go rozjechać.

Ćma na sercu Rahel rozpostarła aksamitne skrzydełka i po całym ciele Rahel rozszedł się chłód.

Na parkingu hotelu Sea Queen błękitny plymouth plotko wał z innymi, mniejszymi samochodami. Szlip szlip snu-sna. Duża pani na przyjęciu u małych pań. Trzepocząc statecznikami.

– Pokoje numer 313 i 327 – oznajmił recepcjonista. – Bez klimatyzacji. Łóżka dwuosobowe. Winda w remoncie.

Boy hotelowy, który zaprowadził ich na górę, był starym człowiekiem, miał mętne oczy i dwa urwane guziki u wystrzępionego uniformu w kolorze kasztanowym. Wyzierał spod niego poszarzały podkoszulek. Głupawą czapkę boya hotelowego kazano mu nosić trochę na bakier, plastikowy pasek wrzynał mu się w obwisłe podgardle. Zmuszanie starego człowieka do noszenia czapki na bakier i ingerowanie w kształt, jakim starość spływała mu z podbródka, wydawało się niepotrzebnym okrucieństwem.

Znów trzeba było się wspinać po czerwonych schodach. Czerwony dywan z kina wszędzie za nimi chodził. Czarodziejski latający dywan.

Chacko był w swoim pokoju. Przylapali go na ucztowaniu.

Pieczony kurczak, frytki, kukurydza i rosół z kury, dwie parathas i lody waniliowe w polewie czekoladowej. Chacko często powtarzał, że jego ambicją jest umrzeć z przejedzenia. Mammaci powiedziała kiedyś, że to nieomylny znak spychanej do podświadomości rozpacz. Chacko odparł, że nic podobnego. To najzwyczajniejsza w świecie żarłoczność.

Chacko był zaskoczony, że tak wcześnie wrócili, ale udawał, iż niczemu się nie dziwi. Nie przerwał jedzenia. Zgodnie z pierwotnym planem Estha miał spać z Chackiem, a Rahel z Ammu i Baby Koćammą. Ale ponieważ Estha nie czuł się dobrze, a Miłość została inaczej rozdysponowana (Ammu kochała Rahel trochę mniej), Rahel miała spać z Chackiem, a Estha z Ammu i Baby Koćammą.

Ammu wyjęła z walizki pidżamę i szczoteczkę do zębów Rahel i położyła na łóżku.

– Masz – powiedziała Ammu.

Dwa stuknięcia zamykanej walizki.

Stuk. I stuk.

– Ammu – spytała Rahel – czy za karę nie dostanę obiadu? Bardzo pragnęła zamiany kary. Nie dostanie obiadu, ale za to Ammu będzie ją kochała tak jak przedtem.

– Jak chcesz – odparła Ammu. – Ale radziłabym ci zjeść.

To znaczy, jeżeli chcesz urosnąć. Może Chacko podzieli się z tobą kurczakiem.

– Może tak, a może nie – rzekł Chacko.

– Ale co z moją karą? – upierała się Rahel. – Nie ukarałeś mnie!

– Pewne rzeczy same są dla siebie karą – mówiła Baby Koćamma, jakby tłumaczyła Rahel jakieś zbyt dla niej skomplikowane zadanie arytmetyczne.

Pewne rzeczy same są dla siebie karą. Jak sypialnie z wbudowanymi szafami. Wkrótce wszyscy mieli się dowiedzieć wiele nowego o karach. Że są w różnych rozmiarach. Czasami są tak duże jak szafy z wbudowanymi sypialniami. Można spędzić tam całe życie, wędrując po mrocznych półkach. Kiedy Baby Koćamma pocałowała ją na dobranoc, na policzku Rahel zostało trochę śliny. Starła ją ramieniem.

– Dobranoc, z Bogiem – powiedziała Ammu. Ale powiedziała to plecami. I już jej nie było.

– Dobranoc – odparł Estha, za bardzo chory, żeby kochać swą siostrę.

Rahel Sama patrzyła, jak idą korytarzem hotelowym – milczące, lecz materialne zjawy. Dwie duże, jedna mała, w beżowych butach w szpic. Czerwony dywan pochłaniał odgłos ich kroków.

Rahel stała w drzwiach pokoju hotelowego, pełna smutku.

Miała w sobie smutek z powodu przyjazdu Sophie Mol.

Smutek, że Ammu kochała ją trochę mniej. Smutek z powodu tego, co Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna zrobił Escie w Abhilash Talkies, cokolwiek to było.

W jej suche, obolałe oczy dmuchnął piekący wiatr.

Chacko odłożył dla Rahel na talerzyk nogę kurczaka i trochę frytek.

– Nie, dziękuję – powiedziała Rahel, w nadziei, że jeśli sama wymierzy sobie karę, Ammu wycofa swoją.

– A może lodów w polewie czekoladowej? – zaproponował Chacko.

– Nie, dziękuję – odparła Rahel.

– Jak chcesz – powiedział Chacko. – Ale nie wiesz, co tracisz.

Zjadł do końca całego kurczaka, a potem lody.

Rahel przebrała się w pidżamę.

– Nie mów mi, za co zostałeś ukarana – rzekł Chacko. Nie chcę tego słuchać. – Wycierał resztki polewy czekoladowej kawałkiem parathy. Ohydny podeserowy ulepek. – Sam zgadnę... Rozdrapałaś sobie do krwi ranę po ukąszeniu moskita? Nie powiedziałaś dziękuję taksówkarzowi?

– Coś dużo gorszego – oznajmiła Rahel. Chciała pozostać lojalna wobec Ammu.

– Nie mów mi – odparł Chacko. – Nie chcę wiedzieć.

Zadzwoił po służbę hotelową i zmęczony posługacz przyszedł zabrać talerze i kości. Próbował zidentyfikować obiadowe zapachy, lecz wchłonęły je obwisłe brązowe zasłony. Bezobiednia siostrzenica i poobiedni wujek razem myli zęby w łazience hotelu Sea Queen. Ona: zgnębiony, przysadzi sty skazaniec w pasiastej pidżamie i fontannie spiętej Love-in-Tokyo. On: w bawełnianej kamizelce i majtkach. Podkoszulek, ciasno opinający jego okrągły brzuch jak druga skóra, był luźny nad zagłębieniem pępka.

Kiedy myjąc zęby, Rahel, zamiast ruszać pianistą szczoteczką, ruszała szczęką, nie zabronił jej tego.

Nie był faszystą.

Wypluwali po kolei. Rahel uważnie obejrzała pianę niespiesznie spływającą w głąb umywalki. Ciekawiło ją, co tam zobaczy.

Jakie kolory i dziwne stworzenia kryją się w szparach między zębami?

Dziś wieczór żadne. Nic szczególnego. Tylko bąbelki pasty do zębów.

Chacko zgasił duże światło.

Dopiero w łóżku Rahel zdjęła Love-in-Tokyo i założyła okulary przeciwsłoneczne. Fontanna trochę oklapła, ale nadal stała.

Chacko leżał w łóżku w sadzawce światła z lampki nocnej. Gruby mężczyzna na pograżonej w mroku scenie. Sięgnął do koszuli, która leżała zmięta koło łóżka. Wyjął z kieszeni portfel i obejrzał zdjęcie Sophie Mol, które dwa lata wcześniej przysłała mu Margaret Koćamma.

Rahel patrzyła na niego i zimna ćma znów rozłożyła skrzydełka. Powoli. Potem powoli złożyła. Leniwe mrugnięcie oka drapieznika.

Pościel była szorstka, lecz czysta.

Chacko zamknął portfel i zgasił światło. Zapalił papierosa i zastanawiał się, jak teraz wygląda jego córka. Dziewięciolatka. Ostatni raz ją widział jako czerwonawe, pomarszczone niemowlę. Ledwo przypominające człowieka. Trzy tygodnie później jego żona Margaret, jedyna miłość jego życia, rozplakała się i powiedziała mu o Joem.

Margaret powiedziała Chackowi, że nie może już z nim być. Że potrzebuje więcej miejsca dla siebie. Tak jakby Chacko trzymał swoje ubrania na jej półkach. Zresztą znając go, zapewne to robił.

Poprosiła go o rozwód.

Przez te kilka koszmarnych nocy, zanim się wyprowadził, Chacko wymykał się z łóżka z latarką i patrzył na swą śpiącą córkę. Aby jej się nauczyć. Odcisnąć ją w pamięci. Aby mieć pewność, że kiedy o niej pomyśli, przywołany obraz będzie prawdziwy. Nauczył się na pamięć brązowego puszku na jej miękkiej czaszce. Kształtu jej wydętych ust, które bez przerwy się poruszały. Szpar między palcami u nóg. Zapowiedzi pieprzyka. A potem, mimowolnie, zaczął szukać u dziecka śladów Joego. Niemowlę ścisnęło go za palec wskazujący, gdy w świetle latarki dokonywał obłąkanych, konwulsyjnych, zazdrośnych oględzin. Pępek Sophie wystawał z jej najedzonego aksamitnego brzuszka jak kopuła zabytkowej budowli na wzgórzu.

Chacko przyłożył do niego ucho i z zadziwieniem słuchał dobiegających z wnętrza hałasów. Przesyłanych z miejsca w miejsce wiadomości. Nowych organów przyzwyczajających się do siebie. Nowego rządu powołującego swe instytucje. Organizującego podział pracy, przydzielającego funkcje. Czuć od niej było mlekiem i moczem. Chacko zdumiewał się, że ktoś tak mały i nieokreślony, tak do niczego niepodobny, może całkowicie podporządkować sobie

uwagę, miłość, rozum dorosłego człowieka.

Kiedy odszedł, miał poczucie, że coś zostało z niego wydarte. Coś dużego.

Lecz teraz Joe już nie żył. Zginął w wypadku samochodowym. Martwy jak pustka. Jak dziura po Joem we wszechświecie.

Na zdjęciu Chacka Sophie Mol miała siedem lat. Ubrana na biało-niebiesko. Usta różane i nic, co by się kojarzyło z chrześcijaństwem obrządku syryjskiego. Aczkolwiek Mam maci, kiedy obejrzała fotografię, stwierdziła, że Sophie Mol ma nos Pappaciego.

– Chacko? – odezwała się Rahel z łóżka w ciemnościach. – Mogę zadać ci pytanie?

– Nawet dwa – odparł Chacko.

– Czy kochasz Sophie Mol ponad Wszystko w Świecie?

– To moja córka – powiedział Chacko.

Rahel zastanowiła się nad tą odpowiedzią.

– Chacko? Czy ludzie MUSZĄ kochać swoje dzieci ponad Wszystko w Świecie?

– Nie ma takiej reguły – odparł Chacko. – Ale normalnie tak jest.

– Chacko, tak na przykład, tylko tak na przykład, czy to możliwe, żeby Ammu kochała Sophie Mol bardziej niż mnie i Esthę? Albo żebyś ty kochał mnie bardziej niż Sophie Mol? – W naturze ludzkiej wszystko jest możliwe – odparł Chacko głosem lektora. Mówił teraz do ciemności, zapomniawszy o swej siostrzenicy z fontanną włosów. – Miłość. Szaleństwo. Nadzieja. Bezgraniczna Radość.

Rahel pomyślała, że z czterech rzeczy, które są możliwe w naturze ludzkiej, najsmutniej zabrzmiała jej Bezgraniczna Radość. Może ze względu na sposób, w jaki Chacko to wypowiedział.

Bezgraniczna Radość. Zabrzmiało jakoś tak kościelnie. Jak smutna ryba cała obrośnięta łuskami.

Zimna ćma podniosła zimne odnóże.

Dym z papierosa wżerał się spiralnie w noc. Gruby mężczyzna i mała dziewczynka leżeli zatopieni w milczeniu. Kilka pokojów dalej, kiedy jego stryjeczna babcia chrapała, Estha obudził się.

Ammu spała i wyglądała bardzo pięknie w pasiastoniebie skim świetle latarni ulicznej, które wpadało przez pasiastoniebieskie okno. Na twarzy miała sno-uśmiech, który śnił o delfinach i głębokim pasiastoblękicie. Uśmiech ten w żaden sposób nie zdradzał, że należąca do niego

osoba jest bombą, która może w każdej chwili wybuchnąć.

Estha Sam ciężkim krokiem poszedł do łazienki. Zwymiotował przezroczystą, gorzką, bąbelkującą cieczą. Kwaśny posmak pierwszego spotkania Małego Mężczyzny ze strachem. Dum dum.

Poczuł się trochę lepiej. Włożył buty i wlokąc za sobą sznurówki, przeszedł korytarzem pod pokój Rahel.

Rahel stanęła na krześle, zdjęła haczyk i otworzyła mu drzwi.

Chacko nawet się nie zastanawiał, skąd wiedziała, że Estha stoi pod drzwiami. Przyzwyczyił się do okazjonalnych niezwykłości związanych z bliźniętami.

Leżał jak wyrzucony na brzeg wieloryb na wąskim łóżku hotelowym i rozmyślał leniwie, czy osobą, którą widziała Rahel, rzeczywiście był Welutha. Nie uważał tego za zbyt prawdopodobne. Welutha miał zbyt wiele do stracenia. Był parawanem z przyszłością. Ciekawe, czy Welutha jest członkiem Partii Marksistowskiej, pomyślał Chacko. I czy widywał się ostatnio z towarzyszem K.N.M. Pillejem.

Kilka miesięcy wcześniej kariera polityczna towarzysza Pilleja uległa nieoczekiwanemu przyspieszeniu. Dwaj lokalni członkowie partii, towarzysz J. Kattukaran i towarzysz Guhan Menon, zostali wyrzuceni z jej szeregów pod zarzutem przynależności do naxalitów. Według poufnych informacji jeden z nich – towarzysz Guhan Menon – miał zostać kandydatem partii z okręgu Kottajam w wyborach uzupełniających do Parlamentu, zaplanowanych na marzec następnego roku. Jego wydalenie z partii stworzyło wakat, o który ubiegało się kilku kandydatów. Między innymi towarzysz K.N.M. Pillej.

Towarzysz Pillej zaczął śledzić wydarzenia w Marynatach „Paradise” z nadzieją rezerwowego na meczu piłkarskim. Stworzenie związku zawodowego, choćby niewielkiego, w swym, jak liczył, przyszłym okręgu wyborczym stanowiłoby znakomity start w wyścigu do Parlamentu.

Do tej pory w Marynatach „Paradise” gra w „Towarzyszu! Towarzyszu!” (jak to nazywała Ammu) była tylko niewinną rozrywką po godzinach. Wszyscy jednak wiedzieli (z wyjątkiem Chacka), że jeśli wzrosłaby stawka gry i udałoby się odebrać Chackowi pałeczkę dyrygenta, fabryka, już teraz poważnie zadłużona, znalazłaby się w prawdziwych tarapatkach. Ponieważ firma kiepsko stała finansowo, pracownicy otrzymywali mniej, niż wynosiły minimalne płace postulowane przez związek zawodowy. Oczywiście Chacko sam zwrócił im na to uwagę

i obiecał, że natychmiast, gdy sytuacja ulegnie poprawie, płace zostaną podwyższone. Był przekonany, że mu ufają, i wiedział, iż działa także w ich najlepszym interesie. Był jednak ktoś, kto miał inne zdanie. Wieczorami, po drugiej zmianie, towarzysz K.N.M. Pillej czatował na pracowników Marynat „Paradise” i prowadził ich do swej drukarni. Tam piskliwym głosem nawoływał do rewolucji.

W swych przemówieniach potrafił sprytnie połączyć istotne kwestie lokalne z patetyczną maoistowską retoryką, która w malajalam brzmiała jeszcze bardziej patetycznie.

– Odwagi, Ludu pracujący całego świata – intonował stań do walki, rzuć wyzwanie przeciwnościom i przyjdź do przodu, fala za falą! A wtedy cały świat będzie należał do Ludu. Zdechną wszystkie potwory. Musicie zażądać tego, co wam się sprawiedliwie należy. Rocznej premii. Funduszu emerytalnego. Ubezpieczenia od wypadków przy pracy. – Ponieważ jego przemówienia były próbami przed wystąpieniami na forum Parlamentu, gdzie towarzysz Pillej zwracałby się do milionowych mas, w ich melodii i rytmie było coś osobliwego. Zamiast małego, nagrzanego pomieszczenia i zapachu farby drukarskiej w jego głosie słychać było zielone pola ryżowe i czerwone transparenty na tle błękitnego nieba.

Towarzysz Pillej nigdy bezpośrednio nie krytykował Chacka. Zawsze, kiedy o nim wspominał, mówił o nim jak o abstrakcyjnym funkcjonariuszu jakiegoś większego systemu. Jak o pionku w ohydnych burżuazyjnym spisku mającym za cel powstrzymanie rewolucji. Nigdy nie wymieniał go z nazwiska, tylko mówił o „kierownictwie”. Jakby Chacko był wieloma osobami. Oprócz tego, że było to taktycznie słuszne posunięcie, oddzielenie człowieka od jego funkcji pozwoliło towarzyszowi Pillejowi zachować czyste sumienie w jego prywatnych interesach z Chackiem. Kontrakt z Marynatami „Paradise” na druk etykietek był dla niego bardzo ważnym źródłem dochodów. Mówił sobie, że Chacko-klient i Chacko-kierownictwo to dwie różne osoby. Które nie mają, rzecz jasna, nic wspólnego z Chackiem-towarzyszem.

Jedyną przeszkodą w planach towarzysza K.M.N. Pilleja był Welutha. Jako jedyny pracownik Marynat „Paradise” należał do partii, a towarzysz Pillej najchętniej obszedłby się bez takiego sprzymierzeńca. Wiedział, że wszyscy pozostali pracownicy fabryki, dotykalni, żywią wobec Weluthy uprzedzenia głęboko zakorzenione w przeszłości. Towarzysz Pillej ostrożnie chodził wokół tej fałdki, czekając sposobnej chwili, aby ją wyprasować.

Był w stałym kontakcie z pracownikami. Dbał o to, aby być dobrze zorientowanym w sytuacji w fabryce. Śmiał się z nich, że akceptują tak niskie płace, kiedy u władzy jest ich

własny rząd. Rząd Ludowy.

Kiedy księgowy Punnaćen, który każdego ranka czytał Mammaci gazety, przyniósł wiadomość, że wśród robotników mówi się o żądaniu podwyżki, Mammaci wpadła we wściekłość.

– Powiedz im, żeby sobie przeczytali gazety. Ludzie nie mają co jeść. Nie ma pracy. Jest głód. Powinni być wdzięczni, że w ogóle mają pracę.

Kiedy w fabryce stało się coś poważnego, zawsze dowiadywała się o tym Mammaci, nie Chacko. Może dlatego, że Mammaci wpisywała się w konwencjonalny porządek rze czy. Była Modalali. Grała swoją rolę. Jej reakcje, aczkolwiek surowe, były jednoznaczne i przewidywalne. Tymczasem Chacko, choć czuł się Panem Domu, choć mówił: „Moje marynaty, mój dżem, moje curry”, zakładał tyle różnych kostiumów, że nie było wiadomo, czy traktować go jako wroga czy sprzymierzeńca.

Mammaci próbowała przestrzec Chacka. Pozwalał jej się wygadać, ale tak naprawdę jej nie słuchał. Efekt był taki, że mimo wczesnych oznak niezadowolenia w Marynatach „Paradise” Chacko, w ramach próby przed Rewolucją, wciąż bawił się w „Towarzyszu! Towarzyszu!”

Tej nocy, na wąskim łóżku hotelowym, rozmyślał sennie nad pewnym planem. Ubiegnie towarzysza Pilleja i założy swego rodzaju prywatny związek zawodowy. Przeprowadzi wybory. Niech głosują. Niech po kolei zostają wybranymi przedstawicielami pracowników. Uśmiechnął się na myśl o negocjacjach przy okrągłym stole z towarzyszem Sumathim, albo jeszcze lepiej: z towarzyszem Lucikuttim, który miał dużo ładniejsze włosy.

Powrócił myślami do Margaret Koćammy i Sophie Mol.

Stalowe opaski miłości tak ciasno zacisnęły mu się wokół piersi, że ledwo mógł oddychać. Leżał bezsennie i liczył godziny, które pozostały do wyjazdu na lotnisko.

Na sąsiednim łóżku jego siostrzenica i siostrzeniec spali spleceni ramionami. Gorący bliźniak i zimny bliźniak. On i Ona. Oni i My. Niezupełnie nieświadomi zapowiedzi tragedii i wszystkiego, co na nich czekało za kulisami. Śnili o swojej rzece.

O palmach kokosowych, które pochylały się nad rzeką i oczami z kokosów patrzyły na przepływające łodzie. Rano w górę rzeki. Wieczorem w dół rzeki. Głuchy, melancholijny dźwięk bambusowych tyk, którymi przewoźnicy uderzali o ciemne, natłuszczone drewno łodzi.

Woda była ciepła. Szarzielona. Jak pomarszczony jedwab.

Z rybami w środku.

Z niebem i drzewami w środku.

A nocą ze złamanym żółtym księżycem w środku.

Kiedy zmęczyły się czekaniem, zapachy obiadu wyskoczyły z zasłon i przeniknęły przez okna hotelu Sea Queen, aby przetańczyć noc nad pachnącym obiadem morzem.

Była za dziesięć druga.

5. Kraina wybrana przez Boga

Wiele lat później, kiedy Rahel wróciła nad rzekę, ta pozdrowiła ją uśmiechem upiornej czaszki z dziurami po zębach i gestem osłabłej dłoni uniesionej nad szpitalne łóżko. Stało się i jedno, i drugie.

Rzeka skurczyła się. Rahel urosła.

W dole rzeki wybudowano zaporę, w zamian za głosy wpływowego lobby hodowców ryżu. Zapora sprawiała, że wody Morza Arabskiego, zamiast podchodzić w górę rzeki, rozlewały się, tworząc rozległe płycizny. Dzięki temu zbiory ryżu odbywały się nie raz, lecz dwa razy w roku. Więcej ryżu za cenę rzeki.

Chociaż był czerwiec i padał deszcz, rzeka bardziej teraz przypominała wezbrany rynsztok. Tasiemka gęstej wody, która ze znużeniem ochlapywała czasem błotniste brzegi po obu stronach i błyskała niekiedy srebrnym sztychem martwej ryby. Przepływ wody dławily bujne zielska, których mechate brązowe korzenie falowały pod powierzchnią jak cienkie macki. Chodziły po niej brązowoskrzydłe widłoszpony. Ostrożnie, na rozstawionych łapach.

Kiedyś posiadała moc budzenia strachu. Wpływania na bieg ludzkiego życia. Lecz teraz zęby miała powyrywane, duch z niej uszedł. Była tylko powolnym, błotnozielonym taśmociągiem, który transportował do morza cuchnące śmieci. Jasne plastikowe torby ślizgały się po jej lepkiej, zarośniętej zielskiem powierzchni jak podzwrotnikowe latające kwiaty. Kamienne stopnie, po których kiedyś schodzili prosto do wody pływacy i rybacy, były całe odsłonięte i prowadziły znikąd donikąd, jak absurdalny pomnik, który niczego nie upamiętnia. Ze szpar sterczały paprocie.

Po drugiej stronie rzeki błotniste strome brzegi nagle przechodziły w niskie ściany nędznych chatynek, też z błota. Dzieci wystawiały pupy za krawędź i załatwiały się prosto do chlupoczącego, wsysającego błota odsłoniętego dna rzeki. Mniejsze dzieci zostawiały na pochyłości musztardowe pasy, które powoli spływały na dół. Pod wieczór rzeka rozbudzała się trochę, aby przyjąć złożone tego dnia ofiary, i ściekała do morza, zostawiając po sobie faliste linie gęstej białej piany. W górze rzeki czyste matki prały ubrania i myły garnki w wodzie bez kanalizacyjnych domieszek, którą wyrzucała z siebie fabryka. Ludzie kąpali się. Ucięte torsy namydlały się, ustawione jak ciemne popiersia na wąskim jak wstążka trawniku.

W ciepłe dni smród odchodów unosił się do góry i wisiał nad Ajemenem jak kapelusz.

Dalej, w głąb lądu, pięciogwiazdkowy hotel zakupił Jądro Ciemności.

Do Domu Historii (gdzie szeptali niegdyś przodkowie o oddechu zalatującym pożółkłymi mapami i z twardymi paznokciami u nóg) nie dało się już dojść od strony rzeki. Odwrócił się do Ajemenem plecami. Gości hotelowych przewożono przez rozlewisko delty, prosto z Koczinu. Przyplływali motorówkami, zostawiając na wodzie klin piany i tęczową błonę benzyny.

Z okna hotelowego rozciągał się piękny widok, ale również tutaj woda była gęsta i toksyczna. Poustawiano tablice z artystycznie wykaligrafowanymi napisami: „Pływanie wzbronione”. Zbudowano wysoki mur, aby odgrodzić posiadłość Kari Sejpu od nadrzecznych slumsów. W sprawie smrodu nie dało się wiele poradzić.

Pływać można było w basenie. A w jadłospisie widniały młode makrele z pieca tandoori i naleśniki suzette. Drzewa wciąż były zielone, a niebo niebieskie, a to już jest coś. Właściciele hotelu nie zniechęcili się więc i urządzili swój cuchnący raj – „Krainę wybraną przez Boga”, jak to nazywali w broszurach turystycznych – ponieważ byli inteligentni i wiedzieli, że do smrodu, podobnie jak do cudzej nędzy, można się przyzwyczaić. Kwestia dyscypliny. Rygoru i klimatyzacji. Niczego więcej. Dom Kari Sejpu został odrestaurowany i pomalowany. Stał się centralnym punktem rozległego kompleksu wypoczynkowego, poprzecinanego sztucznymi kanałami i spinającymi ich brzegi mostkami. Na wodzie kołysały się łódki. Stary bungalow w stylu kolonialnym, z głębokimi werandami i doryckimi kolumnami, otaczały mniejsze, starsze drewniane domy – domy przodków – które sieć hotelowa wykupiła od starych rodów i przetransportowała do Jądra Ciemności. Zabawkowe Historie dla bogatych turystów. Jak snopki ryżu w śnie Józefa, jak tłumek przejętych krajowców przychodzących z petycją do angielskiego urzędnika, stare domy zostały ustawione wokół Domu Historii w pełnych czci pozach. Hotel otrzymał nazwę „Dziedzictwo”. Hotelarze lubili mówić swoim gościom, że najstarszy spośród drewnianych domów, z hermetycznym, wykładanym drewnem magazynem, który mógł pomieścić roczny zapas ryżu dla całej armii, to pradawna siedziba rodu towarzysza E.M.S. Nambudiripada, „keralskiego Mao Tse-tunga”, tłumaczyli nie wtajemniczonym. Można było obejrzeć zakupione wraz z domem sprzęty i bibeloty. Parasol z trzciny, pleciony tapczan. Drewnianą szkatułkę na posag. Zostały opatrzone plakietkami, na których było napisane: „Tradycyjny keralski parasol” i „Tradycyjna keralska szkatułka na posag panny młodej”.

A zatem Historia i Literatura zostały wprężnięte w służbę interesów. Kurtz i Karol Marks podają ręce bogatym gościom, którzy wysiadają z motorówek.

Dom towarzysza Nambudiripada pełnił funkcję hotelowej jadalni, w której częściowo opaleni turyści w kostiumach kąpielowych popijali mleczko kokosowe (podawane w skorupie orzecha), a dawni komuniści, którzy teraz pracowali jako usłudźni kelnerzy w barwnych etnicznych strojach, garbili się nieco, przynosząc tace z napojami.

Wieczorami (w ramach kolorytu lokalnego) turystów raczono skróconymi spektaklami kathakali („Turyści szybko się nudzą” – tłumaczyli właściciele hotelu tancerzom). Starożytne opowieści kondensowano więc i okrawano. Sześciogodzinne klasyczne dramaty pokazywano w dwudziestominutowej pigułce.

Przedstawienia odbywały się koło basenu. Kiedy bębniarze bębniłi, a tancerze tańczyli, goście hotelowi baraszkowali w wodzie ze swymi dziećmi. Kiedy Kunti wyjawiała Karnie nad brzegiem rzeki swą tajemnicę, zalecające się do siebie pary nacierały sobie nawzajem plecy olejkim do opalania. Kiedy ojcowie uprawiali wyrafinowane gry seksualne ze swymi gibkimi nastoletnimi córkami, Putana karmiła młodego Kryszeń zatrutą piersią. Bhima wypruł Duhszasanie wnętrznosci i zanurzył w jego krwi włosy Draupadi.

Tylna weranda Domu Historii (którą zajął niegdys oddział dotykalnych policjantów; na której pękła nadmuchiwana gęś) została zabudowana i przerobiona na ażurową kuchnię hotelową. Teraz nie działo się tutaj nic straszniejszego niż przygotowywanie kebabów i kremu karmelowego. Trwoga odeszła w przeszłość. Przegnana zapachem jedzenia. Uciszona podśpiewywaniem kucharzy. Radosnym siekaniem imbiru i czosnku. Wypruwaniem wnętrznosci pomniejszym ssakomświniom, kozom. Krajaniem mięsa w kostkę. Patroszeniem ryb.

Coś leżało zagrzebane w ziemi. Pod trawą. Pod dwudziestoma trzema latami czerwcowego deszczu.

Mała, zapomniana rzecz.

Nic, po czym miałby płakać świat.

Plastikowy zegarek dla dziecka, z namalowaną godziną.

Za dziesięć drugą.

Gromadka dzieci ruszyła za idącą na spacer Rahel.

– Cześć, hipisko – powiedzieli, dwadzieścia pięć lat za późno. – Jak masz na imię?

Potem ktoś rzucił w nią kamykiem i jej dzieciństwo umknęło, trzęsąc chudymi ramionkami.

W drodze powrotnej, obchodząc łukiem Ayemenem House, Rahel wyszła na główną drogę. Tutaj również namnożyło się domów i tylko dzięki temu, że przycupnęły pod drzewami i że prowadzące do nich dróżki nie były przejezdne, Ajemenem zachowało pozór wiejskiego spokoju. Naprawdę jednak pod względem liczby ludności Ajemenem kwalifikowało się obecnie do miana niewielkiego miasta. Za kruchą fasadą zieleni ludzie żyli w ścisku i jeśli coś się wydarzyło, natychmiast ściągali tłumnie. Aby zatłuc na śmierć nieostrożnego kierowcę autobusu. Aby rozbić przednią szybę samochodu, który wyjechał na ulicę w dniu, w którym opozycja wezwała do strajku. Aby ukraść importowaną insulinę Baby Koćammy i maślane bułeczki, które sprowadzała aż z piekarni w Kottajam.

Towarzysz K.N.M. Pillej stał przy murze okalającym jego drukarnię i rozmawiał z kimś, kto stał po drugiej stronie. Ręce miał skrzyżowane na piersiach i ścisnął się kurczowo pod pachami, jakby ktoś właśnie poprosił go o ich wypożyczenie, a on odmówił. Człowiek po drugiej stronie muru z udawanym zainteresowaniem przeglądał zdjęcia podane mu w plastikowej kopercie. Były to głównie fotografie syna towarzysza K.N.M. Pilleja, Lenina, który mieszkał i pracował w Delhi, w ambasadzie holenderskiej i włoskiej, gdzie był odpowiedzialny za malowanie oraz instalacje wodne i elektryczne. Aby nie wzbudzać w klientach obaw co do swej orientacji politycznej, nieco zmodyfikował imię. Na Levin. Rahel próbowała przejść obok nie zauważona. Jak mogła sobie ubzdurać, że jej się to uda?

– Aiyyo, Rahel Mol! – zawołał towarzysz K.N.M. Pillej, który natychmiast ją rozpoznał. – Orkunnillej,? Towarzysz wujek?

– Oower – odparła Rahel.

Czy go pamięta? Owszem, pamięta go.

Zarówno pytanie, jak i odpowiedź miały być tylko uprzejmym wstępem do rozmowy. Oboje jednak wiedzieli, że o pewnych rzeczach można zapomnieć, a o pewnych nie można – stoją na zakurzonych półkach jak wypchane ptaszyska o złowrogich, patrzących z ukosa oczach.

– Ano tak – powiedział towarzysz Pillej. – Jesteś teraz w Amayrice, prawda?

– Nie – odparła Rahel. – Jestem tutaj.

– Tak, tak – wyglądał na trochę zniecierpliwionego – ale w ogóle w Amayrice, jak sądzę?

Towarzysz Pillej rozkrzyżował ramiona. Jego sutki łypały na Rahel znad muru ogrodzenia jak oczy smutnego bernardyna.

– Poznajesz? – spytał towarzysz Pillej mężczyznę z fotografiami, pokazując na Rahel ruchem

brody.

Nie poznawał.

– Córka córki starej Koćammy z Marynat „Paradise” wyjaśnił towarzysz Pillej.

Mężczyzna sprawiał wrażenie zaskoczonego. Najwyraźniej był obcy. I nie jadał marynat. Towarzysz Pillej spróbował z innej beczki.

– Punnjan Kuńdżu? – spytał. Na mgnienie oka na niebie po jawił się patriarcha Antioch i pomachał pomarszczoną dłonią. Mężczyźni z fotografiami wszystko zaczęło się układać.

Z zapalem skinął głową.

– Syn Punnjana Kuńdżu? Benaan John Ipe? Który mieszkał w Delhi? – powiedział towarzysz Pillej.

– Oower, oower, oower – odparł mężczyzna.

– To córka jego córki. Teraz mieszka w Amayrice.

Mężczyzna ponownie skinął głową, gdy wszystkie elementy łamigłówki, jaką była genealogia Rahel, poukładały mu się.

– Oower, oower, oower. Teraz w Amayrice, tak? – To nie było pytanie, lecz wyraz podziwu. Niejasno sobie przypominał, że zdarzył się jakiś skandal.

Nie pamiętał szczegółów, prócz tego, że grały w nim rolę seks i śmierć. Pisali o tym w gazetach. Po krótkim milczeniu i kolejnej serię nieznacznych skinieć głową mężczyzna oddał towarzyszowi Pillejowi kopertę ze zdjęciami.

– Dobra, towarzyszu, muszę lecieć.

Chciał zdążyć na autobus.

– Ano tak! – Uśmiech na twarzy towarzysza Pilleja rozszerzył się, on zaś skierował całą uwagę na Rahel jak światło reflektora. Miał zaskakująco różowe dziąsła, w nagrodę za całe życie nieprzejednanego wegetarianizmu. Należał do mężczyzn, których trudno sobie wyobrazić jako chłopców. Albo niemowlęta. Sprawiał wrażenie, jakby urodził się w średnim wieku. Lekko łysiejący.

– Mąż Mol? – dopytywał się.

– Nie przyjechał.

– Jakies zdjęcia?

– Nie.

– Na imię ma?

– Larry. Lawrence.

– Oower. Lawrence. – Towarzysz Pillej skinął głową, jakby wyrażał zgodę. Jakby chciał powiedzieć, że gdyby miał wybór, zdecydowałby się na to właśnie imię.

– Jakieś potomstwo?

– Nie – odparła Rahel.

– Pewnie dopiero w planach? Albo w drodze?

– Nie.

– Jedno dziecko musi być. Chłopiec, dziewczynka, nieważne – upierał się towarzysz Pillej. – A najlepiej dwójka. – Jesteśmy rozwiedzeni. – Rahel miała nadzieję, że szok zamknie mu usta.

– Roz-wie-dze-ni? – Zapiszczał tak wysoko, że przy pytajniku głos odmówił mu posłuszeństwa. – To nadzwyczaj przykre – powiedział, kiedy przyszedł do siebie. Z jakiegoś powodu użył książkowego języka, który w jego ustach brzmiał dziwnie. – Nad-zwyczaj przykre.

Towarzysz Pillej pomyślał, że być może obecne pokolenie płaci za burżuazyjną dekadencję swych przodków.

Tamten wariat. Ta z kolei rozwiedziona. Przypuszczalnie bezpłodna.

Może to jest właśnie prawdziwa rewolucja. Chrześcijańska burżuazja rozpoczyna proces samozniszczenia.

Towarzysz Pillej zniżył głos, jakby się bał, że ktoś ich podsłucha, choć dokoła nie było nikogo.

– A Mon? – powiedział konfidencjonalnym szeptem. – Jak się miewa?

– Dobrze – odparła Rahel. – Miewa się dobrze.

Dobrze. Płaski i miodowy. Pierze ubranie rozsypującym się mydłem.

– Aiiyo paavam – szepnęła towarzysz Pillej i sutki opadły mu w wyrazie ironicznej rozpacz. – Biedaczek.

Rahel zastanawiała się, po co zadaje jej te wszystkie intymne pytania, skoro i tak nie zwraca najmniejszej uwagi na jej odpowiedzi. Najwyraźniej nie spodziewa się, że powiem mu prawdę, pomyślała, więc po co udaje?

– Lenin jest teraz w Delhi – powiedział wreszcie towarzysz Pillej, nie potrafiąc ukryć rozpierającej go dumy. Pracuje w zagranicznych ambasadach. Popatrz!

Podał Rahel plastikową kopertę. Były to głównie zdjęcia Lenina i jego rodziny. Jego żony,

jego dziecka, jego nowego skutera marki Bajaj. Na jednym ze zdjęć Lenin ścisnął dłoń bardzo eleganckiemu, bardzo różowemu mężczyźnie.

– Niemiecki pierwszy sekretarz – pochwalił się towarzysz Pillej.

Lenin i jego żona sprawiali na zdjęciach wrażenie bardzo szczęśliwych. Jakby wstawili do dużego pokoju nową lodówkę i wpłacili pierwszą ratę za własnościowe mieszkanie. Rahel przypomniała sobie zdarzenie, które sprawiło, że Lenin zaczął być dla nich kimś realnym, przestał być jedną z fałd sari swojej matki. Rahel i Estha mieli po pięć lat, Lenin trzy albo cztery. Spotkali się w klinice doktora Werghese'a Werghese'a (czołowego kottajamskiego Pediatry i Obmacywacza Matek). Rahel była z Ammu i Esthą (który uparł się, aby im towarzyszyć). Lenin był ze swoją matką, Kaljani. Rahel i Lenin przybyli z tą samą dolegliwością – w ich nosach utknęły obce ciała. To, co dzisiaj wydaje się zaskakującym zbiegiem okoliczności, wówczas było zupełnie normalne. Nawet w doborze przedmiotów, którymi dzieci zatykały sobie nosy, kryła się polityka. Ona, wnuczka imperialnego entomologa, on, syn terenowego działacza Partii Marksistowskiej. Ona miała w nosie szklany paciorek, on zielone ziarnko ciecierzycy.

Poczekalnia była pełna ludzi.

Zza zasłony dobiegały złowieszcze głosy, przerywane skowytami maltretowanych dzieci. Słychać było brzęk szkła o metal oraz szum i bulgotanie wrzącej wody. Jakiś chłopiec bawił się drewnianą tabliczką CZYNNIE – NIECZYNNE na ścianie, przesuwając w górę i w dół mosiężną przesłonę. Gorączkujące niemowlę czekało na piersi matki. Powolny wentylator na suficie wykrawał z gęstego, przestraszonego powietrza nieskończenie długą spiralę, która wirowym ruchem powoli opadała na podłogę jak obierek nieskończonych rozmiarów ziemniaka.

Nikt nie czytał wyłożonych w poczekalni czasopism.

Zza kusej zasłony rozwieszonej w drzwiach, wychodzących prosto na ulicę, dobiegał nieustanny tupot ubezcieleńionych stóp. Hałaśliwy, beztroski świat Tych, Którym Nic Nie Utkwiło w Nosie.

Ammu i Kaljani wymieniły się dziećmi. Głowy zostały obrócone do światła, a nosy pociągnięte do góry w nadziei, że może cudza matka dopatrzy się tego, czego nie zauważyła własna. Kiedy nie przyniosło to żadnych rezultatów, Lenin, ubrany jak taksówka – żółta koszula, czarne elastyczne szorty – powrócił na styłonowe kolana swojej matki (i do swojej paczki cukierków). Siedział na kwiecistym sari i z tej niezdobytej pozycji leniwie lustrował otoczenie. Włożył sobie lewy palec wskazujący głęboko do nie zatkananej dziurki nosa i oddychał hałaśliwie

ustami. Uczesany był z równym przedziałkiem z boku. Włosy miał wypomadowane olejkami adżurwedyjskimi. Cukierki dostał na razie tylko do, potrzymania, a do zjedzenia dopiero po wizycie u lekarza. Świat miał się dobrze. Być może Lenin był jeszcze zbyt młody, aby wiedzieć, że Atmosfera w Poczekalni plus Wrzaski zza Zasłony powinny dać w wyniku Zdrowy Strach przed Doktorem W.W.

Najeżony szczur wykonał kilka kursów między gabinetem lekarza a szafą w poczekalni.

Pielęgniarka wychodziła i wchodziła przez zaciągnięte postrzępioną zasłoną drzwi. Była uzbrojona w dziwną broń. Maleńką fiolkę. Prostokąt szkła z rozmazaną krwią. Probówkę musującego, podświetlonego od tyłu moczu. Wygotowane igły na tacy ze stali nierdzewnej. Włosy na jej nogach sprężynowały pod białymi rajstopami jak druty. Obcasy znoszonych sandałów zdarły się od wewnętrznej strony, przez co jej stopy były nachylone do siebie. Błyszczące czarne spinki do włosów, przywodzące na myśl wyprostowane węże, przypinały jej wykrochmalony pielęgniarski czepek do natłuszczonych włosów. Sprawiała wrażenie, jakby miała okulary z antyszczurzymi filtrami. Nie zauważała najeżonego szczura, nawet jeżeli przemknął jej tuż pod stopami. Wywoływała nazwiska basowym głosem, prawie męskim: A. Ninan... S. Kusumalatha... B.V. Roshini... N. Ambady. Nie zważała na wystraszone, opadające spiralnie powietrze.

Oczy Esthy były przerażonymi spodkami. Tabliczka z napisami CZYNNY – NIECZYNNY zahipnotyzowała go.

W Rahel wezbrała fala paniki.

– Ammu, spróbujmy jeszcze raz.

Ammu jedną ręką przytrzymała ją za tył głowy. Kciukiem owiniętym w chusteczkę zatkała nozdrze, w którym nie było szklanego paciorka. Wszystkie oczy w poczekalni skierowane były na Rahel. Miał to być występ jej życia. Estha przybrał wyraz twarzy człowieka, który za chwilę dmuchnie przez nos. Na czole zrobiły mu się zmarszczki i wziął głęboki wdech.

Rahel zebrała wszystkie siły. Proszę Cię, Boże, niech wypadnie. Z podeszew stóp, z samego dna serca, dmuchnęła w chusteczkę matki.

Wypadł razem ze smarkami, ku powszechnej uldze. Mały fiołkoworóżowy paciorek w plazmatycznej otoczce. Dumny jak perła w ostrydze. Dzieci zebrały się dokoła, aby go podziwiać. Chłopiec, który bawił się drewnianą tabliczką, był bardzo krytyczny.

– Ja bym tak potrafił bez niczego! – oznajmił.

– Spróbuj, a zobaczysz, jak dostaniesz – powiedziała matka. – Panna Rahel! – wywołała pielęgniarka i rozejrzała się po poczekalni.

– Już go mamy! – poinformowała Ammu pielęgniarkę. Wszedł. – Podsunęła w jej stronę zmiętą chusteczkę. Pielęgniarka nie wiedziała, o co chodzi.

– Dziękujemy. Już nie potrzebujemy pana doktora – powiedziała Ammu. – Paciorek wypadł.

– Następny! – zawołała pielęgniarka i zamknęła oczy przesłonięte szczerzymi filtrami. (Co za ludzie – pomyślała). S.V.S. Kurup!

Chłopiec, który nie widział nic szczególnego w wyczynie Rahel, zaczął wyć, kiedy matka wepchnęła go do gabinetu lekarza.

Rahel i Estha opuścili klinikę w triumfalnych nastrojach. Mały Lenin został w poczekalni, aby doktor Werghese mógł później pogmerać mu w nosie stalowymi szczypcami i po ciele jego matki innymi, delikatniejszymi instrumentami. Taki był wówczas Lenin.

Teraz miał dom i skuter marki Bajaj. Żonę i potomstwo. Rahel oddała towarzyszowi Pillejowi kopertę ze zdjęciami i chciała odejść.

– Chwileczkę – powiedział towarzysz Pillej. Przypominał ekshibcjonistę, który zaczął się za murkiem. Aby zwabić ludzi swymi sutkami i wymusić na nich oglądanie zdjęć syna. Przerzucił zdjęcia (obrazkowy przewodnik po życiu Lenina), aż dotarł do ostatniego. – Orkunnundo?

Było to zdjęcie czarno-białe. Wykonane przez Chacka aparatem Rolleiflex, który Margaret Koćamma przywiozła mu w prezencie pod choinkę. Byli na nim wszyscy czworo. Lenin, Estha, Sophie Mol i Rahel, stojący przed werandą Ayemenem House. Z sufitu werandy zwiisały świąteczne dekoracje Baby Koćammy. Do świątecznego lampionu przywiązana była tekturowa gwiazda. Lenin, Rahel i Estha wyglądali jak wystraszone zwierzęta, które oślepiły reflektory samochodu. Kolana zsunięte razem, uśmiechy zastygłe na twarzach, ramiona przyciśnięte do boków, torsy frontem do aparatu. Jakby stanie pod kątem było grzechem.

Tylko Sophie Mol, z wytrawnością wychowanki Pierwszego Świata, odpowiednio przygotowała twarz do zdjęcia, które robił jej biologiczny ojciec. Podciągnęła powieki do góry, przez co jej oczy wyglądały jak pożyłkowane na różowo płatki ciała (szare na czarno-białej fotografii). Założyła wystające sztuczne zęby z żółtej skórki limony. Na końcu wysuniętego języka położyła sobie srebrny naparstek Mammaci. (Zawłaszczyła go w dniu przyjazdu i ślubowała, że przez całe wakacje będzie piła tylko z naparstka). W każdej dłoni trzymała zapaloną świecę. Jedną nogawkę dzinsowych dzwonów miała podwiniętą, aby pokazać

twarz narysowaną na białym, kościstym kolanie. Na kilka minut przed tą sesją fotograficzną skończyła cierpliwie tłumaczyć Rahel i Escie (zbijając wszelkie dowody – fotografie, wspomnienia – które świadczyły przeciwko jej tezie), że istnieje spore prawdopodobieństwo, iż są bękartami. Wyjaśniła im również, co to naprawdę znaczy bękart. Musiała w tym celu uciec się do niezbyt fachowych opisów czynności seksualnych. – Słuchajcie, oni to robią tak... Było to zaledwie kilka dni przed jej śmiercią.

Sophie Mol.

Co piła z naparstka.

A jej trumnę wieźli rykszą.

Przyleciała samolotem z Bombaju do Koczinu. W kapeluszu i dzwonach. I od początku wszyscy ją pokochali.

6. Kangury w Koczinie

Na lotnisku w Koczinie nowe kropkowane majtki Rahel były jeszcze świeże. Próby zostały przeprowadzone. Był to dzień premiery. Kulminacja tygodnia, który przebiegał pod hasłem: „Co Sophie Mol sobie pomyśli?”

Rano w hotelu Sea Queen Ammu – która przez całą noc śniła o delfinach i błękanie morskich głębin – pomogła Rahel założyć piankową Sukienkę Lotniskową. Była to jedna z zadziwiających pomyłek estetycznych Ammu: obłok sztywnej żółtej koronki z maleńkimi srebrnymi cekinami i kokardą na każdym ramieniu. Plisowana spódniczka była podszyta klejonką, aby miała kształt klosza. Rahel martwiła się, że spódnica nie pasuje do jej okularów przeciwsłonecznych.

Ammu podała jej odpowiednio dobrane, „twarzowe” majtki. Rahel, przytrzymując się Ammu, wskoczyła w świeże majtki (lewa noga, prawa noga i pocałowała Ammu w oba dołeczki (lewy policzek, prawy policzek). Gumka elastyczna strzeliła jej delikatnie o brzuch.

– Dziękuję, Ammu – powiedziała Rahel.

– Za co? – zdziwiła się Ammu.

– Za nową sukienkę i majtki – wyjaśniła Rahel.

Ammu uśmiechnęła się.

– Nie ma za co, kochanie – powiedziała, lecz smutnym głosem.

Nie ma za co, kochanie.

Ćma na sercu Rahel uniosła jedną mechatań nogę. Potem postawiła z powrotem. Noga była zimna. Jej matka kochała ją trochę mniej.

W pokoju w Sea Queen pachniało jajkami i kawą.

Kiedy szli do samochodu, Estha niósł termos marki Orzeł napełniony wodą z kranu. Rahel niosła termos z wodą przegotowaną. Na termosach marki Orzeł widniały orły z rozpostartymi skrzydłami i globusami w szponach. W przekonaniu bliźniąt termosowe orły przez cały dzień stały na straży świata, a przez całą noc latały wokół całej kuli ziemskiej ze swymi termosami. Latały cicho jak sowy, z księżycem na skrzydłach. Estha miał na sobie czerwoną koszulę z długimi rękawami i kołnierzykiem w szpic oraz czarne spodnie z rurowatymi nogawkami. Jego czub był skorupiasty i zdziwiony. Jak dobrze ubita piana z białka.

Estha powiedział – trzeba przyznać, że miał do tego pewne podstawy – że Rahel wygląda głupio w lotniskowej sukience. Rahel uderzyła go, a on nie pozostał jej dłużny.

Na lotnisku nie odzywali się do siebie.

Chacko, który zazwyczaj nosił mundu, tym razem miał na sobie dziwny, za ciasny garnitur i uśmiechał się promiennie. Ammu wyprostowała mu krawat, który też był dziwny i przekrzywiony. I nakarmiony okruszkami ze śniadania, co najwyraźniej wprawiło go w dobry humor.

– Co się nagle stało – spytała Ammu – z naszym Obrońcą Mas Ludowych?

Powiedziała to jednak z dołeczkami, ponieważ Chacko był taki tryskający radością i szczęściem.

Chacko nie uderzył jej.

Ona mu nie oddała.

Z kwiaciami hotelu Sea Queen Chacko przyniósł dwie róże, które trzymał ostrożnie i z uczuciem.

W lotniskowym sklepie, prowadzonym przez Keralski Zarząd Rozwoju Turystyki, pełno było maharadzów linii lotniczych Air India (małych średnich dużych), słoni z drewna sandałowego (małych średnich dużych) i masek tancerzy kathakali z papier mache (małych średnich dużych). W powietrzu unosił się silny zapach drzewa sandałowego i pach obciążonych frotą (małych średnich dużych).

W holu przylotów stały cztery naturalnej wielkości betonowe kangury, z betonowymi workami, na których było napisane: WRZUĆ TUTAJ. Zamiast betonowych zabawek w workach były niedopałki papierosów, zużyte zapalniczki, kapsle od butelek, łupki po orzeszkach, zgniecione papierowe kubki i karaluchy.

Czerwone plamy po betelowych splunięciach pokrywały kangurze brzuchy jak świeże rany.

Lotniskowe kangury miały czerwonouste uśmiechy.

I obrębione na różowo uszy.

Sprawały wrażenie, że gdyby je ścisnąć, powiedziałyby „Ma-ma” wydrążonym głosem na baterie.

Kiedy samolot Sophie Mol pojawił się na błękitnym jak niebo bombajsko-koczińskim niebie, tłum napał na żelazną barierkę, żeby więcej zobaczyć.

W holu przylotów panował rozgardiasz miłości i oczekiwania, ponieważ lotem

Bombaj-Koczin wracali do domu wszyscy Powracający z Zagranicy.

Ich rodziny przyjeżdżały ich odebrać. Z całej Kerali. Autobusami, po wiele godzin. Z Ranni, z Kumili, z Wizhinjam, z Uzhawur. Niektórzy obozowali przez noc na lotnisku, mieli ze sobą jedzenie. Oraz chrupki z tapioki i chakka velaichathu na drogę powrotną.

Kogo tam nie było – głusi ammoomas, swarliwi, artretyczni appoopans, zmarniałe żony, intrygujący wujkowie, dzieci z biegunką. Narzeczeni do wyceny. Mąż nauczycielki wciąż czekający na saudyjską wizę. Brzemienna żona druciarza. – Głównie klasa zamiataczy – powiedziała posepnie Baby Koćamma i odwróciła wzrok, gdy jakaś matka, nie chcąc stracić dobrego miejsca blisko barierki, wsunęła penis swego zaaferowanego niemowlaka do pustej butelki, podczas gdy dziecko uśmiechało się i machało do otaczających go ludzi.

– Sssss – zasyczała matka. Najpierw gwoli perswazji, potem groźnie. Lecz jej chłopczyk uważał się za papieża. Uśmiechał się i machał, uśmiechał się i machał. Z penisem w butelce.

– Nie zapominajcie, że jesteście ambasadorami Indii – powiedziała Baby Koćamma do Rahel i Esthy. – Od was zależy, jakie będzie ich pierwsze wrażenie o waszym kraju.

Bliźniaczo Dwujajowi Ambasadorowie. Ich ekscelencje ambasador Elvis Pelvis i ambasador Patyczak.

W sztywnej koronkowej sukience i fontannie spiętej Love-in-Tokyo Rahel wyglądała jak Lotniskowa Rusalka z okropnym gustem. Była obstąpiona przez wilgotne biodra (podobnie jak później, podczas pogrzebu w żółtym kościele) i niecierpliwie wyczekiwanie. Na sercu siedziała jej dziadkowa ćma. Rahel odwróciła się od wrzeszczącego stalowego ptaka na błękitnym jak niebo niebie z kuzynką w środku i oto co zobaczyła: czerwonouste kangury z rubinowymi uśmiechami kroczyły betonowo przez hol.

Raz i dwa.

Raz i dwa.

Długie płaskie stopy.

Lotniskowe odpadki w kubelkach na dzieci.

Najmniejszy wyciągnął szyję jak mężczyźni w angielskich filmach, którzy po pracy poluzowują krawat. Średni pogrzebał w swym worku, szukając długiego niedopałka papierosa. Znalazł łupkę nerkowca w ciemnym plastikowym woreczku. Zaczął ją chrupać przednimi zębami jak gryzoń. Duży zakolebał stojącą tablicą z napisem: „Wita Was Keralski Zarząd Rozwoju Turystyki” z tancerzem kathakali wykonującym namaste.

Na innej tablicy, nie rozkołysanej przez kangura, widniał napis: „ymatiW an mynnezroK użenbyW iidnI”.

Ambasador Rahel zaczęła się pospiesznie przebijać przez tłum ludzi do swego brata i współambasadora.

Spójrz Estha! Spójrz Estha spójrz!

Ambasador Estha nie spojrzał. Nie miał ochoty. Patrzył na podskoczne lądowanie z termosem marki Orzeł pełnym wody z kranu na szyi i bezdenno-dennym uczuciem: Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna wie, gdzie go znaleźć. W fabryce w Ajemenem. Nad brzegami Minaćal.

Ammu patrzyła z torebką.

Chacko z różami.

Baby Koćamma ze sterzącym pieprzykiem na szyi.

Potem wyszli bombajsko-koczińscy pasażerowie. Z chłodnego powietrza do gorącego. Wymięci ludzie spieszyli do holu przylotów.

I oto są, Powracający z Zagranicy, w syntetycznych garniturach i tęczowych okularach przeciwsłonecznych. Niosą w walizkach marki Aristocrat koniec nędzy i ubóstwa. Niosą betonowe dachy do krytych strzechą domów i piecyki gazowe do łazienek swych rodziców. Systemy kanalizacyjne i antyseptyczne zbiorniki na wodę. Sukienki maxi i buty na wysokich obcasach. Bufiaste rękawy i szminkę. Klucze do liczenia i szafy do zamykania. Apetyt na kappa i meen vevichathu, których tak dawno nie jedli. Miłość i odrobinę za wstydzienia, że członkowie rodziny, którzy wyszli im na spotkanie, są tacy... tacy... prostacy.

Spójrz, jak oni się poubierali! Przecież chyba mieli jakieś stosowniejsze ubranie na lotnisko! Dlaczego Malajalanie mają takie okropne zęby?

A lotnisko! Wygląda jak prowincjonalny dworzec kolejowy! Ptasie kupy na budynku! Kangury całe poplute!

Ech, Indie schodzą na psy.

Kiedy wielogodzinne przejazdy autobusem i nocne obozowanie na lotnisku spotykały się z miłością i odrobiną zawstydzienia, wyskakiwały niewielkie pęknięcia, które z czasem robiły się coraz większe i większe i zanim się obejrzeli, Powracający z Zagranicy byli poza Domem Historii i musieli od nowa prześnić swoje sny.

Potem, pośród syntetycznych garniturów i błyszczących walizek, Sophie Mol.

Co piła z naparstka.

A jej trumnę wieźli rykszą.

Szła po pasie startowym z zapachem Londynu we włosach. Żółte nogawki dzwonów kłapały jej wokół kostek. Długie włosy wypływały spod słomkowego kapelusza. Jedna ręka w ręce matki. Druga kołysząca się jak u maszerującego żołnierza (w lewo, w prawo, w lewo, w prawo).

Była sobie Dziewczyna Wysoka i Szczupła i Piękna Jej włosy Jej włosy Miały Delikatny kolor Imbiru (w lewo, w prawo)

Była sobie Dziewczyna Margaret Koćamma kazała jej przestać.

Więc przestała.

– Widzisz ją, Rahel? – spytała Ammu.

Odwróciła się i stwierdziła, że jej odziana w świeże majtki córka nawiązuje znajomość z betonowymi torbaczkami. Poszła po nią, nakrzyzczała i przyprowadziła z powrotem. Chacko powiedział, że nie może wziąć Rahel na ręce, ponieważ coś już w nich trzyma. Dwie czerwone róże. Z uczuciem. Kiedy Sophie Mol weszła do holu przylotów, Rahel, nie mogąc wytrzymać z podniecenia i niechęci, mocno uszczypnęła Esthę. Ścisnęła mu skórę paznokciami. Estha założył jej w rewanżu chińską bransoletę, obiema dłońmi wykręcając skórę na nadgarstku w przeciwne strony. Zrobiły się piekące pręgi. Polizała skórę, która miała smak soli. Ślina na nadgarstku była chłodna i przyjemna.

Ammu nic nie zauważyła.

Zza wysokiej żelaznej barierki, która oddzielała wychodzących od wracających do, witających od witanych, Chacko, promienny, rozsadzający sobą garnitur, z przekrzywionym krawatem, ukłonił się swej nowej córce i byłej żonie.

Estha powiedział do siebie w myślach: „Ukłoń się”.

– Witam, moje panie – powiedział Chacko swoim Głosem Lektora (głosem z zeszłej nocy, który powiedział: „Miłość. Szaleństwo. Nadzieja. Bezgraniczna Radość”). – Jak minęła podróż?

Atmosfera była gęsta od myśli i rzeczy do powiedzenia.

Ale w takich momentach mówi się tylko Małe Rzeczy. Duże Rzeczy są schowane w środku, nie wypowiedziane.

– Powiedz dzień dobry, jak się macie? – Margaret Koćamma przykazała Sophie Mol.

– Dzień dobry, jak się macie? – powiedziała Sophie Mol przez żelazną barierkę, do wszystkich i do nikogo.

– Jedna dla ciebie i jedna dla ciebie – rzekł Chacko, wręczając im róże.

– A dziękuję? – napomniała Sophie Mol Margaret Koćamma.

– A dziękuję? – powtórzyła Sophie Mol do Chacka, łącznie z pytajnikiem matki.

Margaret Koćamma potrząsnęła nią lekko w ramach kary za jej impertynencję.

– Nie ma za co – odparł Chacko. – A teraz pozwólcie, że wszystkich przedstawię. – Potem, bardziej mając na względzie gapiów i podsłuchiwczy, ponieważ Margaret Koćammy nie trzeba było przedstawiać, powiedział: – Moja żona Margaret. Margaret Koćamma uśmiechnęła się i machnęła na niego rózgą. „Była żona, Chacko!” Jej usta ułożyły się w te słowa, lecz jej głos ich nie wypowiedział.

Wszyscy mogli się przekonać, jaki Chacko jest szczęśliwy i dumny z faktu, że miał kiedyś taką żonę jak Margaret. Białą. W kwiecistej, drukowanej sukience z nogami pod spodem.

I brązowymi piegami na plecach. I piegami na ramionach. Roztaczała jednak wokół siebie jakiś smutek. W tle uśmiechu jej oczu widać było świeży, błyszczący błękit cierpienia. Z powodu tragicznego wypadku samochodowego. Z powodu dziury po Joem we wszechświecie.

– Witam wszystkich – powiedziała. – Czuję, jakbym was znała od lat.

– Moja córka Sophie – rzekł Chacko i roześmiał się nerwowo, zaniepokojony, że Margaret Koćamma powie: „Była córka”. Ale nie powiedziała. Był to łatwo zrozumiały śmiech. W przeciwieństwie do śmiechu Pomarańczowo-Cytrynowego Mężczyzny, którego Estha nie rozumiał.

– Witam – powiedziała Sophie Mol.

Była wyższa od Esthy. I większa. Oczy miała niebieskoszaroniebieskie. Jej blada skóra miała barwę piasku na plaży. Lecz włosy pod kapeluszem były piękne, o głębokim rudobrazowym odcieniu. No i (tak!) wewnątrz jej nosa czekał nos Pappaciego. Nos imperialnego entomologa. Nos odkrywcy rzadkiego gatunku ćmy. Niosła w ręce torebkę Made in England, którą bardzo lubiła.

– Ammu, moja siostra – oznajmił Chacko.

Ammu powiedziała dorosłe dzień dobry do Margaret Koćammy, a potem dziecinne dzień dobry do Sophie Mol. Rahel wytrzymała wzrok jak sokół, aby stwierdzić, jak bardzo Ammu kocha Sophie Mol, lecz jej się to nie udało.

Po holu przylotów przetoczył się śmiech, jak nagły poryw wiatru. Właśnie przyleciał (Bombaj-Koczin) Adur Basi, najbardziej znany i lubiany malajalamski aktor komediowy.

Objuczony sporą liczbą małych, lecz nieporęcznych pakunków i nieskrępowaną adoracją tłumu, czuł się zobowiązany odegrać jakąś komiczną scenkę. Stale upuszczał pakunki i mówił: Ende Deivomay! Eee sadhnnangal!

Estha roześmiał się zachwycony.

– Ammu, patrz! Adur Basi upuszcza swoje rzeczy!krzyknął Estha. – Co za niezdara!

– On to robi naumyślnie – powiedziała Baby Koćamma z dziwnym brytyjskim akcentem, którego wcześniej nie miała. – Nie zważajcie na niego.

– To aktor filmowy – wyjaśniła Margaret Koćammie i Sophie Mol. – Próbuje zwrócić na siebie uwagę – powiedziała Baby Koćamma i demonstracyjnie okazała, że w jej przypadku mu się to nie udało.

Baby Koćamma myliła się jednak. Adur Basi nie próbował zwrócić na siebie uwagi, tylko zasłużyć na uwagę, która już się na nim skupiła.

– Moja ciocia, Baby – powiedział Chacko.

Sophie Mol była zaskoczona. Spojrzała na Baby Koćammę z zainteresowaniem. Żeby o cioci mówić Baby, jak o dziecku albo ukochanej?

Baby Koćamma powiedziała: „Dzień dobry, Margaret” i „Dzień dobry, Sophie Mol”. Powiedziała, że Sophie Mol jest tak piękna, iż przypomina jej leśnego duszka. Ariela.

– Wiesz, kto to jest Ariel? – Baby Koćamma spytała Sophie Mol. – Ariel z Burzy?

Sophie Mol powiedziała, że nie wie.

– „Zbieram z łąki pył jak pszczoła”?~ – zacytowała Baby Koćamma.

Sophie Mol powiedziała, że nie wie.

– „Spijam rosę, wacham zioła”? Sophie Mol powiedziała, że nie wie.

– Z Burzy’ Szekspira? – nie ustępowała Baby Koćamma. Oczywiście służyło to przede wszystkim temu, aby przedstawić się Margaret Koćammie z jak najkorzystniejszej strony. Aby odróżnić się od Klasy Zamiataczy.

– Popisuje się – ambasador Elvis Pelvis szepnął do ucha ambasadorowi Patyczakowi. Chichot ambasador Rahel wysnął się jej w postaci niebieskozielonego bąbelka (koloru muszki owocowej), który pękł w gorącym powietrzu lotniska. Robiąc przy tym pffft!

Baby Koćamma zobaczyła to i wiedziała, że prowodyrem był Estha.

– A teraz przejdźmy do najważniejszych osobistości – powiedział Chacko (wciąż głosem lektora).

– Mój siostrzeniec, Esthappen.

– Elvis Presley – zemściła się Baby Koćamma. – Obawiam się, że jesteśmy tu wszyscy trochę zapóźnieni. – Wszyscy spojrzeli na Esthę i roześmiali się.

Od podeszew beżowych butów w szpic Esthy poszło w górę gniewne uczucie, które zatrzymało się w okolicy serca. – Jak się masz, Esthappen? – pozdrowiła go Margaret Koćamma.

– Dobrze – odparł Estha rozżalonym głosem.

– Estha – powiedziała Ammu z czułością – kiedy ktoś mówi do ciebie: Jak się masz? to nie odpowiadasz: Dobrze, tylko: Dziękuję, a pani? No, powiedz.

Ambasador Estha spojrział na Ammu.

– No, powiedz – ponaglała go Ammu. – Dziękuję, a pani? Senne oczy Esthy były uparte.

– Słyszałaś, co powiedziałam? – spytała Ammu w malajalam.

Ambasador Estha poczuł na sobie niebieskoszaroniebieskie oczy nad nosem imperialnego entomologa. Nie był w stanie wykrzesać z siebie: „Dziękuję, a pani?”

– Esthappen! – powiedziała Ammu. Gniewne uczucie podeszło do góry i zatrzymało się w okolicy serca. Znacznie gniewniejsze niż potrzeba. Czuli się upokorzona tą jawną rewoltą na podległym jej terytorium. Miała nadzieję na sprawny występ. Nagrodę dla swych dzieci w Indyjsko-Brytyjskim Konkursie Zachowania.

– Proszę cię. Później. Nie teraz – zwrócił się Chacko do Ammu w malajalam.

Gniewne oczy Ammu powiedziały do Esthy: „Dobrze.

Później”.

Później stało się strasznym, złowieszczym słowem, od którego wyskakuje gęsia skórka.

Póź. Niej.

Dźwięk basowego dzwonu w porośniętej mchem studni.

Dygoczący i włochaty. Jak odnóża ćmy.

Występ się nie udał. Jak marynaty w porze monsunu.

– I moja siostrzenica – mówił dalej Chacko. – Gdzie jest Rahel? – Rozejrzył się wokół siebie i nie mógł jej nigdzie znaleźć. Ambasador Rahel, nie mogąc sobie poradzić z wirami zmian w swym życiu, owinęła się jak parówka brudną lotniskową zasłoną i nie chciała się rozwinąć. Parówka w sandałach od Baty.

– Nie zważajcie na nią – powiedziała Ammu. – Ona próbuje zwrócić na siebie uwagę.

Ammu również się myliła. Rahel próbowała tylko nie zwracać na siebie uwagi, na którą

zasłużyła.

– Dzień dobry, Rahel – powiedziała Margaret Koćamma do brudnej lotniskowej zasłony.

– Jak się pani ma? – wymamrotała brudna zasłona.

– Nie wyjdiesz i nie przywitasz się ze mną? – spytała Margaret Koćamma głosem życzliwej guwernantki. (Takim samym, jakim posługiwała się panna Mitten, zanim zobaczyła Szatana w jej oczach).

Ambasador Rahel nie chciała wyjść z zasłony, bo nie mogła. Nie mogła, bo nie mogła. Bo wszystko było nie tak, jak trzeba. I wkrótce będzie PóźNiej dla niej i dla Esthy. PóźNiej pełne włochatych ciem i lodowatych motyli. I basowych dzwonów. I mchu.

Brudna lotniskowa zasłona była jej wielką pociechą, ciemnością i tarczą.

– Nie zważajcie na nią – powtórzyła Ammu z uśmiechem zaciśniętych ust.

Umysł Rahel był pełen kamieni młyńskich z niebieskoszaroniebieskimi oczami.

Ammu kochała ją teraz jeszcze mniej. I Chacko się zdenerwował.

– Jest bagaż! – powiedział Chacko pogodnie. Ucieszony, że można uciec od tej sytuacji.

– Chodź, Sophiekins, pójdziemy po twoje walizki. Sophiekins.

Estha patrzył, jak idą wzdłuż barierki, przepychając się przez tłum ludzi, którzy rozstępowali się, onieśmieleni garniturem Chacka, przekrzywionym krawatem i pękającym w szwach zachowaniem. Ze względu na swój duży brzuch Chacko nosił się tak, jakby cały czas szedł pod górę. Optymistycznie pokonywał śliskie, strome zbocza życia. Szedł po jednej stronie barierki, Margaret Koćamma i Sophie Mol po drugiej.

Sophiekins.

Człowiek-na-Krześle w czapce i epoletach, również onieśmielony garniturem i przekrzywionym krawatem Chacka, wpuścił go na salę odbioru bagażu.

Kiedy skończyła się między nimi barierka, Chacko pocałował Margaret Koćammę i podniósł Sophie Mol do góry.

– Kiedy ostatni raz wziąłem cię na ręce, w nagrodę obsikałaś mi koszulę – powiedział Chacko ze śmiechem. Ścisnął ją i ścisnął i ścisnął. Całował jej niebieskoszaroniebieskie oczy, jej nos entomologa, jej rudobrzowe włosy pod kapeluszem.

Potem Sophie Mol powiedziała do Chacka:

– Yyy... przepraszam. Czy mógłbyś mnie odstawić na ziemię? Nie jestem... yyy... nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby mnie nosić na rękach.

Chacko odstawił ją więc na ziemię.

Ambasador Estha zobaczył (upartym spojrzeniem), że garnitur Chacka nagle zrobił się luźniejszy, mniej pękający w szwach. Kiedy Chacko odbierał walizki, pod oknem z brudną zasłoną z PóźNiej zrobiło się Teraz.

Estha zobaczył, że pieprzyk na szyi Baby Koćammy chrobocze i pulsuje radosnym oczekiwaniem. Bum bum, zmienia kolor jak kameleon. Bum-zielony. Bum-niebieskoczarny. Bum-musztardowożółty.

Bliźnięta uparte Zostaną pożarte.

– Wystarczy – uznała Ammu. – Dość tego, oboje. Wychodź stamtąd, Rahel!

Wewnątrz zasłony Rahel zamknęła oczy i pomyślała o zielonej rzece, o cichych głębinowych rybach i o ażurowych skrzydłach ważek (które widziały do tyłu) w słońcu. Pomyślała o najszcześniejszej wędce, którą zrobił dla niej Welutha. Żółty bambus ze spławikiem, który dawał nura za każdym razem, gdy zainteresowała się nim niemądra ryba. Pomyślała o Welucie i żałowała, że nie jest teraz z nim.

Potem Estha odwinął ją z zasłony. Obserwowały ich betonowe kangury.

Ammu patrzyła na nich. Wokół panowała cisza, jeżeli nie liczyć chrobotania pieprzyka Baby Koćammy.

– Tak – powiedziała Ammu.

W rzeczywistości było to pytanie. Tak?

Na które nie było odpowiedzi.

Ambasador Estha spuścił wzrok i zobaczył, że jego buty (od których szły gniewne uczucia) są beżowe i w szpic. Ambasador Rahel spuściła wzrok i zobaczyła, że jej palce w sandałach od Baty próbują odłączyć się od stóp. I podczepić do cudzych. I że nie może ich powstrzymać. Wkrótce zostanie bez palców u nóg i będzie je miała zabandażowane jak trędowny na przejeździe kolejowym.

– Jeśli – zagroziła Ammu – jeszcze raz, powtarzam, jeśli JESZCZE RAZ publicznie okażecie mi nieposłuszeństwo, wy ślę was tam, gdzie was ślicznie nauczą, jak się należy zachowywać. Zrozumiano?

Kiedy Ammu naprawdę się zdenerwowała, mówiła:, „Ślicznie”. Słowo to nabrało złowieszczonego wydźwięku. – Zro-zu-mia-no? – powtórzyła.

Spojrzały na nią wystraszone oczy i fontanna. Spojrzały na nią senne oczy i zaskoczony

czub.

Dwie głowy skinęły trzy razy.

Tak. Zrozumiano.

Lecz Baby Kóćamma była niezadowolona z rozładowania sytuacji, która zawierała w sobie tyle możliwości. – Już to widzę! – powiedziała.

Już to widzę?

Ammu odwróciła się do niej, co było równoznaczne z pytaniem.

– To wszystko na nic – mówiła Baby Koćamma. – One są podstępne. Niewychowane. Obludne. Coraz bardziej dziczeją. Nie radzisz sobie z nimi.

Ammu odwróciła się do Esthy i Rahel, a jej oczy były zabrudzonymi klejnotami.

– Wszyscy mówią, że dzieci potrzebują Baby. A ja mówię, że nie potrzebują. Moje dzieci nie potrzebują Baby. Wicie dlaczego?

Dwie głowy skinęły.

– Dlaczego? Powiedzcie mi.

Nie jednocześnie, ale prawie jednocześnie, Esthappen i Rahel i odparli:

– Bo jesteś naszą Ammu i naszym Babą i kochasz nas za dwoje.

– Więcej niż za dwoje – skorygowała ich Ammu. – Więc pamiętajcie, co wam powiedziałam.

Nie wolno ludzi do siebie zrażać. A kiedy publicznie okazujecie mi nieposłuszeństwo, wszyscy myślą o was źle.

– Nie ma co, byliście pierwszorzędnymi ambasadorami powiedziała Baby Koćamma.

Ambasador Elvis Pelvis i ambasador Patyczak zwiesili głowy.

– I jeszcze jedna rzecz, Rahel – mówiła Ammu. – Już najwyższy czas, abyś się nauczyła odróżniać CZYSTE od BRUDNEGO. Szczególnie w tym kraju.

Ambasador Rahel spuściła wzrok.

– Twoja sukienka jest – była – CZYSTA – kontynuowała Ammu. – Ta zasłona jest BRUDNA. Kangury są BRUDNE.

Twoje ręce są BRUDNE.

Rahel była wystraszona, że Ammu mówi CZYSTY i BRUDNY tak głośno. Jakby zwracała się do kogoś głuchego. – A teraz proszę, żebyście się porządnie przywitali – powiedziała Ammu. – Zrobicie to czy nie?

Dwie głowy skinęły dwa razy.

Ambasador Estha i ambasador Rahel podeszli do Sophie Mol.

– Jak myślisz, gdzie posyłają ludzi, żeby się nauczyli, jak należy się zachowywać? – szepnął Estha do Rahel.

– Do rządu – odparła szeptem Rahel, ponieważ tak się złożyło, że wiedziała.

– Jak się masz? – powiedział Estha do Sophie Mol na tyle głośno, żeby Ammu usłyszała.

– Jak kiermasz – szepnęła Sophie Mol do Esthy.

Estha spojrzał na Ammu.

Spojrzenie Ammu mówiło: Nie zważaj na nią, byleś ty się zachowywał jak należy.

Po drodze na lotniskowy parking upał wniknął w ubrania i nasiąkły nim świeże majtki Rahel.

Dzieci zostały w tyle, slalomując między zaparkowanymi samochodami i taksówkami.

– Czy wasza mama was bije? – spytała Sophie Mol.

Rahel i Estha, niepewni, jaką powinni przyjąć strategię, milczeli.

– Moja mnie bije – powiedziała Sophie Mol gwoli zachęty. – Nawet po twarzy.

– Nasza nie – odparł lojalnie Estha.

– Macie szczęście.

Masz szczęście, bogaty chłopak z kieszonkowym i fabryką do odziedziczenia po babci.

Żadnych zmartwień.

Przeszli obok jednodniowego symbolicznego strajku głodowego Związku Zawodowego Pracowników Lotnisk Klasy III. I obok ludzi, którzy patrzyli na jednodniowy symboliczny strajk głodowy Związku Zawodowego Pracowników Lotnisk Klasy III.

I obok ludzi, którzy patrzyli na ludzi, którzy patrzyli. Niewielka cynowa tabliczka na drzewie figowym mówiła:

„W sprawie chorób wenerycznych przyjmuje dr O.K. Joy”.

– Kogo kochasz najwięcej w świecie? – Rahel spytała Sophie Mol.

– Joego – odparła Sophie Mol bez wahania. – Mojego tatę. Zmarł dwa miesiące temu.

Przyjechałyśmy tutaj pozbierać się z szoku.

– Przecież twoim tatą jest Chacko – zaprotestował Estha.

– On jest tylko moim prawdziwym tatą – powiedziała Sophie Mol. – Ale tak naprawdę tatą jest Joe. On mnie nigdy nie bije. Prawie nigdy.

– Jak może cię bić, skoro nie żyje? – spytał rozsądnie Estha.

- A wasz tata gdzie jest? – chciała wiedzieć Sophie Mol.
- On... – zaczęła Rahel i spojrzała na Esthę, żeby jej pomógł.
- Nie ma go tutaj – powiedział Estha.
- Powiedzieć ci moją listę? – Rahel spytała Sophie Mol.
- Jeśli chcesz – odparła Sophie Mol.

„Lista” Rahel była próbą uporządkowania chaosu. Ciągłe ją przerabiała, wiecznie rozdarta między miłością i obowiązkiem. Lista w żadnym razie nie stanowiła rzetelnej wykładni jej uczuć.

- Najbardziej kocham Ammu i Chacka – powiedziała Rahel. – Potem Mammaci...
- Naszą babcię – wyjaśnił Estha.
- Więcej niż brata? – spytała Sophie Mol.
- My się nie liczymy – powiedziała Rahel. – A poza tym Ammu mówi, że on się może

zmienić.

- Jak to zmienić? W co zmienić? – spytała Sophie Mol.
- W Męską Szowinistyczną Świnie – wyjaśniła Rahel.
- Bardzo mało prawdopodobne – powiedział Estha.
- W każdym razie po Mammaci idzie Welutha, a po nim...
- Kto to jest Welutha? – dopytywała się Sophie Mol.
- Taki człowiek, którego kochamy – oznajmiła Rahel. A po Welucie ty – dodała.
- Ja? Za co mnie kochacie? – spytała Sophie Mol.
- Bo jesteśmy bliskimi kuzynkami. Więc muszę – wyjaśniła uroczyście Rahel.
- Nawet mnie nie znasz – powiedziała Sophie Mol. A w każdym razie ja cię nie kocham.
- Ale pokochasz, kiedy mnie poznasz – mówiła Rahel z przekonaniem.
- Wątpię w to – zgasił ją Estha.
- Dlaczego? – spytała Sophie Mol.
- Dlatego – odparł Estha. – A poza tym ona najprawdopodobniej będzie karlicą.

Jakby miłość do karlicy zupełnie nie wchodziła w rachubę. – Nie będę – zaprotestowała Rahel.

- Będziesz – powiedział Estha.
- Nie będę.
- Będziesz.
- Nie będę.

– Będziesz. Jesteśmy bliźniakami – Estha wyjaśnił Sophie Mol – a popatrz, o ile jest ode mnie niższa.

Rahel posłusznie wzięła głęboki wdech, wyduła pierś do przodu i oparła się plecami o plecy Esthy, żeby Sophie mogła przekonać się na własne oczy, o ile Rahel jest niższa od Esthy.

– Może będziesz konusem – zasugerowała Sophie Mol. To ktoś wyższy od Karla, a niższy od... człowieka. Zapadła cisza, jakby ten kompromis nie do końca przypadł do gustu reszcie towarzystwa.

W drzwiach holu przyłotów rozmyty kontur kangura z czerwonymi ustami pomachał betonową dłonią tylko do Rahel. Betonowe całusy furczały w powietrzu jak helikopterki.

– Umiecie chodzić, kołysząc biodrami? – spytała Sophie Mol.

– Nie. W Indiach tak nie chodzimy – odparł ambasador Estha.

– A my w Anglii tak – powiedziała Sophie Mol. – Wszystkie modelki tak chodzą. W telewizji. Popatrzcie – to proste.

Cienie tropiły ich. Srebrne samoloty na niebieskim niebie wyglądały jak ćmy w słupie światła.

Plymouth w kolorze nieba ze statecznikami obdarzył Sophie Mol uśmiechem. Chromowozderzakowym uśmiechem rekina.

Samochodowym uśmiechem Marynat „Paradise”.

Kiedy Margaret Koćamma zobaczyła tablicę z namalowanymi słoikami marynat i listą produktów „Paradise”, powiedziała:

– O Boże! Czuję się, jakbym występowała w reklamie! Często mówiła: O Boże!

O Boże! O Boże O Boże!

– Nie wiedziałam, że robicie plasterki ananasa! – powiedziała. – Sophie uwielbia ananasy, prawda, Soph?

– Czasami – odparła Soph. – A czasami nie.

Margaret Koćamma wsiadła do reklamy wraz ze swymi brązowymi piegami na plecach i piegami na ramionach, w sukience w kwiatki z nogami pod spodem.

Sophie Mol usiadła z przodu pomiędzy Chackiem i Margaret Koćammą (nad oparcie siedzenia wystawał jej tylko kapelusz). Ponieważ była ich córką.

Rahel i Estha usiedli z tyłu.

Bagaż był w bagażniku. Logiczne. Tak jak naszyjnik służy do noszenia na szyi.

Niedaleko Ettumanur minęli martwego słonia świątynnego, porażonego prądem z przewodu wysokiego napięcia, który spadł na drogę. Inżynier zatrudniony przez miasto Ettumanur nadzorował usuwanie zwłok. Operacja musiała być starannie przemyślana, ponieważ zastosowana strategia miała w przyszłości posłużyć jako precedens dla wszelkiego urzędowego usuwania zwłok zwierząt gruboskórych. Poważna sprawa.

Był tam wóz strażacki i kilku zdezorientowanych strażaków. Urzędnik miejski miał papierową teczkę i dużo krzyczał.

W pobliżu był też wózek z lodami marki Joy i człowiek, który sprzedawał orzeszki ziemne w wąskich papierowych tutkach, tak sprytnie zrobionych, że mieściło się w nich tylko osiem do dziewięciu orzeszków.

– Patrzcie, martwy słoń – powiedziała Sophie Mol.

Chacko zatrzymał się, aby spytać, czy nie jest to przypadkiem Koću Thomban (Mały Kiel), słoń świątynny z Ajemenem, który raz w miesiącu przychodził do ich domu po kokosa. Powiedzieli, że to nie ten.

Odetchnąwszy z ulgą, że to słoń obcy, a nie znajomy, pojechali dalej.

– Dzieńki Bogu – powiedział Estha.

– Dzięki Bogu – poprawiła go Baby Koćamma.

Po drodze Sophie Mol nauczyła się rozpoznawać pierwszy powiew nadciągającego smrodu surowego kauczuku i trzymać nos zatkany jeszcze długo po wyminięciu ciężarówki. Baby Koćamma zasugerowała, żeby zaśpiewali jakąś piosenkę samochodową.

Estha i Rahel musieli śpiewać po angielsku posłusznymi głosami. Spontanicznie. Jakby nie kazano im ćwiczyć przez cały tydzień. Ambasador Elvis Pelvis i ambasador Patyczak. Raduuujcie się w Paaanu I jeeeszcze raz raduuujcie się.

Dykcję mieli wprost znakomitą.

Plymouth mknął przez zielony upał południa, reklamując na dachu marynaty, a w statecznikach niebo koloru nieba. Tuż przed Ajemenem zderzyli się z zielonym jak kapusta motylem (a może to on zderzył się z nimi).

7. Zeszyty mądrości

W gabinecie Pappaciego nakłute motyle i ćmy rozsypały się na małe kupki opalizującego pyłu, który pokrył dno gabloty i odsłonił szpilki. Okrutne. Pokój cuchnął grzybem i zapuszczeniem. Na drewnianym kołku w ścianie wisiał stary, neonowozielony hula-hoop, porzucona aureola ogromnego świętego. Po parapecie maszerowała kolumna błyszczących czarnych mrówek, z kuprami do góry, przez co przypominały girlaski z musicalu Busby Berkeleya. Ze słońcem w tle. Wypolerowane i piękne.

Rahel (na stołku, który stał na stole grzebała w szafie bibliotecznej z półprzezroczystymi, brudnymi szybami. W kurzu na podłodze odcisnęły się ślady jej nagich stóp. Prowadziły od drzwi do stołu (przeciągniętego pod szafę biblioteczną), do stołka (przeciągniętego pod stół i postawionego na blacie). Szukała czegoś. Jej życie zyskało teraz rozmiar i kształt. Miała półksiężyc pod oczami, a na jej horyzoncie stała drużyna skrzatów.

Na najwyższej półce stał wielotomowy Świat owadów Indii; skórzane oprawy poszczególnych tomów poodrywały się i pomarszczyły jak blacha falista. Rybiki wydrążyły w papierze tunele, przekopując się bez żadnego planu od gatunku do gatunku, zamieniając usystematyzowaną informację w żółty azur.

Rahel sięgała za rząd książek i wyciągała schowane tam rzeczy.

Gładką muszlę i kolczastą muszlę.

Plastikowy pojemnik na szkła kontaktowe. Pomarańczową pipetkę.

Srebrny krzyżyk na łańcuszku z paciorków. Różaniec Baby Koćammy.

Podniosła go do światła. Każdy z paciorków łączywie chwycił swój przydział światła.

Na oświetlony słońcem prostokąt podłogi gabinetu padł cień. Rahel odwróciła się do drzwi ze swym łańcuszkiem światła.

– Wyobraź sobie. Wciąż tu jest. Ukradłam go, jak zostałeś Oddany.

To słowo łatwo się wypowiadało. Oddany. Jakby takie było przeznaczenie bliźniąt. Być pożyczanym i oddawanym. Jak książki z biblioteki.

Estha nie podnosił wzroku. Umysł miał pełen pociągów. Zasłaniał wpadające przez drzwi światło. Dziura w kształcie Esthy we wszechświecie.

Za książkami zaskoczone palce Rahel natrafiły na coś innego. Kolejna sroka-złodziejka

wpadła na ten sam pomysł. Rahel wyjęła tajemniczy przedmiot i otarła z kurzu rękawem koszuli. Był to płaski pakunek zawinięty w folię i zalepiony taśmą klejącą. Na kawałku papieru pod folią było napisane Esthappen i Rahel”. Pismem Ammu.

Pakunek zawierał cztery wystrzępione zeszyty. Na okładkach widniała nazwa „Zeszyty Mądrości” i było miejsce na wpisanie „Imienia i nazwiska”, „Szkoły/Uczelni, Klasy/Grupy, Przedmiotu”. Na dwóch było jej imię, na dwóch imię Esthy.

Na wewnętrznej tylnej okładce jednego z zeszytów coś było napisane dziecinną ręką. Mozolny kształt każdej litery i nieregularne odstępy pomiędzy słowami świadczyły o walce o kontrolę nad płochym, samowolnym ołówkiem. Natomiast myśl została przekazana w sposób bardzo czytelny: Nienawidzę panny Mitten i myślę, że ma PODARTE majdki”.

Na przedniej okładce Estha wymazał za pomocą śliny swoje nazwisko, zdzierając przy okazji papier. Zrobiła się niesympatyczna plama, na której napisał ołówkiem: „Nieznane”. Esthappen Nie-znany. (Nazwisko tymczasowo odroczone, gdyż Ammu nie mogła się zdecydować między nazwiskiem męża a ojca). Pod „Klasa/Grupa” było wpisane: „6 lat”. Pod „Przedmiot”: „Wypracowania”.

Rahel usiadła po turecku (na stołku, który stał na stole). – Esthappen Nie-znany – powiedziała. Otworzyła zeszyt i zaczęła czytać z niego na głos.

Kiedy Ulisys wrócił przyszedł jego syn i powiedział ojciec myślałem, że nie wrócisz, przyszło wielu księci i każdy chciał się ożenić z Pene Lopą, ale Pene Lopa powiedziała, że człowiek, który szczeli przez dwanaście pierścieni może się ze mną ożenić, i nikomu się nie udało, i ulisys przyszedł do pałacu ubrany jak rzebrak i spytał czy może spróbować, wszyscy męszczyźni śmiali się z niego i powiedzieli jak my nie damy rady to i ty nie dasz rady, syn ulisysa powiedział dajcie mu spróbować i on wzięł łuk i szczelił przez wszystkie dwanaście pierścieni.

Pod spodem były przepisane po kilka razy słowa, w których zrobił błędy w poprzedniej lekcji.

Głos Rahel zwiął się na brzegach od śmiechu. „Ostrożność przede wszystkim” – przeczytała. Ammu czerwonym długopisem pociągnęła z góry na dół nierówną linię i napisała: „Margines? I na przyszłość proszę łączyć litery!”

Kiedy idziemy ulicą w mieście – brzmiała historia ostrożnego Esthy – powinniśmy zawsze iść po chodniku. Kiedy się idzie po chodniku to nie ma aut, które mogą tak potroncić, że człowiek traci przytomność albo zostaje kaleką. To wielkie nieszczęście, kiedy komuś penknie

głowa albo kregosłup. Policjanci kierują ruchem, żeby nie było za dużo inwalidów do szpitala. Kiedy wysiadamy z autobusu, musimy najpierw spytać konduktora o zgodę, bo inaczej będziemy ranni i lekarze będą mieli dużo roboty. Praca kierowcy jest bardzo niebezpieczna. Jego rodzina musi się bardzo martwić, bo kierowca może łatwo umrzeć.

– Makabryczne dziecko – powiedziała Rahel do Esthy.

Kiedy przewracała kartkę, coś sięgnęło jej do gardła, wyciągnęło jej głos, otrzepało go i wstawiło z powrotem na miejsce bez śmiechu na brzegach. Następna historia Esthy była zatytułowana Mała Ammu.

Napisana połączonymi literami. Ogonki igreków i gie zwiły się w pętelkę. Cień w drzwiach stał zupełnie nieruchomo. W sobotę pojechaliśmy do księgarni w Kottajam, żeby kupić Ammu prezent, bo 17 listopada ma urodziny. Kupiliśmy jej notatnik. Schowaliśmy go w szafie a potem zaczęła być noc. Potem powiedzieliśmy chcesz zobaczyć swój prezent a ona tak, chcem i napisaliśmy na papierze Dla Małej Ammu Kohamy Cię Estha i Rahel i daliśmy Ammu a ona powiedziała jaki cudowny prezent właśnie coś takiego chciałam, a potem rozmawialiśmy, rozmawialiśmy o dzienniku, a potem daliśmy jej buzi i poszliśmy do łuszka. Rozmawialiśmy ze sobą i zasneliśmy. Coś nam się przyśniło.

Po jakimś czasie wstałem i bardzo mi się chciało pić, więc poszedłem do pokoju Ammu i powiedziałem, że chce mi się pić. Ammu dała mi wody i już szedłem do łuszka kiedy Ammu mnie zawołała i powiedziała choć śpij ze mną. to się położyłem koło Ammu i mówiłem do niej i zasnąłem. Po jakimś czasie obudziłem się i znowu rozmawialiśmy i potem zrobiliśmy sobie ucztę o północy. były pomarańcze kawa banany. potem przyszła Rahel i zjedliśmy jeszcze dwa banany i daliśmy buzi Ammu bo to były jej urodziny i potem jej zaśpiewaliśmy sto lat. Potem rano dostaliśmy od Ammu ubrania jako rewanż tak Ammu powiedziała, Rahel była maharani a ja byłem Mały Nehru. Ammu poprawiła błędy ortograficzne, a pod wypracowaniem napisała: „Kiedy z kimś rozmawiam, możesz mi przerwać tylko wtedy, kiedy chodzi o coś bardzo pilnego. Musisz powiedzieć: ~~Czy mogę przeprosić?~~ Jeżeli się do tego nie zastosujesz, zostaniesz surowo ukarany. Proszę, popraw błędy. Mała Ammu.

Która nigdy nie poprawiła swoich błędów.

Która musiała spakować rzeczy i wynosić się. Ponieważ nie miała prawa zostać wysłuchaną. Ponieważ Chacko powiedział, że już wystarczająco dużo napsuła.

Która wróciła do Ajemenem z astmą i kołataniem w piersiach, co brzmiało jak krzyk

z daleka.

Estha nigdy wcześniej jej takiej nie widział.

Histerycznej. Chorej. Smutnej.

Ostatni raz, kiedy Ammu przyjechała do Ajemenem, Rahel została właśnie wyrzucona z konwentu Nazareth (za dekorowanie łajna i celowe zderzanie się ze starszymi uczennicami). Ammu straciła kolejną posadę – recepcjonistki w tanim hotelu – ponieważ zachorowała i zbyt długo nie było jej w pracy. Hotel nie może sobie pozwolić na zatrudnianie recepcjonistki, która tyle choruje, powiedziano jej.

Podczas tego ostatniego pobytu Ammu spędziła rano z Rahel w jej pokoju. Za końcówkę swej mizernej pensji kupiła swej córce małe prezenty zawinięte w brązowy papier, do którego poprzylepiane były kolorowe serduszka z papieru. Paczka cukierków, cynowe pudełko na długopisy i Paul Bunynn – komiks z serii ilustrowana klasyka dla młodzieży. Były to prezenty dla siedmiolatki. Rahel miała prawie jedenaście lat. Jakby Ammu sądziła, że jeśli nie przyjmie do wiadomości upływu czasu, jeśli rozkaże, aby w życiu bliźniąt czas się zatrzymał, to czas się zatrzyma. Jakby sądziła, że wystarczy tego chcieć, a życie jej dzieci stanie w miejscu i zaczeka, aż ona będzie mogła sobie pozwolić na zabranie ich do siebie. Wtedy będą mogli podjąć wspólne życie od momentu, w którym je przerwali. Od momentu, gdy dzieci miały siedem lat. Ammu powiedziała Rahel, że Escie też kupiła komiks, ale że da mu go dopiero po znalezieniu na tyle dobrze płatnej pracy, żeby mogła wynająć pokój dla ich trojga. Wtedy pojedzie po Esthę do Kalkuty i da mu komiks. To już niedługo, powiedziała Ammu. To się może stać lada dzień. Wkrótce czynsz przestanie być problemem. Powiedziała, że złożyła podanie o pracę dla ONZ i że wszyscy troje zamieszkają w Hadze, gdzie opiekuje się nimi holenderski ayah. No, chyba że zostaną w Indiach, powiedziała Ammu, i zrobię to, co już od dawna planowałam – założę szkołę. Wybór między karierą w szkolnictwie a posadą w ONZ nie jest łatwy – mówiła – ale trzeba pamiętać, że już sam fakt możliwości wyboru jest wielkim przywilejem. Na razie jednak, zanim podejmę decyzję, Estha nie dostanie swoich prezentów.

Przez całe rano Ammu mówiła bez ustanku. Zadawała Rahel pytania, lecz nie pozwoliła jej na nie odpowiedzieć. Kiedy Rahel próbowała się odezwać, Ammu przerywała jej nową myślą lub pytaniem. Prawdopodobnie lękała się panicznie, że jej córka powie Coś Dorosłego, co roztopi Zamarznięty Czas. Swoim trajkotaniem próbowała odsunąć od siebie ten lęk.

Była opuchnięta od kortyzonu, miała okrągłą twarz, mało przypominała szczupłą matkę,

którą Rahel знаła. Skórę na wydętych policzkach miała naprężoną jak błyszcząca tkanka łączna na starych bliznach po szczepionkach. Kiedy się uśmiechała, sprawiała wrażenie, jakby bolały ją dołeczki koło ust. Jej kręcone włosy utraciły połysk i zwisały wokół obrzmiałej twarzy jak sprana zasłona. Swój oddech nosiła w szklanym inhalatorze, który trzymała w porozrywanej torebce. Każdy jej oddech był zwycięstwem w walce ze stalową pięścią, która usiłowała wycisnąć jej powietrze z płuc. Rahel patrzyła, jak jej matka oddycha. Przy każdym wdechu zagłębienia koło obojczyków robiły się głębsze i zalegał w nich cień.

Ammu wykrztusiła flegmę na chusteczkę i pokazała Rahel.

– Musisz zawsze sprawdzać – szepnęła chrapliwie, jakby flegma była zadaniem z arytmetyki, które trzeba przejrzeć, zanim się odda nauczycielowi. – Kiedy jest biała, to znaczy, że jeszcze nie dojrzała. Kiedy jest żółta i ma gnilny zapach, to znaczy, że jest dojrzała i można ją wykaszleć. Flegma jest jak owoc. Dojrzała albo niedojrzała. Musisz nauczyć się odróżniać.

Podczas lunchu bekała jak kierowca ciężarówki i mówiła: „Przepraszam”, nienaturalnie gardłowym głosem. Rahel zauważyła u niej nowe, grube włosy w brwiach, długie jak macki. Ammu uśmiechnęła się, kiedy przy patroszeniu przez nią ryby przy stole zapadła cisza. Powiedziała, że czuje się jak znak drogowy, na który srają ptaki. W oczach miała dziwny, gorączkowy blask.

Mammaci spytała ją, czy jest pijana, i zasugerowała, żeby jak najrzadziej odwiedzała Rahel.

Ammu wstała od stołu i wyszła bez słowa. Nie powiedziała nawet: do widzenia.

– Idź i pożegnaj się z nią – powiedział Chacko do Rahel. Rahel udała, że nie usłyszała. Dalej jadła rybę. Przypomniała sobie flegmę i prawie zwymiotowała. W tym momencie nienawidziła swej matki. Nienawidziła jej.

Już nigdy więcej jej nie zobaczyła.

Ammu zmarła w brudnym pokoju pensjonatu w Alleppej, gdzie pojechała na rozmowę kwalifikacyjną, starając się o pracę jako osobisty sekretarz. Zmarła samotnie. Za całe towarzystwo miała hałaśliwy wentylator pod sufitem. Nie było Esthy, który położyłby się obok niej i porozmawiał z nią. Miała trzydzieści jeden lat. Nie stara, nie młoda, w wieku umieralnym.

Zbudziła się w nocy, uciekły ze znajomego, powracającego snu, w którym podchodził do niej policjant, szcękając nożyczkami, aby obciąć jej włosy. Robili tak w Kottajam z prostytutkami, które złapali na bazarze – piętnowali je, żeby każdy wiedział, z kim ma do czynienia. Veshva. Żeby nowi policjanci nie mieli problemów z rozpoznaniem kobiet, nad

którymi można się poznać. Ammu zawsze zauważała je na targu, kobiety o nieobecnych oczach i z ogolonymi pod przymusem głowami. W tym kraju, gdzie długie, natłuszczone włosy mogli nosić tylko ludzie moralnie nienaganni.

Tej nocy w pensjonacie Ammu siedziała na obcym łóżku w obcym pokoju w obcym mieście. Nie wiedziała, gdzie jest, nie rozpoznawała nic wokół siebie. Tylko strach był znajomy. Mężczyzna w jej wnętrzu zaczął krzyczeć z oddali. Tym razem stalowa pięść nie popuściła. Cienie jak nietoperze obsiadły zagłębienia wokół jej obojczyka.

Rano znalazł ją zamiatacz. Wyłączył wentylator.

Pod jednym oknem miała siny worek, który napęczniał jak bąbel. Jakby jej oczy próbowały zastąpić płuca. Około pół nocy mężczyzna, który mieszkał w jej klatce piersiowej, przestał krzyczeć z daleka. Pluton mrówek dostojnym krokiem niósł po podłodze zdechłego karalucha, demonstrując, jak się powinno postępować ze zwłokami.

Kościół odmówił pochowania Ammu. Z kilku powodów.

Chacko wynajął więc furgonetkę, aby przetransportowała ciało do elektrycznego krematorium. Zawinięto ją w brudne prześcieradło i położono na noszach. Wygląda jak rzymski senator, pomyślała Rahel. Et tu, Ammu!, pomyślała, i uśmiechnęła się, bo przywiodło jej to na pamięć Esthę.

Dziwne było jechać jasnymi, zatłoczonymi ulicami ze zmarłym rzymskim senatorem na podłodze furgonetki. Niebieskie niebo zrobiło się od tego jeszcze bardziej niebieskie. Za oknami furgonetki ludzie, jak papierowe kukielki, ciągnęli dalej swe papierowo-kukielkowe życie. Prawdziwe życie toczyło się wewnątrz furgonetki. Tam, gdzie była prawdziwa śmierć. Na wybojach i dziurach w drodze ciało Ammu chybotąło, by w końcu zsunąć się z noszy. Jej głowa uderzyła o żelazną śrubę na podłodze. Nie skrzywiła się ani nie obudziła. Rahel huczało w głowie i przez resztę dnia Chacko musiał do niej krzyczeć, aby go usłyszała.

W krematorium panowała zgniła atmosfera zapuszczonej stacji kolejowej, tyle że nie było tam nikogo. Nie było pociągów ani podróżnych. Palono tam tylko żebraków, wykolejeńców i ludzi zmarłych w aresztach policyjnych. Ludzi, przy których nie miał kto przed śmiercią usiąść i porozmawiać. ~Kiedy przyszła kolej na Ammu, Chacko mocno chwycił Rahel za rękę. Nie chciała, żeby ją trzymał za rękę. Na szczęście w krematorium było parno jak w łaźni, więc łatwo wysliznęła spoconą dłoń. Nie było nikogo innego z rodziny. Stalowe drzwi pieca krematoryjnego podniosły się i stłumiony szmer wiecznego ognia przeszedł w czerwony ryk.

Żar skoczył na nich jak wygłodzona bestia. Potem dano jej na pożarcie Ammu. Rahelową Ammu. Jej włosy, jej skórę, jej uśmiech. Jej głos. Jej sposób wyrażania za pomocą Kiplinga swej miłości do dzieci przed położeniem ich spać: „Jestem jednej krwi z wami”. Jej całusy na dobranoc. Jej przytrzymywanie ich jedną ręką za twarz (ściśnięte razem policzki jak u ryby), podczas gdy drugą rozdzielała i czesała im włosy. Jej ranne podstawianie Rahel majtek: lewa noga, prawa noga. Wszystko to dano na pożarcie bestii, która z zadowoleniem przyjęła ofiarę.

Ammu była ich Ammu i ich Babą, i kochała ich za dwoje.

Drzwi pieca zamknęły się z brzękiem. Nie było łez. Kierownik krematorium wyszedł wcześniej na herbatę i wrócił dopiero po dwudziestu minutach. Tyle Chacko i Rahel musieli czekać na różowe pokwitowanie, które uprawniało ich do odbioru prochów Ammu. Jej popiołów. Pyłu jej kości. Zębów jej uśmiechu. Całej Ammu wsadzonej do małej glinianej urny. Pokwitowanie numer Q498673.

Rahel spytała Chacka, skąd pracownicy krematorium wiedzą, które prochy są czyje. Chacko powiedział, że na pewno mają jakiś system.

Gdyby był z nimi Estha, zostawiłby sobie pokwitowanie.

Miał naturę kustosa muzealnego. Przechowywał bilety autobusowe, wyciągi z konta bankowego, zużyte książeczki czekowe. Mały człowiek. Mieszkał w wozie cygańskim. Dum dum.

Lecz Esthy z nimi nie było. Wszyscy uznali, że tak będzie lepiej. Napisali do niego. Mammaci powiedziała, że Rahel też powinna napisać. Co napisać? „Mój drogi Estho, jak się masz? U mnie wszystko dobrze. Ammu wczoraj zmarła”.

Rahel nie napisała do niego. Pewnych rzeczy nie można zrobić – na przykład napisać listu do części siebie samej. Do swoich stóp lub włosów. Lub serca.

W gabinecie Pappaciego Rahel (nie stara, nie młoda), z kurzem podłogi na stopach, podniosła wzrok znad Zeszytu Mądrości i zobaczyła, że Esthappena Nieznanego nie ma.

Zeszła na dół (ze stołka, ze stołu) i wyszła na werandę. Zobaczyła znikające za bramą plecy Esthy.

Był późny ranek i znów zbierało się na deszcz. Zieleńw ostatnich chwilach tego dziwnego, połyskującego, przedulewnego światła – była wściekle soczysta.

W oddali zapiał kogut i jego głos rozdzielił się na dwoje. Jak podeszwa odłóżąca od starego buta.

Rahel stała na werandzie z wystrzępionymi Zeszytami Mądrości. Na frontowej werandzie starego domu, pod głową bawołu z oczami jak guziki, gdzie wiele lat temu, w dniu, kiedy przyjechała Sophie Mol, zawieszono zostało: „Witaj w domu, Sophie Mol”.

Wszystko się może zmienić w jeden dzień.

8. Witaj w domu, Sophie

Mol Ayemenem House był stary i dostojny, lecz nieco wyniosły. Jakby miał niewiele wspólnego z ludźmi, którzy w nim mieszkali. Jak stary człowiek, który kaprawymi oczami patrzy na bawiące się dzieci i widzi tylko przemijalność w ich podekscytowanych krzykach, w ich namiętnej chęci życia.

Stromy, kryty dachówką dach zrobił się czarny i omszały od starości i deszczu. Trójkątne drewniane ramy wprawione w ściany szczytowe były bogato rzeźbione, a światło, które wpadało przez nie ukośnie i kładło na podłodze wymyślne wzory, miało w sobie wiele tajemnic. Wilków. Kwiatów. Iguan.

Zmieniało kształt wraz z ruchem słońca na niebie. Umierało punktualnie, o zmierzchu.

Drzwi były wyposażone nie w dwie, lecz w cztery otwierane okiennice z drewna tekowego, dzięki czemu w dawnych czasach panie zostawiały dwie dolne zamknięte, opierały się o nie łokciami i targowały się z komiwojażerami, bez obawy, że ci zobaczą je od pasa w dół. Teoretycznie mogły kupować dywany czy bransolety z zakrytymi piersiami i gołymi tyłkami. Teoretycznie.

Z podjazdu na werandę prowadziło dziewięć stopni. Tak wywyższoną werandę cechowało dostojęństwo sceny i wszystko, co się tam działo, nabierało klimatu i znaczenia spektaklu teatralnego. Weranda wychodziła na ogródek kwiatowy Baby Koćammy. Żwirowy podjazd otaczał go łukiem i opadał do stóp niewielkiego wzniesienia, na którym stał dom. Weranda była głęboka, dawała trochę chłodu nawet w południe, kiedy słońce najmocniej prażyło.

Kiedy wylano czerwoną betonową podłogę, poszło w nią biało z prawie dziewięciuset jajek, przez co błyszczała jak wypolerowana.

Pod wypchanym bawołem z oczami jak guziki, który wisiał między portretami jej teścia i teściowej, Mammaci siedziała na niskim wiklinowym krześle przy wiklinowym stoliku, na którym stał zielony szklany flakon. Wychodziła z niego jedna kręta łodyga purpurowych orchidei.

Popołudnie było nieruchome i gorące. Atmosfera pełna oczekiwania.

Mammaci trzymała pod podbródkiem połyskujące skrzypce. Założyła okulary przeciwsłoneczne w stylu z lat pięćdziesiątych, przez które nie było widać oczu, czarne

i skośnookie, z nosorożcami w rogach oprawek. Jej sari było wykrochmalone i wyperfumowane. Spranobiałe i złote. Kolczyki z brylantami świeciły jej w uszach jak maleńkie świeczniki. Pierścienie z rubinami suwały się luźno po palcach. Jej blada, delikatna skóra była pomarszczona jak kozuch na mleku i obsypana maleńkimi czerwonymi kropeczkami. Mammaci była piękna. Stara, niezwykła, królewska.

Ślepa wdowa i matka ze skrzypcami.

W młodszych latach, proroczo i zapobiegliwie, Mammaci wkładała wszystkie swoje wypadające włosy do małej wyszywanej saszetki, którą trzymała na toalecie. Kiedy nazbierało się ich wystarczająco dużo, uformowała je w opięty siatkę kok, który włożyła do zamykanej na klucz szuflady z biżuterią. Kilka lat później, kiedy włosy zaczęły jej rzednieć i siwieć, nosiła czarny jak smoła kok przypięty do swej małej, srebrnej głowy. Nie widziała w tym nic zdrożnego, ponieważ były to jej własne włosy. Wieczorem, po zdjęciu koka, pozwałała wnukom spleść pozostałe włosy w ciasny, natłuszczony, szary szcurzy ogonek z gumką na końcu. Jedno z dzieci uplatało warkoczyk, a drugie liczyło jej niepoliczalne pieprzyki. Na zmianę.

Na czaszce, starannie ukryte pod skąpyimi włosami, Mammaci miała wypukłe półokrągłe szramy. Blizny po dawnych pobiciach ze swego małżeństwa. Blizny po mosiężnych flakonach.

Grała Lerctement – część z I suitu D-dur/G-dur Muzyki na wodzie Handla. Bezużyteczne oczy za skośnymi okularami były zamknięte, lecz widziała muzykę, która wzbijała się z jej skrzypiec jak dym.

Wnętrze jej głowy było jak pokój, w którym w jasny dzień zaciągnięto grube, czarne zasłony.

Grając, powędrowała myślami do dnia, w którym wyprodukowała pierwszą partię profesjonalnych marynat. Jak pięknie wyglądały! Zamknięte w słoikach i zapieczętowane, stały na stole koło wezglowia jej łóżka. Były pierwszą rzeczą, jakiej dotknęła po przebudzeniu. Poszła spać wcześniej, lecz zbudziła się trochę po północy. Sięgnęła po nie i przejętymi palcami natrafiła na olej. Słoiki z marynatami stały w kałuży oleju. Olej był wszędzie. W kółku pod termosem. Pod Biblią. Na całym nocnym stoliku. Zamarynowane owoce mango napęczniały olejem, więc ze słoików wyciekło.

Mammaci zajrzała do książki, którą kupił dla niej Chacko, Przetwory domowej roboty, ale nie znalazła żadnych wskazówek. Potem podyktowała list do szwagra Annammy Ćandy, który był dyrektorem regionalnym firmy Marynaty „Padma”

w Bombaju. Zasugerował, żeby zwiększyła ilość środka konserwującego. I soli. Pomogło, ale

nie rozwiązało problemu do końca. Jeszcze teraz, po tylu latach, ze słoików Marynat „Paradise” trochę wyciekało. Prawie niezauważalnie, ale wy ciekło i podczas dłuższych transportów etykiety robiły się tłuste i przezroczyste. Same marynaty wciąż były odrobinę przesolone.

Mammaci zastanawiała się, czy kiedykolwiek opanuje do perfekcji sztukę marynowania i czy Sophie Mol chciałyby soku winogronowego z lodem. Zimnego, purpurowego soku w szklance.

Potem pomyślała o Margaret Koćammie i rozmarzone, płynne dźwięki muzyki Handla zrobiły się zgrzytliwe i gniewne. Mammaci nigdy wcześniej nie spotkała Margaret Koćammy. Ale i tak jej nie znosiła. Córka sklepikarza – tak ją sobie zaszufladkowała. Cały świat Mammaci był uporządkowany według tej metody. Kiedy zaproszono ją na ślub w Kottajam, szeptała w czasie jego trwania do towarzyszącej jej osoby: „Dziadek panny młodej ze strony matki był stolarzem mojego ojca. Kunjukutti Eapen. Siostra jego praprababki była zwykłą akuszerką w Triwandrum. Całe to wzgórze należało kiedyś do rodziny mojego męża”.

Oczywiście, Mammaci nie znosiłaby Margaret Koćammy, nawet gdyby była dziedziczką tronu angielskiego. Nie chodziło tylko o jej pochodzenie. Mammaci nienawidziła Margaret Koćammy za to, że była żoną Chacka. Nienawidziła jej za to, że go zostawiła. Ale nienawidziłyby jej jeszcze bardziej, gdyby z nim została.

W dniu, w którym Chacko nie pozwolił Pappaciemu jej pobić (a Pappaci w zastępstwie zamordował swój fotel), Mammaci spakowała swój bagaż małżonki i powierzyła go opiece Chacka. Od tej pory wszystkie jej kobiece uczucia skupiły się na Chacku. Jej mężczyźnie. Jej jedynej miłości. Wiedziała o jego libertyńskich związkach z kobietami w fabryce, ale przestała się tym przejmować. Kiedy Baby Koćamma poruszała ten temat, Mammaci robiła się nerwowa i zaciskała usta.

– Każdy mężczyzna ma swoje Męskie Potrzeby – odpowiadała przez zęby.

O dziwo, Baby Koćamma zaakceptowała to wyjaśnienie i enigmatyczne, budzące tajemny dreszczyk podniecenia pojęcie Męskich Potrzeb zostało milcząco usankcjonowane w Ayemenem House. Ani Mammaci, ani Baby Koćamma nie dostrzegały żadnej sprzeczności między marksistowskim światopoglądem Chacka a jego feudalnym libido. Martwili je tylko naxalici, którym zdarzało się zmuszać mężczyzn z dobrych rodzin do poślubiania służących, które zapłodnili. Naturalnie nawet nie podejrzewały, że pocisk, który miał na zawsze zniszczyć dobre imię rodziny, przyleci z zupełnie innej strony.

Mammaci kazała wybudować osobne wejście do pokoju Chacka, mieszczącego się we

wschodniej części domu, aby obiekty jego „Potrzeb” nie musiały przechodzić przez cały dom. Dyskretnie wsuwała i im do ręki pieniądze, aby nie miały powodów do narzekań. Kobiety nie wzbraniały się, ponieważ potrzebowały tych pieniędzy. Miały małe dzieci i starych rodziców. Albo mężów, którzy przepijali całe zarobki. Układ ten odpowiadał Mammaci, ponieważ dzięki jej opłatom sytuacja była klarowna. Seks oddzielony od miłości. Potrzeby od Uczuć.

Z Margaret Koćammą nie można było się tak łatwo uporać. Ponieważ nie można było tego sprawdzić (choć próbowała raz namówić Koću Marię, aby sprawdziła, czy nie ma plam na prześcieradle), Mammaci mogła tylko mieć nadzieję, że Margaret Koćamma nie zamierza podjąć współżycia seksualnego z Chackiem. Podczas pobytu Margaret Koćammy w Ajemenem Mammaci radziła sobie ze swą zazdrością za pomocą jedynej znanej jej metody: wkładała pieniądze do kieszeni sukienek, które Margaret Koćamma zostawiała w koszu z brudnymi ubraniami. Margaret Koćamma nie oddawała pieniędzy, ponieważ nigdy do niej nie dotarły. Praczka Anijan rutynowo opróżniała wszystkie kieszenie. Mammaci wiedziała o tym, lecz wolała interpretować milczenie Margaret Koćammy jako akceptację zapłaty za usługi, które w wyobraźni Mammaci świadczyła jej synowi.

Mammaci miała więc satysfakcję, że może uważać Margaret Koćammę za kurwę, praczka Anijan cieszyła się z dodatkowego stałego źródła dochodu, a Margaret Koćamma pozostawała oczywiście w błogiej nieświadomości tych wszystkich zabiegów.

Przysiadła na krawędzi studni postrzępiona kukułka zawołała „hłup hłup” i zatrzepotała rdzawoczerwonymi skrzydłami.

Wrona ukradła trochę mydła, które bąbelkowało jej w dziobie. W ciemnej, zadymionej kuchni niska Koću Maria stała na palcach i lukrowała wysoki, dwupiętrowy tort z napisem WITAMY W DOMU, SOPHIE MOL. Choć w tych czasach większość chrześcijanek syryjskich zaczęła nosić sari, Koću Maria wciąż ubierała się w nieskazitelne białe chatta z rękawami do łokcia i trójkątnym dekoltem do białego mundu, które tworzyło jej na pupie płócienny wachlarz. Wachlarz ten tylko trochę wystawał spod niebiesko-białego, absurdalnie nie pasującego do reszty stroju fartucha w kratkę, który Mammaci kazała jej nosić na terenie domu.

Miała krótkie, grube przedramiona, palce jak serdelki i szeroki, mięsisty nos o wybrzuszonych nozdrzach. Od nosa do obu stron podbródka biegły głębokie fałdy skóry, wyodrębniając coś jakby pysk u zwierzęcia. Jej głowa była nieproporcjonalnie duża w stosunku do reszty ciała. Koću Maria wyglądała jak zakonserwowany płód, który uciekł ze swego słoja

z formaldehydem w laboratorium biologicznym, po czym z wiekiem skóra mu się wygładziła, a członki zgrubiały. Trzymała wilgotne banknoty za gorsetem, który opinał ją ciasno, aby nieco spłaszczyć jej niechrześcijańskie piersi. Jej kolczyki kunukku były grube i złote. Naciągnięte płatki uszu wirowały jak karuzela, na której kolczyki woziły się jak kwiczące z radości dzieci. Prawy płatek rozerwał się kiedyś i został na powrót zszyty przez doktora Werghese'a Werghese'a.

Koću Maria nie mogła przestać nosić kunukku, bo skąd by ludzie wiedzieli, że mimo jej nędznej posady kucharki (siedemdziesiąt pięć rupii na miesiąc) jest chrześcijanką syryjską, członkinią Kościoła Mar Thoma? Nie pelajem, pulajem czy parawanem, lecz dotykalaną, wyższokastową chrześcijanką (która naciągnęła chrześcijaństwem jak woda herbatą z torebki). Pozszywane płatki uszu były zdecydowanie lepszym rozwiązaniem.

Koću Maria nie zawarła jeszcze znajomości z nałogowym telewizzem, który w niej siedział. Nałogowym oglądaczem Hulka Hogana. Nie widziała jeszcze na oczy odbiornika telewizyjnego. Nie uwierzyłyby, że istnieje coś takiego. Gdyby jej ktoś opowiedział o telewizji, Koću Maria uznałaby, że ta osoba obraża jej inteligencję. Koću Maria podejrzliwie traktowała cudze wersje świata. Bardzo często brała je za naigrwanie się z jej braku wykształcenia i (wcześniej) łatwowierności. Choć było to sprzeczne z jej naturą, Koću Maria zawzięła się i programowo nie wierzyła w prawie nic z tego, co mówili inni. Kilka miesięcy wcześniej, w lipcu, kiedy Rahel powiedziała jej, że Neil Armstrong chodził po Księżycu, zaśmiała się sarkastycznie i odparła, że malajalamski akrobata O. Muthaćen robił pompki na słońcu. Z ołówkami w nosie. Gotowa była przyznać, że Amerykanie istnieją, chociaż nigdy w życiu nie widziała Amerykanina. Była nawet skłonna uwierzyć, że ktoś może nazywać się Armstrong, Silne Ramię, choć brzmi to dosyć absurdalnie. Ale chodzenie po Księżycu? Bez przesady. Nie ufała też szarym fotografiom opublikowanym w gazecie „Malayala Manorama”, której nie umiała przeczytać.

Była pewna, że kiedy Estha mówi: Et tu, Koću Maria!, obraża ją po angielsku. Sądziła, że znaczy to coś w rodzaju: „Koću Maria, ty ohydna czarna karlico”. Czekwała na stosowną okazję, aby się na niego poskarżyć.

Skończyła lukrować wysoki tort. Potem odchyliła głowę do tyłu i wycisnęła sobie resztkę lukru na język. Nieskończona czekoladowa spirala pasty do zębów na różowym języku Koću Marii. Kiedy Mammaci zawołała do niej z werandy („Koću Maaria! Słyszę samochód!”), usta miała pełne masy czekoladowej i nie mogła odpowiedzieć. Kiedy skończyła, przeciągnęła

językiem po zębach i kilkakrotnie mlasnęła o podniebienie, jakby właśnie zjadła coś kwaśnego. Odległe niebieskie jak niebo dźwięki samochodu (obok przystanku autobusowego, obok szkoły, obok żółtego kościoła i wyboistą czerwoną drogą między drzewami kauczukowymi) roznieciły szmer w półmrocznym, brudnym od sadzy budynku fabryki.

Marynowanie (zgniatanie, krajanie, gotowanie i mieszanie, tarcie, solenie, suszenie, ważenie i zamykanie słoików) ustało. – Chacko saar vannit – szeptano z ust do ust. Odłożono tasaki. Warzywa zostawiono, tylko częściowo pokrajane, na olbrzymich stalowych tacach. Osamotnione dynie, niekompletne ananasy. Zdjęto osłonki na palce z kolorowej gumy (jasne, podobne do grubych, wesołych prezerwatyw). Zamarynowane dłonie umyto i wytarto w kobaltowoniebieskie fartuchy. Kosmyki włosów, które wypsnęły się spod białych chust na głowach, wsunięto z powrotem. Spuszczono mundu podwinięte pod fartuchami. Ażurowe drzwi fabryki otworzyły się z hałasem, a potem samoczynnie zamknęły.

Po jednej stronie podjazdu, koło starej studni, w cieniu drzewa kodam puli, milcząca armia niebieskich fartuchów zebrała się w zielonym upale, aby popatrzeć.

Niebieskie fartuchy, białe czepki, jak kępa żwawych niebiesko-białych flag.

Aću, Jose, Jako, Anian, Elajan, Kuttan, Widźjan, Wawa, Joy, Sumathi, Ammal, Annamma, Kanakamma, Latha, Suszila, Widźjamma, Jollykutti, Mollykutti, Lucykutti, Beena Mol (dziewczęta z autobusowymi imionami). Pierwsze pomruki niezadowolenia, skrywane pod grubą warstwą lojalności. Niebieski jak niebo plymouth wjechał przez bramę i z chrzęstem sunął żwirowym podjazdem, miażdżąc muszelki i czerwone i żółte kamyczki. Wskoczyły z niego dzieci. Zwalone fontanny.

Spłaszczone czuby.

Pomięte żółte dzwony i ukochana torebka. Nie przestawiona na nowy czas i prawie zasypiająca. Potem dorośli z napuchłymi kostkami. Powolni od zbyt długiego siedzenia.

– Przyjechaliście? – spytała Mammaci, kierując skośne ciemne okulary w stronę nowych dźwięków: zatraskiwanych drzwi samochodu, wysiadania. Opuściła skrzypce.

– Mammaci! – powiedziała Rahel do swej pięknej ślepej babci. – Estha zwymiotował! Podczas Dźwięków muzyki! I... Ammu delikatnie dotknęła swej córki. W ramię. Dotknięcie to oznaczało „szsz...” Rahel rozejrzała się dokoła i zobaczyła, że występuje w Spektaklu Teatralnym. Odgrywała jednak tylko niewielką rolę.

Była tylko scenografią. Może kwiatem. Albo drzewem.

Albo twarzą w tłumie. Mieszkańców miasta.

Nikt nie przywitał się z Rahel. Nawet niebieska armia w zielonym upale.

– Gdzie ona jest? – spytała Mammaci odgłosów samochodu. – Gdzie jest moja Sophie Mol? Chodź tutaj, niech cię zobaczę.

Kiedy to mówiła, Melodia Oczekiwania, która wisiała nad nią jak migoczący parasol świątynnego słonia, rozsypała się i opadła delikatnie jak pył.

Chacko, w garniturze „Co się stało z naszym człowiekiem mas ludowych?” i dobrze odkarmionym krawacie, triumfalnie poprowadził Margaret Koćamma i Sophie Mol po dziewięciu stopniach, jak parę nagród tenisowych, które niedawno wygrał.

Znów mówione były tylko Małe Rzeczy. Duże Rzeczy czały się w środku nie wypowiedziane.

– Dzień dobry, Mammaci – przywitała ją Margaret Koćamma głosem życzliwej guwernantki (która czasem daje w twarz). – Dziękuję, że zgodziłaś się nas przyjąć. Tak bardzo potrzebowałyśmy oderwać się od wszystkiego.

Mammaci złapała w nozdrza zapach niedrogich perfum, kwaśnych na brzegach od lotniskowego potu. (Ona sama miała buteleczkę Diora w zielonej saszetce z miękkiej skóry, którą trzymała zamkniętą w sejfie).

Margaret Koćamma wzięła Mammaci za rękę. Palce były miękkie, pierścienie z rubinami – twarde.

– Dzień dobry, Margaret – powiedziała Mammaci (ani uprzejmie, ani nieuprzejmie), nie zdjawszy ciemnych okularów. – Witam w Ajemenem. Przykro mi, że nie mogę cię zobaczyć. Jak z pewnością wiesz, jestem prawie ślepa. – Mówiła powoli i z namaszczeniem.

– Może to i dobrze, bo muszę okropnie wyglądać – odparła Margaret Koćamma i zaśmiała się z zażenowaniem, niepewna, czy to jest właściwa reakcja.

– Nieprawda – zaoponował Chacko. Odwrócił się do Mammaci, mając na twarzy pełen dumy uśmiech, którego jego matka nie mogła zobaczyć. – Wygląda tak samo pięknie jak zawsze.

– Bardzo mi przykro z powodu... Joego – powiedziała Mammaci. Nie zabrzmiało to, jakby jej było bardzo przykro. Tylko trochę.

Zapadła krótka cisza na intencję Tak-Nam-Smutno-Z-Powodu-Joego.

– Gdzie jest moja Sophie Mol? – powtórzyła Mammaci. Chodź tutaj i pozwól babci spojrzeć na siebie.

Sophie Mol podprowadzono do Mammaci. Mammaci zsunęła ciemne okulary do tyłu. Wyglądały jak skośne oczy kota na zapleśniałej głowie bawołu. Zapleśniały bawół mówił: Nie. Absolutnie nie. W języku pleśniowobawolskim.

Chociaż przeszczepiono jej rogówkę, Mammaci widziała tylko światło i cień. Kiedy ktoś stał w drzwiach, wiedziała, że ktoś stoi w drzwiach, ale nie wiedziała, kto. Aby odczytać czek, receptę albo banknot, musiała przysunąć go sobie tak blisko oczu, że dotykała go rzęsami. Potem trzymała go nieruchomo i wodziła okiem wzdłuż liter. Od słowa do słowa. Scenografia Teatralna (w bajkowej sukience) zobaczyła, że Mammaci przysuwa sobie Sophie Mol do oczu, aby na nią spojrzeć. Aby odczytać ją jak czek. Sprawdzić jak banknot. Mammaci (lepszym okiem) zobaczyła rudobrazowe włosy (niemal blond), krzywiznę dwóch piegowatych policzków (niemal rumianych), niebieskoszaroniebieskie oczy.

– Nos Pappaciego – powiedziała Mammaci. – Powiedz mi, jesteś ładną dziewczynką? – spytała.

– Tak – odparła Sophie Mol.

– I wysoką?

– Jak na swój wiek – zauważyła Sophie Mol.

– Bardzo wysoką – skorygowała ją Baby Koćamma. Dużo wyższą od Esthy.

– Jest starsza – upierała się Ammu.

– Mimo wszystko... – nie ustępowała Baby Koćamma. Kawałek dalej Welutha szedł na skrót między drzewami kauczukowymi. Nagi. Na jedno ramię miał zarzucony zwój kabla elektrycznego w izolacji. Drukowane granatowo-czarne mundu miał luźno podwinięte nad kolana. Na plecach znamię na szczęście w kształcie liścia (który sprawiał, że monsun przychodził na czas). Jesiennego liścia wieczorem.

Zanim wyłonił się spośród drzew i zbliżył się do nich, Rahel zobaczyła go, wymknęła się ze Spektaklu Teatralnego i podeszła do niego.

Ammu to widziała.

Spoza sceny Rahel patrzyła, jak aktorzy celebryją rozbudowane Oficjalne Przywitanie. Welutha dygnął, jak go nauczono, rozciągając mundu na boki jak angielska mleczarka w The King s Breakfast. Rahel ukłoniła się (i powiedziała:

„Ukłoń się”). Potem zahaczyli się małymi palcami i potrzęsneli dłońmi energicznie i z powagą jak bankierzy na konferencji.

W plamistym słońcu, które sączyło się przez ciemnozielone drzewa, Ammu patrzyła, jak Welutha bez najmniejszego wysiłku podnosi jej córkę do góry, jakby była nadmuchiwanym dzieckiem, składającym się z powietrza. Kiedy podrzucił ją do góry i ponownie schwytał, Ammu zobaczyła na twarzy Rahel dziką rozkosz fruwej młodości.

Zobaczyła, że żebra i mięśnie na brzuchu Weluthy napinają się i podnoszą pod skórą, co skojarzyło się jej z podziałami tabliczki czekolady. Była zaskoczona, jak bardzo zmieniło się jego ciało – tak po cichu, z ciała chłopca o płaskich mięśniach w ciało mężczyzny. Silnie zarysowane i twarde. Ciało pływaka. Ciało pływaka-cieśli. Błyszczące jak nawoskowane.

Miał sterczące kości policzkowe i biały, nagły uśmiech. Uśmiech ten przypominał Ammu Weluthę jako małego chłopca. Pomagającego Wellji Paapenowi liczyć orzechy kokosowe. Podającego jej małe prezenty, które dla niej zrobił, na wyciągniętej dłoni, żeby mogła je wziąć, nie dotykając go. Łódki, puzderka, wiatraki. Nazywającego ją Ammukutti. Małą Ammu. Choć była dużo mniej mała niż on. Kiedy patrzyła na niego teraz, nie mogła powstrzymać myśli, że mężczyzna, którym się stał, jest tak mało podobny do chłopca, którym kiedyś był. Z całego bagażu wieku chłopięcego w wiek męski zabrał ze sobą tylko uśmiech.

Nagle Ammu zapragnęła, aby było prawdą, że to jego zobaczyła Rahel pośród maszerujących. Że to on gniewnie uniół sztandar i zaciśniętą pięść. Że pod starannie pielęgnowanymi pozorami pogodnego usposobienia hodojuje w sobie żywy, dyszący gniew przeciwko zadufanemu w sobie, uporządkowanemu światu, który budził w niej tak gwałtowny sprzeciw.

Miała nadzieję, że to był on.

Zdziwiło ją, jak swobodnie jej córka zachowuje się w jego towarzystwie. Zdziwiło ją, że jej dziecko ma swój poboczny świat, z którego ona jest całkowicie wykluczona. Namacalny świat wesołości i śmiechu, w którym ona, jej matka, nie ma udziału. Ammu uświadomiła sobie niejasno, że jej myśli są nasączone delikatnym, purpurowym odcieniem zazdrości. Nie miała ochoty się zastanawiać, kogo ta zazdrość dotyczy. Mężczyzny czy jej własnego dziecka. Albo ich świata szepionych palców i nagłych uśmiechów.

Mężczyzna, który stał w cieniu drzew kauczukowych z tańczącymi na ciele monetami słońca i trzymał w ramionach jej córkę, podniósł wzrok i zderzył się spojrzeniem z Ammu. Stulecia zbiły się w jedną ulotną chwilę. Historia pomyliła krok, została złapana na chwili nieuwagi. I zrzuciona jak skóra węża. Ślady po niej, blizny i rany z dawnych wojen i maszerujące do tyłu

dni, wszystkie poodpadały. Pozostawiła po sobie aureolę, namacalną opalizację, równie widoczną jak woda w rzece czy słońce na niebie. Równie wyraźnie wyczuwalną jak gorąco upalnego dnia lub szarpanie ryby za napiętą żyłkę. Tak oczywistą, że nikt jej nie zauważył.

W tej krótkiej chwili Welutha podniósł wzrok i zobaczył rzeczy, których nigdy wcześniej nie widział; które do tej pory znajdowały się poza zasięgiem jego widzenia, bo miał założone na oczy klapki historii.

Proste rzeczy.

Zobaczył na przykład, że matka Rahel jest kobietą.

Że ma głębokie dołeczki, kiedy się uśmiecha. Że dołeczki zostają bardzo długo, kiedy już uśmiech zniknie z jej oczu. Zobaczył, że jej brązowe ramiona są okrągłe, jędrne i piękne. Że jej ramiona błyszczą, lecz oczy są gdzie indziej. Zobaczył, że dając jej prezenty, nie będzie ich już musiał podawać na wyciągniętej dłoni, aby mogła je zabrać bez dotykania go. Łódki i puzderka. Małe wiatraczki. Zobaczył też, że nie posiada wyłączności na prezenty. Że ona też ma mu coś do zaoferowania.

Świadomość ta wbiła się w niego gładko jak ostra klinga noża. Jednocześnie zimna i gorąca. Trwało to tylko chwilę. Ammu zobaczyła, że on zobaczył. Odwróciła wzrok. On też. Demony historii powróciły, aby znów wziąć ich w niewolę. Zawinąć w swoją starą, pokrytą bliznami skórę i z powrotem zawlec tam, gdzie naprawdę mieszkali. Gdzie prawa stanowią, kogo można kochać. I jak. I jak bardzo.

Ammu podeszła do werandy, wróciła do Spektaklu Teatralnego. Trzęsąc się cała.

Welutha spojrział na panią ambasador Patyczak, którą trzymał w ramionach. Odstawił ją na ziemię. Również się trzęsła. – Jak ty pięknie wyglądasz! – zauważył, patrząc na jej idiotyczną piankową sukienkę. – Jak królowna! Wychodzisz za mąż?

Rahel zaczęła go bezlitośnie łaskotać pod pachami. Gli gli gli! – Widziałam cię wczoraj – powiedziała.

– Gdzie? – spytał Welutha zaskoczony.

– Kłamca – odparła Rahel. – Kłamca i udawacz. Widziałam cię. Byłeś komunistą i miałeś koszulę i sztandar. I udałeś, że mnie nie widzisz.

– Aiyyo kashtam – rzekł Welutha. – Jak mógłbym coś takiego zrobić? Powiedz mi, czy Welutha zrobiłby coś takiego? To musiał być mój dawno zaginiony brat bliźniak. – Jaki dawno zaginiony brat bliźniak?

– Urumban, głuptasie... Ten, co mieszka w Koczinie. – Jaki Urumban? – Potem zobaczyła chochlika w jego oczach. – Kłamca! Nie masz żadnego brata bliźniaka! To nie był Urumban! To byłeś ty!

Welutha roześmiał się. Miał uroczy śmiech, który wcale nie był udawany.

– To nie mogłem być ja – mówił. – Leżałem chory w łóżku.

– Widzisz, uśmiechasz się! – powiedziała Rahel. – To znaczy, że to byłeś ty. Uśmiech znaczy: „To byłeś ty”.

– Tylko po angielsku! – odparł Welutha. – Mój nauczyciel zawsze mówił, że w malajalam uśmiech znaczy: „To nie byłem ja”.

Rahel zajęło trochę czasu, zanim się w tym połapała. Znow zaczęła go łaskotać. Gli gli gli.

Wciąż się śmiejąc, Welutha poszukał wzrokiem Sophie, która występowała w Spektaklu Teatralnym. – Gdzie jest nasza Sophie Mol? Przyjrzyjmy się jej. Zabrałaś ją ze sobą czy zapomniałaś?

– Nie patrz tam – powiedziała szybko Rahel.

Stała na betonowym krawężniku, który oddzielał drzewa kauczukowe od podjazdu i od tyłu zasłoniła Welucie oczy.

– Dlaczego? – spytał Welutha.

– Bo nie chcę – odparła Rahel.

– Gdzie jest Estha Mon? – spytał Welutha, z panią ambasador (przebraną za Patyczaka przebranego za Lotniskową Rusałkę) siedzącą mu na plecach z nogami owiniętymi wokół jego pasa i zasłaniającą mu oczy lepkimi dłońmi. – Nie widziałem go.

– A, sprzedaliśmy go w Koczinie – powiedziała Rahel od niechcenia. – Za worek ryżu. I latarkę.

Szorstkie koronkowe kwiaty jej sztywnej sukienki odcisnęły się Welucie na plecach. Koronkowe kwiaty i liść na szczęście kwitły na czarnych plecach.

Lecz kiedy Rahel poszukała w Spektaklu Esthy, zobaczyła, że go tam nie ma.

Do Spektaklu dołączyła Koću Maria, mała za wysokim tortem.

– Przyniosłam tort – zwróciła się trochę za głośno do Mammaci.

Koću Maria zawsze mówiła do Mammaci trochę za głośno, bo wydawało jej się oczywiste, że kiepski wzrok automatycznie osłabia inne zmysły.

– Kando, Koću Mariye? – powiedziała Mammaci. – Widzisz naszą Sophie Mol?

– Kandu, Koćamma – odparła Koću Maria supergłośno. Widzę.

Uśmiechnęła się do Sophie, superszeroko. Była dokładnie tego samego wzrostu co Sophie. Na przekór wszelkim wysiłkom, bardziej konus niż syryjska chrześcijanka.

– Ma karnację matki – zauważyła Koću Maria.

– I nos Pappaciego – uznała Mammaci.

– Tego nie wiem, ale jest bardzo piękna! – wrzeszczała Koću Maria. – Sundarikutti. Istny aniołek.

Aniołki miały piaskową karnację i nosiły dzwony.

Diabelki miały błotnistą karnację, nosiły sukienki Lotniskowej Wróżki i miały na głowie guzy, z których mogły wyrosnąć rogi. I fontanny spięte Love-in-Tokyo. I zwyczaj czytania od tyłu.

A jeśli przyrzeć się uważniej, dostrzegłoby się w ich oczach Szatana.

Koću Maria chwyciła Sophie za obie dłonie, podniosła je do swojej twarzy i wzięła głęboki wdech.

– Co ona robi? – dopytywała się Sophie, gdy jej delikatne londyńskie dłonie spoczęły w zrogowaciałych dłoniach ajemenemskich. – Kto to jest i czemu wacha mi ręce?

– To kucharka – wyjaśnił Chacko. – W ten sposób wita się z tobą.

– Wita się? – Sophie Mol nie była przekonana, lecz zaciekawiona.

– Jakie to wspaniałe! – zachwyciła się Margaret Koćamma. – Coś w rodzaju obwąchiwania się! Czy mężczyźni i kobiety też się ze sobą w ten sposób witają?

Nie chciała tego ująć aż tak drastycznie i poczerwieniała. Zawstydzona dziura po nauczycielce we wszechświecie.

– Och, nieustannie! – odparła Ammu, co wyszło jej trochę głośniejsze niż zamierzone ironiczne sarknięcie. – Tak robimy dzieci.

Chacko nie uderzył jej. Więc mu nie oddała.

Ale w Atmosferę Oczekiwania wkradła się Złość.

– Myślę, że winna jesteś mojej żonie przeprosiny, Ammu powiedział Chacko z opiekuńczą miną posiadacza (mając nadzieję, że Margaret Koćamma nie powie: „Byłej żonie, Chacko!” i nie pogrozi mu różą).

– Och, nie! – oponowała Margaret Koćamma. – To moja wina! Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak... chodziło mi o to... chodziło mi o to, jakie to fascynujące...

– To było najzupełniej uprawnione pytanie – przerwał jej Chacko. – Uważam, że Ammu powinna przeprosić.

– Czy musimy się zachowywać jak jakieś choleme zaginione plemię, które właśnie zostało odkryte?

– O mój Boże! – powiedziała Margaret Koćamma.

W pełnej złości ciszy Spektaklu (Niebieska Armia w zielonym upale wciąż patrzyła) Ammu wróciła do plymoutha, wyjęła swoją walizkę, zamknęła z hukiem drzwi i z błyszczącymi ramionami poszła do swojego pokoju. Zostawiając wszystkich z pytaniem, gdzie się nauczyła takiej bezczelności. Prawdę powiedziawszy, pytanie było całkiem niebanalne. Ponieważ Ammu nie odebrała wykształcenia, nie przeczytała książek ani nie знаła ludzi, którzy mogliby wyrzeć na nią tego rodzaju wpływ.

Po prostu taka już była.

Jako dziecko bardzo szybko nauczyła się traktować nieufnie bajki o Tacie Niedźwiedziu i Mamie Niedźwiedzicy, które dostawała do czytania. W jej wersji Tata Niedźwiedź bił Mamę Niedźwiedzicę mosiężnymi flakonami. Mama Niedźwiedzica zносиła te ciężki z milczącą rezygnacją.

W okresie dorastania Ammu obserwowała, jak jej ojciec tka swą ohydą sieć. Wobec gości był szarmancki i wytworny, niemal służalczy, jeśli byli biali. Wspomagał finansowo sierocińce i szpitale dla trędowatych. Ciężko pracował nad publicznym wizerunkiem człowieka kulturalnego, hojnego, moralnego. Lecz sam na sam z żoną i dziećmi zamieniał się w potwora, paranoicznego ciemnicę z domieszką perfidii. Byli bici i poniżani, a potem musieli udawać szczęśliwych wobec znajomych i krewnych, którzy zazdrościli im takiego wspaniałego męża i ojca.

W Delhi Ammu zdarzało się spędzać chłodne zimowe noce w otaczającym dom żywopłocie z mehndi (żeby nie zobaczyli ich ludzie z Dobrych Rodzin), ponieważ Pappaci wrócił z pracy nie w sosie, w związku z czym pobił ją i Mammaci

i wyrzucił je za drzwi.

W jedną taką noc Ammu, wówczas dziewięcioletnia, ukrywając się ze swą matką w żywopłocie, patrzyła na wymuskaną sylwetkę Pappaciego, która ukazywała się za kolejnymi oświetlonymi oknami. Nie zadowolony się pobiciem żony i córki (Chacko był w szkole), Pappaci zrywał zasłony, kopał meble i rozbił lampkę stołową. Godzinę później światła zgasły.

Nie zważając na przerażone błagania Mammaci, mała Ammu zakradła się do domu przez otwór wentylacyjny, aby uratować swoje nowe gumki, które kochała ponad wszystko inne. Włożyła je do papierowej torby i przeszła z powrotem do salonu, gdzie nagle zapaliły się światła.

Pappaci cały czas siedział na mahoniowym fotelu bujanym i kołysał się po cichu w ciemnościach. Nie powiedział ani słowa, kiedy ją złapał i wychłostał szpicrutą z mahoniową rączką (tą samą, którą trzymał na kolanach na fotografii w atelier). Ammu nie płakała. Kiedy skończył ją bić, kazał jej przynieść nożyce Mammaci z szafki na przybory do szycia.

Potem, na oczach Ammu, imperialny entomolog pociachał nowe gumki nożycami krawieckimi jej matki. Paski czarnej gumy spadały na podłogę. Nożyce wydawały z siebie tnące nożycodźwięki. Ammu nie zwracała uwagi na ściągniętą, przerażoną twarz matki, która pojawiła się w oknie. Pocięcie nożyczkami ukochanych gumiaków zajęło dziesięć minut. Kiedy ostatni pasek gumy osunął się faliście na podłogę, ojciec spojrział na nią zimnymi, matowymi oczami i kołysał się, kołysał, kołysał. Otoczony morzem wijących się gumowych węży.

Z upływem lat dorastająca Ammu nauczyła się żyć z tym zimnym, wyrachowanym okrucieństwem. Wyrobiła sobie dumne poczucie niesprawiedliwości i uparte chojraństwo, które rodzi się u Kogoś Małego, nad kim przez całe życie znęcał się Ktoś Duży. W żaden sposób nie starała się unikać kłótni i starć. Można powiedzieć, że je prowokowała, a może nawet sprawiały jej przyjemność.

– Ammu poszła? – Mammaci spytała ciszy wokół siebie.

– Poszła – odparła głośno Koću Maria.

– Czy w Indiach wolno mówić „cholerny”? – spytała Sophie Mol.

– Kto powiedział „cholerny”? – dopytywał się Chacko.

– Ona – odparła Sophie Mol. – Ciocia Ammu. Powiedziała, „jak jakieś cholerne zaginione plemię”.

– Pokrój tort i daj każdemu po kawałku – powiedziała Mammaci.

– Bo w Anglii nie wolno – zwróciła się Sophie Mol do Chacka.

– Czego nie wolno? – spytał Chacko.

– Mówić „cholerny” – wyjaśniła Sophie Mol.

Mammaci spojrziała niewidząco w opalizujące popołudnie.

– Czy wszyscy są? – przerwała.

– Oower, Koćamma – odpowiedziała Niebieska Armia w zielonym upale. – Jesteśmy

wszyscy.

Na zewnątrz Spektaklu Rahel powiedziała do Weluthy:

– My nie jesteśmy, prawda? My w ogóle nie Gramy.

– Masz absolutną rację – odparł Welutha. – My w ogóle nie Gramy. Chciałbym jednak wiedzieć, gdzie się podział nasz Esthappappyćaćen Kuttappen Peter Mon?

Zrobił się z tego rozkoszny, szalony taniec koboldów pośród drzew kauczukowych.

Esthappappyćaćen Kuttappen Peter Mon, Gdzieżeś się podział, gdzie teraz twój dom? Potem z kobolda zrobił się Scarlet Pimpernel. Po całym świecie Esthy szukamy, Tropią go Francuzi, lecz im go nie damy~. Jest w niebie? Jest w piekle? Gdzie?

Gdzie Estha? Bez niego tak nam źle.

Koću Maria przedłożyła Mammaci do degustacji próbkę tortu. – Po kawałku dla każdego – potwierdziła Mammaci, delikatnie dotykając swojego kawałka rubinowopierścieniowymi palcami, aby sprawdzić, czy jest wystarczająco mały.

Koću Maria przystawiła się do reszty tortu i piłowała mozolnie, dysząc ustami, jakby to był pieczony udziec barani. Kładła poszarpane kawałki na dużej srebrnej tacy. Mammaci zagrała na skrzypcach melodię Witaj w domu, Sophie Mol. Zatykającą, czekoladową melodię. Lepkośłodką, topliwobrazową. Czekoladowe fale obmywające czekoladowy brzeg morski.

W połowie melodii Chacko podniósł głos nad czekoladowy dźwięk.

– Mamma! – powiedział (głosem lektora). – Mamma! Wystarczy! Wystarczy już grania!

Mammaci przestała grać i spojrzała w stronę Chacka, ze smyczkiem w powietrzu.

– Wystarczy? Myślisz, że wystarczy, Chacko?

– Aż zanadto – odparł Chacko.

– Jak wystarczy, to wystarczy – mruknęła do siebie Mammaci. – Chyba nie będę już grała. – Jakby myśl ta nagle przyszła jej do głowy.

Włożyła skrzypce do czarnego futerału w kształcie skrzypiec. Zamykał się jak walizka. A wraz z nim muzyka.

Stuk. I stuk.

Mammaci ponownie założyła ciemne okulary. Zaciągnęła zasłony, aby odgrodzić się od upalnego dnia.

Ammu wyszła na Zewnątrz i zawołała Rahel.

– Rahel! Pora na PoPołudniową drzemkę! Przyjdź, jak zjesz tort!

Rahel zrobiło się ciężko na sercu. Popołudniowa Dżemka. Nienawidziła Popołudniowych Dżemek.

Ammu wróciła do środka.

Welutha opuścił Rahel na ziemię. Stała przygnębiona na skraju podjazdu, na peryferiach Spektaklu, a na horyzoncie czyhała olbrzymia i paskudna Dżemka.

– I przestań się tak spoufalać z tym człowiekiem! – powiedziała do Rahel Baby Koćamma.

– Spoufalać? – powtórzyła Mammaci. – Kto tam jest, Chacko? Kto się spoufala?

– Rahel – odparła Baby Koćamma.

– Z kim się spoufala?

– Z twoim ukochanym Weluthą – z kimże by innym? mówiła Baby Koćamma, a do Chacka:

– Spytaj go, gdzie był wczoraj. Trzeba Zawiesić kotu dzwonek na szyi.

– Nie teraz – obruszył się Chacko.

– Co to znaczy spoufalać się? – Sophie Mol spytała Margaret Koćammę, która nie odpowiedziała.

– Welutha? Jest tutaj Welutha? Jesteś tutaj? – Mammaci spytała popołudnie.

– Oower, Koćamma! – Wyszedł spomiędzy drzew Spektaklu.

– Sprawdziłeś, co to było? – dopytywała się Mammaci.

– Podkładka w zaworze stopowym – odparł Welutha. Wymieniłem ją. TeraZ wszystko działa.

– To włącz – powiedziała Mammaci. – Zbiornik jest pusty.

– Ten człowiek będzie naszą nemezis – mówiła Baby Koćamma. Nie dlatego, że była jasnowidzką albo nagle doznała proroczego objawienia, Po prostu żeby mu zaszkodzić. Nikt nie zwracał na nią uwagi. – Pomnicie moje słowa – dodała z goryczą.

– Widzisz ją? – spytała Koću Maria, kiedy podeszła do Rahel z tortem na tacy. Miała na myśli Sophie Mol. – Kiedy dorośnie, będzie naszą Koćammą, podniesie nam pensje i da nam stylonowe sari na Onam. – Koću Maria kolekcjonowała sari, choć ich nie nosiła i nie miała takiego zamiaru.

– No i co z tego? – powiedziała Rahel. – Do tego czasu będę mieszkała w Afryce.

– W Afryce? – powtórzyła Koću Maria z pogardą. W Afryce jest pełno brzydkich czarnuchów i moskitów.

– To ty jesteś brzydka – odparła Rahel i dodała (po angielsku): – Głupia karlica!

– Coś powiedziała? – spytała groźnie Koću Maria. – Nie mów mi. Sama wiem. Słyszałam.

Powtórzę Mammaci. Czekaj, czekaj!

Rahel podeszła do starej studni, przy której zazwyczaj były jakieś mrówki do zabicia. Czerwone mrówki, które po rozgnieceniu wydzielają z siebie kwaśny, klozetowy smrodek. Koću Maria podążyła za nią z tortem na tacy.

Rahel powiedziała, że nie chce jej kretyńskiego tortu. – Kushumbi – mówiła Koću Maria. – Ludzie zazdrośni idą prosto do piekła. – Kto jest zazdrosny?

– Nie wiem. Ty mi powiedz – odparła Koću Maria, z falbaniastym fartuchem i sercem kwaśnym jak ocet.

Rahel założyła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała na Spektakl. Wszystko było gniewnobarwne. Sophie Mol, stojąca między Margaret Koćammą i Chackiem, wyglądała, jakby zasługiwała na lanie. Rahel znalazła całą falangę soczystych mrówek. Zmierzały do kościoła. Wszystkie ubrane na czerwono. Trzeba było je zabić, zanim tam dotrą. Rozgnieść i rozbabrać kamieniem. Mrówki nieładnie pachną, nie można ich wpuszczać do kościoła.

Mrówki chrzęściły delikatnie, gdy uciekało z nich życie. Jakby krasnoludek jadł tosta albo herbatnika.

Mrówczy kościół byłby pusty i mrówczy biskup czekałby w swym zabawnym mrówczym stroju, wymachując srebrną kadzielnicą. I nikt by nie przyszedł.

Odczekawszy rozsądną mrówczą ilość czasu, zabawnie zmarszczyłby czoło na mrówczobiskupią modłę i smutno potrząsnął głową. Spojrzałby na przebite światłem mrówcze witraże i napatrzywszy się na nie, zamknąłby kościół olbrzymim kluczem i pogasił światła. Potem poszedłby do domu, gdzie czekałaby na niego żona (chyba że byłby wdowcem) i ucięliby sobie mrówczą dżemkę poobiednią.

Sophie Mol, w dzwonach, ukapeluszniona i Od Początku Kochana, opuściła Spektakl, aby sprawdzić, co robi Rahel za studnią. Lecz Spektakl udał się za nią. Szedł, kiedy ona szła, zatrzymywał się, kiedy ona się zatrzymywała. Posyłał jej pełne uczucia uśmiechy. Koću Maria opuściła tacę z ciastem, aby nie zasłaniała jej wielbiącego uśmiechu, kiedy Sophie kucnęła w przystudzonej mazi (żółte spody dzwonów teraz mokre i ubłocone).

Sophie Mol oglądała nieładnie pachnącą masakrę z klinicznym dystansem. Kamień był inkrustowany zmiażdżonymi czerwonymi korpusami i nielicznymi odnóżami, które podrygiwały apatycznie.

Koću Maria patrzyła znad ciasta.

Pełne uczucia uśmiechy patrzyły z uczuciem.

Małe Dziewczynki bawią się.

Jakie słodkie.

Jedna w kolorze plaży.

Druga brunatna.

Jedna Kochana.

Druga Kochana Trochę Mniej.

– Zostawmy jedną, żeby była samotna – zasugerowała Sophie Mol.

Rahel nie skorzystała z sugestii i zabiła wszystkie. Potem, w piankowej Lotniskowej Sukience, twarzowych majtkach (które nie były już jak świeżo wykrochmalona pościel) i nietwarzowych okularach przeciwsłonecznych, pobiegła. Zniknęła w zielonym upale.

Pełne uczucia uśmiechy wciąż spoczywały na Sophie Mol jak reflektory, sądząc zapewne, że słodkie kuzynki bawią się w chowanego, jak to słodkie kuzynki mają w zwyczaju.

9. Pani Pillej, pani Eapen, pani Radżagopalan

Drzewa ociekały zielenią. Ciemne liście palm zwisały jak grzebienie na tle monsunowego nieba. Pomarańczowe słońce prześlizgiwało się między ich zakrzywionymi, łapczywymi zębami.

Szwadron nietoperzy przemknął ponuro.

W opuszczonym ogródku kwiatowym Rahel, obserwowana przez karły w niedbałych pozach i samotnego cherubina, przykucnęła nad brzegiem odstałej sadzawki i patrzyła na ropuchy skaczące z jednego brudnooślizłego kamienia na drugi. Piękne Szkaradne Ropuchy.

Oślizłe. Parchate. Skrzekliwe.

W środku stęsknieni, nie całowani książęta. Pokarm dla węży, które czyhały w wysokiej czerwcowej trawie. Szelest. Wypad do przodu. Nie ma już ropuchy, która by skakała z jednego brudnooślizłego kamienia na drugi. Nie ma już księcia do pocałowania.

Była to pierwsza bezdeszczowa noc od jej przyjazdu.

Mniej więcej o tej porze, pomyślała Rahel, gdyby to był Waszyngton, jechałabym do pracy. Autobusem. Latarnie uliczne.

Spaliny. Kształty ludzkich oddechów na kuloodpornej szybie mojej budki. Brzęk monet popychanych w moją stronę na metalowej tacy. Zapach pieniędzy na moich palcach. Punktualny pijak o trzeźwych oczach, który przychodzi dokładnie o dziesiątej wieczór: „Hej, ty! Czarna ździro! Obciągnij mi kutasa!” Miała siedemset dolarów. I złotą bransoletę z węzowymi głowami. Lecz Baby Koćamma spytała ją, jak długo planuje jeszcze zostać. I co planuje zrobić w sprawie Esthy.

Nie miała planów.

Żadnych planów.

Nie miała prawa zostać wysłuchana.

Spojrzała na ciężką, wielookienną dziurę we wszechświecie w kształcie domu i wyobraziła sobie, że mieszka w srebrnej misie, którą Baby Koćamma zainstalowała na dachu. Sprawiała wrażenie wystarczająco dużej do zamieszkania. Z pewnością była większa od mnóstwa domów. Większa na przykład niż ciasna klatka Koću Marii.

Gdyby tam spali, ona i Estha, zwinięci razem jak embriony w płytkiej stalowej macicy, co by zrobili Hulk Hogan i Bam Bam Bigelow? Gdzie by się podzieli, gdyby misa była zajęta? Czy

wpełzaliby do życia i telewizora Baby Koćammy przez komin? Czy wpadaliby do pieca z głośnym: „heeej!”, odziani w muskuły i nakrapiane stroje? Czy Wychudzeni Ludzie – ofiary głodu i uchodźcy – wpełzaliby przez szpary w drzwiach? Czy przez szczeliny między dachówkami wkradłoby się Ludobójstwo?

Niebo było gęste od telewizji. Po założeniu specjalnych okularów można by było zobaczyć, jak wirują po niebie pośród nietoperzy i wędrownych ptaków – blondynki, wojny, piłka nożna, porady kulinarne, zamachy stanu, fryzury sztywne od pianki do włosów. Kulturyistyczne torsy. Szybujące ku Ajemenem jak skoczkowie na linie. Tworzące wzory na niebie. Beczki. Wiatraki. Rozkwitające i więdnące kwiaty.

Heeej!

Rahel wróciła do obserwacji ropuch.

Thuste. Żółte. Z jednego brudnooślizłego kamienia na dru gi. Dotknęła jednej delikatnie. uniosła powieki do góry. Z zabawną pewnością siebie.

„Błona mrużna”, powtarzali kiedyś z Esthą przez cały dzień. Z Esthą i Sophie Mol.

Błonamrużna łonamrużna onamrużna namrużna amrużna mrużna rużna użna zna Wszyscy troje mieli tego dnia na sobie sari (stare, rozdarte na pół), Estha służył za eksperta od układania. Udrapował fałdy Sophie Mol. Uporządkował pallu Rahel i poprawił swoje. Na czołach mieli czerwone bindi. Podczas prób zmycia zakazanego proszku antymonowego Ammu rozmazali go sobie po całych twarzach i ogólnie biorąc, wyglądali jak trójka szopów, które udają hinduskie damy. Było to mniej więcej tydzień po przyjeździe Sophie Mol. Tydzień przed jej śmiercią. Czujnie obserwowana przez bliźnięta, zachowywała się bardzo stanowczo i niezgodnie z wszelkimi ich oczekiwaniami.

Mianowicie:

a) Poinformowała Chacka, że chociaż jest jej Prawdziwym Ojcem, bardziej kocha Joego (dzięki czemu miał możliwośćnawet jeżeli nie ochotę – zostać zastępczym ojcem pewnych dwujajowych osób spragnionych jego uczuć).

b) Odrzuciła propozycję Mammaci, aby zastąpiła Esthę iRahel na uprzywilejowanym stanowisku osoby zaplatającej na noc szcurzy ogonek Mammaci i liczącej jej pieprzyki. c) (Rzecz Najważniejsza) – Dokonawszy przenikliwej oceny panującej w domu atmosfery, odrzucała, bez ogródek ibardzo nieuprzejmie, wszelkie umizgi i podchody Baby Koćammy.

Jakby tego było mało, okazała się również osobą obdarzoną ludzkimi uczuciami. Pewnego

dnia bliźnięta wróciły z potajemnej wyprawy nad rzekę (która nie chciała Sophie Mol)

iznalazły ją w ogrodzie we łzach, usadowioną w najwyższym punkcie klombu Baby Koćammy. Czula się samotna, jak wyjaśniła. Następnego dnia Estha i Rahel zabrali ją ze sobą w odwiedziny do Weluthy.

Szli do niego w sari, człapiąc niezgrabnie przez czerwone błoto i wysoką trawę (Błonomrużna łonamrużna mrużna rużna użna żna), i przedstawili się jako pani Pillej, pani Eapen i pani Radżagopalan. Welutha przedstawił siebie i swego sparaliżowanego brata (choć ten spał twardo). Powitał ich zwielką kurtuazją. Zwracał się do nich wszystkich per Koćamma i dał im do picia świeżą wodę kokosową. Rozmawiał z nimi o pogodzie. O rzece. O tym, że jego zdaniem palmy kokosowe są z każdym rokiem coraz niższe. Podobnie jak panie w Ajemenem. Przedstawił ich swym impertynenckim kurom. Pokazał im swoje narzędzia stolarskie i wystrugał dla każdego z nich niewielką drewnianą łyżkę.

Dopiero teraz, po tylu latach, z perspektywy osoby dojrzałej, Rahel uświadomiła sobie, jakie to było miłe z jego strony. Dorosły mężczyzna przyjmuje u siebie trzy szopy, traktując je jak prawdziwe damy. Instynktownie bierze udział w ich spisku i pilnuje się, żeby nie zniszczyć fikcji dorosłą nieuwagą. Lub protekcyjną czułościowością.

Bo przecież tak łatwo jest zgruchotać opowieść. Zerwać łańcuch myśli. Zbić fragment snu noszony ostrożnie jak porcelana.

Pozwolić, by opowieść się rozwijała, jak to uczynił Welutha, jest rzeczą znacznie trudniejszą.

Trzy dni przed Trwogą pozwolił im pomalować sobie paznokcie czerwonym lakierem, który wyrzuciła Ammu. Tak wyglądał w dniu, w którym Historia odwiedziła ich na tylnej werandzie. Stolarz z krzykliwymi paznokciami. Oddział dotykanej policji spojrział na nie i roześmiał się.

– Co to jest? – powiedział jeden z nich. – Jesteś bi?

Inny uniósł but ze stonogą pozwijaną w zagłębieniach podeszwy. Głęboki rdzawobrazowy kolor. Sto nóg.

Ostatnie ramięczko światła zsunęło się z ramienia cherubina.

Zmrok połknął ogród. W całości. Jak pyton. W domu pozapalały się światła.

Rahel widziała Esthę w jego pokoju, jak siedział na ładnie pościelonym łóżku. Patrzył w ciemność przez zakratowane okno. Nie mógł jej widzieć, siedzącej na zewnątrz w ciemnościach, patrzącej w światło.

Para aktorów schwytych w pułapkę awangardowej sztuki bez śladu fabuły i struktury. Po

omacku odgrywają swoje role, pielęgnując cudzy smutek. Cierpiąc cudzym cierpieniem.

Z jakiegoś powodu nie mogą przenieść się do innej sztuki.

Albo zakupić jakiegoś taniego egzorcyzmu od specjalisty zprestizowym dyplomem, który posadzi ich i powie odpowiednio dobranym tonem: „To nie wy zgrzeszyliście. To przeciwko wam zgrzeszono. Byliście tylko dziećmi. Nie mieliście na nic wpływu. Jesteście ofiarami, nie sprawcami”.

Na pewno by im pomogło, gdyby potrafili zrobić ten krok. Gdyby mogli założyć, przynajmniej na jakiś czas, tragiczny kaptur ofiary. Potem byliby w stanie dołożyć do niego twarz i wyczarować w sobie furję na to, co się stało. Albo zażądać rekompensaty. A w końcu może wypędzić z siebie wspomnienia, które ich prześladowały.

Lecz gniew był poza ich zasięgiem i nie istniała twarz, którą można by przylepić do tej Innej Rzeczy, którą trzymali wlepkich Innych Dłoniach, jak wyimaginowaną pomarańczę.

Nie było gdzie jej położyć. Nie należała do nich, żeby mogli ją dać komuś innemu. Trzeba ją było trzymać w dłoniach. Ostrożnie i na zawsze.

Esthappen i Rahel wiedzieli, że tego dnia było (oprócz nich) kilku sprawców. Lecz tylko jedna ofiara. Z krwistoczerwonymi paznokciami i brązowym liściem na plecach, liściem, który sprawiał, że monsuny przychodziły na czas.

Zostawił po sobie dziurę we wszechświecie, przez którą jak płynna smoła wlewała się ciemność. Przez którą podążyła za nim ich matka, nie odwróciwszy się nawet, żeby im pomachać na pożegnanie. Zostawiła ich wirujących w ciemnościach, bez zakotwiczenia, w miejscu pozbawionym fundamentów.

Kilka godzin później wzeszedł księżyc i kazał ponuremu pytonowi oddać to, co połknął. Ogród pojawił się na nowo. Wypluty w całości. Razem z Rahel.

Wiatr zmienił kierunek i przyniósł jej ze sobą odgłos bębnow. Podarunek. Obietnicę historii do opowiedzenia. „Za górami, za lasami, mówiły, żyła sobie”.

Rahel uniosła głowę i słuchała.

W pogodnej nocy dźwięk chenda niósł się na kilometr od świątyni w Ajemenem, zapowiadając spektakl kathakali. Rahel poszła. Ciągnęło ją wspomnienie stromych dachów białych murów. Zapalonych mosiężnych lamp i ciemnego, natłuszczonego drewna. Poszła w nadziei, że spotka starego słonia, który nie został porażony prądem przy szosie Kottajam-Koczin. Po drodze wzięła z kuchni kokosa.

Wychodząc, zauważyła, że jedne z ażurowych drzwi do fabryki spadły z zawiasów i opierały się o odrzwia. Odsunęła je na bok i weszła do środka. Powietrze było ciężkie od wilgoci, tak mokre, że mogłyby w nim pływać ryby.

Podłoga była śliska od niesionej przez monsun brudnej piany. Między belkami dachu trzepotał wystraszony nietoperz. Niskie betonowe kadzie na marynaty, odstające od ponurego mroku, sprawiały, że fabryka wyglądała jak kryty cmentarz dla cylindrycznych zmarłych.

Doczesne szczątki Marynat i Przetworów „Paradise”.

Cmentarz, na którym w dniu przyjazdu Sophie Mol ambasador E. Pelvis zamieszał w garnku ze szkarłatnym dżemem ipomyślał sobie Dwie Myśli. Gdzie czerwony sekret wkszałcie owocu mango został zamarynowany, próżniowo zamknięty i odstawiony na półkę.

To prawda. Wszystko może się zmienić w jeden dzień.

10. Rzeka w łódce

Podczas gdy na frontowej werandzie wystawiany był spektakl pod tytułem Witamy w domu, Sophie Mol, a Koću Maria roznosiła tort Niebieskiej Armii w zielonym upale, ambasador E. Pelvis/S. Pimpernel w beżowych butach w szpic otworzył ażurowe drzwi do wilgotnej, zadziemionej fabryki Marynaty „Paradise”. Szedł pomiędzy gigantycznymi betonowymi kadziami, chcąc znaleźć miejsce, gdzie mógłby Pomyśleć. Obserwowała go Ousa, Sowa Płomykówka, która mieszkała na poczerniałej belce blisko świetlika (i niekiedy dodatkowo przyprawiała niektóre produkty „Paradise”).

Minął pływające w solance żółte limony, którymi trzeba było od czasu do czasu poruszać (w przeciwnym razie tworzyły się wyspy czarnego grzyba jak plisowane pieczarki wzupie).

Minął zielone owoce mango, pokrajane, zasypane kurkumą i proszkiem chilli i powiązane szpagatem. (Przez jakiś czas nie trzeba było się nimi zajmować).

Minął szklane, zakorkowane butle z octem.

Minął półki z pektyną i środkami konserwującymi.

Minął tace z tykwami, nożami i kolorowymi osłonkami na palce.

Minął jutowe worki wypchane czosnkiem i małymi cebulami.

Minął kopczyki świeżych ziaren zielonego pieprzu.

Minął stertę skórek od banana na podłodze (zostawionych na obiad dla świń).

Minął szafę na etykiety, pełną etykietek.

Minął klej.

Minął pędzel do kleju.

Minął żeliwną wannę z pustymi butelkami pływającymi w mydlanej wodzie.

Minął sok cytrynowy.

Minął pulpę winogronową.

A potem znowu, w odwrotnej kolejności.

Wewnątrz było ciemno; fabrykę oświetlała tylko smuga sącząca się przez zlepioną gazę drzwi i zakurzony promień słońca (z którego Ousa nie korzystała) wpadający przez świetlik. Zapach octu i asafetydy gryzł go w nozdrza, lecz Estha był do niego przyzwyczajony, a nawet bardzo go lubił. Miejsce do Myślenia znalazł sobie między ścianą a czarnym żeliwnym kotłem,

w którym powoli stygła porcja świeżo ugotowanego (nielegalnego) dżemu bananowego.

Dżem wciąż był gorący, a na jego lepkiej szkarłatnej powierzchni powoli konała gęsta różowa piana. Bananowe bąbelki topiły się w głębokim kotle dżemu i nie miał im kto pomóc.

W każdej chwili mógł tutaj wejść Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna. Wsiądzie do autobusu Koczin-Kottajam i zaraz będzie na miejscu. Ammu zaproponuje mu herbatę.

Albo sok ananasowy. Z lodem. Żółty w szklance.

Długim żelaznym mieszadłem Estha zamieszał gęsty, świeży dżem.

Konająca piana przybierała konające pienne kształty.

Wrony ze zmiażdżonym skrzydłem.

Zaciśniętej kurzej łapy.

Sowy (nie Ousy) pogrążonej w mdlącym dżemie.

Smutnego wiru.

I nie miał im kto pomóc.

Mieszając dżem, Estha pomyślał sobie Dwie Myśli, które to Dwie Myśli przedstawiały się następująco:

a) Każdemu może się wszystko przydarzyć.

Oraz b) Najlepiej jest być na to przygotowanym.

Pomyślawszy sobie te myśli, Estha Sam ucieszył się, że jest taki mądry.

Kiedy gorący dżem w kolorze magenta wirował w kotle, Estha najpierw był Mieszającym Czarnoksiężnikiem z rozsypanym czubem i krzywymi zębami, a potem Wiedźmami z , Makbeta.

„Niech pod kotłem żar się żarzy, niech z bulgotem dżem ; się warzy”. Ammu pozwoliła Escie przepisać recepturę dżemu bananowego Mammaci do swojej nowej książki z recepturami, czarnej z białym grzbietem.

Mając pełną świadomość, jaki spotkał go zaszczyt, Estha użył obu swych najładniejszych charakterów pisma.

Dżem bananowy (swym starym najładniejszym charakterem pisma)

Dojrzałe banany rozgnieść. Zalać wodą i gotować na bardzo dużym ogniu, aż owoce zrobią się miękkie.

Wycisnąć sok przez gruby muślin.

Odważyć taką samą ilość cukru.

Gotować sok owocowy aż zrobi się szkarłatny i mniej więcej połowa wyparuje.

Przygotować dżelatynę (Pektynę):

Proporcje 1:5 tj. 4 łyżki Pektyny: 20 łyżek cukru. Estha zawsze wyobrażał sobie Pektynę jako córkę Noego, siostrę Kektyna i Abednego. Wyobrażał sobie, jak w gasnącym świetle i deszczu budują drewniany statek. Widział ich bardzo wyraźnie. Jak ścigają się z czasem. Odgłos młotków odbija się echem od osiadającego coraz niżej, nabrzmiałego burzą nieba. A opodal w dżungli, w nieziemskim, nabrzmiałym burzą świetle, zwierzęta ustawiają się w kolejce parami: Chłopiecdziewczyna.

Chłopiecdziewczyna.

Chłopiecdziewczyna.

Chłopiecdziewczyna.

Bliźniąt nie wpuszczano.

Pozostałą część receptury Estha przepisał swoim nowym najładniejszym charakterem pisma. Kanciastym, spiczastym. Odchylnym do tyłu, jakby litery nie miały ochoty łączyć się w słowa, a słowa nie miały ochoty łączyć się w zdania: Dodać Pektynę do koncentratu. Gotować przez kilka (5) minut.

Rozpalić duży ogień, aby płomienie opalały cały kocioł. Dodać cukier: Gotować do uzyskania ciągnącej się konsystencji.

Zostawić do ostygnięcia.

Smacznego.

Oprócz błędów ortograficznych jedyną ingerencją Esthy w oryginalny tekst była ostatnia linijka (Smacznego. Gdy Estha mieszał, dżem gęstniał i stygł, a z beżowych butów w szpic przysłała nieproszona Myśl Numer Trzy. Myśl Numer Trzy przedstawiała się następująco:

c) Łódka.

Łódka do przepłynięcia rzeki. Akkara. Drugi Brzeg. Łódka do przewiezienia Prowiantu. Zapalek. Ubrań. Garnków. Rze czy, których będą potrzebowali, a których nie da się zabrać wplaw.

Włoski na ramieniu Esthy zjeżyły się. Mieszanie dżemu zamieniło się w wiosłowanie. W przód i w tył, zamiast wkoło. Przez lepka szkarłatną rzekę. Piosenka z wyścigów podczas święta Onam wypełniła fabrykę. Thaiy thaiy' thaka thaiy' thaiy' thorne!

Enda da korangacha, chandri ithra thenjadu?

(Hej, panie Małpa, czemu pan masz taki czerwony tyłek`.r) Pandyll thnoran poy'appol

nerakkamuthiri nerangi rżjan. (Poszedłem do Madrasu zrobić kupę i zadrapałem go sobie do krwi).

Między cokolwiek nieuprzejme pytania i odpowiedzi piosenki wioślarskiej wkradł się głos Rahel.

– Estha! Estha! Estha!

Estha nie odpowiedział. Szeptem zaśpiewał gęstemu dżemowi refren piosenki wioślarskiej.

Theevome Thithome Tha raka Thithome Theem Drzwi z gazy zaskrzypiały i Lotniskowa Rusałka z zadatkami na rogi i w czerwonych plastikowych okularach przeciwsłonecznych z żółtymi oprawkami zajrzała do środka, wpuszczając słońce. Fabryka przybrała gniewny kolor. Limony w solance były czerwone. Owoce mango były czerwone. Szafa na etykiety była czerwona. Zakurzona belka słońca (z której Ousa nie korzystała) była czerwona.

Drzwi z gazy zamknęły się.

Rahel stała w pustej fabryce ze swą fontanną spiętą Love-in-Tokyo. Usłyszała głos zakonniczy śpiewający piosenkę wioślarską. Czysty sopran, który unosił się nad oparami octu i kadziami do marynowania.

Podeszła do Esthy pochylonego nad szkarłatnym wywarem w czarnym kotle.

– Co chcesz? – spytał Estha, nie podnosząc wzroku.

– Nic – powiedziała Rahel.

– To po co tu przyszedłaś?

Rahel nie odpowiedziała. Zapadło krótkie, wrogie milczenie.

– Po co wiosłujesz po dżemie? – spytała Rahel.

– Indie to wolny kraj – odparł Estha.

Nie sposób było zaprzeczyć.

Indie to wolny kraj.

Można tam wytwarzać sól. I wiosłować po dżemie, jeśli ktoś ma ochotę.

Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna mógł po prostu wejść przez drzwi z gazy.

Jeśli miał ochotę.

A Ammu zaproponowałyby mu sok ananasowy. Z lodem.

Rahel usiadła na brzegu betonowej kadzi (piankowate końcówki klejonki i koronki, delikatnie nasączone marynatą z owoców mango) i założyła gumowe osłonki na palce. Trzy muchy walczyły zajadłe za drzwiami z gazy, chcąc zostać wpuszczone do środka. A Ousa Sowa

Płomykówka patrzyła na octową ciszę, która zaległa między bliźniętami jak rana. Palce Rahel były żółto-zielono-niebiesko-czerwono-żółte. Estha mieszał dżem.

Rahel wstała. Żeby pójść na Dżemkę Poobiednią.

– Gdzie idziesz?

– Gdzieś.

Rahel zdjęła swoje nowe palce i odzyskała stare, w kolorze palczastym. Nie żółtym, nie zielonym, nie niebieskim, nie czerwonym. Nie żółtym.

– Ja idę do Akkara – powiedział Estha. Nie podnosząc wzroku. – Do Domu Historii.

Rahel zatrzymała się i odwróciła. Brązowawa ćma na jej sercu, z nieprzeciętnie gęstymi kosmkami grzbietowymi, rozpostarła swe drapieżne skrzydła.

Powoli do góry.

Powoli w dół.

– Dlaczego? – spytała Rahel.

– Dlatego, że każdemu może się wszystko zdarzyć – odparł Estha. – I najlepiej jest być na to przygotowanym.

Trudno dyskutować z czymś takim.

Nikt już nie chodził do domu Kari Sejpu. Wellja Paapen twierdził, że jest ostatnim człowiekiem, który widział ten dom. Mówił, że tam straszy. Opowiedział bliźniętom historię o swoim spotkaniu z duchem Kari Sejpu. To się zdarzyło dwa lata temu, powiedział. Przeszedł na drugą stronę rzeki w poszukiwaniu drzewa muszkatołowego, bo chciał zrobić pastę z gałki muszkatołowej i świeżego czosnku dla swojej żony Ćelli, która umierała na gruźlicę. Nagle poczuł dym cygara (natychmiast rozpoznał ten zapach, ponieważ Pappaci palił cygara tej samej marki). Wellja Paapen odwrócił się błyskawicznie i rzucił w zapach sierpem. Przyszpilił ducha do drzewa kauczukowego, gdzie, jak twierdził Wellja Paapen, pozostał do tej pory. Przeszyty sierpem zapach, który broczył przezroczystą, bursztynową krwią i zebrał o cygara.

Wellja Paapen nie znalazł żadnego drzewa muszkatołowego i musiał sobie kupić nowy sierp. Odczuwał jednak satysfakcję, że jego szybki refleks (mimo że jedno oko tylko dzierzawił) i przytomność umysłu położyły kres krwiożerczym wałęsaniom się ducha-pedofila.

Przynajmniej do czasu, gdy ktoś nabierze się na jego umizgi i uwolni go, częstując cygarem.

Wellja Paapen (który wiedział prawie wszystko) nie wiedział, że dom Kari Sejpu jest Domem Historii (o zamkniętych na klucz drzwiach i otwartych oknach). I że w środku

przodkowie z oddechem zalatującym poźółkłymi mapami i o twardych paznokciach u nóg szepczą do jaszczurek na ścianie.

Że Historia korzysta z tylnej werandy do negocjowania warunków i pobierania należnego. Że niestawiennictwo prowadzi do tragicznych konsekwencji. Że w dniu, który Historia wybierze na obrachunki, Estha otrzyma pokwitowanie za należne uiszczone przez Weluthę.

Wellja Paapen nie miał pojęcia, że Kari Sejpu był tym, który przechwytywał sny, by prześnić je na nowo. Że wybierał je z umysłów przechodniów tak jak dzieci wybierają rodzynki z ciasta. Że snami, których był najbardziej spragniony, które najchętniej śnił na nowo, były delikatne sny bliźniąt dwujajowych.

Biedny stary Wellja Paapen, gdyby wtedy wiedział, że Historia wybierze go na swojego plenipotentę, że to jego łzy uruchomią Trwogę, być może nie kroczyłby dumnie jak kogucik po bazarze w Ajemenem i nie przechwalał się, jak to przepłynął na drugą stronę rzeki z sierpem w ustach (czując kwaśny smak żelaza na języku). Jak odłożył go na chwilę, kiedy uklęknął, aby zmyć rzeczny piasek ze swego dzierzawionego oka (woda niosła czasem piasek, zwłaszcza w deszczowe miesiące), i wtedy właśnie poczuł zapach dymu cygarowego. Jak podniósł sierp, odwrócił się błyskawicznie i przebił zapach sierpem, na zawsze przyszpilając ducha do drzewa. Jednym zwinnym, mocnym ruchem.

Kiedy zrozumiał, jaką odegrał rolę w Planach Historii, było za późno, aby wrócić po śladach. Sam je zatarł. Czołgając się do tyłu z miotłą.

W fabryce milczenie ponownie runęło na bliźnięta i zacisnęło się wokół nich. Lecz tym razem było to innego rodzaju milczenie. Milczenie starej rzeki. Milczenie rybaków i rozjuszonych syren.

– Ale komuniści nie wierzą w duchy – powiedział Estha, jakby kontynuowali dyskusję na temat możliwych rozwiązań problemu z duchem. Ich rozmowy wynurzały się na powierzchnię i chowały pod ziemię jak górskie strumienie. Czasem były słyszalne dla innych. Czasem nie.

– Czy zostaniemy komunistą? – spytała Rahel.

– Być może będziemy musieli.

Estha pragmatyk.

Odległe, pokruszone głosy i nadchodzące kroki Niebieskiej Armii kazały towarzyszom zamknąć sekret w słoiku.

Został zamarynowany, próżniowo zamknięty i odstawiony na półkę. Czerwony sekret

w kształcie owocu mango. Którego pilnowała Sowa.

Opracowano i uzgodniono Czerwony Program:

Towarzyszka Rahel uda się na Popołudniową Dżemkę, a potem będzie leżała w łóżku i czuwała, dopóki Ammu nie zaśnie.

Towarzysz Estha znajdzie flagę (którą musiała pomachać Baby Koćamma) i zaczeka na towarzyszkę Rahel nad rzeką. Nad rzeką towarzyska Rahel i towarzysz Estha:

b) Przygotują się do bycia przygotowanym.

Porzucona sukienka rusalki (częściowo zamarynowana) stała sztywno na środku podłogi pogrążonej w ciemnościach sypialni Ammu.

Na dworze powietrze było czujne, jasne i gorące. Rahel leżała obok Ammu, całkowicie rozbudzona, w twarzowych lotniskowych majtkach. Widziała haftowane ściegiem krzyżykowym kwiaty na niebieskiej haftowanej ściegiem krzyżykowym kołdrze koło policzka Ammu. Słyszała niebieskie, haftowane ściegiem krzyżykowym popołudnie.

Powolny wentylator pod sufitem. Słońce za zasłonami. Żółta osa bzycząca o szybę niebezpiecznym bzzzz. Mrugnięcie okiem nie dowierzającej jaszczurki.

Kury goniące po podwórzu.

Dźwięk słońca mnącego pranie. Krochmalącego białą pościel. Usztywniającego wykrochmalone sari. Spranobiałe i złote.

Czerwone mrówki na żółtych kamieniach.

Krowa, której jest gorąco. A-muuu. W oddali.

I zapach ducha chytrego Anglika, przybitego sierpem do drzewa kauczukowego, uprzejmie proszącego o cygaro.

– Yy, przepraszam bardzo... Nie miałaby pani przypadkiem, yyy, nie poczęstowałaaby mnie pani cygarem? Życzliwym głosem nauczyciela szkolnego.

O rany.

A Estha na nią czeka. Nad rzeką. Pod mangostanem, który wielebny E. John Ipe przywiózł ze sobą z Mandalaj.

Na czym Estha siedział?

Na tym, na czym zawsze siedzieli pod mangostanem. Na czymś szarym i posiwiiałym. Obrośniętym mchem i porostami, tonącym w paprociach. Czymś, co zawłaszczyła ziemia. Nie na pniu drzewa. Nie na kamieniu...

Nie dokończywszy myśli, Rahel zerwała się i pobiegła. Przez kuchnię, obok śpiącej twardym snem Koću Marii. Pobrużdżonej jak nosorożec w fartuchu z koronką.

Minęła fabrykę.

Potykała się bosa w zielonym upale, leciała za nią żółta osa.

Towarzysz Estha czekał na nią. Pod mangostanem. Z czerwoną flagą wbitą w ziemię. Przenośna Republika. Bliźniacza Rewolucja z Czubem.

Na czym siedział?

Na czymś obrośniętym mchem i skrytym w paprociach. Puknij w to, a usłyszysz głuchy, pukający dźwięk.

Milczenie wznosiło się do góry, szybowało, pikowało, kręciło ósemki.

Przybrane klejnotami ważki walczyły z paprociami, przesuwwały kamienie, torowały drogę. Chciały zdobyć jakiś bezpieczny przyczółek. I raz, i dwa, i...

Wszystko może się zmienić w jeden dzień. Była to łódka. Maleńkie drewniane vallom.

Łódka, na której siedział Estha, a którą znalazła Rahel. Łódka, na której Ammu miała przepłynąć przez rzekę. Aby kochać nocą mężczyznę, którego jej dzieci kochały za dnia. Łódka tak stara, że zapuściła korzenie. Prawie.

Stara, siwa łódkoroślina z łódkokwiatami i łódkoowocami.

A pod spodem poletko zwiędłej trawy w kształcie łódki. Fędzący, umykający łódkoświat.

Ciemny, suchy i chłodny. Teraz pozbawiony dachu. I ślepy. Białe termity w drodze do pracy.

Białe biedronki w drodze do domu.

Białe chrząszcze chowające się przed światłem. Białe koniki polne ze skrzypcami z białobrzozowego drewna.

Smutna biała muzyka.

Kruchobiała skóra węża, konserwowana przez ciemność, rozsypująca się w słońcu.

Ale na co stać to małe vallom? Czy nie jest za stare? Za bardzo martwe? Czy Akkara to dla niego nie za daleko? Bliźnięta dwujajowe patrzyły na drugą stronę swojej rzeki. Minaćal.

Szarozielona. Z rybami w środku. Ze słońcem i drzewami w środku. A nocą ze złamanym żółtym księżycem w środku. Kiedy Pappaci był chłopcem, do rzeki wpadła podczas burzy stara tamarynda. Wciąż tam była. Gładkie, ogołocone z kory drzewo, poczemiale od nadmiaru zielonej wody.

Z którą nie chciało popłynąć do morza.

Jedna trzecia szerokości rzeki, licząc od brzegu, była ich przyjacielem. Zanim zaczynało się robić Naprawdę Głęboko. Znali śliskie kamienne stopnie (trzynaście), zanim zaczynało się muliste błoto. Znali popołudniowe zielska, które napływały z rozlewisk Komarakom. Znali mniejsze ryby. Płaską, głupawą pallathi, srebrną paral, podstępną, wąsatą koori, rzadko goszczącą w tych stronach karimeen.

Tutaj Chacko nauczył ich pływać (pluskać się samodzielnie wokół jego obfitego wujowskiego brzucha). Tutaj odkryli dla siebie egoistyczne rozkosze podwodnego puszczenia bąków.

Tutaj nauczyli się łowić ryby. Nawlekać pozwijane purpurowe glisty na haczyki wędek, które wycinał dla nich Welutha z wysmukłych witek żółtego bambusa.

Tutaj uczyli się milczenia (jak dzieci rybaków) i jasnego języka ważek.

Tutaj nauczyli się czekania. Patrzenia. Myślenia myśli i niewyrażania ich na głos. Błyskawicznego reagowania, gdy giętki żółty bambus wyginał się w dół.

Jedną trzecią szerokości rzeki dobrze znali. Pozostałe dwie trzecie słabiej.

Następna trzecia część była tam, gdzie zaczynało się robić Naprawdę Głęboko. Gdzie prąd był szybki i zdecydowany (w dół rzeki podczas odpływu, w górę rzeki, pchający wodę z rozlewisk, podczas przyptywu).

Ostatnia trzecia część znów była płytka. Woda brązowa i mętna. Pełna zielsk, śmigających węgorzy i powolnego błota, które przeciskało się między palcami u nóg jak pasta do zębów.

Bliźnięta pływały jak foki i pod nadzorem Chacka kilka razy przepłynęły na drugą stronę, po czym wracały zdyszane i przewracające oczami z wysiłku, z kamieniem, gałązką lub liściem z drugiego brzegu jako dowodem na swój wyczyn.

Lecz środek pokaźnej rzeki, i jej drugi brzeg, nie były dla dzieci miejscem do zabawy, uczenia się życia czy leniuchowania. Estha i Rahel darzyli drugą i trzecią część Minaćal respektem, na który zasługiwały. Mimo to przepłynięcie na drugą stronę nie stanowiło problemu. Problem stanowiło przepłynięcie łódką z Różnymi Rzeczami (żeby mogli (b) Przygotować się do bycia przygotowanym).

Patrzyli na drugą stronę rzeki oczami starej łódki. Z miejsca, w którym stali, nie było widać Domu Historii. Wszystko, co widzieli, to ciemność za mokradłami, w sercu porzuconej plantacji kauczukowej, skąd dobiegało coraz głośniejsze cykanie świerszczy.

Estha i Rahel wzięli łódeczkę i zanieśli na wodę. Sprawiała wrażenie zaskoczonej,

przypominała posiwiałą rybę, która wynurzyła się na powierzchnię z głębiny. Zgłodniała światła słonecznego.

Przydałoby się ją może oskrobać i oczyścić, ale nic poza tym.

Dwa szczęśliwe serca wzbily się jak kolorowe latawce pod niebieskie jak niebo niebo. Lecz potem, powolnym zielonym szeptem, rzeka (z rybami w środku, z niebem i drzewami w środku) z bulgotem weszła do łódki.

Powoli stara łódka poszła na dno i osiadła na szóstym stopniu.

Wraz z nią poszła na dno para bliźniaczo dwujajowych serc i osiadła na piątym stopniu.

Głębokowodne ryby zakrywały pyszczki płetwami i śmiały się ukradkiem z tego widowiska.

Biała łódkowa pajęczycza wypłynęła na powierzchnię, przez krótką chwilę walczyła o życie i utonęła. Jej biały worek z jajkami pękł przedwcześnie i sto pajęczątek (zbyt lekkich, żeby utonąć, zbyt małych, żeby pływać) pocętkowało gładką powierzchnię zielonej wody, zanim zostały zaniezione do morza. Na Madagaskar, aby dać początek nowej gromadzie malajalamskich pływających pajaków.

Po chwili, jakby to miały uzgodnione (choć nie miały), bliźnięta zaczęły myć łódkę w rzece. Pajęczyny, błoto, mchy i porosty odpłynęły. Kiedy łódka była czysta, odwrócili ją do góry dnem i dźwignęli na głowy. Jak dwuosobowy, ociekający wodą kapelusz. Estha wyrwał z ziemi czerwoną flagę. Niewielka procesja (flaga, osa i łódka-na-nogach) podążyła dobrze znajomą zarośniętą ścieżką. Unikała kęp pokrzyw, omijała znajome doły i mrowiska. Przeszła obok skarpy głębokiego wykopu, w którym kiedyś wydobywano lateryt, a który teraz był spokojnym jeziorem o stromych pomarańczowych brzegach, a gęstą, lepką wodę pokrywała odbłaskowa błona zielonej piany. Bujny, zdradliwy trawnik, w którym leży się moskity, a ryby były tłuste, lecz nieosiągalne. Ścieżka, która biegła równoległe do rzeki, prowadziła na niewielką trawiastą polanę okoloną zbitymi w gromadę drzewami: palmami kokosowymi, cashew, mango, bilimbi. Na skraju polany, plecami do rzeki, niska chatynka zbudowana z pomarańczowego laterytu obrzuconego gliną i kryta strzechą stała pochylona do ziemi, jakby wsłuchiwała się w szeptany podziemny sekret. Niskie ściany chatynki były tego samego koloru co ziemia, na której stała. Wydawało się, jakby wyrosła z zasianego w ziemi ziarna, jakby ziemia wypuściła do góry żebra, które zamknęły się pod kątem prostym wokół niewielkiej przestrzeni. Rozchełstane bananowce rosły na niewielkim podwórzu z przodu, ogrodzonym parawanami z plecionych liści palmowych.

Łódka-na-nogach podeszła do chaty. Koło drzwi wisiała nie zapalona lampa naftowa, która

zaczerniła kawałek ściany na kolor sadzy. Drzwi były uchylone. W środku było ciemno.

W sieni pojawiła się czarna kura. Wróciła do środka, jakby odwiedziła łódek zupełnie jej nie interesowały.

Weluthy nie było w domu. Ani Wellji Paapena. Ktoś jednak był.

Ze środka wypłynął męski głos i rozległ się echem wokół polany, przez co sprawiał wrażenie samotnego.

Głos krzyczał wciąż to samo, bez końca, za każdym razem osiągając wyższy, bardziej histeryczny rejestr. Była to prośba do przejrzałej gujawy, która groziła, że spadnie z drzewa i rozpadnie się na ziemi.

Pa pera-pera-pera-perakka (Panie gugga-gug-gug-gujawo)

Ende parambil thooralley (Nie sraj mi pan na moim podwórzu)

Chetende parambil thoorikko (Możesz pan srać na sąsiednim podwórku mojego brata)

Pa pera-pera-pera-perakka (Panie gugga-gug-gug-gujawo).

Tym, który krzyczał, był Kuttappen, starszy brat Weluthy, sparaliżowany od klatki piersiowej w dół. Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, gdy jego brat był gdzieś daleko, a ojciec chodził do pracy, Kuttappen leżał na plecach i patrzył, jak jego młodość przechodzi obok, nie zatrzymując się nawet, by powiedzieć mu dzień dobry. Przez cały dzień leżał i słuchał milczenia zbitych w gromadę drzew, za całe towarzystwo mając apodyktyczną czarną kurę. Brakowało mu matki, Ćelli, zmarłej w tym samym kącie pokoju, w którym on teraz leżał. Miała kaszlącą, spluwającą, bolesną, ropną śmierć. Kuttappen pamiętał, iż zauważył, że jej stopy umarły na długo przed nią samą. Że skóra na jej stopach zrobiła się szara i bez życia. Że z lękiem patrzył, jak śmierć powoli przejmuje jej ciało od dołu do góry. Kuttappen z rosnącym przerażeniem pełnił straż przy swoich własnych zmartwych stopach. Od czasu do czasu z nadzieją stukał w nie kijem, który trzymał na podporządku dla obrony przed zachodzącymi z wizytą węzami. Nie miał czucia w stopach i tylko wzrok upewniał go, że stopy wciąż są na swoim miejscu i naprawdę należą do niego.

Po śmierci Ćelli przeniósł się do jej kąta, który, jak sobie wyobrażał, Śmierć zarezerwowała na swoje śmiertelne sprawki. Jeden kąt do gotowania, jeden na ubrania, jeden na maty do spania, jeden do umierania.

Zastanawiał się, ile to potrwa i co robią z pozostałymi kątami ludzie, którzy mają ich w domach więcej niż cztery. Czy to daje im możliwość wyboru kąta do umierania?

Uznał, nie bez podstaw, że będzie pierwszą osobą w rodzinie, która pójdzie w ślady matki. Miał zostać wyprowadzony z błędu. Szybko. Za szybko.

Czasami (z nawyku, z tęsknoty za nią) Kuttappen kaszlał tak, jak kaszłała jego matka, górna część ciała skulona jak u świeżo złapanej ryby. Dolna część leżała jak ołów, jakby należała do kogoś innego. Do kogoś martwego, kogo dusza była uwięziona i nie mogła się wydostać.

W przeciwieństwie do Weluthy Kuttappen był dobrym, niegroźnym parawanem. Nie umiał czytać ani pisać. Kiedy tak leżał na swoim twardym łóżku, kawałki słomy i piasek spadały na niego z sufitu i mieszały się z jego potem. Czasami spadały też mrówki i inne owady. W złe dni pomarańczowe ściany chwytaly się za ręce i pochylały nad nim, oglądając go jak konsylium złośliwych lekarzy, wyciskając z niego oddech i krzyk. Czasami z kolei oddalały się od niego, i pokój, w którym leżał, robił się nieznośnie wielki, przerażając go jego własną znikomością. To również wyciskało z niego krzyk.

Obłąd cały czas kręcił się w pobliżu jak gorliwy kelner w drogiej restauracji (podający ogień, dolewający alkohol). Kuttappen myślał z zazdrością o ludziach obłąkanych, którzy mogą chodzić. Nie miał wątpliwości, że byłaby to uczciwa transakcja: jego zdrowy umysł za ich zdrowe nogi.

Bliźnięta położyły łódkę na ziemi. Hałas, jakiego przy tym narobiły, spotkał się z nagłym milczeniem z wewnątrz. Kuttappen nie spodziewał się nikogo.

Estha i Rahel otworzyli szerzej drzwi i weszli do środka. Mimo niskiego wzrostu musieli się trochę schylić. Osa zaczęła na zewnątrz na lampie.

– To my.

W pokoju było ciemno i czysto. Pachniało rybnym curry i dymem drzewnym. Gorąco wpijało się we wszystko jak choroba. Lecz gliniana podłoga była chłodna pod nagimi stopami Rahel. Maty do spania Weluthy i Wellji Paapena były zwinięte i oparte o ścianę. Ubrania wisiały na sznurku. Na drewnianej kuchennej półce stały przykryte garnki z terakoty, chochle ze skorup orzecha kokosowego i trzy poobtlukiwane ceramiczne talerze. Dorosły mężczyzna mógł stać wyprostowany na środku pokoju, ale nie po bokach. Inne niskie drzwi wychodziły na tylne podwórze, gdzie rosły kolejne bananowce, przez których listowie prześwitywała rzeka. Tylne podwórze służyło jako warsztat stolarski.

Nie było żadnych kluczy ani szaf do zamykania.

Czarna kura wyszła tylnymi drzwiami i z roztargnieniem grzebała w okrawkach drewna,

które przypominały pukle blond włosów. Sądząc po jej charakterze, wychowywała się na żelaznej diecie: haki, imadła, gwoździe i stare śruby. – Ayyo, Mon! Mol! Na pewno sobie myślicie, że Kuttappen to kłębek nerwów – powiedział zawstydzony, bezcielesny głos.

Minęło trochę czasu, zanim oczy bliźniąt przywykły do ciemności. Potem ciemność rozplynęła się i zobaczyli Kuttappena na łóżku – lśniący od potu dżin. Białka jego oczu były ciemnożółte. Podeszwy stóp (miękkie od zbyt długiego leżenia) wystawały spod przykrycia. Wciąż miały pomarańczowy odcień od wielu lat chodzenia na bosaka po czerwonej glinie. Na kostkach widać było szare zgrubienia od szorstkiej liny, którą parawanowie zawiązywali sobie wokół stóp, kiedy wspinali się na palmy kokosowe.

Na ścianie za Kuttappenem wisiał potulny, myszowłosy kalendarzowy Jezus, uszmkowany i uróżowany, a przez ubranie przeświecało mu odpustowe, inkrustowane klejnotami serce. Dolna część kalendarza (ta z datami) wydymała się jak spódnica. Jezus w mini. Dwanaście warstw halek na dwanaście miesięcy roku. Żadna nie została wyrwana.

Były też inne rzeczy z Ayemenem House, które albo zostały mu podarowane, albo odzyskane z kubła na śmieci. Bogate rzeczy w biednym domu. Nie działający zegar, blaszany kosz na śmieci w kwiaty. Stare buty jeździeckie Pappaciego (brązowe, pokryte zieloną pleśnią), z nie wyjętymi prawidłami. Puszki po herbatnikach z obrazkami, na których można było podziwiać okazałe angielskie zamki oraz damy w turniurach i lokach.

Obok Jezusa wisiał niewielki plakat (Baby Koćammy, nie chciany ze względu na plamę wilgoci). Przedstawiał blondwłosą dziewczynkę czytającą list, ze łzami spływającymi jej po policzkach. Pod spodem był napis: „Piszę do Ciebie, żeby Ci powiedzieć, jak bardzo tęsknię”. Można było pomyśleć, że właśnie ostrzyżono jej włosy i że to jej pukle walały się po tylnym podwórzu.

Przezroczysta plastikowa rurka prowadziła spod poprzecieranego bawełnianego przykrycia Kuttappena do butelki żółtego płynu, który zatrzymywał ukośne światło wpadające przez drzwi. Zatrzymał również pytanie, które wzbierało w Rahel. W stalowym kubku przyniosła mu wody z glinia nego koojah. Zachowywała się tak, jakby wiedziała, co gdzie jest. Kuttappen uniósł głowę i zaczął pić. Trochę wody pociekło mu po policzku.

Bliźnięta przykucnęły jak dorosłe zawodowe plotkarki na targu w Ajemenem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Kuttappen upokorzony, bliźnięta zaabsorbowane myślami o łódce.

– Przyjechała Mol saar Chacka? – spytał Kuttappen.

– Przyjechała – odparła lakonicznie Rahel.

– Gdzie jest?

– Kto ją tam wie? Musi gdzieś być w okolicy. Nie wiemy.

– Przyprowadzicie ją tutaj, żebym ją zobaczył?

– Nie można – powiedziała Rahel.

– Dlaczego?

– Nie wolno jej wychodzić na dwór. Jest bardzo delikatna. Jak się pobrudzi, to umrze.

– Rozumiem.

– Nie wolno nam jej tutaj przyprowadzać. A poza tym nie ma nic do zobaczenia – zapewniła Rahel Kuttappena. – Ma włosy, nogi, zęby, jak wszyscy... tyle że jest dosyć wysoka. Było to jedyne ustępstwo, na jakie potrafiła się zdobyć.

– I to wszystko? – powiedział Kuttappen, który bardzo szybko zrozumiał intencję Rahel. – To jaki jest sens, żeby się z nią zobaczyć?

– Nie ma sensu – odparła Rahel.

– Kuttappa, jeżeli vallom przecieka, to czy trudno jest je naprawić? – spytał Estha.

– Nie powinno być trudno – odparł Kuttappen. – To zależy. Czemu pytasz? Czyje vallom przecieka?

– Nasze – znaleźliśmy je. Chcesz zobaczyć?

Wyszli na zewnątrz i wrócili z posiwiąłą łódką, aby mógł ją obejrzeć sparaliżowany mężczyzna. Trzymali ją nad nim jak dach. Kapała na niego woda.

– Najpierw musimy znaleźć szpary – powiedział Kuttappen. – Potem będziemy musieli je zalepić.

– Potem przejechać papierem ściernym – dodał Estha. Potem wypolerować.

– Potem wiosła – domyśliła się Rahel.

– Potem wiosła – zgodził się Estha.

– Potem chlup w drogę – powiedziała Rahel.

– Dokąd? – spytał Kuttappen.

– Tam i owam – odparł Estha od niechcienia.

– Musicie uważać – przestrzegł Kuttappen. – Ta nasza rzeka nie zawsze jest taka, jaką udaje.

– A jaką udaje? – zapytała Rahel.

– Udaje małą pobożną staruszkę, czystą i nie wadzącą nikomu... idi appams na śniadanie, kanji i meen na obiad. Nie wtrąca się w cudze sprawy. Nie rozgląda się na boki.

– A naprawdę jest...

– A naprawdę jest dzika... Słyszę ją w nocy, pędzi w świetle księżyca, zawsze się spieszy. Musicie się jej strzec.

– A co ona naprawdę je?

– Co naprawdę je? No... potrawkę i... – Szukał czegoś angielskiego, co mogłaby jeść zła rzeka.

– Plasterki ananasa... – odpowiedziała Rahel.

– Właśnie! Plasterki ananasa i potrawkę. I pije alkohol. Whisky.

– I brandy.

– Słusznie. Brandy też.

– I rozgląda się na boki.

– Słusznie.

– I wtrąca się w cudze sprawy...

Położyli łódeczkę na nierównym klepisku i Esthappen podparł ją kilkoma kłocami drewna, które znalazł w warsztacie Weluthy na podwórzu za domem. Podał Rahel chochłę zrobioną z drewnianej rączki przybitej do wypolerowanej połówki skorupy orzecha kokosowego.

Bliźnięta weszły do vallom i wiosłowały po rozległych, wzburzonych wodach.

Przy akompaniamencie Thaiy thaiy thaka thaiy thaiy thome.

I pod baczynym spojrzeniem kalendarzowego Jezusa.

Jezus chodził po wodzie. Być może. Ale czy potrafiłby pływać na lądzie?

W twarzowych majtkach i ciemnych okularach? Z fontanną spiętą Love-in-Tokyo? W butach w szpic i z czubem na głowie? Czy starczyłoby Mu wyobraźni?

Welutha wrócił, żeby sprawdzić, czy Kuttappenowi nic nie potrzeba. Z daleka usłyszał ochryple śpiewy. Młode głosy z upodobaniem podkreślające motywy skatologiczne. Hej, panie Małpa Czemu pan masz taki CZERWONY TYŁEK?

Poszedłem do Madrasu zrobić KUPE I zadrapałem go sobie DO KRWI!

Tymczasowo, na kilka radosnych chwil, Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna zatrzaskał swój żółty uśmiech i poszedł sobie. Strach opadł na dno głębokiej wody. Zasnął czujnym snem psa. Gotowy na komendę zerwać się i okryć wszystko mrokiem.

Welutha uśmiechnął się, kiedy zobaczył flagę marksistowską kwitnącą jak drzewo koło drzwi. Musiał się nisko pochylić, aby wejść do swojego domu. Tropikalny Eskimos. Kiedy zobaczył dzieci, coś się w nim zacisnęło. Nie mógł tego zrozumieć. Widywał je codziennie. Kochał je, nie wiedząc o tym. Ale nagle było inaczej. Teraz. Kiedy Historia tak fatalnie się pośliznęła. Nigdy wcześniej nie zacisnęła się w nim żadna pięść.

Jej dzieci, podszeptają mu obłąkany szept.

Jej oczy, jej usta. Jej zęby.

Jej miękka, migotliwa skóra.

Gniewnie odpędził tę myśl. Wróciła i usiadła na zewnątrz jego czaszki. Jak pies.

– Ha! – powiedział do swoich młodych gości. – Czy wolno zapytać, kim są Państwo Rybacy?

– Esthapappyćaён Kuttappen Peter Mon. Pan i Pani Miłomipanapoznać. – Rahel podała mu chochlę do uściśnięcia. Uściśnął. Jej chochlę, a potem Esthy.

– Wyruszamy do Afryki! – krzyknęła Rahel.

– Nie krzycz – zaprotestował Estha.

Welutha obszedł łódkę dookoła. Powiedzieli mu, gdzie ją znaleźli.

– Czyli że jest niczyja – Rahel mówiła z lekkim wahaniem w głosie, ponieważ nagle przyszło jej do głowy, że może jednak jest czyjaś. – Powinniśmy to zgłosić na policję?

– Nie bądź dumna – powiedział Estha.

Welutha postukał w drewno, a potem na małym kawałku zeszkrobał paznokciem brud.

– Dobre drewno – uznał.

– Tonie – powiedział Estha. – Przecieka.

– Możesz nam ją naprawić, Weluthapappyćaён Peter Mon? – spytała Rahel.

– Zobaczymy – odparł Welutha. – Nie chcę, żebyście urządzali jakieś głupie zabawy na tej rzece.

– Nie będziemy. Przyszekamy. Będziemy jej używać, tylko kiedy ty będziesz z nami.

– Najpierw musimy znaleźć szpary... – mówił Welutha.

– Potem będziemy musieli je zalepić! – zawołały bliźnięta jednocześnie, jakby to była druga linijka znanego wiersza. – Ile to potrwa? – spytał Estha.

– Dzień.

– Dzień! Myślałem, że powiesz miesiąc!

Estha, szalejąc z radości, wskoczył na Weluthę, opasał go nogami w talii i pocałował.

Papier ścierny został podzielony na dwie dokładnie równe części i bliźnięta przystąpiły do pracy z nabożnym skupieniem, które nie pozostawiało miejsca na nic innego. Łódkopył fruwał po pokoju i osiadał na włosach i brwiach. Na Kuttappenie jak chmura, na Jezusie jak ofiara wotywna. Welutha musiał im wyrwać z rąk papier ścierny.

– Nie tutaj – powiedział stanowczo. – Na zewnątrz.

Wziął łódkę i wyniósł na zewnątrz. Bliźnięta poszły za nim, z oczami utkwionymi w łódce z niewzruszoną koncen tracją, jak wygłodniałe szczenięta, które mają zostać nakarmione.

Welutha ustawił im łódkę. Łódkę, na której siedział Estha i którą znalazła Rahel. Powiedział im, żeby czyścili wzdłuż słojów. Pokazał im, jak się to robi. Kiedy wrócił do środka, poszła za nim czarna kura, która nie chciała być w tym samym miejscu co łódka.

Welutha zamoczył frotowy ręcznik w glinianym dzbanie z wodą.

Potem wykręcił (brutalnie, jakby to była nie chciana myśl) i podał Kuttappenowi, aby stał pył drzewny z twarzy i szyi.

– Powiedzieli coś? – spytał Kuttappen. – Że widzieli cię na marszu?

– Nie – odparł Welutha. – Jeszcze nie. Ale powiedzą.

Poznali mnie.

– Na pewno?

Welutha wzruszył ramionami i zabrał ręcznik, aby go wyprać. I wypłukać. I zbić. I wykręcić. Jakby to był jego głupi, nieposłuszny mózg.

Próbował ją znienawidzić.

Ona jest jedną z nich, powiedział sobie. I nikim więcej.

Nie potrafił.

Miała głębokie dołeczki, kiedy się uśmiechała. Jej oczy były zawsze gdzie indziej.

Przez szczelinę w Historii wcisnęło się szaleństwo. Tylko na mgnienie.

Po godzinie czyszczenia łódki papierem ściernym Rahel przypomniała sobie o Popołudniowej Dzemce. Zerwała się i pobiegła. Brnąc przez zielony popołudniowy upał. A za nią jej brat i żółta osa.

Modliła się, miała nadzieję, że Ammu nie obudziła się i nie zauważyła jej nieobecności.

11. Bóg rzeczy małych

Tego popołudnia Ammu wznosiła się do góry we śnie, w którym pogodny jednoręki mężczyzna przyciskał ją mocno do siebie w świetle lampy olejnej. Nie miał drugiej ręki, aby odegnąć cienie, które migotały wokół niego na podłodze. Cienie, które tylko on widział.

Na jego brzuchu pokazały się fałdy mięśni jak podziały na tabliczce czekolady.

Przyciskał ją mocno, w świetle lampy olejnej, i błyszczał, jakby został wypolerowany woskową pastą do ciała.

Mógł robić tylko jedną rzecz naraz.

Jeśli ją obejmował, nie mógł jej pocałować. Jeśli ją całował, nie mógł jej widzieć. Jeśli ją widział, nie mógł jej czuć dotykiem.

Ona mogłaby delikatnie dotknąć jego ciała palcami i poczuć, jak gładka skóra zamienia się w gęsią skórę. Mogłaby zabłądzić palcami na jego podbrzusze. Niedbale, po tych czekoladowych fałdach koloru palonego brązu. Pozostawiłaby skomplikowane desenie gęziej skórki na jego ciele, jak płaska kreda na tablicy szkolnej, jak pokosy wiatru na polu ryżowym, jak ślady odrzutowca na niebieskim kościelnym niebie. Mogła to bez problemu zrobić, ale nie zrobiła. On również mógł jej dotknąć. Ale nie dotknął jej, ponieważ w ponurym mroku poza zasięgiem lampy naftowej, zatopione w cieniach, stały ustawione wkoło metalowe składane krzesła, a na krzesłach siedzieli i przyglądali się ludzie w skośnookich okularach przeciwsłonecznych z kryształu górskiego. Wszyscy trzymali pod brodami wypolerowane skrzypce, a smyczki były wycelowane pod tym samym kątem. Wszyscy siedzieli z nogą założoną na nogę, lewą na prawą, i wszystkie lewe nogi podrygiwały.

Niektórzy z nich mieli gazety. Niektórzy nie mieli. Niektórzy wydmuchiwali bąbelki śliny. Niektórzy nie wydmuchiwali. Lecz każdy z nich miał migoczące odbicie lampy naftowej na każdej soczewce.

Za kręgiem składanych krzesel była plaża zaśmiecona szkłem z potłuczonych niebieskich butelek. Milczące fale przynosiły nowe niebieskie butelki do potłuczenia i zabierały ze sobą stare. Rozlegały się poszarpane dźwięki szkła uderzającego o szkło. Na skale, kawałek od brzegu, w snopie purpurowego światła, stał mahoniowo-wiklinowy fotel bujany. Połamany.

Morze było czarne, piana zielona jak rzygowiny.

Ryby karmiły się potłuczonym szkłem.

Noc wsparła łokcie na wodzie, spadające gwiazdy odbijały się od jej kruchych skorup.

Ćmy rozświetlały niebo. Księżycyca nie było.

Umiał pływać, jedną ręką. Ona dwiema.

Jego skóra była słona. Jej też.

Nie zostawiał śladów na piasku, zmarszczek na wodzie, odbicia w lustrach.

Mogła go dotknąć palcami, ale nie dotknęła. Tylko stali razem.

Nieruchomo.

Skóra przy skórze.

Proszkowaty, barwny wiatr uniósł jej włosy i owinał je jak pomarszczony szal wokół jego bezrękiego ramienia, które urywało się nagle jak nadmorska skarpa.

Zjawiła się chuda czerwona krowa ze sterzącą kością miednicy i popłynęła w morze, nie mocząc sobie rogów, nie patrząc za siebie.

Ammu leciała przez swój sen na ciężkich, dygoczących skrzydłach i zatrzymała się, aby odpocząć, tuż pod skórą snu. Na policzku miała odcisnięty niebieski haft kołdry.

Czuła twarze swych dzieci wiszące nad jej snem, jak dwa mroczne, zamartwione księżyce, które czekają, aby je wpuścić. – Myślisz, że umiera? – usłyszała Rahel mówiącą szeptem do Esthy.

– Śni jej się jakiś koszmar – odparł Estha. – Jej się dużo śni.

Jeśli jej dotknął, nie mógł do niej mówić, jeśli ją kochał, nie mógł odejść, jeśli mówił, nie mógł słuchać, jeśli walczył, nie mógł zwyciężyć.

Kim był jednoręki mężczyzna? Kim mógłby być? Bogiem Utraconego? Bogiem Rzeczy Małych? Bogiem Gęsiej Skórki i Nagłych Uśmiechów? Bogiem Kwaśnometalicznych Zapachów – zapachów dłoni konduktora trzymającego się stalowych poręczy autobusu?

– Powinniśmy ją obudzić? – spytał Estha.

Szczeliny późnopołudniowego światła zakradły się do pokoju przez zasłony i spadły na radio tranzystorowe w kształcie mandarynki, które Ammu zawsze zabierała ze sobą nad rzekę. (Kształt mandarynki miało również to coś, co Estha zaniósł do sali kinowej w lepkiej Drugiej Ręce). Jasne pręty światła słonecznego rozjaśniły splątane włosy Ammu. Czekala, pod skórą swego snu, nie chcąc wpuścić do środka swych dzieci.

– Ona mówi, że nie wolno nagle budzić ludzi, którym się coś śni – powiedziała Rahel. –

Mówi, że mogliby dostać ataku serca.

Wspólnie zdecydowali, że lepiej będzie dyskretnie pojechać niż budzić ją nagle. Otwierali więc szuflady, chrząkali, głośno szeptali, mrucze pod nosem. Przesuwali buty. I odkryli, jak skrzypią drzwi kredensu. Ammu, odpoczywająca pod skórą swego snu, obserwowała ich i kochała aż do bólu. Jednoręki mężczyzna zdmuchnął lampę olejną i przeszedł przez poszarpaną plażę, znikając w cieniach, które tylko on widział.

Składane krzesła poskładały się. Morze wygładziło. Pomięte fale wyprasowały. Piana wiała się z powrotem do butelki. Butelka zakorkowała się.

Noc odroczyła swe nadejście aż do odwołania.

Ammu otworzyła oczy.

Odbyła długą podróż z objęć jednorękiego mężczyzny do swych dwujajowych bliźniąt.

– Miałaś popołudniowy koszmar – poinformowała ją córka.

– To nie był koszmar – odparła Ammu. – To był sen.

– Estha myślał, że umierasz.

– Wyglądałaś tak smutno – powiedział Estha.

– Byłam szczęśliwa – odparła Ammu i uświadomiła sobie, że rzeczywiście była szczęśliwa.

– Czy to się liczy, jeżeli ktoś jest szczęśliwy we śnie? spytał Estha.

– Czy co się liczy?

– Szczęście ze snu.

Dokładnie wiedziała, o co chodzi jej synowi z rozsypanym czubem.

Ponieważ prawda jest taka, że liczy się tylko to, co się liczy.

Prosta, bezkompromisowa mądrość dzieci.

Jeżeli jesz ryby we śnie, czy to się liczy? Czy to znaczy, że zjadłeś ryby?

Pogodny mężczyzna nie zostawiający śladów – czy on się liczy?

Ammu wymacała przy łóżku tranzystor w kształcie mandarynki i włączyła go. Grali piosenkę z filmu *Ćemmin*.

Była to historia biednej dziewczyny, która zmuszona jest poślubić rybaka z sąsiedniej plaży, choć kocha kogoś innego. Kiedy rybak dowiaduje się o dawnym kochanku swej nowej żony, wyrusza swoją małą łodzią na morze, chociaż wie, że nadchodzi sztorm. Jest ciemno, wiatr tężeje. Z dna oceanu wzbijają się wiry. Gra sztormowa muzyka i rybak tonie, wessany przez wir w głębinę morza.

Kochankowie zawierają pakt samobójczy i następnego dnia rano zostają znalezieni na plaży, spleceni ramionami, wyrzuceni przez morze. Czyli wszyscy umierają: rybak, jego żona, jej kochanek, umiera nawet rekin, który nie odgrywa żadnej roli w tej historii. Morze upomina się o nich wszystkich.

W niebieskiej, haftowanej ściegiem krzyżykowym ciemności ozdobionej krawędziami światła, z haftowanymi ściegiem krzyżykowym różami na policzku Ammu i jej bliźnięta (po jednym z każdej strony) nuciły wraz z mandarynkowym radiem. Piosenkę, którą żony rybaków śpiewały smutnej młodej pannie młodej, kiedy spletały jej włosy w warkocze i przygotowywały ją do ślubu z mężczyzną, którego nie kochała. Pandoru mukkuvarz muthinu poyi, (Pewnego razu rybak wypłynął na morze)

Padinjaraan kattathu mungi poyi, (Wiał Zachodni Wiatr i połknął jego łódź)

Sukienka lotniskowej rusalki była tak sztywna, że stała na podłodze. Na zewnątrz na mittam leżały świeżo wyprane sari i suszyły się w słońcu. Spranobiałe i złote. Maleńkie kamyczki mościły się w ich wykrochmalonych bruzdach i trzeba je było wytrzepać przed zabraniem sari do prasowania.

Arayathi pennu pizhachu poyi, (Jego żona zeszła na złą drogę)

Śmiertelnie porażony prądem słoń (nie Koću Thomban)

w Ettamanur został poddany kremacji. Przy szosie wybudowano gigantyczny ghat do całopalenia. Inżynierowie z właściwej gminy miejskiej odpiłowali kły i podzielili się nimi na boku. Nie po równo. Słonia oblano sześćdziesięcioma puszkami masła bawolego, aby dobrze się palił. Dym kłębił się gęsto i układał w skomplikowane desenie na tle nieba. Ludzie zgromadzili się w bezpiecznej odległości i bramin odczytywał im znaczenia dymnych deseni.

Roilo się od much.

Avaney kadalamma kondu poyi, (Matka Ocean zabrała go ze sobą).

Pariasi obsiedli pobliskie drzewa, aby nadzorować nadzór nad obrzędkiem pogrzebowym martwego słonia. Mieli nadzieję, nie bezpodstawną, że dostanie im się trochę gigantycznych wnętrzności. Na przykład olbrzymi woreczek żółciowy.

Albo spalona na węgiel olbrzymia śledziona.

Nie zawiedli się. Ale też nie byli do końca zadowoleni. Ammu zauważyła, że jej dzieci pokryte są drobnym pyłem. Jak dwa niejednakowe kawałki ciasta przyprószonego cukrem pudrem. Spośród czarnych pukli Rahel wyzierał jeden blondwłosy pukiel z podwórza za domem

Weluthy. Ammu wzięła go w palce.

– Mówiłam wam, żebyście nie chodzili do tego domu – powiedziała. – Będą z tego tylko kłopoty.

Nie powiedziała, jakie kłopoty. Sama nie wiedziała. Wiedziała, że nie nazywając go z imienia, w jakiś sposób wciągnęła go w rozchełstaną intymność tego niebieskiego, haftowanego ścięciem krzyżkowym popołudnia i piosenki z tranzystora w kształcie mandarynki. Poczula, że nie nazywając go z imienia, zawarła pakt między swoim snem a światem. I że położnymi paktu będą jej pokryte pyłem drzewnym dwujajowe bliźnięta.

Wiedziała, kim on jest – Bogiem Utraconego, Bogiem Rzeczy Małych. Oczywiście, że wiedziała.

Wyłączyła radio w kształcie mandarynki. W popołudniowej ciszy (ozdobionej krawędziami światła) jej dzieci wtuliły się w jej ciepło. W jej zapach. Przykryły głowy jej włosami. Skądś wyczuwały, że we śnie zawędrowała daleko od nich. Teraz przywołały ją z powrotem swymi małymi dłońmi położonymi płasko na nagiej skórze jej przepony. Między halką a bluzką. Były zachwycone, że wierzchy ich dłoni są dokładnie tego samego brązowego koloru co skóra na brzuchu ich matki.

– Patrz, Estha – powiedziała Rahel, skubiąc linię miękkiego puszku, która prowadziła na południe od pępka Ammu.

– Tutaj cię kopaliśmy. – Estha wodził palcem po falującym srebrnym rozstępie.

– To było w autobusie, Ammu?

– Na krętej drodze na plantacji?

– Kiedy Baba musiał trzymać cię za brzuszek?

– Musiałaś kupić bilety?

– Sprawialiśmy ci ból?

A potem Rahel spytała jakby od niechcienia:

– Myślisz, że zgubił twój adres?

Drobna sugestia chwilowego zawieszenia rytmu oddechu Ammu kazała Escie dotknąć palcem wskazującym palca wskazującego Rahel. Zetknięci palcami wskazującymi na pięknej przeponie swej matki zarzucili ten kierunek dociekań. – To jest kopnięcie Esthy, a to moje – mówiła Rahel...to Esthy, a to moje.

Rozdzielili między siebie siedem srebrnych rozstępów matki. Potem Rahel przyłożyła usta

do brzucha Ammu i zaczęła wsysać miękkie ciało, po czym odsunęła głowę, aby podziwiać lśniący owal śliny i czerwony odcisk zębów na skórze matki.

Ammu zdumiała przezroczystość tego pocałunku. Był krystalicznie czysty. Nie zmacony namiętnością lub pożądaniem – ta para psów smacznie spała w dzieciach, czekając, aż dorosną. Był to pocałunek, który nie domagał się odwzajemnienia.

Nie był to pocałunek pełen pytań, które wołają o odpowiedź. Jak pocałunki pogodnych jednorękich mężczyzn w snach.

Ammu zmęczyło bawienie się jej ciałem, jakby należało do dzieci. Chciała je z powrotem. Należało do niej. Strząsnęła z siebie dzieci jak suka, która ma dosyć swoich szczeniąt. Usiadła i skręciła włosy w węzeł na karku. Potem spuściła

nogi na podłogę, podeszła do okna i odsunęła zasłony. Ukośne popołudniowe światło zalało pokój i oświetliło dwoje dzieci na łóżku.

Bliźnięta usłyszały dźwięk przekręcania klucza w drzwiach łazienki Ammu. Stuk.

Ammu przyglądała się sobie w długim lustrze na drzwiach łazienki, które pokazało szyderczego upiora jej przyszłości. Zamarynowanego. Siwego. O kaprawych oczach. Haftowane ścięciem krzyżykowym róże na zwiotczałym, zapadłym po liczku. Zwiędłe piersi zwisające jak obciążone skarpetki. Włosy pierzastobiałe, suche jak kość między nogami. Wychudzona. Krucha jak paproć w zielniku.

Skóra łuszcząca się i prósząca jak śnieg.

Ammu zadrzała.

W gorące popołudnie przeszło ją mroźne poczucie, że już przeżyła swoje życie. Że jej czara jest pełna pyłu. Że powietrze, niebo, drzewa, słońce, deszcz, światło i ciemność powoli zamieniają się w piasek. Że piasek wypełni jej nozdrza, płuca, usta. Pociągnie ją w dół, zostawiając na powierzchni wirujący ślad, taki jak po krabach, które zagrzebują się w piasku na plaży.

Ammu rozebrała się i podłożyła pod pierś szczoteczkę do zębów, aby sprawdzić, czy wypadnie. Wypadła. Dotykała się na całym ciele, jej skóra była naprężona i gładka. Pod dotykiem dłoni sutki pomarszczyły się i stwardniały jak ciemne orzechy, naciągając miękką skórę jej piersi. Cienka linia puchu prowadziła od pępka przez łagodną wypukłość brzucha do ciemnego trójkąta. Jak strzałka wskazująca drogę zabłąkanemu wędrowcowi. Niedoświadczonemu kochankowi.

Rozpuściła włosy i odwróciła się, aby zobaczyć, jak długie urosły. Opadały, falami, puklami i nieposłusznymi kędzierzawymi kosmykami – miękkie od wewnątrz, bardziej szorstkie na zewnątrz – tuż za miejsce, w którym jej cienka, silna talia zaczynała się wybrzuszać ku biodrom. W łazience było gorąco. Kropelki potu inkrustowały jej skórę jak diamenty. Potem pękały i ściekały w dół. Pot spływał po wnęce jej kręgosłupa. Trochę krytycznym okiem patrzyła na swą okrągłą, ciężką pupę. Sama w sobie nie była duża. Nie była duża per se (jak by to bez wątplenia ujął Chacko oksfordczyk). Była duża tylko w proporcji do jej szczupłego ciała. Należała do innego ciała, bujniejszego.

Ammu musiała przyznać, że w przeciwieństwie do piersi poślądki bez problemu utrzymałyby po jednej szczoteczce do zębów. A może nawet po dwie. Roześmiała się głośno na myśl o spacerach po Ajemenem z wachlarzem kolorowych szczoteczek do zębów sterczących spod każdego poślądka. Szybko stłumiła w sobie śmiech. Zobaczyła kosmyk szaleństwa, który wymknął się z butelki i paradował triumfalnie po łazience.

Ammu martwiła się o swoje zdrowie psychiczne.

Mammaci powiedziała, że szaleństwo jest w ich rodzinie nagminne. Że spada na ludzi nagle i niespodziewanie. Pathil Ammej w wieku sześćdziesięciu pięciu lat zaczęła się rozbierać i biegać nago wzdłuż rzeki, przyspiewując rybom. Thampi Ćaćen każdego ranka grzebał szydełkiem w swojej kupie, szukając złotego zęba, który połknął wiele lat wcześniej. No i doktor Muthaćen, którego trzeba było wynieść w worku z jego własnego wesela. Przyszłe pokolenia dołożą do tej listy Ammu: „Ammu Ipe. Wyszła za Bengalczyka. Straciła rozum. Zmarła młodo. Na jakiejś taniej kwaterze”. Chacko powiedział, że duża liczba chorób psychicznych wśród chrześcijan syryjskich to cena, jaką płacą za zawieranie małżeństw wyłącznie między sobą. Mammaci powiedziała, że to nieprawda.

Ammu zebrała swe ciężkie włosy, owinęła je sobie wokół twarzy i spojrzała przez szczeliny na drogę wiodącą do Starości i Śmierci. Jak średniowieczny kat, który przez ukośne szparki czarnego kaptura spogląda na skazańca. Smukłego, nagiego skazańca z ciemnymi sutkami i głębokimi dołeczkami przy uśmiechu. Z siedmioma srebrnymi rozstępami po swych dwujajowych bliźniętach, urodzonych przy świecach pośród wiadomości o przegranej wojnie.

Ammu bała się nie tyle tego, co leżało na końcu drogi, ile samej drogi. Żadne kamienie milowe nie wytyczały jej biegu. Po bokach nie rosły drzewa. Nie padały na nią cętkowane cienie. Nie przetaczały się nad nią mgły, nie krążyły ptaki. Żadne zakręty, wiraży ani serpentyny nie

przesłaniały widoku końca drogi. Nappełniało to Ammu grozą, ponieważ nie należała do kobiet, które chcą, żeby przepowiedzieć im przyszłość. Za bardzo się jej bała. Gdyby mogło się spełnić jedno jej życzenie, prawdopodobnie zażyczyłaby sobie, aby Nie Wiedzieć. Nie wiedzieć, co przyniesie jej każdy następny dzień. Nie wiedzieć, gdzie się znajdzie za miesiąc, za rok. Za dziesięć lat. Nie wiedzieć, w którą stronę zboczy droga i co leży za zakrętem. Ammu wiedziała. Tak jej się w każdym razie wydawało, co jest równie nieprzyjemne (bo jeśli we śnie jadłeś ryby, to znaczy, że jadłeś ryby). To, co Ammu wiedziała (a raczej to, co jej się wydawało, że wie), miało zwietrzały, octowy zapach oparów, które unosiły się z betonowych kadzi w fabryce Marynat „Paradise”. Oparów, które pokrywały zmarszczkami młodość i marynowały przyszłość.

Ubrana w kaptur swych własnych włosów, Ammu oparła się o łazienkowe lustro i próbowała zapłakać.

Nad sobą.

Nad Bogiem Rzeczy Małych.

Nad posypanymi cukrem pudrem bliźniaczymi połoźnymi jej snu.

Tego popołudnia – kiedy w łazience boginie losu zmawiały się, by straszliwie zmienić bieg drogi ich tajemniczej matki, kiedy na podwórzu za domem Weluthy czekała na nich stara łódka, kiedy w żółtym kościele młody nietoperz oczekiwał swych narodzin – w sypialni ich matki Estha stał na głowie na pupie Rahel.

W sypialni z niebieskimi zasłonami i żółtymi osami, które napastowały szyby okien. W sypialni, której ściany wkrótce miały poznać ich rozdzierające tajemnice.

W sypialni, w której Ammu najpierw miała zostać zamknięta, a później miała zamknąć się sama. Której drzwi oszalały z rozpaczony Chacko miał wyważyć cztery dni po pogrzebie Sophie Mol.

– Wynoś się z mojego domu, zanim połamię ci wszystkie kości!

Mój dom, moje ananasy, moje pikle.

Po całej tej historii Rahel przez lata śnił się taki oto sen: Gruby mężczyzna, pozbawiony twarzy, klęczy przy zwłokach kobiety. Wrywa sobie włosy z głowy. Łamie sobie wszystkie kości po kolei. Przetrąca nawet te małe. Kości palców. Kości uszu trzaskają jak gałązki. Chrup-chrup, delikatny dźwięk pękających kosteczek. Pianista mordujący klawisze fortepianu. Nawet czarne. Rahel (choć wiele lat później, w elektrycznym krematorium, miała skorzystać z tego, że pot jest śliski i wysliznąć się z uścisku dłoni Chacka) kochała zarówno pianistę, jak

i fortepian.

Mordercę i zwłoki.

Kiedy drzwi były powoli wyważane, aby opanować drżenie rąk, Ammu obrębiała wstążki Rahel, które nie potrzebowały obrębiania.

– Przyrzeknijcie mi, że zawsze będziecie się kochalimówiła, przyciągając dzieci do siebie.

– Przyrzekamy – mówili Estha i Rahel. Nie znajdując słów, by jej powiedzieć, że ponieważ są jednym, przyrzeczenie to nie ma większego sensu.

Bliźniacze kamienie młyńskie i ich matka. Odrętwiałe kamienie młyńskie. To, co uczynili, miało powrócić, aby ich opróżnić. Ale to było Później.

Póź Niej. Dzwon dudniący w porosłej mchem studni. Drżący i włochaty jak odnóża ćmy.

Wtedy wszystko było fragmentaryczne. Jakby z rzeczy uciekło znaczenie i zostawiło je pokawałkowane. Nie powiązane ze sobą. Odblask igły Ammu. Kolor wstążki. Krzyżkowy ścieg haftowanej koldry. Drzwi powoli ustępujące. Odrębne rzeczy, które nie miały żadnego znaczenia. Jakby inteligencja, która odszyfrowuje ukryte struktury życia – która łączy odbicia z obrazami, odbłaski ze światłem, ściegi z materiałem, igły z nitką, ściany z pokojami, miłość ze strachem z gniewem z winą – nagle zanikła.

– Spakuj rzeczy i wynoś się – mówił Chacko, przestępując przez rumowisko. Olbrzymiejąc nad nimi. Chromowana klamka w dłoni. Nagle dziwnie spokojny. Zaskoczony swą własną siłą. Swą masywnością. Swą brutalnością. Ogromem swej straszliwej rozpaczy.

Czerwony kolor potrzaskanych desek drzwi.

Ammu, na zewnątrz spokojna, wewnątrz dygocząca, nie chciała podnieść oczu znad swego niepotrzebnego obrębiania. Puszka z kolorowymi wstążkami stała otwarta na kolanach Ammu, w pokoju, gdzie straciła prawo zostania wysłuchaną. W tym samym pokoju, w którym (po otrzymaniu odpowiedzi od bliźniakolożki z Hajdarabadu) Ammu spakowała niewielki kufer Esthy i torbę podróżną z płótna khaki: 12 bawełnianych podkoszulków bez rękawów, 12 bawełnianych podkoszulków z krótkimi rękawkami. Estha, tu masz napisane atramentem swoje imię i nazwisko. Jego skarpetki. Jego spodnie rurki. Jego koszule z kołnierzykami w szpic. Jego beżowe buty w szpic (z których szły do góry Gniewne Uczucia). Jego płyty Elvisa. Jego tabletki wapna i syrop Vydalin. Jego Darmową Żyrafę (którą dostaje się wraz z syropem). Jego Księgi Wiedzy tomy I-IV Nie, kochanie, nie będzie rzeki, w której można by łowić ryby. Jego skórzaną, zamykaną na zamek Biblię z ametystową spinką do mankietów imperialnego entomologa na

uchwycie zamka. Jego kubek. Jego mydło. Jego Przedwczesny Prezent Urodzinowy, którego nie wolno mu otwierać. Czterdzieści zielonych krajowych kart pocztowych. Popatrz, Estha, napisałam tu nasz adres. Wystarczy tylko złożyć. Spróbuj, czy potrafisz złożyć. Estha starannie składał zielony list krajowy wzdłuż kropkowanych linii z napisem „tu złożyć” i patrzył na Ammu z uśmiechem, od którego pękało jej serce.

Obiecujesz, że będziesz pisał? Nawet jeżeli nie wydarzy się nic nowego?

Obiecuję – mówił Estha. Który nie w pełni orientował się w sytuacji. Ostrze jego łęków stępione przez to nagłe bogactwo rzeczy materialnych. Należały do niego. Jego imię i nazwisko było na nich wypisane atramentem. Miały zostać zapakowane do kufra (z jego imieniem i nazwiskiem), który stał otwarty na podłodze sypialni.

Sypialni, do której Rahel miała wiele lat później powrócić i patrzeć na obcego człowieka, który kapał się w milczeniu. I prać jego ubrania kruszącym się jasnoniebieskim mydłem. Płaskie mięśnie, miodowa skóra. Tajemnice morza w jego oczach. Srebrna kropla deszczu na uchu.

Esthapappyćaćen Kuttappen Peter Mon.

12. Koću Thomban

Dźwięk chenda rozgrzybiał się nad świątynią, podkreślając milczenie dookolnej nocy. Bezludna, mokra droga. Przyglądające się drzewa. Rahel, bez tchu, z orzechem kokosowym w dłoniach, weszła na dziedziniec świątyni przez drewnianą bramę w wysokim białym murze ogradzającym.

Wewnątrz świat składał się z białych murów, obrośniętych mchem kafelków i światła księżyca. Chudy kapłan spał na macie na podwyższeniu kamiennej werandy. Mosiężna taca z monetami leżała koło jego poduszki jak komiksowa ilustracja jego snów. Podwórze było zaśmiecone księżycami, po jednym w każdej kałuży błota. Koću Thomban zakończył ceremonialną procesję i leżał przywiązany do drewnianego słupka obok parującego kopczyka swego własnego łajna. Rahel podeszła cicho. Zobaczyła, że jego skóra jest bardziej obwisła niż pamiętała. Nie był już Koću Thombanem. Urosły mu kły. Teraz był Wellją Thombanem. Z wielkimi kłami. Położyła kokosa koło niego na ziemi. Skórzasta zmarszczka rozsunęła się, odsłaniając wodnisty blask słonego oka. Potem znów się zamknęła i długie, powłóczyście rzęsy na powrót przywołały sen. Jeden kieł celował w gwiazdy.

Czerwiec to kiepski miesiąc dla tancerzy kathakali. Są jednak świątynie, w których zawsze można dać występ. Świątynia w Ajemenem dawniej do nich nie należała, lecz w tych czasach, dzięki położeniu geograficznemu wsi, wszystko się zmieniło.

W Ajemenem tańczyli po to, aby uśmierzyć upokorzenie, którego doznawali w Jądrze Ciemności. By zrzucić brzemień skróconych spektakli nad brzegiem basenu. Sprzedawania się turystom dla chleba.

W drodze powrotnej z Jądra Ciemności zatrzymywali się w świątyni, aby uzyskać przebaczenie bogów. Aby przeprosić za zniekształcanie swych opowieści. Za spieniężanie swych osobowości. Za marnotrawienie życia.

Publiczność była wtedy mile widziana, lecz niekonieczna. W szerokim, krytym korytarzu – w kuthambalam z kolumnami, przylegającym do najważniejszej części świątyni, w której mieszkał Niebieski Bóg ze swym fletem, bębniarze bębnil, a tancerze tańczyli, ich kolory obracały się powoli na tle nocy. Rahel siedziała ze skrzyżowanymi nogami, oparta o obłoc białej kolumny. Wysoki kanister oleju kokosowego lśnił w migoczącym świetle mosiężnej lampy. Olej

karmił światło. Światło oświetlało blachę.

Nie miało znaczenia, że opowieść już się zaczęła, ponieważ kathakali już dawno odkryło, że tajemnica Wielkich Opowieści polega na braku tajemnic. Wielkie Opowieści to te, które już słyszałeś i chcesz usłyszeć ponownie. Te, do których możesz zawitać w dowolnym momencie i czuć się w nich swojsko. Nie zwodzą dreszczykami i karkołomnymi zakończeniami. Nie zaskakują nieprzewidzianym. Są równie znajome jak dom, w którym mieszkasz. Albo zapach skóry kochanka.

Wiesz, jak się zakończą, lecz słuchasz tak, jakbyś nie wiedział, Tak samo, jak wiesz, że kiedyś umrzesz, lecz żyjesz tak, jakbyś miał żyć wiecznie. W Wielkich Opowieściach wiadomo, kto przeżyje, kto umrze, znajdzie miłość, kto nie znajdzie. A jednak chcesz dowiedzieć się jeszcze raz.

To jest ich tajemnica i ich magia.

Dla członka zespołu kathakali opowieści te są jego dziećmi i jego dzieciństwem. Dorastał wraz z nimi. Są domem, w którym się wychowywał, łąkami, na których się bawił. Są jego oknami i jego sposobem patrzenia na świat. Więc kiedy opowiada jakąś historię, traktuje ją jak swoje własne dziecko. Droczy się z nią. Daje jej klapsy. Podrzuca do góry. Mocuje się z nią. Śmieje się z niej, ponieważ ją kocha. Może ci pokazać całe światy w ciągu kilku minut, może zatrzymać się na kilka godzin, aby obejrzeć więdnący liść. Albo pobawić się ogonem śpiącej małpy. Bez żadnego wysiłku może przejść od wojennej rzezi do szczęścia kobiety, która myje włosy w górskim strumieniu. Od sprytnego, energicznego rakszasy, który wpadł na nowy pomysł, do keralskiej plotkarki, która upowszechnia jakiś nowy skandal. Od zmysłowości kobiety karmiącej piersią niemowlę do zwodniczo uwodzicielskiego uśmiechu Kryszny. Może wyłuskać pestkę cierpienia, która tkwi w szczęściu. Rybę hańby ukrytą w morzu chwały. Opowiada historie o bogach, lecz wysnuwa je z bezbożnego, ludzkiego serca.

Tancerz kathakali jest najpiękniejszym z mężczyzn. Ponieważ jego ciało jest jego duszą. Jego jedynym narzędziem. Odkąd ukończył trzy lata, jego ciało było ociosywane, heblowane i wygładzane, całe zaprężnięte do dzieła opowiadania historii. Ma w sobie magię, ten mężczyzna okryty malowaną maską i wirującymi spódnicami.

Lecz w tych czasach stał się niepotrzebny. Niechodliwy. Jego dzieci szydą z niego. Pragną być tym, czym on nie jest. Patrzy, jak wyrastają na księgowych i konduktorów autobusów. Urzędników czwartej kategorii. Ze swymi własnymi związkami zawodowymi.

Lecz on, pozostawiony w zawieszeniu gdzieś między niebem a ziemią, nie może robić tego, co oni. Nie może chodzić między siedzeniami w autobusie, liczyć drobnych i sprzedawać biletów. Nie może podrywać się na dźwięk wzywającego go dzwonka. Nie może garbić się za tacami z herbatą i herbatnikami.

W rozpacz szuka ratunku u turystów. Wchodzi na rynek. Kupczy jedynymi rzeczami, jakie posiada. Historiami, które potrafi opowiedzieć jego ciało.

Staje się Kolorytem Lokalnym.

W Jądrze Ciemności szydzą z niego swymi nonszalanckimi, nagimi pozami i swą zagraniczną niechęcią do skupienia na czymś uwagi dłużej niż przez kilka chwil. Powściąga furję i tańczy dla nich. Pobiera honorarium. Upija się. Albo pali skręta. Dobrą keralską trawę. Która doprowadza go do śmiechu. Potem zatrzymuje się przy świątyni w Ajemenem, on i inni razem z nim, i tańczą, by wybłagać u bogów przebaczenie.

Rahel (bez żadnych planów, bez prawa zostania wysłuchaną), oparta plecami o kolumnę, patrzyła na Karnę modlącego się nad brzegiem Gangi. Karna odziany w swoją świetlną zbroję. Karna, melancholijny syn Surji, Boga Dnia. Karna Szlachetny. Karna porzucone dziecko. Karna wojownik darzony największą czcią.

Tej nocy Karna był zaćpany. Spódnicę miał potarganą i pocerowaną. W jego koronie były puste miejsca po klejnotach. Jego aksamitna bluzka wyłysiała od częstego używania. Pięty miał popękane. Twarde. Gasił na nich skręty.

Lecz gdyby miał ekipę makijażystów czekających za kulisami, agenta, kontrakt, procentowy udział w zyskach – kim byłby wtedy? Oszustem. Bogatym kłamcą. Aktorem odgrywającym rolę. Czy mógłby być Karną? Czy też byłby zbyt bezpieczny w swym kokonie zamożności? Czy pieniądze nie utworzyłyby skorupy odgradzającej go od historii? Czy po trafiłby dotknąć jej serca, jej ukrytych tajemnic, tak jak teraz potrafi to zrobić?

Niekoniecznie.

Dziś wieczór ten człowiek jest niebezpieczny. Jego rozpacz bezgraniczna. Ta opowieść jest siatką zabezpieczającą, nad którą kręci salta i nurkuje jak genialny kłown w zbankrutowanym cyrku. Tylko ona chroni go przed roztrzaskaniem się o świat jak spadający kamień. Jest jego kolorem i jego światłem. Jest naczyniem, do którego się wlewa. Nadaje mu kształt. Strukturę. Nakłada mu uprząż. Zawiera go w sobie. Jego Miłość. Jego Szaleństwo. Jego Nadzieję. Jego Bezgraniczną Radość. Paradoksalnie, jego zmagania są odwrotnością zmagania aktora – zmierza

nie do tego, by wejść w rolę, lecz by uciec od roli. Lecz nie potrafi uciec. W jego sromotnej klęsce tkwi jego najwyższy triumf. Naprawdę jest Karną, którego porzucił świat. Karną Samotnym. Niechodliwym towarem.

Księciem wychowanym w biedzie. Urodzonym po to, aby ponieść niesprawiedliwą śmierć z rąk swego brata, bezbronny i samotny. Majestatyczny w swej nieskończonej rozpacz. Modlący się nad brzegami Gangi. Zaćpany do nieprzytomności.

Potem pojawiła się Kunti. Ona również była mężczyzną, lecz mężczyzną, który zrobił się miękki i zniewieściały, mężczyzną z piersiami, wyrosłymi na skutek odgrywania przez lata ról kobiecych. Jej ruchy były płynne. Pełne kobiety. Kunti również była na haju. Zaćpana skrętami, które razem wypalili. Przyszła opowiedzieć Karnie historię.

Karna skłonił swą piękną głowę i słuchał.

Kunti, która miała zaczerwienione oczy, tańczyła dla niego. Opowiedziała mu o młodej kobiecie, którą spotkała szczególna łaska. Otrzymała tajemną mantrę, za pomocą której mogła sobie wybrać kochanka spośród bogów. Kunti opowiedziała o tym, jak nierozsądna jeszcze młoda kobieta postanowiła sprawdzić, czy mantra naprawdę działa. Jak stanęła sama na pustym polu, zwróciła twarz ku niebu i wyrecytowała mantrę. Ledwo słowa zeszły z jej niemądrych ust, kiedy pojawił się przed nią Surja, Bóg Dnia. Młoda kobieta, oczarowana urodą lśniącego młodego boga, oddała mu się. Dziewięć miesięcy później urodziła mu syna. Dziecko przyszło na świat spowite w światło, ze złotymi kolczykami w uszach i złotym napierśnikiem, na którym wygrawerowany był symbol słońca. Młoda matka darzyła swego pierworodnego syna głęboką miłością, powiedziała Kunti, lecz nie była zamężna i nie mogła go zatrzymać. Włożyła go do koszyka z trzciny i spławiła rzeką. Dziecko znalazł w dole rzeki Adhirata, woźnica rydwanów. Dał mu na imię Karna.

Karna podniósł wzrok na Kunti. Kim ona była? Kim była moja matka? Powiedz mi, gdzie teraz jest. Zabierz mnie do niej.

Kunti skłoniła głowę. Jest tutaj, powiedziała. Stoi przed tobą.

Uniesienie i gniew Karny po tym wyznaniu. Jego taniec niezrozumienia i rozpacz. Gdzie byłeś, spytał ją, kiedy cię najbardziej potrzebowałem? Czy kiedykolwiek trzymałaś mnie w ramionach? Karmiłaś mnie? Czy kiedykolwiek mnie szukałaś? Zastanawiałaś się, gdzie jestem?

W odpowiedzi Kunti ujęła królewską twarz w dłonie, zieloną z czerwonymi oczami,

i pocałowała go w czoło. Karna zadrżał z rozkoszy. Wojownik przywrócony niemowlęctwu. Ekstaza tego pocałunku. Rozesłał go do wszystkich końców ciała. Do palców u nóg i rąk. Pocałunek jego cudownej matki. Wiesz, jak bardzo mi ciebie brakowało? Rahel widziała, jak pocałunek wędruje jego żyłami, widziała równie wyraźnie, jak widać jajko wędrujące w dół szyi strusia.

Wędrujący pocałunek, którego podróż została nagle przerwana, gdy Karna z rozpaczą zdał sobie sprawę, że jego matka ujawniła mu się tylko po to, aby zapewnić bezpieczeństwo pięciu innym, bardziej ukochanym synom – Pandawom stojącym u progu historycznej bitwy z setką swych kuzynów. Ich właśnie Kunti chciała ochronić, oznajmiając Karnie, że jest jego matką. Musiała uzyskać od niego pewne przyrzeczenie.

Powołała się na Prawa Miłości.

To twoi bracia. Twoja własna krew. Przyrzeknij mi, że nie będziesz walczył przeciwko nim. Przyrzeknij mi to.

Karna Wojownik nie mógł złożyć takiej przysięgi, ponieważ gdyby to uczynił, sprzeniewierzyłby się innej. Jutro uda się na wojnę, a jego przeciwnikami będą Pandawowie. To oni, zwłaszcza Ardżuna, publicznie sztydził z niego jako syna zwykłego woźnicy rydwanów. Natomiast Durjodhana, najstarszy z setki braci Kaurawów, przyszedł mu z pomocą, ofiarowując mu w darze swoje własne królestwo. Karna ślubował w zamian wieczną lojalność wobec Durjodhany.

Lecz Szlachetny Karna nie mógł odmówić matce tego, o co go prosiła. Zmodyfikował więc przyrzeczenie. Wykręcił się. Dokonał drobnej poprawki, złożył trochę zmienioną przysięgę.

Przyrzekam ci, powiedział Karna do Kunti, że zawsze będziesz miała pięciu synów. Nie skrzywdzę Judhisztiry. Bhima nie zginie z mojej ręki, a bliźniąt – Nakuli i Sahadewy nawet nie tknę. Lecz co się tyczy Ardżuny, nic nie przyrzekam. Zabiję go albo on zabije mnie. Jeden z nas umrze.

W atmosferze coś się zmieniło. Rahel wiedziała, że przyszedł Estha.

Nie odwróciła głowy, lecz po jej ciele rozszedł się ciepły blask. Przyszedł, pomyślała. Jest tutaj. Ze mną.

Estha spoczął pod odległą kolumną i przesiadeli tak całe przedstawienie, oddzieleni od siebie szerokością kuthambalam, lecz połączeni opowiadaną historią. I wspomnieniem innej matki.

Powietrze zrobiło się cieplejsze. Mniej wilgotne.

Być może wieczór w Jądrze Ciemności był szczególnie nieprzyjemny. W Ajemenem tańczyli, jakby nie mogli przestać. Jak dzieci w ciepłym domu dającym schronienie przed burzą. Które odmawiają wyjścia na zewnątrz i uznania pogody. Wiatru i grzmotu. Szczurów goniących po zdewastowanym krajobrazie z symbolami dolara w oczach. Rozsypującego się wokół nich świata.

Wynurzyli się z jednej historii, by natychmiast zanurzyć się w drugą. Z Kama Shabadam – Przysięgi Karny – w Durjodhana Wadham – śmierć Durjodhany i jego brata Duhszasany. Była prawie czwarta rano, kiedy Bhima dopadł niktzemnego Duhszasanę. Człowieka, który usiłował publicznie rozebrać żonę Pandawów, Draupadi, kiedy Kaurawowie wygrali ją w kości. Draupadi (która z niewytłumaczonych powodów odczuwała gniew tylko do mężczyzn, którzy ją wygrali, a nie do tych, którzy ją postawili) poprzysięgła, że nie splecie włosów, dopóki nie zostaną umyte we krwi Duhszasany. Bhima ślubował pomścić jej hańbę.

Bhima zastąpił drogę Duhszasanie na polu bitwy usłanym już trupami. Przez godzinę walczyli ze sobą na miecze. Obrzucali się obelgami. Wymieniali wszystkie krzywdy, jakie sobie nawzajem wyrządzili. Kiedy światło mosiężnej lampy zaczęło migotać i zamierać, ogłosili rozejm. Bhima dołał oliwy, Duhszasana oczyścił zwęglony knot. Potem wrócili do wojowania. Ich szaleńcza walka rozprzestrzeniła się na całą świątynię. Ścigali się po dziedzińcu, kręcąc maczugami z papier-mache. Dwaj mężczyźni w nadmuchanych jak balony spódnicach i łysiejących aksamitnych bluzkach przeskakują nad kopczykami łajna i utopionymi w kałużach błota księżycami, krążą wokół kadłuba śpiącego słonia. Duhszasana raz brawurowy, raz drżący ze strachu. Bhima bawi się z nim.

Obaj zaćpani.

Niebo było różaną misą. Szara słoniokształtna dziura we wszechświecie poruszyła się we śnie, potem spała dalej. Zaczynało świtać, kiedy w Bhimie zbudziła się bestia. Bębny zabiły głośniejsze, lecz powietrze zrobiło się ciche i złowrogie. W pierwszym świetle poranka Esthappen i Rahel patrzyli, jak Bhima wywiązuje się z przysięgi złożonej Draupadi. Obalił Duhszasanę na ziemię. Wypatrywał najmniejszego drżenia w konającym ciele i walił w nie maczugą, dopóki drżenie nie zanikło. Kowal rozplaszczający kawałek opornego żelaza. Systematycznie wygładzający każdą bruzdkę i wybrzuszenie. Wciąż zabijał już dawno martwe ciało. Potem rozerwał je nagimi rękami. Wyszarpnął na wierzch wnętrza i schylił się, aby wychłęptać

krwawo z misy poszarpanych zwłok; oszalałe oczy spozierały z nad brzegu misy, błyskały wściekłością, nienawiścią i obłąkanym zaspokojeniem. Bulgoczące bąbelki krwi bladioróżowe między jego zębami. Ściekały po jego pomalowanej twarzy, szyi i brodzie. Kiedy opił się już do syta, wstał obwiązany krwawymi jelitami jak szalem, podszedł do Draupadi i zamoczył jej włosy w świeżej krwi.

Wciąż otaczała go aura wściekłości, której nie potrafi uśmierzyć nawet morderstwo.

Tego ranka rządził obłąd. Pod różaną misą. To nie był spektakl. Esthappen i Rahel umieli rozpoznać obłąd. Już wcześniej się z nim spotkali. Innego ranka. Na innej scenie. Innego rodzaju szaleństwo (ze stonogami na podszewkach butów). Brutalnej rozrzutności tego obłądu dorównywała okrutna oszczędność tamtego.

Siedzieli tam, Spokój i Pustka, zastygłe dwujajowe skamieliny, z zadatkami na rogi, z których nigdy nic nie wyrosło. Rozdzieleni szerokością kuthambalam. Ugrzęźnięci w bagnie historii, która zarazem była i nie była ich historią. Która z początku sprawiała wrażenie uporządkowanej, lecz potem poniosło ją w chaos jak spłoszonego konia.

Koću Thomban obudził się i delikatnie rozłupał swego porannego kokosa.

Tancerze kathakali zmyli makijaż i poszli do domu sprać żony. Nawet Kunti, ten miękki z piersiami.

Za murem świątyni małe miasteczko, udające wioskę, drgnęło i zbudziło się do życia. Starszy mężczyzna zaspanym krokiem podszedł do pieca, aby podgrzać przyprawiony pieprzem olej kokosowy.

Towarzysz Pillej. Zawodowy ajemenemski bezwiórowy rębacz drewna.

To właśnie towarzysz Pillej zabrał bliźnięta na ich pierwsze w życiu spektakle kathakali. Na przekór opinii Baby Koćammy chodził z nimi i z małym Leninem na całonocne spektakle do świątyni i aż do świtu tłumaczył im język i gesty kathakali. Kiedy mieli sześć lat, oglądali z nim tę samą historię, co dzisiejszej nocy. To on po raz pierwszy pokazał im Rudrę Bhimę – oszalałego, żądnego krwi Bhimę, szukającego zemsty i mordu. „Szuka zwierzęcia, które w nim mieszka”

– wyjaśnił im towarzysz Pillej – przestraszonym dzieciom z szeroko otwartymi oczyma – kiedy dobrotliwy zazwyczaj Bhima zaczął ujadać i warczeć.

Jakie to miałyby być zwierzę, towarzysz Pillej nie powiedział. Miał chyba na myśli mieszkającego w Bhimie człowieka, bo z pewnością żadne zwierzę nie opanowało nieskończenie

twórczej sztuki bezgranicznej ludzkiej nienawiści. Żadne zwierzę nie potrafi nienawidzić z takim rozmachem i siłą.

Różana misa zmatowiała i skropiła ziemię ciepłą szarą mżawką. Kiedy Estha i Rahel wychodzili przez bramę świątyni, spotkali towarzysza K.N.M. Pilleja, śliskiego od olejku kąpielowego. Na czole miał pastę z drzewa sandałowego.

Krople deszczu wisały na jego naoliwionej skórze jak cekiny. W złożonych w miseczkę dłoniach trzymał niewielki kopczyk świeżego jaśminu.

– Oho! – powiedział swym tubalnym głosem. – Wy tutaj!

A więc wciąż interesujecie się kulturą indyjską? To dobrze. To bardzo dobrze.

Bliźnięta, ani niegrzeczne, ani uprzejme, nie odpowiedziały. Razem poszły do domu. On i Ona. My i Nas.

13. Pesymista i optymista

Chacko przeniósł się do gabinetu Pappaciego, aby Sophie Mol i Margaret Koćamma mogły zająć jego pokój. Był to mały pokój, którego okno wychodziło na kurczącą się, cokolwiek zaniedbaną plantację drzew kauczukowych, zakupio ną przez wielebnego E. Johna Ipe' a od sąsiada. Oprócz drzwi z korytarza miał też drugie (osobne wejście, które Mammaci kazała zainstalować po to, aby Chacko mógł dyskretnie zaspokajać swe „Męskie Potrzeby”), wychodzące bezpośrednio na boczne mittam.

Sophie Mol spała na małym łóżku polowym, które zostało wstawione do pokoju specjalnie dla niej. Głowę wypełniało jej buczenie powolnego wentylatora pod sufitem. Niebieskoszaroniebieskie oczy otworzyły się.

Natychmiast rozbudzona, odprawiła sen.

Po raz pierwszy, odkąd umarł Joe, nie był pierwszą rzeczą, o której pomyślała po przebudzeniu.

Rozejrzała się po pokoju. Bez ruszania głową, tylko obracając gałkami ocznymi. Szpieg schwytyany na terytorium wroga, planujący spektakularną ucieczkę.

Na stole Chacka stał flakon z nieporządnie ułożonymi kwiatami hibiskusa, już opadającymi. Ściany były zasłonięte książkami. W szafie z szybkami ledwo mieściły się samoloty z drzewa balsa. Połamane motyle z błagalnymi oczami.

Drewniane żony złego króla, zakłute w drewno przez złą siłę. Uwięzione.

Tylko jedna, jej matka Margaret, uciekła do Anglii.

Pokój obracał się wokół spokojnej, chromowanej osi srebrnego wentylatora pod sufitem. Beżowy gekon, koloru nie dopieczzonego herbatnika, patrzył na nią zaciekawionymi oczami. Pomyślała o Joem. Coś się w niej zatrzęsło. Zamknęła oczy.

Joe umiał chodzić na rękach. A kiedy jechał na rowerze z góry, umiał włożyć sobie wiatr za koszulę.

Na dużym łóżku, które stało obok, Margaret Koćamma wciąż spała. Leżała na plecach z dłońmi splecionymi tuż poniżej klatki piersiowej. Palce miała spuchnięte i obrączka sprawiała wrażenie, jakby ją uciskała. Skóra policzków obwisła po obu stronach twarzy, co uwydatniało jej kości policzkowe i ściągało jej usta w bezradnym uśmiechu przeciętym wąskim paskiem

zębów. Swe niegdyś krzaczaste brwi wyskubała pincetką, aby utworzyły modne obecnie łuki grubości ołówka, które nawet we śnie nadawały jej twarzy trochę zaskoczony wyraz. Inne jej miny znikwały pod coraz gęściej porastającymi jej twarz włoskami. Była zarumieniona. Jej czoło lśniło. Pod rumieńcem kryła się bladość. Stale odsuwany smutek.

Cienki bawełniano-poliestrowy materiał ciemnoniebieskiej sukienki w białe kwiaty oklapł i luźno przylegał do zarysów jej ciała, wznosząc się na piersiach, opadając wzdłuż linii jej długich, silnych nóg – jakby również był nie przyzwyczajony do upałów i musiał się zdrzemnąć.

Na nocnym stoliku stała czarno-biała fotografia ślubna Chacka i Margaret Koćammy w srebrnej ramce, zrobiona przed kościołem w Oksfordzie. Trochę padał śnieg. Jego pierwsze płatki leżały na ulicy i chodniku. Chacko był ubrany jak Nehru. Miał na sobie biały churidar i czarne shervani. Ramiona przyprószył mu śnieg. W butonierkę wpiął różę, a z kieszeni na piersi wystawał róg chusteczki do nosa, złożonej w trójkąt. Na nogach miał wyglancowane czarne pół buty. Wyglądał jak ktoś, kto śmieje się z siebie i z tego, jak jest ubrany. Jak uczestnik balu przebierańców.

Margaret Koćamma była ubrana w długą, piankowobiałą suknię i tanią tiarę na krótko przystrzyżonych kręconych włosach. Welon zarzuciła do tyłu, odsłaniając twarz. Była wyższa od niego. Wyglądali na szczęśliwą parę. Szczupli i młodzi, z lekkim grymasem na twarzy, bo raziło ich słońce. Jej grube, ciemne brwi były ściągnięte razem i cudownie kontrastowały z piankową ślubną bielą. Biała chmura z czarnym grymasem. Za nimi stała potężna matrona o grubych kostkach i w zapiętym na wszystkie guziki długim płaszczu. Matka Margaret Koćammy. Po bokach miała swe dwie małe wnuczki, w plisowanych szkockich spódnickach, rajtuzach i identycznych falbankach. Obie chichotały, zakrywając sobie usta dłońmi. Matka Margaret Koćammy miała wzrok skierowany poza kadr, jakby wolała być gdzie indziej.

Ojciec Margaret Koćammy odmówił udziału w weselu. Nie lubił Hindusów, uważał ich za ludzi chytrych, nieuczciwych. Nie mógł uwierzyć, że jego córka wychodzi za Hindusa.

W prawym rogu fotografii jakiś mężczyzna, prowadzący rower wzdłuż krawężnika, zatrzymał się, aby popatrzeć na parę młodą.

Kiedy poznała Chacka, Margaret Koćamma pracowała jako kelnerka w oksfordzkiej kawiarni. Jej rodzina mieszkała w Londynie. Ojciec był właścicielem piekarni, matka asy stentką modystki. Margaret Koćamma wyprowadziła się z domu rodziców rok wcześniej, jak większość młodych ludzi, pragnąc być niezależna. Zamierzała pracować i oszczędzić tyle pieniędzy, aby

mogła opłacić sobie kurs nauczycielski i znaleźć potem pracę w szkole. W Oksfordzie wynajmowała niewielkie mieszkanie razem ze znajomą. Kelnerką z innej kawiarni.

Po wyprowadzce Margaret Koćamma stwierdziła, że staje się dokładnie taką dziewczyną, jak życzyliby sobie jej rodzice. Rzucona w Realny Świat nerwowo trzymała się zapamiętanych reguł i nie miała się przeciwko komu buntować prócz siebie samej. W rezultacie nawet w Oksfordzie, prócz tego, że puszczała gramofon trochę głośniej, niż pozwalano jej w domu, wciąż prowadziła to samo ciasne życie, od którego uciekła.

Do momentu, gdy pewnego przedpołudnia wszedł do kawiarni Chacko.

Było to latem tego roku, kiedy kończył studia. Był sam. Koszulę miał pomiętą i źle zapiętą. Sznurówki rozwiązane. Włosy, z przodu starannie uczesane i przylizane, z tyłu stały jak sztywna aureola z piór. Przypominał rozmamłanego, zadowolonego z życia jeżozwierzka. Był wysoki i dobrze zbudowany, co Margaret Koćamma dostrzegła pod niechlujnym ubraniem (źle dobrany krawat, znoszony płaszcz). Wyglądał na rozbawionego i ściągał oczy, jakby próbował odczytać odległy napis, a zapomniał wziąć ze sobą okulary. Uszy sterczały mu po obu stronach głowy jak uchwyty czajniczka do herbaty. W jego atletycznej budowie i rozbebeszonym wyglądzie było coś sprzecznego. Jediną oznaką tego, że ukrywa w sobie grubasa, były błyszczące, radosne policzki.

Nie miał w sobie ani śladu niejednoznaczności bądź przepraszającej niezdarności, co zazwyczaj kojarzy się z niechlujnymi, roztargnionymi mężczyznami. Sprawiał wrażenie pogodnego, jakby był w towarzystwie wyimaginowanego przyjaciela, którego bardzo lubił. Zajął miejsce pod oknem i podparł twarz dłonią, uśmiechając się do pustej kawiarni, jakby zamierzał zacząć rozmowę ze sprzętami. Zamówił kawę z tym samym przyjaznym uśmiechem, lecz nie sprawiał wrażenia zainteresowanego wysoką kelnerką z krzaczastymi brwiami. Wzdrygnęła się, kiedy wsypał sobie dwie czubate łyżeczki cukru do białej (dosłownie białej, tyle wlał mleka) kawy. Potem poprosił o jajko sadzone na grzance, jeszcze trochę kawy i dżem truskawkowy.

Kiedy wróciła z zamówieniem, powiedział, jakby podejmując przerwana rozmowę:

– Słyszała pani kawał o człowieku, któremu urodzili się dwaj bliźniacy?

– Nie – odparła, stawiając przed nim śniadanie. Z jakiegoś powodu (może z naturalnej ostrożności, instynktownej powściągliwości w stosunkach z obcokrajowcami) nie okazała tak dużego zainteresowania dowcipem o mężczyźnie z bliźniakami, jakiego zdawał się od niej spodziewać. Chackowi chyba to nie przeszkadzało.

– Był sobie człowiek, który miał bliźniaki – mówił do Margaret Koćammy. – Pete'a

i Stuarta. Pete był optymistą, a Stuart pesymistą.

Wyjął z dżemu truskawki i odłożył na brzeg talerza. Resztę dżemu rozprowadził grubą warstwą na posmarowanej masłem grzance.

– Z okazji trzynastych urodzin ojciec dał Stuartowi – pesymiście – drogi zegarek, zestaw stolarski i rower.

Chacko podniósł wzrok na Margaret Koćammę, żeby sprawdzić, czy słucha.

– A pokój Pete’a – optymisty – wypełnił się końskim łajnem.

Chacko przeniósł jajka sadzone na grzankę, przekłuł błyszczące, rozkołysane żółtka i rozsmarował je po dżemie truskawkowym rękojeścią łyżeczki do herbaty.

– Kiedy Stuart otworzył swoje prezenty, narzekał przez całe przedpołudnie. Nie chciał zestawu stolarskiego, nie chciał zegarka, a rower miał nie takie opony jak trzeba.

Margaret Koćamma przestała słuchać, ponieważ zafascynował ją przedziwny rytuał, który rozgrywał się na jego talerzu. Grzanka z dżemem i jajkiem sadzonym została pokrajana na równiutkie kwadraciki. Wyłuskane z dżemu truskawki również zostały pokrajane.

– Kiedy ojciec poszedł do pokoju Pete’a – optymistycznie zobaczył Pete’a, lecz usłyszał, że ktoś z furią pracuje łopatą i ciężko dyszy. Końskie łajno fruwało po całym pokoju. Chacko zatrząsł się gwałtownie ze śmiechu w przewidywaniu pointy swego dowcipu. Śmiejącymi się dłońmi położył po plasterku truskawki na każdym jasnożółto-czerwonym kwadraciku grzanki, przez co potrawa zaczęła przypominać wymyślną przekąskę na partii brydża u starszej pani.

– Co ty, u licha, wyprawiasz?” – krzyknął ojciec do Pete’a. Kwadraciki grzanki zostały posypane solą i pieprzem.

Chacko zawiesił głos przed pointą, śmiejąc się do Margaret Koćammy, która uśmiechała się do jego talerza.

– Spod pokładów łajna dobył się głos: „Ojcze – powiedział Pete – jeśli jest tyle gówna, to musi gdzieś tu być konik!” Chacko, trzymając w jednej ręce widelec, a w drugiej nóż, rozparł się w krześle w pustej kawiarni i śmiał się do łez swym piskliwym, urywanym, zaraźliwym śmiechem grubasa. Margaret Koćamma, która prawie nie słuchała dowcipu, uśmiechnęła się. Potem zaczęła się śmiać z jego śmiechu. Ich śmiechy wzmacniały się nawzajem jak głośnik sprzężony z mikrofonem. Kiedy wyszedł na salę właściciel kawiarni, zobaczył klienta (nieszczególnie pożądanego) i kelnerkę (tylko umiarkowanie pożądaną) szepionych w spirali dzikiego, bezsilnego śmiechu.

Tymczasem przyszedł inny klient, stały bywalec, i czekał, aż zostanie obsłużony.

Właściciel umył kilka umytych już szklanek, stukając nimi o siebie hałaśliwie, i dzwonił sztućcami o kontuar, aby dać znać Margaret Koćammie o swoim niezadowoleniu. Usiłowała się opanować, zanim poszła przyjąć kolejne zamówienie. Miała jednak łzy w oczach i musiała stłumić w sobie kolejną falę śmiechu, skutkiem czego wyglądniały mężczyzna, od którego przyjmowała zamówienie, podniósł wzrok znad karty i zacisnął cienkie usta w wyrazie milczącej dezaprobaty. Zerknęła ukradkiem na Chacka, który odwzajemnił spojrzenie i uśmiechnął się. Był to szalenie przyjazny uśmiech. Chacko dokończył śniadanie, zapłacił i wyszedł.

Pracodawca Margaret Koćammy udzielił jej nagany i palnął mówkę na temat etyki gastronomicznej. Przeprosiła go. Było jej naprawdę przykro, że tak się zachowała. Wieczorem tego dnia, po pracy, zastanawiała się nad tym incydentem i było jej głupio. Nie należała do osób frywolnych i nie uważała za właściwą takiej wesołości w towarzystwie obcego człowieka. Uważała tego rodzaju zachowanie za zbyt poufałe, zbyt intymne. Zastanawiała się, co ją właściwie tak rozśmieszyło. Bo na pewno nie dowcip.

Myślała o śmiechu Chacka i w jej oczach przez długi czas migotały iskielki rozbawienia.

Chacko zaczął regularnie odwiedzać kawiarnię.

Zawsze przychodził ze swym niewidzialnym towarzyszem i przyjaznym uśmiechem. Kiedy obsługiwała go jakaś inna kelnerka, zawsze szukał wzrokiem Margaret Koćammy i wymieniali potajemne uśmiechy, które odwoływały się do wspomnienia wspólnego śmiechu.

Margaret Koćamma stwierdziła, że z niecierpliwością oczekuje wizyt rozmamłanego jeżozwierza. Bez niepokoju, lecz z narastającą podskórną sympatią. Dowiedziała się, że jest stypendystą Rhodesa z Indii. Że studiuje filologię klasyczną. I wiosłuje dla Balliol College.

Aż do dnia ślubu nie sądziła, że kiedykolwiek zgodzi się zostać jego żoną.

Po kilku miesiącach randkowania Chacko zaczął przemycać ją do swoich pokojów, gdzie mieszkał jak nieporadny książę na wygnaniu. Mimo najlepszych starań jego gospodyni i sprzątaczk w pokoju zawsze panował bałagan. Książki, puste butelki po winie, brudna bielizna i niedopałki papierosów zalegały podłogę. Szafy niebezpiecznie było otwierać, ponieważ wysypywała się z nich kaskada ubrań, książek i butów, a niektóre książki były na tyle ciężkie, że można sobie było zrobić poważną krzywdę. Małe, uporządkowane życie Margaret Koćammy poddało się temu istic barokowemu szaleństwu z cichym parsknięciem ciepłego ciała zanurzającego się w zimnej wodzie.

Odkryła, że za powierzchownością rozmemłanego jeżozwierza kryje się udręczony marksista walczący z nieuleczalnym romantykiem – który zapominał o świecach, który tłukł kieliszki do wina, który zgubił obrączkę. Który kochał się z nią tak namiętnie, że zapierało jej dech. Zawsze myślała o sobie jako niezbyt atrakcyjnej dziewczynie o grubej talii i grubych kostkach. Niebrzydkiej, lecz i nieszczególnie ładnej. Lecz odkąd była z Chackiem, dawne granice zostały odsunięte. Horyzonty poszerzyły się.

Jeszcze nigdy nie spotkała człowieka, który mówiłby o świecie – czym jest, skąd się wziął, co jego zdaniem się z nim stanie – tak samo jak inni znajomi mężczyźni mówili o swej pracy, o swych znajomych i o weekendach na plaży. Będąc z Chackiem, Margaret Koćamma czuła się tak, jakby jej dusza wyzwoliła się z ciasnych granic jej wyspiarskiego kraju i hulała po rozległych przestrzeniach Indii. Czuła się przy nim, jakby świat należał do nich – jakby leżał przed nimi jak rozcięta żaba na stole sekcyjnym, dopraszająca się, aby ją zbadać.

Przez rok znajomości z Chackiem, zanim się pobrali, odkryła w sobie trochę magii i przez jakiś czas czuła się jak radosny duszek, który został wypuszczony ze swej lampy. Przypuszczalnie była zbyt młoda, aby zdać sobie sprawę, że to, co bierze za miłość do Chacka, jest tylko ostrożną, lękliwą akceptacją samej siebie.

Jeśli chodzi o Chacka, Margaret Koćamma była jego pierwszą przyjaciółką. Nie tylko pierwszą kobietą, z którą poszedł do łóżka, ale pierwszą prawdziwą przyjaciółką. Tym, co Chacko najbardziej w niej kochał, była jej samowystarczalność. Raczej nie wyróżniała się pod tym względem wśród angielskich kobiet, lecz dla Chacka była kimś niezwykłym. Kochał to, że Margaret Koćamma nie trzymała się go kurczowo. Że nie była pewna swych uczuć do niego. Że do ostatniego dnia nie wiedział, czy za niego wyjdzie. Kochał to, jak siedziała naga na jego łóżku, jej długie białe plecy odchylone do tyłu, patrzyła na zegarek i mówiła swoim pragmatycznym tonem, „Psiakość, muszę już lecieć”. Kochał to, że codziennie rano jeździła na rowerze do pracy. Zachęcał ją do wyrażania odmiennych poglądów i cieszył się w duchu, kiedy czasami wybuchała gniewem z powodu jego dekadencji. Był jej wdzięczny za to, że nie chce o niego dbać. Że nie proponuje, że posprząta mu pokój. Że nie przypomina jego nadopiekuńczej matki. Adorował ją za to, że ona nie adoruje jego.

Na temat jego rodziny Margaret Koćamma wiedziała bardzo niewiele. Rzadko o niej mówił.

Prawda jest taka, że podczas pobytu w Oksfordzie Chacko rzadko myślał o rodzinie. W jego życiu za dużo się działo, a Ajemenem wydawało się tak odległe. Rzeka taka mała.

Ryby tak nieliczne.

Nie miał pilnych powodów, aby pozostawać w kontakcie z rodzicami. Stypendium Rhodesa było całkiem pokaźne. Nie potrzebował pieniędzy. Był głęboko zakochany w swej miłości do Margaret Koćammy i nie miał w sercu miejsca dla nikogo innego.

Mammaci regularnie wysyłała do niego listy, w których ze szczegółami opisywała swoje odrażające klótnie z mężem i wyrażała troskę o przyszłość Ammu. Rzadko zdarzało mu się przeczytać cały list. Czasami w ogóle ich nie otwierał. Nigdy nie odpisywał.

Nawet podczas odwiedzin w domu (kiedy nie pozwolił Pappaciemu uderzyć Mammaci mosiężnym flakonem) prawie nie zauważył, jak bardzo urażony w swej dumie był jego ojciec, nie zauważył, że uwielbienie, jakim darzyła go jego matka, graniczyło teraz z bałwochwalstwem, że jego młoda siostra nagle wyrosła na prawdziwą piękność. Przyjechał i wyjechał jak w transie, od pierwszej chwili tęskniąc za dziewczyną o białych plecach, która na niego czekała. Zimą, po jego oblanych egzaminach w Balliol, Margaret Koćamma i Chacko pobrali się. Bez zgody jej rodziny. Bez wiedzy jego rodziny.

Postanowili, że Chacko przeprowadzi się do mieszkania Margaret Koćammy (eksmitując w ten sposób inną kelnerkę z innej kawiarni), dopóki nie znajdzie pracy.

Nie mogli sobie wybrać gorszego momentu na ślub.

Wraz z problemami, które wynikają z mieszkania razem, pojawiła się bieda. Stypendium skończyło się, a trzeba było płacić cały czynsz.

Kiedy Chacko przestał wiosłować, zapadł na nagłą, przedwczesną otyłość wieku średniego. Już nie tylko śmiał się jak grubas, lecz był grubasem.

Po roku małżeństwa sympatyczne studenckie niechlujstwo Chacka znużyło Margaret Koćammę. Przestało ją bawić, że kiedy wracała z pracy, w mieszkaniu panował taki sam brud i bałagan jak przed jej wyjściem. Że Chacko nawet sobie nie wyobrażał, że miałby pościelić łóżko, zrobić pranie lub umyć naczynia. Że nie przeprosił za wypalenie papierosem dziur w nowej sofie. Że sprawiał wrażenie człowieka niezdolnego

do zapięcia koszuli i zawiązania krawata i sznurówek przed pójściem na rozmowę kwalifikacyjną. Po roku gotowa była zrezygnować z żaby na stole sekcyjnym w zamian za drobne praktyczne ustępstwa. Takie jak znalezienie przez jej męża pracy i porządek w domu.

Chackowi w końcu udało się wywalczyć krótkie, kiepsko płatne zlecenie od działu eksportowego India Tea Board. Ma jąć nadzieję, że coś z tego wyniknie w dłuższej perspektywie,

Chacko i Margaret Koćamma przeprowadzili się do Londynu.

Do jeszcze mniejszych, bardziej przygnębiających pokojów. Rodzice Margaret Koćammy nie chcieli się z nią zobaczyć. Właśnie odkryła, że jest w ciąży, kiedy poznała Joego. Był to szkolny kolega jej brata. Kiedy się poznali, Margaret Koćamma była fizycznie bardziej atrakcyjna niż kiedykolwiek wcześniej. Dzięki ciąży jej policzki nabrały rumieńców, a jej gęste ciemne włosy połysku. Mimo problemów małżeńskich było od niej typowe dla kobiet w ciąży sekretnie uniesienie, zadowolenie ze swego ciała.

Joe był biologiem. Uaktualniał trzecie wydanie leksykonu biologicznego dla niewielkiego wydawnictwa. Joe miał wszystkie cechy, których brakowało Chackowi. Odpowiedzialny. Wyłaczalny. Szczupły.

Margaret Koćamma czuła, że ciągnie ją do niego jak roślinę w ciemnym pokoju do płamy światła.

Kiedy zlecenie skończyło się i Chacko nie mógł znaleźć następnej pracy, napisał do Mammaci list, w którym powiadomił ją o swoim małżeństwie i poprosił o pieniądze. Mammaci była zdruzgotana, lecz nie mówiąc o tym nikomu, zastawiła swoją biżuterię i przesłała mu pieniądze do Anglii. Nie wystarczyło. Nigdy nie wystarczyło.

Kiedy urodziła się Sophie Mol, Margaret Koćamma zdała sobie sprawę, że zarówno ze względu na siebie, jak i na swoją córkę musi odejść od Chacka. Poprosiła go o rozwód. Chacko wrócił do Indii, gdzie bez problemu znalazł pracę. Przez kilka lat uczył w Christian College w Madrasie, a po śmierci Pappaciego wrócił do Ajemenem z maszyną do próżniowego zamykania słoików firmy Bharat, wiosłem z Balliol i złamanym sercem.

Mammaci z radością przyjęła go z powrotem do swojego życia. Karmiła go, cerowała mu ubrania, zleciła, aby codziennie miał w pokoju świeże kwiaty. Chacko potrzebował adoracji swej matki, a wręcz jej się domagał, lecz gardził matką za tę adorację i karał ją na różne pośrednie sposoby. Zaczął pielęgnować swą otyłość i ogólną fizyczną degrengoladę. Nosił tanie koszule ze sztucznego materiału z nadrukiem i najbrzydsze plastikowe sandały, jakie można było kupić. Kiedy Mammaci przyjmowała gości, krewnych czy jakąś starą znajomą z Delhi, Chacko zjawiał się przy jej gustownie zastawionym stole jadalnym – ozdobionym jej wspaniale zaaranżowanymi bukietami orchidei i najlepszą chińską porcelaną rozdrapywał stary strup albo duże, czarne, obłe odciski, które wyhodował sobie na łokciach.

Szczególnie upodobał sobie gości Baby Koćammy – katolickich biskupów lub duchownych –

którzy często do niej zaglądali. Chacko zdejmował w ich obecności sandały i wietrzył odrażający ropny wrzód na stopie.

– Panie, zmiłuj się nad biednym trędowatym – mówił, podczas gdy Baby Koćamma próbowała odwrócić ich uwagę, iskając ich brody z okruszków herbatników i chipsów bananowych.

Lecz najgorszą i najbardziej upokarzającą torturą, jaką Chacko zadawał Mammaci, było snucie wspomnień o Margaret Koćammie. Mówił o niej często i z osobliwą dumą. Jakby podziwiał ją za to, że się z nim rozwiodła.

– Uczyniła ze mnie lepszego człowieka – mówił do Mammaci, która wzdrygała się, jakby umniejszał tym ją, a nie siebie samego.

Margaret Koćamma pisała regularnie, informując go, jak się miewa Sophie Mol. Zapewniała go, że Joe jest wspaniałym, troskliwym ojcem i że Sophie Mol bardzo go kocha fakty te w równym stopniu cieszyły Chacka, co go zasmucały. Margaret Koćamma była z Joem szczęśliwa. Być może szczęśliwsza dlatego, że miała za sobą te zwariowane, niepewne lata z Chackiem. Myślała o Chacku z sympatią, bez żalu.

Zupełnie nie przyszło jej do głowy, jak bardzo go zraniła, ponieważ w dalszym ciągu uważała się za pospolitą kobietę, a jego za niepospolitego mężczyznę. A ponieważ Chacko nie okazał, ani wtedy, ani później, żadnych zwyczajowych objawów rozpacz i złamanego serca, uznała, iż on również doszedł do wniosku, że ich małżeństwo było błędem. Kiedy powiedziała mu o Joem, odszedł od niej smutny, lecz spokojny. Ze swym niewidzialnym towarzyszem i przyjaznym uśmiechem.

Pisali do siebie często i z upływem lat ich stosunki dojrzały. Dla Margaret Koćammy była to cenna, zażyła przyjaźń. Dla Chacka był to jedyny sposób na pozostanie w kontakcie z matką swego dziecka i jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochał.

Kiedy Sophie Mol osiągnęła wiek szkolny, Margaret Koćamma zapisała się na kurs nauczycielski, a po jego ukończeniu znalazła pracę w szkole w Clapham. Była w pokoju nauczycielskim, kiedy dowiedziała się o wypadku Joego. Wiadomość przekazał młody policjant, który przybrał grobowy wyraz twarzy i trzymał hełm w rękach. Sprawiał dziwnie komiczne wrażenie, jak zły aktor podczas przesłuchań o rolę postaci tragicznej. Margaret Koćamma pamiętała, że jej pierwszym odruchem na jego widok było uśmiechnąć się.

Ze względu na Sophie Mol, jeżeli nie dla własnego dobra, Margaret Koćamma starała się

stawić czoło tej tragedii ze spokojem. A raczej udawać, że stawia czoło tej tragedii ze spokojem. Nie wzięła urlopu. Dopilnowała, aby Sophie Mol nie wypadła ze szkolnej rutyny:

– Odrób zadanie. Zjedz jajko. Nie, nie możemy zostać w domu.

Ukrywała swą rozpacz pod maską rzutkiej, praktycznej nauczycielki. Surowa, nauczycielkoksztalna dziura we wszechświecie (która czasem dawała po twarzy).

Lecz kiedy dostała list od Chacka, w którym zapraszał ją do Ajemenem, coś w niej westchnęło i opadło. Chociaż tyle się między nimi wydarzyło, nie było na świecie nikogo, z kim wolałaby spędzić święta Bożego Narodzenia bardziej niż z nim. Im dłużej się zastanawiała, tym większą miała ochotę pojechać. Wy tłumaczyła sobie, że wycieczka do Indii to najlepsza rzecz dla Sophie Mol.

Ostatecznie więc, chociaż wiedziała, że jej znajomi i koledzy z pracy uznają to za dziwne – biec do pierwszego męża ` zaraz po śmierci drugiego – Margaret Koćamma zerwała lokatę terminową i kupiła dwa bilety lotnicze. Londyn – Bombaj – Koczin.

Decyzja ta miała ją prześladować do końca życia. Zabrała ze sobą do grobu obraz ciała swej córeczki, która leżała na szezlongu w salonie Ayemenem House. Nawet z drugiego końca pokoju było oczywiste, że nie żyje. Że nie jest chora ani że nie śpi. Dało się to poznać po ułożeniu ciała. Specyficznym nachyleniu kończyn. Miała w sobie autorytet śmierci. Jej straszliwą nieruchomość.

W swe piękne rudobrazowe włosy wplecione miała mokre zielska i rzeczny muł. Jej zapadłe powieki były nadgryzione przez ryby. (O tak, one są do tego zdolne: te przydenne ryby wszystkiego muszą skosztować). Jej fiołkoworóżowy sztruksowy fartuszek mówił: „Wakacje!”, pochyłą, radosną czcionką. Od zbyt długiego przebywania w wodzie była pomarszczona jak palec dhobiego.

Gąbczasta syrena, która oduczyla się pływać.

Srebrny napastrzek zaciśnięty na szczęście w jej małej piątce.

Sophie Mol.

Co piła z napastrka.

A jej trumnę wieźli rykszą.

Margaret Koćamma nigdy sobie nie wybaczyła, że zabrała Sophie Mol do Ajemenem. Że zostawiła ją tam samą na weekend, podczas gdy sama pojechała z Chackiem do Koczinu potwierdzić rezerwację biletów powrotnych.

Było około dziewiątej rano, kiedy Mammaci i Baby Koćamma dowiedziały się, że

w miejscu, gdzie rzeka Minaćal dopływa do rozlewiska, znaleziono ciało białego dziecka. Esthy i Rahel wciąż nigdzie nie było.

Wcześniej tego ranka dzieci – cała trójka – nie zjawiły się na poranną szklankę mleka. Baby Koćamma i Mammaci sądziły, że może dzieci poszły nad rzekę popływać, co je zaniepokoiło, ponieważ poprzedniego dnia i przez większą część nocy padał ulewny deszcz. Wiedziały, że rzeka potrafi być niebezpieczna. Baby Koćamma wysłała Koću Marię, aby ich poszukała, lecz służąca wróciła bez nich. Ponieważ po wizycie Wellji Paapena w domu zapanował chaos, nikt nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział dzieci, które zeszły na dalszy plan. Istniała możliwość, że nie było ich przez całą noc.

Ammu wciąż była zamknięta w swej sypialni. Baby Koćamma miała klucze. Zapytała Ammu przez drzwi, czy nie orientuje się, gdzie mogą być dzieci. Usiłowała ukryć panikę, mówiła zwyczajnym tonem. Coś załomotało o drzwi. Ammu zaplawała się z wściekłości i niedowierzania że coś takiego się stało – że została zamknięta jak rodzinny obląkaniec w średniowiecznym domostwie. Dopiero później, kiedy świat zawalił się wokół nich, kiedy ciało Sophie Mol przywieziono do Ajemenem i Baby Koćamma wypuściła ją z sypialni, Ammu odcedziła swoją wściekłość, aby spróbować zrekonstruować przebieg wydarzeń. Strach i złe przeczucia zmusiły ją do logicznego myślenia i dopiero wtedy przypomniała sobie, co powiedziała bliźniętom, gdy przyszły pod drzwi jej sypialni i spytały, dlaczego jest zamknięta na klucz. Nieopatrzone słowa, które podyktował jej chwilowy odruch.

– Przez was! – wrzasnęła Ammu. – Gdyby nie wy, tobym tu nie siedziała! Nie byłoby tego wszystkiego! Nie tkwiłabym tutaj. Byłabym wolna! Powinnam was była oddać do sierocińca zaraz po urodzeniu! Jesteście mi kamieniami u szyi! Nie widziała ich, przycupniętych po drugiej stronie drzwi. Zdumiony Czub i fontanna spięta Love-in-Tokyo. Zaskoczeni bliźniaczy ambasadorowie Bóg-wie-czego. ich ekscelencje ambasadorowie Elvis Pelvis i Patyczak.

– Idźcie stąd! – powiedziała Ammu. – Idźcie stąd i zostawcie mnie!

Posłuchali.

Kiedy jedyną odpowiedzią na pytanie Baby Koćammy o dzieci był łomot o drzwi, ona również poszła sobie. Powoli wzbierało w niej przerażenie, gdy poczyniła narzucające się, logiczne i całkowicie błędne wnioski na temat związku między wydarzeniami nocy i zaginięciem dzieci.

Deszcz zaczął padać wczesnym popołudniem poprzedniego dnia. Gorący dzień nagle

pociemniał, po niebie potoczyły się pierwsze grzmoty. Koću Maria, która bez szczególnego powodu była w złym humorze, stała na taborecie w kuchni i z furią czyściła dużą rybę, skrobiąc cuchnące łuski. Jej złote kolczyki kolebały się gwałtownie. Srebrne rybkie łuski fruwały po całej kuchni, lądując na czajnikach, ścianach, obieraczkach do warzyw, kłamce lodówki. Zignorowała Wellję Paapena, kiedy stanął w drzwiach kuchni przemoknięty i dygoczący.

Jego prawdziwe oko było nabiegłe krwią i sprawiał wrażenie pijanego. Stał tak przez dziesięć minut, czekając, aż zostanie zauważony. Kiedy Koću Maria skończyła z rybami i zaczęła obierać cebulę, chrząknął i spytał o Mammaci. Koću Maria próbowała go odpędzić, ale on stał nieporuszony. Za każdym razem, gdy otwierał usta, żeby coś powiedzieć, zapach araku w jego oddechu uderzał Koću Marię obuchem. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie i trochę się go bała. Domyślała się, o co w tym wszystkim chodzi, więc w końcu postanowiła, że najlepiej będzie zawołać Mammaci. Zamknęła drzwi do kuchni, zostawiając Wellję Paapena na zewnątrz na tylnym mittam, gdzie kulił się po pijacku w zacinającym deszczu. Chociaż był grudzień, padało jak w czerwcu. „Zaburzenia atmosferyczne spowodowane przez cyklon”, napisały następnego dnia gazety. Lecz następnego dnia nikt nie miał głowy do czytania gazet.

Być może to właśnie deszcz popchnął Wellję Paapena w stronę drzwi kuchennych. Człowiek zabobonny mógł odczytać tę niewczesną ulewę jako znak od rozgniewanego Boga. Pijany człowiek zabobonny mógł ją odczytać jako początek końca świata. I w pewnym sensie by się nie pomylił. Kiedy Mammaci zjawiała się w kuchni, ubrana w halkę i blad różowy poranny szlafrok, Wellja Paapen wszedł po schodach kuchennych i zaoferował jej swe zakupione na raty oko. Podał je Mammaci na wyciągniętej dłoni. Powiedział, że nie zasługuje na nie i chciałby je zwrócić. Lewa powieka monstrialnie zwisała nad pustym oczodołem. Jakby Wellja Paapen traktował całą sprawę „z przymrużeniem oka”, jakby to był starannie zaplanowany żart.

– Co to jest? – spytała Mammaci, wyciągnąwszy przed siebie rękę, sądząc, że może Wellja Paapen z jakiegoś powodu zwraca jej kilogram czerwonego ryżu, który mu dała tego ranka.

– Jego oko – powiedziała głośno Koću Maria, której własne oczy świeciły cebulowymi łzami. Mammaci zdążyła już wtedy dotknąć szklanego oka. Szarpnęła dłonią do tyłu, poczuwszy jego oślizłą twardość.

– Jesteś pijany? – powiedziała gniewnie Mammaci do szumu deszczu. – Jak śmiesz tu przychodzić w takim stanie? Podeszła do zlewu i zmyła mydłem brudne płyny oczne parawana. Powąchała ręce. Koću Maria dała Wellji Paapenowi starą ścierkę do wytarcia się i nic nie

mówiła, kiedy stał na najwyższym stopniu, prawie w dotykanej kuchni, i suszył się, chroniony przed deszczem przez spadzisty okap dachu. Kiedy Wellja Paapen już się trochę uspokoił, z powrotem włożył oko do właściwego oczodołu i zaczął mówić. Zaczął od wyliczenia, jak wiele rodzina Mammaci zrobiła dla jego rodziny. Z pokolenia na pokolenie. Jeszcze na długo zanim pomyśleli o tym komuniści, wielebny E. John Ipe dał jego ojcu, Kelanowi, tytuł własności ziemi, na której stała teraz jego chata. Mammaci zapłaciła za jego oko. Posłała Weluthę do szkoły i dała mu pracę...

Mammaci, choć zła, że jest pijany, nie miała nic przeciwko słuchaniu minstrelskich opowieści o sobie i o chrześcijańskiej szczodrości jej rodziny. Nie miała pojęcia, że jest to wstęp do historii zupełnie innego rodzaju.

Wellja Paapen zaczął łkać. Połowa jego osoby płakała. Łzy wzbierały w prawdziwym oku i świeciły na jego czarnym policzku. Drugim okiem kamiennie patrzył przed siebie. Stary parawan, który pamiętał dni chodzenia do tyłu, rozdarty między lojalnością i miłością.

Potem zdjęła go Zgroza i wytrząsnęła z niego słowa. Opowiedział Mammaci o tym, co widział. Opowiedział jej historię małej łódki, która każdej nocy przepływała na drugi brzeg rzeki, i kto w niej był. Historię mężczyzny i kobiety, stojących razem w świetle księżyca. Skóra przy skórze.

Chodzili do domu Kari Sejpu, powiedział Wellja Paapen.

Była to zemsta Kari Sejpu za to, co on, Wellja Paapen, mu zrobił. Łódka (w której siedział Estha, a którą znalazła Rahel) była przywiązana do pniaka koło stromej ścieżki prowadzącej przez mokradła do porzuconej plantacji drzew kuczukowych. Widział ją tam. Co noc. Kołyszącą się na wodzie. Pustą. Czekającą na powrót kochanków. Czekająca całymi godzinami. Czasami wylaniali się z długiej trawy dopiero o świcie. Wellja Paapen widział ich na własne oko. Inni również ich widzieli. Cała wieś wiedziała. Było tylko kwestią czasu, zanim dowiedziałyby się Mammaci. Więc Wellja Paapen przyszedł jej powiedzieć. Jako parawan i człowiek, który tylko dzierżawił niektóre części swego ciała, uważał to za swój obowiązek. Kochankowie. Którzy wyszli z jego i jej łódzki. Jego syn i jej córka. Wyobrazili sobie niewyobrażalne i uczynili możliwym niemożliwe.

Wellja Paapen wciąż mówił. Łkał. Czkał. Poruszał ustami. Mammaci nie słyszała, co mówi. Szum deszczu stał się głośniejszy i wybuchnął w jej głowie. Nie słyszała własnych krzyków.

Nagle ślepa staruszka w porannym szlafroku i z przerzedzonymi siwymi włosami zebranymi

w mysi ogonek podeszła krok do przodu i z całej siły popchnęła Wellję Paapena. Zatoczył się do tyłu po schodach kuchennych i legł jak długi w mokrym błocie. Zupełnie go zaskoczyła. Był przecież nie dotykalny, a niedotykalnego się nie dotyka. Przynajmniej nie w takich okolicznościach. Niedotykalny jest zamknięty w fizycznie nieprzenikalnym kokonie.

Baby Koćamma, która przechodziła koło kuchni, usłyszała całe to zamieszanie. Zobaczyła Mammaci plującą w deszcz, tfu! tfu! tfu!, i Wellję Paapena leżącego w błocie, mokrego, płaczącego, skuczącego. Proponującego, że zabije swego syna. Rozerwie go na sztuki.

– Pijany pies! Pijany parawański kłamca! – wrzeszczała Mammaci.

Przekrzykując głównych aktorów tego widowiska, Koću Maria powtórzyła Baby Koćammie, co powiedział Wellja Paapen. Baby Koćamma natychmiast dostrzegła olbrzymi potencjał tkwiący w tej sytuacji, lecz szybko namaściła swe myśli świętymi olejkami. Była zachwycona. Widziała w tym karę Bożą za grzechy Ammu, a jednocześnie zemstę za upokorzenie, jakiego ona sama doznała ze strony Weluthy i innych uczestników marszu – docinki w rodzaju „Modadali Mariakutti”, zmuszanie jej do wymachiwania flagą. Natychmiast postawiła żagle. Okręt sprawiedliwości prujący fale morza grzechu.

Baby Koćamma objęła Mammaci swym ciężkim ramieniem.

– To musi być prawda – powiedziała spokojnym głosem. Ona jest do tego całkowicie zdolna. On też. Wellja Paapen nie wymyśliłby sobie czegoś takiego.

Poprosiła Koću Marię, aby przyniosła Mammaci szklankę wody i krzesło. Kazała Wellji Paapenowi jeszcze raz opo wiedzieć całą historię, przerywając mu od czasu do czasu pytaniami o szczegóły: Czyja łódka? Jak często? Od jak dawna? Kiedy Wellja Paapen skończył, zwróciła się do Mammaci:

– Welutha musi odejść – powiedziała. – Dzisiaj. Zanim to się posunie jeszcze dalej. Zanim sprowadzi na nas całkowitą ruinę.

Potem wzdrygnęła się jak nastolatka. I powiedziała:

– Jak ona wytrzymała ten zapach? Zauważyłaś, jak oni dziwnie pachną, ci parawanowie?

Od tej drobnej uwagi aromatologicznej rozpętała się Trwoga. Furia Mammaci na starego, jednookiego parawana, który stał w deszczu pijany, śliniący się i oblepiony błotem, przeszła w zimną pogardę do własnej córki i tego, co zrobiła. Wyobraziła ją sobie nagą, kopulującą w błocie z mężczyzną, który był tylko brudnym kulisem. Wyobraziła to sobie ze szczegółami: szorstka, czarna dłoń parawana na piersi jej córki. Jego usta na jej ustach. Jego czarne biodra

podskakujące między jej rozchylonymi nogami. Ich przyspieszone oddechy.

Jego specyficzny zapach parawana. Jak zwierzęta, pomyślała Mammaci i omal nie zwymiotowała. Jak pies z suką, która ma cieczkę. Wyrozumiały stosunek do „Męskich Potrzeb”, który okazywała wobec syna, przerodził się w nie kontrolowaną furię wobec córki. Spaskudziła pielęgowaną od pokoleń rasę (Mały Pobłogosławiony, osobiście pobłogosławiony przez patriarchę Antiochii, imperialny entomolog, stypendysta Rhodesa z Oksfordu) i rzuciła rodzinę na kolana. Przez wiele pokoleń, ba, do końca świata ludzie będą wytykać ich palcami na ślubach i pogrzebach. Na chrzcinach i przyjęciach urodzinowych. Będą trącali się łokciami i szeptali. Wszystko było skończone.

Życie wymknęło się Mammaci spod kontroli.

Dwie starsze panie zrobiły to, co musiało być zrobione. Mammaci oddała do dyspozycji swoją furię. Baby Koćamma dostarczyła plan. Koću Maria była ich karłowatym porucznikiem. Zamknęły Ammu w sypialni (zwabiwszy ją tam najpierw podstępem), po czym posłały po Weluthę. Wiedziały, że muszą go nakłonić do opuszczenia Ajemenem przed powrotem Chacka. Nie potrafiły przewidzieć, jak zachowałby się w tej sytuacji Chacko, lecz nie ufały mu.

Nie było całkowicie ich winą, że cała sprawa zaczęła wirować bez ładu i składu jak obłąkany bączek. Że uderzała we wszystkich, którzy stanęli jej na drodze. Że kiedy Chacko i Margaret Koćamma wrócili z Koczinu, było już za późno. Rybak znalazł już ciało Sophie Mol.

Wyobraźcie go sobie.

Jest świt, on siedzi na łódce u ujścia rzeki, którą zna całe życie. Wciąż jest prędką i nabrzmiała od deszczu, który padał w nocy. Coś płynie rzeką obok niego, kolory zwracają jego uwagę. Fiołkoworóżowy. Rudobrazowy. Piaskowy. Kolory płyną z prądem, szybko zmierzają ku morzu. On sięga bambusowym drągiem i przyciąga je ku sobie. Jest to pomarszczona syrena. Jeszcze dziecko. Z rudobrazowymi włosami.

Z nosem imperialnego entomologa i srebrnym naparstkiem na szczęście zaciśniętym w dłoni. Wciąga ją z wody do łódki. Podkłada pod nią cienki frotowy ręcznik, ona leży na dnie łódki razem ze srebrnym połowem małych rybek. On wiosłuje do domu – Thaiy thaiy thakka thaiy thaiy thome – i myśli sobie, jak bardzo myli się rybak, kiedy sądzi, że zna rzekę. Nikt nie zna Minaćal. Nikt nie wie, co i kiedy rzeka może pochłonąć lub nagle wypluć. Dlatego rybacy się modlą.

Na komendzie policji w Kottajam wprowadzono trzęsącą się Baby Koćammę do gabinetu

inspektora Thomasa Mathew. Opowiedziała mu o okolicznościach, które doprowadziły do nagłego zwolnienia z pracy robotnika fabrycznego. Parawana. Kilka dni wcześniej próbował... napastować jej bratanicę, powiedziała. Rozwódkę z dwojgiem dzieci.

Baby Koćamma fałszywie przedstawiła charakter związku Ammu i Weluthy nie dla dobra Ammu, lecz dla uniknięcia skandalu i ocalenia dobrego imienia rodziny w oczach inspektora Thomasa Mathew. Nie przyszło jej do głowy, że Ammu sama ściągnie na siebie hańbę – że pójdzie na policję i spróbuje wyjaśnić sprawę. Kiedy Baby Koćamma opowiadała swoją historię, zaczynała w nią wierzyć.

Dlaczego od razu nie zgłoszono sprawy na policję, dopytywał się inspektor.

– Jesteśmy rodziną z tradycjami – odparła Baby Koćamma. – Nie są to rzeczy, o których chętnie byśmy mówili... Inspektor Thomas Mathew, schowany za swym żwawym wąsikiem z reklamy Air India, doskonale to rozumiał. Miał dotykálną żonę, dwie dotykálne córki – w których dotykálnych macicach czekały całé dotykálne pokolenia...

– Gdzie jest teraz napastowana?

– W domu. Nie wie o moim przyjsciu tutaj. Nie zgodzilaby się na to. Ma atak hysterii, jest przerażona, że dzieci się dowiedzą.

Później, kiedy do inspektora Thomasa Mathew dotarła prawdziwa wersja wydarzeń, był głęboko poruszony faktem, że skarby Królestwa Dotykálnych nie zostały przez parawana wykradzione, lecz otrzymał je w darze. Więc kiedy po pogrzebie Sophie Mol Ammu podeszła do niego wraz z bliźniętami, aby mu powiedzieć, że został wprowadzony w błąd, a on uderzył ją swoją pałką w piersi, nie był to spontaniczny odruch policyjnej brutalności. Dokładnie wiedział, co robi. Był to zaplanowany gest, obliczony na poniżenie jej i zastraszenie. Próba przywrócenia ładu w świecie, który wypadł z orbity.

Jeszcze później, kiedy osiadł kurz i robota papierkowa została wykonana, inspektor Thomas Mathew pogratulował sobie, że wszystko się tak doskonale ułożyło.

Teraz jednak słuchał uprzejmie i z uwagą, jak Baby Koćamma konstruowała swoją historię.

– Wczoraj wieczorem koło siódmej, kiedy robiło się już ciemno, przyszedł do nas do domu i zaczął nam grozić. Padał ulewny deszcz. Zgasło światło i właśnie zapalaliśmy lampy, kiedy przyszedł. Wiedział, że pan domu, mój bratanek Chacko Ipe, jest w Koczinie. Były nas w domu trzy kobiety. – Przerwała, aby inspektor mógł sobie wyobrazić potworności, jakie mogą spotkać trzy bezbronne kobiety ze strony opętanego seksem parawana.

– Powiedzieliśmy mu, że jeśli nie wyjedzie po cichu z Ajemenem, wezwiemy policję. On twierdził, że moja bra tanica zrobiła to z własnej woli, wyobraża sobie pan? Spytał, jaki mamy dowód na to, o co go oskarżamy. Powiedział, że zgodnie z prawem pracy nie mamy podstaw go zwolnić. Był bardzo spokojny. „Minęły już czasy, kiedy mogliście pomiatać nami jak psami” – powiedział nam.

Baby Koćamma brzmiała teraz całkowicie przekonywająco. Zdruzgotana. Zdumiona.

Dalsza część opowieści była już całkowicie dziełem wyobraźni. Baby Koćamma nie opisała tego, jak Mammaci straciła panowanie nad sobą. Jak poszła do Weluthy i splunęła mu w twarz. Jakie rzeczy mu powiedziała. Jakimi obrzuciła go wyzwiskami.

Oznajmiła natomiast inspektorowi Thomasowi Mathew, że przyszła na policję nie tylko ze względu na to, co powiedział Welutha, ale także, jak to powiedział. Najbardziej zaszokowało ją, że w najmniejszym stopniu nie poczuwał się do winy. Można było nawet odnieść wrażenie, że jest dumny z tego, co uczynił. Nie uświadamiając sobie tego, przypisała Welucie zachowanie człowieka, który poniżył ją podczas marszu. Odmalowała szyderczą furię na jego twarzy. Metaliczną bezczelność w jego głosie, która tak ją przeraziła. Która dała jej pewność, że jego zwolnienie z pracy i zniknięcie dzieci muszą być ze sobą powiązane.

Baby Koćamma powiedziała, że знаła tego parawana od dziecka. Jej rodzina dała mu wykształcenie, w szkole dla niedotykalnych założonej przez jej ojca, Punnjana Kuńdżu (pan Thomas Mathew z pewnością o nim słyszał? Oczywiście)... Jej rodzina wyuczyła go na stolarza, jej rodzina dała jego dziadkowi dom, w którym teraz mieszkał. Wszystko zawdzięczał jej rodzinie.

– Najpierw ich rozpieszczacie – powiedział inspektor Thomas Mathew – nosicie ich na głowach jak trofea, a kiedy się znarowią, przybiegacie do nas po pomoc.

Baby Koćamma spuściła wzrok jak skarczone dziecko. Potem podjęła swoją historię. Opowiedziała inspektorowi Thomasowi Mathew o tym, że przez kilka ostatnich tygodni pojawiały się pewne znaki ostrzegawcze, jakaś bezczelność, jakaś nieuprzejmość. Wspomniała, że widziała go biorącego udział w marszu do Koczinu i że krążą plotki na temat jego byłej lub obecnej przynależności do naxalitów. Nie zauważyła bruzdy zmartwienia, którą ta informacja wyłobiła na czole inspektora.

Baby Koćamma ostrzegała przed nim swego bratanka, lecz w najgorszych przeczuciach nie wyobrażała sobie, że tak się to skończy. Piękna dziewczynka nie żyje. Dwoje innych dzieci

zaginęło.

Baby Koćamma załamała się.

Inspektor Thomas Mathew poczęstował ją filiżanką policyjnej herbaty. Kiedy poczuła się trochę lepiej, pomógł jej zapisać doniesienie na odpowiednim formularzu. Zapewnił Baby Koćammę o pełnej współpracy kottajamskiej policji. Ten łajdak zostanie schwytany przed upływem dnia, powiedział. Parawan z parą dwujajowych bliźniąt, ścigany przez psy gończe historii – inspektor wiedział, że niewiele jest miejsc, w których zbieg mógłby się schronić.

Inspektor Thomas Mathew był człowiekiem przezornym.

Powziął pewne środki zapobiegawcze. Wysłał jeepa, który przywiózł na posterunek towarzysza K.N.M. Pilleja. Bardzo istotna była dla niego informacja, czy parawan ma jakieś poparcie polityczne, czy też działa w pojedynkę. Chociaż sam był członkiem Partii Kongresu, nie zamierzał ryzykować żadnych starć z marksistowskim rządem. Towarzysz Pillej został posadzony na krzesło dopiero co zwolnionym przez Baby Koćammę. Inspektor Thomas Mathew pokazał mu doniesienie Baby Koćammy. Dwaj mężczyźni przeprowadzili krótką, szyfrowaną, rzeczową rozmowę. Jakby posługiwali się liczbami, nie słowami. Wszelkie objaśnienia wydawały się zbędne. Towarzysz Pillej i inspektor Thomas Mathew nie byli przyjaciółmi i nie ufali sobie nawzajem, lecz doskonale się rozumieli. Obaj byli ludźmi, których dzieciństwo przeminęło bez śladu. Ludźmi pozbawionymi ciekawości. Ludźmi pozbawionymi wątpliwości. Patrzyli na świat i nigdy się nie zastanawiali, jak działa, ponieważ wiedzieli. To oni nim sterowali. Byli mechanikami, którzy obsługiwali różne części tej samej maszyny.

Towarzysz Pillej powiedział inspektorowi Thomasowi Mathew, że zna Weluthę, lecz pominął informację, że Welutha jest członkiem partii komunistycznej oraz że zapukał do jego drzwi o późnej porze poprzedniej nocy, co czyniło z towarzysza Pilleja ostatnią osobę, która widziała Weluthę przed jego zniknięciem. Towarzysz Pillej nie zaprzeczył również stawianemu Welucie zarzutowi gwałtu na bratanicy Baby Koćammy, chociaż wiedział, że jest on fałszywy. Ograniczył się do zapewnienia inspektora Thomasa Mathew, że wedle jego wiedzy Welutha nie cieszy się patronatem ani ochroną partii komunistycznej. Że działa w pojedynkę.

Po wyjściu towarzysza Pilleja inspektor Thomas Mathew prześledził w myślach odbytą rozmowę, sprawdzając, czy uzyskane informacje są logiczne i spójne. Nie doszukawszy się żadnych niekonsekwencji i sprzeczności, wydał polecenia swoim ludziom.

Tymczasem Baby Koćamma wróciła do Ajemenem. Plymouth stał na podjeździe. Margaret

Koćamma i Chacko byli już w domu po powrocie z Koczinu.

Sophie Mol leżała na szezlongu.

Kiedy Margaret Koćamma zobaczyła zwłoki swojej córki, wezbrała w niej fala szoku jak złudzenie aplauzu w pustym audytorium. Wyplnęła z niej w postaci wymiotów. Margaret Koćamma stała oniemiała z pustym spojrzeniem. Przeżywała nie jedną śmierć, lecz dwie. Wraz z utratą Sophie ponownie umarł Joe. I tym razem nie było zadania domowego do odrobienia ani jajka do zjedzenia. Przyjechała do Ajemenem, aby zaleczyć swój ranny świat, tymczasem utraciła go w całości. Rozbiła się na kawałki jak szkło.

Następne dni zachowały się w jej pamięci jak przez mgłę. Długie, półmroczne godziny gęstego, kołkowatego spokoju (zaaplikowanego farmakologicznie przez doktora Werghese'a Werghese'a), chłostane stalowymi cięciami hysterii, ostrymi jak nowa żyłotka.

Miała niewyraźną świadomość, że jest gdzieś w pobliżu Chacko – troskliwy i mówiący łagodnym głosem, kiedy był przy niej, poza tym rozjuszony, hulający po Ayemenem House jak wściekły wiatr. Tak różny od Rozmamłanego Jeżozwierza, którego poznała wiele lat wcześniej przed południem w oksfordzkiej kawiarni.

Mętnie pamiętała pogrzeb w żółtym kościele. Smutne śpiewy. Nietoperza, który się komuś naprzykrzał. Pamiętała dźwięk wyważanych drzwi i przestraszone głosy kobiece. Pamiętała, że nocą świerszcze brzmiały jak skrzypiące schody i podsycaly strach i smutek, które wisiały nad Ayemenem House.

Nigdy nie zapomniała swego irracjonalnego gniewu na dwójkę młodszych dzieci, które z jakiegoś powodu zostały oszczędzone. Jej trawiony gorączką umysł jak pijawka uczepił się myśli, że Estha w jakiś sposób ponosi odpowiedzialność za śmierć Sophie Mol. Co było o tyle zagadkowe, iż Margaret Koćamma nie wiedziała, że to Estha – Czarnoksiężnik Mieszacz, który wiosłował w dżemie i pomyślał sobie Dwie Myśli – że to Estha złamał reguły i popołudniami woził Sophie Mol i Rahel małą łódką na drugą stronę rzeki, że to Estha wyswobodził przybity sierpem do drzewa zapach, machając mu przed nosem flagą marksistowską. Że to Estha uczynił z tylnej werandy Domu Historii ich drugi dom, w którym mieli podłogę wyłożoną matą z trawy i większość zabawekprocę, nadmuchiwaną gęś, misia koala z naderwanymi oczami z guzików. I wreszcie, że to Estha postanowił tej strasznej nocy, że chociaż jest ciemno i pada deszcz, nadszedł Czas Ucieczki, ponieważ Ammu już ich więcej nie chce.

Dlaczego, nie wiedząc o tym wszystkim, Margaret Koćamma obarczała Esthę winą za śmierć

Sophie? Może podpowiedział jej to instynkt matki.

Kilka razy, pływając w gęstych odmetach farmakologicznego snu, trafiła na Esthę w domu i biła go po twarzy, dopóki ktoś jej nie uspokoił i nie odprowadził. Później napisała do Ammu list z przeprosinami. Zanim doszedł, Estha był Oddany, w związku z czym Ammu musiała spakować walizki i wyjechać. Tylko Rahel pozostała w Ajemenem i mogła przyjąć, w imieniu Esthy, przeprosiny Margaret Koćammy.

„Nie wiem, co mnie opętało, napisała. Mogę tylko przypuszczać, że sprawiły to środki uspokajające. Nie miałam prawa tak się zachować i chcę, żebyście wiedzieli, że jest mi wstyd i bardzo, bardzo Was wszystkich przepraszam”.

Paradoksalnie, jedyną osobą, o której Margaret Koćamma wcale nie myślała, był Welutha. Nic się nie zachowało w jej pamięci na jego temat. Nawet jak wyglądał.

Może dlatego, że właściwie go nie znała ani nigdy się nie dowiedziała, co się z nim stało.

Bóg Utraconego.

Bóg Rzeczy Małych.

Nie zostawił śladów na piasku, zmarszczek na wodzie, odbicia w lustrach.

Margaret Koćammy nie było przecież przy tym, jak pluton dotykanych policjantów przepłynął na drugą stronę wezbranej rzeki. Ich szerokie krótkie spodnie w kolorze khaki były sztywne od krochmalu.

Metaliczny brzęk kajdanek w czyjejs ciężkiej kieszeni. Trudno od kogoś oczekiwać, aby zapamiętał zdarzenia, o których nie wiedział.

Cierpienie było jednak wciąż oddalone o dwa tygodnie tego niebieskiego, haftowanego ścięciem krzyżkowym popołudnia, kiedy Margaret Koćamma spała zmęczona podróżą samolotem. Chacko, po drodze do towarzysza K.N.M. Pilleja. przemknął pod oknem sypialni jak podenerwowany wieloryb, zamierzając zajrzeć do środka, aby sprawdzić, czy jego żona („była żona, Chacko!”) i córka nie obudziły się i czegoś nie potrzebują. W ostatniej chwili zawiodła go odwaga i przepłynął pod oknem, nie zaglądając do środka. Sophie Moll widziała, jak odchodzi.

Siedziała na łóżku i patrzyła na drzewa kauczukowe. Słońce przesunęło się na niebie i kładło na plantacji głęboki cień domu, pociemniając już i tak ciemnolistne drzewa. Za cieniem światło było płaskie i łagodne. Na plamistej korze każdego drzewa widniało ukośne nacięcie, przez które mleczny kauczuk sączył się jak biała krew z rany i skapywał do przywiązanej do pnia wyczekującej połówki skorupy kokosa.

Sophie Mol wstała z łóżka i zaczęła grzebać w torebce pogrążonej we śnie matki. Znalazła to, czego szukała – klucze do dużej, zamykanej na zamek walizki, która stała na podłodze z nalepkami linii lotniczych i numerami bagażu. Sophie Mol otworzyła walizkę i buszowała w jej zawartości z delikatnością psa rozkopującego rabatę kwiatową. Wywracała ułożoną w stos bieliznę, wyprasowane koszule i bluzki, szampony, kremy, czekolady, taśmę klejącą, parasole, mydło (i inne zabutelkowane londyńskie zapachy), chininę, aspirynę, szeroką gamę antybiotyków. „Weź jak najwięcej rzeczy” – zatroskanymi głosami doradzały Margaret Koćammie koleżanki z pracy. „Nigdy nic nie wiadomo”. Innymi słowy, mówiły koleżance podróżującej do Jądra Ciemności, że:

a) Wszystko może się zdarzyć każdemu.

Więc b) najlepiej być na to przygotowanym.

Sophie Mol w końcu znalazła to, czego szukała.

Prezenty dla kuzyna i kuzynki. Trójkątne wieże czekolady Toblerone (miękkie i wyginające się w upale). Skarpetki z osobnymi palcami w różnych kolorach. I dwa długopisyw górnych częściach wypełnione wodą, w której zawieszony był kolaż z krajobrazem ulic Londynu. Pałac Buckingham i Big Ben. Sklepy i ludzie. Czerwony piętrowy autobus popychany przez pęcherzyk powietrza pływał w górę i w dół niemej ulicy. Cisza panująca na ruchliwej długopisowej ulicy miała w sobie coś złowieszczonego.

Sophie Mol włożyła prezenty do swojej torebki i wyszła na świat. Aby wziąć udział w twardych rokowaniach. Wynegocjować przyjaźń.

Przyjaźń, która niestety miała zawisnąć w powietrzu. Nie dokończona. Pozbawiona gruntu pod nogami. Przyjaźń, która nie zdążyła zawędrować do żadnej historii i dlatego, znacznie szybciej niż to być powinno, Sophie Mol stała się Wspomnieniem, podczas gdy Utrata Sophie Mol była mocna i żywa.

Jak owoc w sezonie. W każdym sezonie.

14. Praca jest walką

Chacko poszedł na skróty między pochylonymi drzewami kuczukowymi, dzięki czemu musiał przejść tylko kawałek główną drogą, zanim dotarł do domu towarzysza K.N.M. Pilleja. Wyglądał trochę dziwnie, stąpając po dywanie suchych liści w swym lotniskowym garniturze, z krawatem przerzuconym przez ramię.

Towarzysza Pilleja nie było w domu. Jego żona, Kaljani, ze świeżą pastą sandałową na czole, kazała mu usiąść na żelaznym składanym krześle w małym pokoju od frontu i zniknęła za jasnoróżową stylonową kotarą drzwi prowadzących do ciemnego sąsiedniego pokoju, w którym migotał płomyk dużej mosiężnej lampy olejnej. Snuł się stamtąd zatykający zapach kadzidła, a nad drzwiami wisiała drewniana tabliczka z napisem: „Praca jest walką. Walka jest pracą”. Chacko był za duży na ten pokój. Niebieskie ściany przytłaczały go. Rozglądał się wokół siebie, spięty i trochę zakłopotany. Stół jadalny był nakryty jasną ceratą w kwiaty. Muszki latały wokół kiści małych bananów na białym talerzu z niebieską obwódka. W kącie pokoju leżała sterta orzechów kokosowych w zielonych łupinach. Na podłodze, pokryte kodem kreskowym jasnych promieni słońca, stały rozczapierzone gumowe pantofle dziecięce. Obok stołu stał kredens z szybkami, za którymi wisiały drukowane zasłony, ukrywając zawartość kredensu.

Matka towarzysza Pilleja, mikroskopijna starsza pani w brązowej bluzce i spranobiałym mundu, siedziała na skraju wysokiego drewnianego łóżka pod ścianą. Jej stopy zwisały wysoko nad podłogą. Miała na sobie cienki biały ręcznik ułożony ukośnie na piersiach i przerzucony przez ramię. Nad głową bzyczał jej lejek moskitów, przypominający odwróconą czapkę błazna. Podparła jeden policzek dłonią, przez co wszystkie zmarszczki zbiegły się po tej właśnie stronie twarzy. Każdy cal jej ciała, nawet na nadgarstkach i kostkach u nóg, był pomarszczony. Tylko skóra na gardle była naciągnięta i gładka, ponieważ opinała olbrzymie wole. Jej fontannę młodości. Patrzyła tępo w przeciwległą ścianę, kołysząc się delikatnie i pokwękując rytmicznie jak znudzony pasażer podczas długiej podróży autobusem.

Na ścianie za jej głową wisiały oprawione w ramkę świadectwa i dyplomy towarzysza Pilleja.

Na innej ścianie wisiała oprawiona w ramkę fotografia, na której towarzysz Pillej dekorował szarfą towarzysza E.M.S. Nambudiripada. Na estradzie stał mikrofon, ze świecącym na

pierwszym planie napisem Adżantha.

Obok łóżka stał wentylator, który odmierzał swój mechaniczny wietrzyk wzorowymi, demokratycznymi obrotami unosząc najpierw resztki włosów starej pani Pillej, potem włosy Chacka. Moskity niestrudzenie rozpraszały się i ponownie zlatywały.

Przez okno Chacko widział dachy przejeżdżających z warkotem autobusów, z bagażem na bagażniku. Przejechał też jeep z megafonem, ryczącym pieśń Partii Marksistowskiej, której tematem było bezrobocie. Refren był po angielsku, reszta w malajalam.

Nie ma pracy! Nie ma pracy!

Gdziekolwiek w świecie pójdzie biedny człowiek, Nie ma nie ma nie ma pracy!

Kaljani wróciła z metalowym kubkiem parzonej przez filtr kawy i metalową tacą chrupek bananowych (jasnożółtych z małymi czarnymi nasionkami) dla Chacka.

– Pojechał do Olassy. Powinien lada chwila wrócić powiedziała. Mówiła o swym mężu per addeham, co było uprzejmą formą słowa „on ‘, podczas gdy „on” nazywał ją edi, co oznacza mniej więcej „hej, ty tam!”

Była piękną kobietą o bujnych kształtach, złocistobrązowej skórze i olbrzymich oczach. Jej długie, kędzierzawe włosy były mokre i opadały luźno na plecy, splecione tylko na samym końcu. Zmoczyły tył jej obcisłej, purpurowej bluzki, tworząc jeszcze bardziej purpurową plamę. Spod krótkich rękawków wypływały obficie jej miękkie ramiona, zwężając się nieco nad łokciami z dołączkami. Jej białe mundu i kavani były świeżo wyprane i wyprasowane. Pachniała drzewem sandalowym i rozgniecioną zieloną ciecierzycą, której używała zamiast mydła. Po raz pierwszy od wielu lat Chacko patrzył na nią bez śladu pożądania seksualnego. Miał w domu żonę („byłą żonę, Chacko!”). Z piegami na ramionach i plecach. W niebieskiej sukience z nogami pod spodem.

W drzwiach pojawił się młody Lenin w elastycznych szor tach. Stał na jednej chudej nodze jak bocian i skręcał różową koronkę zasłony w długą rurę, patrząc na Chacka oczami swej matki. Miał teraz sześć lat, już dawno wyrósł z wieku, w którym wpychał sobie do nosa różne rzeczy.

– Mon, idź i zawołaj Lathę – powiedziała do niego pani Pillej.

Lenin pozostał na swoim miejscu i wrzasnął bez wysiłku, tak jak potrafią tylko dzieci:

– Latha! Latha! Masz przyjść tutaj!

– Nasza bratanica z Kottajam. Córka jego starszego brata wyjaśniła pani Pillej. – Zdobyła pierwszą nagrodę z krasomówstwa na Festiwalu Młodzieży w Triwandrum w zeszłym tygodniu.

Przez zasłonę z koronki weszła do pokoju dziewczynka w wieku dwunastu lub trzynastu lat o wojowniczym wyglądzie. Miała na sobie długą drukowaną spódnicę, która sięgała jej aż do kostek, oraz krótką białą bluzkę do talii z zaszewkami na przyszłe piersi. Jej naoliwione włosy były rozdzielone na dwie połowy. Jej ciasno splecione, błyszczące warkoczyki tworzyły zawiązane wstążeczką pętle, opadające po obu stronach twarzy jak kontury dużych, obwisłych uszu, które nie zostały jeszcze pokolorowane.

– Wiesz, kto to jest? – spytała Lathę pani Pillej.

Latha potrząsnęła przecząco głową.

– Chacko saar. Modalali naszej fabryki.

Latha patrzyła na niego z niezwykłym u trzynastolatki opanowaniem i brakiem zainteresowania.

– Studiował w Londynie w Oksfordzie – powiedziała pani Pillej. – Wyrecytujesz coś dla niego?

Latha zgodziła się bez wahania. Rozstawiła lekko stopy.

– Szanowny panie przewodniczący – ukloniła się Chackowi – moi drodzy jurorzy i... – rozejrzała się po wymyślonej widowni stłoczonej w małym, upalnym pokoju – ukochani przyjaciele. – Teatralnie zawiesiła głos. – Chciałabym dzisiaj wyrecytować wam wiersz sir Waltera Scotta zatytułowany Lochinvar. – Złożyła ramiona za plecami. Utkwiła niewidzące spojrzenie tuż nad głową Chacka. Jej oczy zaciągnęły się mgiełką. Kołysała się nieco, gdy mówiła. Z początku Chacko sądził, że słucha recytacji Lochinvar w malajalam. Słowa zlewały się ze sobą. Ostatnia sylaba danego słowa podczepiała się do pierwszej sylaby następnego. Wiersz recytowany był z imponującą prędkością.

Je dziemłody Lochin warodza chodniej stro Ny rumakpodnim prześwie tnywbie guniestru dzo Ny kromiemie czakrótkie go o rężanie wie Zie ita kjedzie bezbron nyisa motnyje dzie.

Recytację urozmaicały pokwękiwania starszej pani na łóżku, których nikt prócz Chacka zdawał się nie słyszeć. Rzeke Eske przyplły nołgdzienie byłobro Dulecznim skoniazesko czył w Netherbykruz ga Nekuko rzyła siepan naspóźnił sieko chanek.

Towarzysz Pillej przybył w połowie wiersza. Czoło miał błyszczące, mundu podwinięte nad kolana, pod pachami widać było ciemne plamy potu. Zbliżał się do czterdziestki, był kiepsko zbudowanym niskim mężczyzną o ziemistej cerze.

Nogi miał jak patyki, a opięty skórą rozdęty brzuch, tak samo jak wole jego matki, zupełnie

nie pasował do reszty jego chudego, wąskiego ciała i czujnej twarzy. Jakby jakieś rodzinne geny kazały im nosić obowiązkowe gule, które wyskakiwały na wybranych drogą losową częściach ciała.

Schludny cienki wąsik dzielił jego górną wargę na dwie poziome części i był dokładnie tej samej długości co usta. Włosy nad czołem zaczynały mu się cofać, czego nie starał się ukryć, i czesał je do tyłu. Widać było wyraźnie, że ciągle być młodym nie jest jego ambicją. Roztaczał wokół siebie swobodny autorytet Pana Domu. Uśmiechnął się do Chacka i skinął mu głową na powitanie, lecz zignorował obecność żony i matki.

Latha zastrzygła ku niemu oczami, prosząc o zgodę na kontynuowanie recytacji. Pozwolenie zostało dane. Towarzysz Pillej zdjął koszulę, zwinął ją w kulkę i wytarł się nią pod pachami. Kiedy skończył, Kaljani wzięła ją od niego i trzymała jak cenny podarunek. Albo bukiet kwiatów. Towarzysz Pillej, w podkoszulku bez rękawów, usiadł na składanym krześle, położył sobie lewą stopę na prawym biodrze i podparł twarz dłonią. Do końca recytacji swej bratanicy siedział wpatrzony kontemplacyjnie w podłogę, wystukując prawą stopą rytm i kadencję wiersza. Wolną dłonią masował pięknie wysklepione podbicie lewej stopy.

Kiedy Latha skończyła, Chacko nagroził ją szczerymi oklaskami. Nie podziękowała mu za oklaski choćby mgnieniem uśmiechu. Przypominała pływaczkę z NRD na lokalnych zawodach. Jej celem było Olimpijskie Złoto. Wszelkie pomniejsze osiągnięcia odbierała jako jej należne. Poprosiła stryja wzrokiem o zgodę na opuszczenie pokoju.

Towarzysz Pillej przywołał ją do siebie skinieniem dłoni i szepnął do ucha:

– Idź powiedz Pothaćenowi i Mathukuttiemu, że jeśli chcą się ze mną zobaczyć, to muszą przyjść natychmiast.

– Nie, towarzyszu, naprawdę... już nic więcej nie przełknę – powiedział Chacko, sądząc, że towarzysz Pillej posyła Lathę po dalsze przekąski. Towarzysz Pillej, wdzięczny za to nieporozumienie, nie sprostował go.

– Nie nie nie. Jakże to tak? Edi Kaljani, przynieś talerz avalose oondas.

Będąc człowiekiem z aspiracjami politycznymi, towarzysz Pillej pragnął być postrzegany przez swój elektorat jako człowiek wpływowy. Chciał wykorzystać wizytę Chacka, aby zrobić wrażenie na lokalnych petentach i należących do partii robotnikach. Pothaćen i Mathukutti, mieszkańcy wioski, po których posłał, poprosili go wcześniej, aby użył swych koneksji w szpitalu w Kottajam i załatwił ich córkom posady pielęgniarek. Towarzysz Pillej pragnął, aby

ich widziano, jak czekają przed jego domem na audiencję. Im więcej ludzi będzie czekało przed jego domem, tym bardziej wyda się zajęty, tym lepsze zrobi wrażenie. Wiedział również, że wizyta Modalaliego fabryki, który fątyguje się do niego do domu, sprawi, że do czekających dotrą rozmaite korzystne sygnały. – No i jak tam, towarzyszu? – spytał towarzysz Pillej, kiedy Latha została odprawiona i przybyły avalose oondas. Co nowego? Jak aklimatyzuje się pańska córka? – Uważał za stosowne rozmawiać z Chackiem po angielsku.

– Doskonale. Teraz śpi jak kamień.

– Aha. Jet lag, jak sądzę – powiedział towarzysz Pillej, dumny z siebie, że może się pochwalić pewną wiedzą na temat podróży międzynarodowych.

– Co tam się dzieje w Olassie? Zebranie partyjne? – spytał Chacko.

– Ach, nie, nic z tych rzeczy. Moja siostra Sudha zawarła znajomość z pęknięciem kości – odparł towarzysz Pillej, jakby Pęknięcie Kości było składającym wizytę dygnitarzem. Więc zabrałem ją do Olassa Moos na leczenie. Olejki i tym podobne sprawy. Jej mąż jest w Patnie, więc ona siedzi sama u teściów.

Lenin opuścił swe stanowisko przy drzwiach, ułokował się między kolanami ojca i zaczął dłubać w nosie.

– Może ty też nam powiesz jakiś wiersz, młody człowieku? zwrócił się do niego Chacko. – Ojciec nie uczy cię wierszy? Lenin gapił się na Chacka, nie dając po sobie poznać, czy rozumiał, a nawet czy w ogóle usłyszał, co powiedział do niego gość.

– On wie wszystko – powiedział towarzysz Pillej. – To geniusz. Tylko że peszy się przy obcych.

Towarzysz Pillej potrząsnął Leninem między kolanami.

– Lenin Mon, powiedz towarzyszowi wujkowi ten, którego Pappa cię nauczył. „Bracia-Rzymianie...”

Lenin kontynuował poszukiwanie skarbów w jaskiniach nosa.

– No, nie wstydz się, Mon, to przecież nasz towarzysz wujek...

Towarzysz Pillej jeszcze raz spróbował wystartować z Szekspirem.

– „Bracia-Rzymianie, słuchajcie...”?

Niewzruszone spojrzenie Lenina nadal spoczywało na Chacku. Towarzysz Pillej podjął kolejną próbę.

– „...słuchajcie...”?

Lenin złapał pełną garść chrupek bananowych i wypadł na zewnątrz drzwiami frontowymi. Zaczął biegać tam i z powrotem po podwórzu między domem a drogą, rżąc z podniecenia, którego sam nie mógł zrozumieć. Kiedy trochę ochłonął, jego sprinty przerodziły się w szalony galop z kolanami unoszonymi wysoko do góry.

– słuchajcie z uWAGĄ zawołał Lenin z podwórza, przekrzykując warkot przejeżdżającego autobusu.

Przy chodzemchować Cezara, nie chwalić.

Złęczyny ludzi żyją dłużej odnich, Dobro wrazimi znika nieraz w grobie.

Jego wyrzeszczana recytacja była płynna, bez zająknięcia. Co stanowiło nie lada wyczyn, zważywszy, że miał zaledwie sześć lat i nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił. Towa rzysz Pillej, który siedział w środku i patrzył przez okno na wzbijającego tumany kurzu diabełka (przyszłego administratora budynków z dzieckiem i skuterem marki Bajaj), uśmiechnął się z dumą.

– Jest prymusem. W tym roku przeskoczy o jedną klasę do góry.

Mały, upalny pokój mieścił w sobie wiele ambicji.

Cokolwiek towarzysz Pillej trzymał w swym kredensie z zasłonkami, z pewnością nie były to połamane samoloty z drzewa balsa.

Tymczasem Chacko, od chwili gdy wszedł do domu, a może od przybycia towarzysza Pilleja, uległ osobliwemu procesowi dewaluacji. Jak generał, któremu odebrano gwiazdki, pohamował uśmiech. Wciągnął brzuch. Obca osoba uznałaby go w tym momencie za człowieka małomównego. Wręcz nieśmiałego.

Towarzysz Pillej, obdarzony nieomylnym instynktem ulicznego bojówkarza, wiedział, że jego nędzne warunki życiowe (jego mały, upalny dom, jego pokwękująca matka, jego oczywista zażyłość z masami pracującymi) dają mu władzę nad Chackiem, której w tych rewolucyjnych czasach nie jest w stanie zrównoważyć żadna ilość oksfordzkiej edukacji. Przystawił Chackowi do głowy swoją biedę jak pistolet. Chacko wyjął pomiętą kartkę papieru z próbnym projektem nowej etykiety, której druk chciał zamówić u towarzysza Pilleja. Była to etykieta nowego produktu, który Marynaty i Przetwory „Paradise” miały rzucić na rynek wiosną. Syntetyczny ocet. Rysowanie nie należało do mocnych stron Chacka, lecz towarzysz Pillej uchwycił ogólną ideę. Znał logo z tancerzem kathakali, znał wypisane poniżej spódnicy hasło „Władcy królestwa smaku” (jego pomysł), znał czcionkę wybraną przez Marynaty i Przetwory „Paradise”.

– Wygląda na to, że graficznie projekt niczym się nie różni. Tylko tekst jest inny – powiedział towarzysz Pillej. – I kolor otoczki – sprostował Chacko. – Musztardowy zamiast czerwonego.

Towarzysz Pillej podniósł okulary na włosy, aby przeczytać na głos tekst. Szkła natychmiast zaciągnęły się mgiełką olejku do włosów.

– „Syntetyczny ocet spożywczy” – powiedział. – To wszystko, jak sądzę, wersalikami.

– Błękit pruski – odparł Chacko.

– Na bazie kwasu octowego”?

– Błękit królewski – powiedział Chacko. – Tak jak zielona kukurydza w zalewie octowej.

– „Waga netto. Numer serii. Data produkcji. Termin przydatności do spożycia. Maksymalna cena detaliczna...” ten sam kolor, błękit królewski, tylko małe i duże litery.

Chacko skinął głową.

– „Niniejszym gwarantujemy, że ocet w tej butelce zawiera wymienione składniki i został wyprodukowany zgodnie z normami jakości. Składniki: Woda i kwas octowy”. To będzie, jak sądzę, na czerwono.

Towarzysz Pillej posługiwał się zwrotem „jak sądzę” w celu ukrycia pytań pod formą twierdzących. Nie znośił zadawać pytań, chyba że natury osobistej. Zadawanie pytań oznaczało prostackie przyznawanie się do niewiedzy.

Zanim skończyli omawianie etykietek, zarówno Chacko, jak i towarzysz Pillej zostali ukoronowani osobistym lejkiem moskitów.

Uzgodnili termin wykonania zlecenia.

– A zatem wczorajszy marsz zakończył się sukcesem? powiedział Chacko, przechodząc wreszcie do prawdziwej przyczyny swej wizyty.

– Dopóki nasze żądania nie zostaną spełnione, towarzyszu, nie można mówić o sukcesie albo jego braku. – W ton głosu towarzysza Pilleja wkradła się agitatorska nutka. – Na razie walka musi być kontynuowana.

– Lecz odzew był dobry – podszturczywał go Chacko, próbując mówić tym samym językiem.

– Niewątpliwie – odparł towarzysz Pillej. – Towarzysze przedłożyli petycję sztabowi głównemu Partii. Teraz pozostaje tylko czekać.

– Minęliśmy ich wczoraj na drodze – powiedział Chacko. Marsz protestacyjny.

– Na drodze do Koczinu, jak sądzę – powiedział towarzysz Pillej. – Lecz jak twierdzą źródła

partyjne, Odzew w Triwandrum był znacznie lepszy.

– Również w Koczinie było tysiące towarzyszy – powiedział Chacko. – Moja siostrzenica widziała między nimi Weluthę.

– Aha. Rozumiem. – Towarzysz Pillej został wzięty przez zaskoczenie. Zamierzał sam poruszyć temat Weluthy. Kiedyś w bliżej nie sprecyzowanej przyszłości. Ale nie tak bezpośrednio. Jego umysł buczał jak przenośny wentylator. Zastanawiał się, czy pociągnąć temat, skoro już został podjęty, czy zostawić to na inną okazję. Zdecydował się na pierwsze rozwiązanie.

– Tak. To dobry pracownik – powiedział z zadumą. – Bardzo inteligentny.

– To prawda – poparł go Chacko. – Wyśmienity stolarz o inżynierskim umyśle. Gdyby nie...

– Nie o to mi chodziło, towarzyszu – przerwał mu towarzysz Pillej. – Dobry pracownik partyjny.

Matka towarzysza Pilleja wciąż kołysała się i pokwękiwała.

W jednostajnym rytmie jej kwęknięcie było coś uspokajającego. Jak tykanie zegara. Dźwięk, którego się prawie nie zauważa, dopóki nie ucichnie.

– A, rozumiem. Jest oficjalnym członkiem Partii?

– Jak najbardziej – odpowiedział towarzysz Pillej. – Jak najbardziej.

Pot ściekał Chackowi po włosach. Czuł się, jakby oddział mrówek maszerował mu po czaszce. Obiema rękami długo drapał się w głowę. Poruszając skórą w górę i w dół.

– Oru kaaryam parayattey? – towarzysz Pillej przeszedł na malajalam, używając poufnego, konspiracyjnego tonu. Mówię jako przyjaciel, keto. Tylko między nami.

Zanim podjął swą wypowiedź, towarzysz Pillej zbadał Chacka wzrokiem, aby ocenić jego reakcję. Chacko przyglądał się szarej paście potu i łupieżu, którą miał za paznokciami.

– Ten parawan napyta wam biedy – powiedział. – Uwierzcie mi, towarzyszu... znajdźcie mu pracę gdzie indziej. Zwolnijcie go.

Chacko był zaskoczony tokiem rozmowy. Chciał się tylko dowiedzieć, jak sprawy stoją. Spodziewał się oporu, nawet kłótni, tymczasem towarzysz Pillej, który źle ocenił sytuację, próbował go wciągnąć w spisek.

– Zwolnić go? Ale dlaczego? Nie mam nic przeciwko jego członkostwu w Partii. Byłem tylko ciekaw, nic więcej... Sądziłem, że może z nim rozmawialiście – powiedział Chacko. Ale jestem pewien, że on tylko eksperymentuje, sprawdza, skąd wieje wiatr. To rozsądny człowiek,

towarzyszu. Mam do niego zaufanie...

– Nie do końca się zgadzam – powiedział towarzysz Pillej. – Nie wykluczam, że może być bez zarzutu jako człowiek. Ale inni pracownicy nie są z niego zadowoleni. Zaczynają przychodzić do mnie z zażaleniami... Widzicie, towarzyszu, w kontekście lokalnym te sprawy kastowe są bardzo głęboko zakorzenione.

Kaljani postawiła mężowi na stole metalowy kubek z parującą kawą.

– Weźmy choćby ją. Pani domu. Nawet ona nie wpuści do domu parawanów i tym podobnych. Nigdy. Nawet ja nie potrafię jej przekonać. Mojej własnej żony. W domu oczywiście ona rządzi. – Odwrócił się do niej z czułym, filuternym uśmiechem. – Allay edi, Kaljani?

Kaljani spuściła wzrok i nieśmiało potwierdziła swój szowinizm.

– Widzicie? – powiedział z triumfem towarzysz Pillej. Bardzo dobrze rozumie po angielsku. Tylko nie mówi.

Chacko uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Mówicie, że moi pracownicy przychodzą do was z zażaleniami...

– Przychodzą – potwierdził towarzysz Pillej.

– Coś konkretnego?

– Właściwie nic konkretnego – odparł towarzysz K.N.M.

Pillej. – Ale widzicie, towarzyszu, wszelkie przywileje, które mu przyznajecie, budzą w ludziach niechęć. Uznają to za dyskryminowanie innych. W końcu niezależnie od tego, jaką pracę wykonuje, stolarz, elektryk czy kto tam jeszcze, dla nich jest tylko parawanem. Tak zostali uwarunkowani od urodzenia. Ja sam im powiedziałem, że tak nie można myśleć. Ale mówiąc szczerze, towarzyszu, co innego zmiany, co innego ich akceptacja. Musicie być ostrożni. Lepiej będzie dla was, jeśli go zwolnicie...

– Mój drogi kolego – powiedział Chacko. – To wykluczone. Welutha jest bezcenny. Praktycznie kieruje fabryką. Poza tym nie możemy rozwiązać problemu, zwalniając wszystkich parawanów. Musimy się nauczyć jakoś sobie radzić z tą bzdurą.

Towarzysz Pillej nie lubił, kiedy zwracano się do niego per „Mój Drogi Kolego”. Brzmiało to dla niego jak obelga, ubrana w dobrą angielszczyznę, co w sumie dawało podwójną obelgę – Chacko sądził zapewne, że jego rozmówca nie czuje protekcyjności tego zwrotu, tymczasem całkowicie zepsuło to humor towarzyszowi Pillejowi.

– Może musimy – powiedział kostycznie. – Ale nie w jeden dzień Rzym zbudowano. Nie

zapominajcie, towarzyszu, że to nie jest college w Oksfordzie. Dla towarzysza to bzdura, dla mas co innego.

Lenin, który po ojcu odziedziczył chudość, a po matce oczy, stanął w drzwiach zdyszany. Zdążył wykrzyczeć całą przemowę Marka Antoniusza i większość Lochinvar, zanim zdał sobie sprawę, że stracił publiczność. Ponownie ulokował się między rozchylonymi kolanami towarzysza Pilleja.

Klasnął w dłonie nad głową ojca, masakrując lejek moskitów. Policzył rozgniecione zwłoki na dłoniach. Niektóre napuchnięte świeżą krwią. Zademontrował je ojcu, który prze-, kazał go matce do umycia.

Jeszcze raz panującą między nimi ciszę zakłóciły pokwękiwania starej pani Pillej. Przybyła Latha z Pothaćenem i Mathukuttim. Kazano im zaczekać na zewnątrz. Drzwi zostawiono uchylone. Kiedy towarzysz Pillej odezwał się znowu, mówił w malajalam i na tyle głośno, aby słyszała go publiczność na zewnątrz.

– Oczywiście odpowiednim forum do składania zażaleń przez pracowników jest związek zawodowy. A w tym przypadku, kiedy sam Modalali jest towarzyszem, to hańba, że nie uzwiązkowali się i nie przystąpili do walki partyjnej. – Pomyślałem o tym – powiedział Chacko. – Zamierzam formalnie zorganizować ich w związek zawodowy. Wybiorą swoich własnych przedstawicieli.

– Ale, towarzyszu, nie możecie za nich organizować rewolucji. Możecie tylko pobudzić w nich świadomość rewolucyjną. Wykształcić ich. Oni sami muszą podjąć walkę. Oni sami muszą przewyciężyć swój strach.

– Strach przed kim? – Chacko uśmiechnął się. – Przede mną?

– Nie, nie przed wami, mój drogi towarzyszu. Stulecia ucisku wytworzyły w nich strach.

Następnie towarzysz Pillej, grmiącym głosem, zacytował przewodniczącego Mao. W malajalam. Z wyrazu twarzy był w tym momencie zadziwiająco podobny do swej siostrzenicy.

– Rewolucja to nie bankiet. Rewolucja to powstanie, to akt przemocy, w którym jedna klasa obala drugą.

A zatem towarzysz Pillej, zaklepawszy sobie kontrakt na etykiety syntetycznego octu spożywczego, sprytnie przeniósł Chacka z walczących szeregów obalaczy do zdradzieckich szeregów obalanych.

Siedzieli obok siebie na żelaznych składanych krzesłach, po południu tego dnia, w którym

przyjechała Sophie Mol, popijając kawę i zagryzając chrupkami bananowymi. Usuwając językami nasiąkłą żółtą papkę, która przyklejała im się do podniebień.

Mały Chudy Mężczyzna i Duży Gruby Mężczyzna. Komiksowi przeciwnicy w wojnie, która jeszcze się nie rozpoczęła. Miała to być wojna, która, niestety, dla towarzysza Filleja dobiegła końca, właściwie jeszcze zanim się zaczęła. Zwycięstwo zostało mu podane na srebrnej tacy, zawinięte w ozdobny papier i obwiązane wstążeczką. Dopiero kiedy było już za późno i Marynaty „Paradise” bezgłośnie i nie stawiając oporu, osunęły się na ziemię, towarzysz Pillej zdał sobie sprawę, że bardziej niż następstw zwycięstwa potrzebował samego procesu wojny. Wojna mogła być ogierem, który dowiózłby go, a przynajmniej podwiózł kawałek do Parlamentu, natomiast zwycięstwo nie przyniosło mu żadnych korzyści.

Jego rąbanie drzew okazało się wyjątkowo nieskuteczne:

nie tylko poleciały wióry, ale i drewno całe popękało.

Nikt się nigdy nie dowiedział, jaką dokładnie rolę odegrał towarzysz Pillej w wydarzeniach, które później nastąpiły. Nawet Chacko – który wiedział, że płomienne przemówienia na temat Praw Niedotykalnych („Kasta to Klasa, towarzysze”) wygłaszane przez towarzysza Pilleja podczas oblężenia Marynat „Paradise” przez Partię Marksistowską są faryzejskieni nigdy nie poznał całej prawdy. Nie żeby mu na tym zależało. Otepiały po utracie Sophie Mol, patrzył na wszystko spojrzeniem zaciągniętym żalobą. Jak dziecko dotknięte tragedią, które nagle staje się dorosłe i porzuca rozrywki dzieciństwa, Chacko cisnął w kąt swe zabawki. Marzenia marynatowego potentata i wojna ludu dołączyły do połamanych samolotów w jego kredensie z szybkami. Po zamknięciu Marynat „Paradise” sprzedano kilka pól ryżowych (wraz z dzierzawcami), aby spłacić pożyczki bankowe. Kilka następnych spieniężono po to, aby rodzina miała co jeść i w co się ubrać. Kiedy Chacko wyemigrował do Kanady, jedyny dochód rodziny pochodził z plantacji drzew kauczukowych, która przylegała do Ayemenem House, i z kilku palm kokosowych w granicach posesji. Takie były źródła utrzymania Baby Koćammy i Koću Marii, kiedy wszyscy inni umarli, wyjechali lub zostali Oddani.

Należy uczciwie przyznać, że towarzysz Pillej nie zaplanował takiego rozwoju wydarzeń. Po prostu wsunął obojętne palce w oczekującą rękawicę Historii.

Nie było całkowicie jego winą, że żył w społeczeństwie, w którym czyjaś śmierć może przynieść większy użytek niż całe jego życie.

Ostatnia wizyta Weluthy u towarzysza Pilleja – po jego konfrontacji z Mammaci i Baby

Koćammą – i to, co między nimi zaszło, pozostało tajemnicą. Tajemnicą pozostała ta ostatnia zdrada, która kazała Welucie popłynąć przez rzekę pod prąd, w ciemnościach i deszczu, akurat na czas, by zdążyć na randkę w ciemno z historią.

Welutha złapał ostatni autobus z Kottajam, gdzie oddał do naprawy maszynę do puszkowania. Na przystanku spotkał innego pracownika fabryki, który powiedział mu z ironicznym uśmiechem, że Mammaci chce się z nim widzieć. Welutha nie wiedział, co się wydarzyło i nie miał pojęcia o pijackiej wizycie swego ojca w Ayemenem House. Nie wiedział również, że Wellja Paapen siedzi od wielu godzin przed drzwiami ich chaty, wciąż pijany, ze szklanym okiem i ostrzem siekiery migotającymi w świetle lampy, i czeka na powrót Weluthy. Ani że biedny, sparaliżowany Kuttappen, zdrętwiały z przerażenia, od dwóch godzin cały czas mówi do ojca, próbując go uspokoić, a jednocześnie nasłuchuje odgłosu kroków lub szelestu poszycia, aby ostrzec krzykiem swego nie podejrzewającego brata.

Welutha nie poszedł do domu. Poszedł prosto do Ayemenem House. Choć z jednej strony został wzięty przez zaskoczenie, z drugiej strony wiedział, pradawnym instynktem, że któregoś dnia historia go nawiedzi. Kiedy Mammaci wygłaszała swą tyradę, zachowywał się powściągliwie i z dziwnym opanowaniem. Było to opanowanie, które rodzi się ze skrajnego wzburzenia. Jasność umysłu, która przekracza gniew.

Kiedy przybył Welutha, Mammaci straciła orientację: pluła jadem, rzucała ordynarnymi, niewybaczalnymi wyzwiskami w szklaną szybkę harmonijkowych drzwi, dopóki Baby Koćamma nie obróciła jej taktownie i nie wymierzyła jej furii w odpowiednim kierunku, w Weluthę stojącego nieruchomo w mroku. Mammaci kontynuowała swą tyradę, jej oczy puste, jej twarz ohydnie powykrzywiana, jej gniew popychający ją ku Welucie, aż wreszcie krzyczała mu z bliska w twarz, przyskajac na niego śliną i wionąc odorem odstałej herbaty. Baby Koćamma stała blisko Mammaci. Nie odzywała się, lecz za pomocą rąk modulowała furię Mammaci, dorzucała do niej paliwa. Zachęcającym klepnięciem w ramię. Dodającym odwagi objęciem jej w pasie. Mammaci zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tej manipulacji.

Dla wszystkich, którzy ją słyszeli (Baby Koćammy, Koću Marii, zamkniętej w swoim pokoju Ammu) pozostało tajemnicą, skąd starsza pani jej pokroju – która nosiła świeżo wyprane i wyprasowane sari, a wieczorami grała na skrzypcach suite z Dziadka do orzechów – nauczyła się tak wulgarnego języka.

– Precz! – krzyknęła na koniec. – Jeśli znajdę cię jutro na moim terenie, każę cię

wykastrować jak pariańskiego psa, którym jesteś! Każę cię zabić!

– Zobaczymy – odparł spokojnie Welutha.

Nic więcej nie powiedział. W zeznaniu, które Baby Koćamma złożyła inspektorowi Thomasowi Mathew w jego gabinecie, to jedno słowo urosło do rangi gróźb morderstwa i uprowadzenia.

Mammaci plunęła Welucie w twarz. Gęstą śliną. Która rozprysnęła mu się na twarzy. Na ustach i oczach.

Wciąż stał nieruchomo. Oszołomiony. Potem odwrócił się i poszedł.

Kiedy oddalał się od Ayemenem House, czuł, że jego zmysły są wyostrzone i wyszlifowane. Jakby wszystko wokół niego zostało spłaszczone do postaci schematycznej ilustracji. Rysunku maszynowego wraz z instrukcją obsługi, która mówiła mu, co ma robić. Jego umysł, rozpaczliwie potrzebujący jakiegoś zakotwiczenia, chwycił się szczegółów. Przylepiał etykiety każdej napotkanej rzeczy.

Brama, pomyślał, wychodząc przez bramę. Brama. Droga. Kamienie. Niebo. Deszcz.

Brama.

Droga.

Kamienie.

Niebo.

Deszcz.

Deszcz na jego skórze był ciepły. Lateryt pod jego stopami wyszczerbiony. Welutha wiedział, dokąd idzie. Wszystko zauważał. Każdy liść. Każde drzewo. Każdą chmurę na bezgwiezdnym niebie. Każdy postawiony przez siebie krok. Koo-koo kookum theevandi Kooki paadum theevandi Rapakal odum theevandi Thalannu nilkum theevandi Był to wiersz o pociągu, którego nauczył się na pierwszej lekcji w szkole.

Zaczął liczyć. Nieważne, co. Wszystko. Jeden dwa trzy cztery pięć sześć siedem osiem dziewięć dziesięć jedenaście dwanaście trzynaście czternaście piętnaście szesnaście siedemnaście osiemnaście dziewiętnaście dwadzieścia dwadzieścia jeden dwadzieścia dwa dwadzieścia trzy dwadzieścia cztery dwadzieścia pięć dwadzieścia sześć dwadzieścia siedem dwadzieścia osiem dwadzieścia dziewięć...

Rysunek maszynowy zaczął się rozmazywać. Linie stały się postrzępione. Instrukcje niezrozumiałe. Droga stroma, a ciemność gęsta. Łapczywa. Brnięcie przez nią stanowiło wysiłek.

Jak pływanie pod wodą.

To się dzieje, poinformował go jakiś głos. To się zaczęło. Jego umysł, nagle nieprawdopodobnie stary, wypłynął z jego ciała i unosił się wysoko nad nim w powietrzu, skąd wykrzykiwał beżycieczne ostrzeżenia.

Obserwował z góry, jak ciało młodego człowieka idzie przez ciemność i zacinający deszcz. Ponad wszystko inne ciało pragnęło usnąć. Usnąć i zbudzić się w innym świecie. Z zapachem jej skóry w powietrzu, którym oddychał. Z jej ciałem na swoim. Być może już nigdy jej nie zobaczy. Gdzie ona jest? Co z nią zrobili? Skrzywdzili ją?

Szedł dalej. Nie odwrócił twarzy od deszczu ani ku niemu. Ani nie cieszył się deszczem, ani z nim nie walczył.

Mimo że deszcz zmył mu z twarzy plwocinę Mammaci, nie uwolnił go od uczucia, że ktoś podniósł mu głowę jak pokrywkę i zwymiotował do jego ciała. Grudowate rzygowiny spływające mu po wnętrzościach. Po sercu. Po płucach. Powolne, gęste kapanie na dno żołądka. Wszystkie jego organy unurzane w wymiocinach. Deszcz nie mógł nic tutaj pomóc. Wiedział, co musi zrobić. Powiedziała mu to instrukcja obsługi. Musiał się dostać do towarzysza Pilleja. Już zapomniał, dlaczego. Nogi zanosły go pod budynek Lucky Press, który był zamknięty, a potem przez maleńkie podwórze do domu towarzysza Pilleja.

Był tak zmęczony, że ledwo zdołał unieść ramię, aby zastukać do drzwi.

Towarzysz Pillej właśnie skończył awial i rozgniatał dojrzałego banana, przez zaciśnięte w pięść palce wyciskając miążgę na talerz twarogu, kiedy zapukał Welutha. Towarzysz Pillej posłał żonę, aby otworzyła. Wróciła nachmurzona i pomyślał towarzysz Pillej – nagle seksowna. Poczul ochotę, by natychmiast dotknąć jej piersi. Miał jednak twaróg na palcach, a poza tym ktoś czekał za drzwiami. Kaljani usiadła na łóżku i z roztargnieniem głaskała Lenina, który spał obok swej miniaturowej babci, ssąc kciuk.

– Kto to jest?

– Ten parawan, syn Paapena. Mówi, że to pilne.

Towarzysz Pillej bez pośpiechu dokończył jeść twaróg.

Wytał palcami talerz. Kaljani przyniosła mu wody w małym pojemniku ze stali nierdzewnej i nalala na talerz. Resztki jedzenia (suche czerwone chilli i sztywne kanciaste pędzelki wyspanych i wyplutych kosteczek kurczaka) uniosły się i pływały na powierzchni. Przyniosła mu ręczniczek do rąk. Wytał dłonie, beknął z aprobatą i podszedł do drzwi frontowych.

– Enda? O tej porze?

Welutha zaczął mówić i poczuł, jak jego własny głos uderza w niego, jakby odbijał się od ściany. Usiłował wytłumażyć, co się wydarzyło, ale słyszał, że wychodzi z tego bełkot. Człowiek, do którego mówił, był mały i oddalony, oddzielony od niego szklaną ścianą.

– To mała wioska – powiedział towarzysz Pillej. – Ludzie mówią. Ja słucham, co mówią. Zresztą i bez tego wiem, co się dzieje.

Welutha znów usłyszał siebie mówiącego coś, co nie robiło żadnego wrażenia na rozmówcy. Jego własny głos owinął się wokół niego jak wąż.

– Być może – odparł towarzysz Pillej. – Ale powinniście wiedzieć, towarzyszu, że Partia nie została założona po to, by wspierać robotników, którzy nie umieją zachować dyscypliny w życiu prywatnym.

Welutha patrzył, jak ciało towarzysza Pilleja rozplywa się w powietrzu. Ubezpieśniony, tubalny głos pozostał i wygłaszał slogany. Proporzyczki powiewające w pustych drzwiach. Zajmowanie się takimi sprawami nie leży w interesie Partii. Interes jednostki jest podporządkowany interesowi organizacji.

Pogwałcenie Dyscypliny Partyjnej oznacza pogwałcenie Jedności Partii.

Głos mówił dalej. Zdania rozpadały się na poszczególne frazy. Słowa.

Postępy Rewolucji.

Unicestwienie Wroga Klasowego.

Kapitalista.

Wiosenny grzmot.

Znów to samo. Kolejna religia zwraca się przeciwko sobie samej. Kolejny gmach wzniesiony przez ludzki umysł wali się w gruzy na skutek działania ludzkiej natury. Towarzysz Pillej zamknął drzwi, aby wrócić do żony i przerwanej kolacji. Postanowił zjeść jeszcze jednego banana.

– Czego chciał? – spytała jego żona, podając mu banana.

– Dowiedzieli się. Ktoś musiał im donieść. Zwolnili go.

– Tylko tyle? Miał szczęście, że go nie powiesili na najbliższym drzewie.

– Zauważyłem coś dziwnego... – powiedział towarzysz Pillej, obierając banana. – Ten człowiek miał polakierowane na czerwono paznokcie...

Welutha stał na zewnątrz w deszczu, zimnie i mokrym świetle jedynej latarni ulicznej, kiedy nagle ogarnęła go senność. Oczy zamykały mu się same.

Jutro, powiedział sobie. Jutro, kiedy przestanie padać.

Jego stopy zaciągnęły go nad rzekę. Jakby były smyczą, a on psem.

Historia prowadzi psa na smyczy.

15. Przeprowa

Było po północy. Rzeka wezbrała, jej szybkie, czarne wody wiły się jak wąż ku morzu, niosąc w swym nurcie zachmurzone nocne niebo, cały liść palmowy, część trzciniowego płotu i inne rzeczy podarowane jej przez wiatr.

Deszcz wkrótce przeszedł w mżawkę, potem ustał. Lekki wiatr strząsał wodę z drzew i przez chwilę padało tylko pod drzewami, wcześniej dającymi schronienie.

Słaby, wodnisty księżyc sączył się przez chmury, ukazując młodego człowieka, który siedział na najwyższym z trzynastu kamiennych stopni prowadzących do wody. Był bardzo nieruchomy, bardzo mokry. Bardzo młody. Po chwili wstał, zdjął białe mundu, wykręcił i owinął sobie wokół głowy jak turban. Nagi zszedł po trzynastu kamiennych stopniach do wody i dalej, aż rzeka sięgnęła mu do piersi. Potem zaczął płynąć, zagarniając wodę swobodnymi, silnymi ruchami rąk. Kierował się tam, gdzie prąd był szybki i jednostajny, tam, gdzie zaczynało się robić Naprawdę Głęboko. Oświetlona księżycem rzeka spływała z jego ramion jak rękawy ze srebra. Przeprowa zajęła mu tylko kilka minut. Kiedy dotarł na drugą stronę, wynurzył się połyskujący i podciągnął na brzeg, czarny jak noc, która go otaczała, czarny jak woda, którą przepłynął.

Wszedł na ścieżkę, która prowadziła przez mokradła do Domu Historii.

Nie zostawił zmarszczek na wodzie.

Śladów stóp na brzegu.

Rozpostarł mundu nad głową, żeby wyschło. Wiatr unosił je jak żagiel. Nagle poczuł się szczęśliwy. Będzie gorzej, pomyślał. A potem lepiej. Szedł teraz powoli, ku Jądru Ciemności. Samotny jak wilk.

Bóg Utraconego.

Bóg Rzeczy Małych.

Nagi, jeśli nie liczyć lakieru do paznokci.

16. Kilka godzin później

Trójka dzieci nad brzegiem rzeki. Para bliźnięt i jeszcze jedno, z hasłem: „Wakacje!”, wypisanym pochyłą, radosną czcionką na fiołkoworóżowym fartuszku ze sztruksu.

Mokre liście na drzewach połyskiwały jak kutły metal. Gęste kiście żółtego bambusa smętnie opadały do wody, jakby z góry oplakiwały to, co miało się zdarzyć. Sama rzeka była ciemna i spokojna. Nie narzucała się ze swoją obecnością i niczym nie zdradzała, jaka jest wezbrana i silna.

Estha i Rahel wyciągnęli łódkę z zarośli, w których ją jak zwykle schowali. Wiosła, które zrobił dla nich Welutha, były ukryte w wydrążonym drzewie. Spuścili łódkę na wodę i przytrzymali nieruchomo, aby Sophie Mol mogła wsiąść. Wydawali się ufać ciemnościom, chodzili po lśniących kamiennych stopniach równie pewnie jak młode kózki.

Sophie Mol była ostrożniejsza. Trochę wystraszona tym, co skrywało się w cieniach wokół niej. Miała przewieszoną przez pierś płócienną torbę z jedzeniem wykradzionym z lodówki. Chleb, ciasto, herbatniki. Bliźnięta, którym ciążyły słowa matki: „Gdyby nie wy, byłabym wolna. Powinnam was była oddać do sierocińca zaraz po urodzeniu. Jesteście mi kamieniami u szyi” – nie niosły nic. Dzięki temu, co Pomarańczowo-Cytrynowy Mężczyzna zrobił Escie, ich drugi dom był już wyposażony. W ciągu dwóch tygodni, odkąd Estha wiosłował w szkarłatnym dzemie i pomyślał Dwie Myśli, przeszmyglowali tam Najniezbędniejsze Artykuły: zapalki, ziemniaki, zdezelowany rondel, nadmuchiwaną gęś, długopisy z londyńskimi autobusami i misia koala z naderwanymi oczami z guzików.

– A jeśli Ammu nas znajdzie i będzie nas błagała, żebyśmy wrócili?

– Wtedy wrócimy. Ale pod warunkiem, że będzie nas błagała.

Estha Współczujący.

Sophie Mol przekonała bliźnięta, że jest konieczne, aby ona wyprawiła się razem z nimi. Że nieobecność dzieci, wszystkich dzieci, wzmoże w dorosłych poczucie winy. Będą naprawdę żalowali tego, co zrobili, jak dorośli w Hamelin, kiedy Szczurołap zabrał im wszystkie dzieci. Będą ich wszędzie szukali i dopiero kiedy uzyskają pewność, że wszyscy troje nie żyją, oni wrócą triumfalnie do domu. Doceniani, kochani i potrzebni bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Przesądził sprawę argument, że jeżeli bliźnięta zostawią ją w domu, może być torturowana

i zmuszona do wyjawienia ich kryjówki.

Estha zaczekał, aż wsiądzie Rahel, po czym zajął swoje miejsce, siadając na łódce okrakiem jak na huśtawce. Nogami odepchnął łódkę od brzegu. Kiedy znaleźli się na głębszej wodzie, zaczęli wiosłować ukośnie w górę rzeki, pod prąd, jak uczył ich Welutha. („Jeśli chcecie dotrzeć tam, musicie mierzyć tam”).

Nie widzieli w ciemnościach, że jadą złym pasem cichej szosy pełnej wytłumionego ruchu. Że gałęzie, kłody, odłamane fragmenty drzew suną ku nim ze znaczną prędkością. Minęli już strefę, gdzie było Naprawdę Głęboko i brakowało im zaledwie kilku metrów do Drugiego Brzegu, kiedy zderzyli się z dryfującą kłodą i łódeczka wywróciła się. Zdarzyło im się to już wiele razy podczas poprzednich przepraw przez rzekę – podpływali wówczas do łódki i trzymając się jej, dowiosłowywali drugą ręką do brzegu. Tym razem nie widzieli łódki w ciemnościach. Porwał ją prąd. Skierowali się w stronę brzegu, zdziwieni, jak dużo wysiłku kosztuje ich przepłynięcie tak niewielkiej odległości.

Estha złapał jakąś niską gałąź, która opadała łukiem do wody. Próbował przebić wzrokiem ciemności i wypatrzeć łódkę w dole rzeki.

– Nic nie widzę. Nie ma jej.

Rahel, oblepiona mułem, wygramoliła się na brzeg i podała Escie rękę, aby pomóc mu wyjść z wody. Minęło kilka minut, zanim złapali oddech i zarejestrowali utratę łódki. Odżałowali jej zgon.

– I całe jedzenie się zmarnowało – powiedziała Rahel do Sophie Mol, lecz odpowiedziała jej cisza. Pędząca, szemrząca cisza, w której pływały ryby.

– Sophie Mol? – szepnęła do pędzącej rzeki. – Tutaj jesteśmy! Tutaj! Koło drzewa illimba!

Cisza.

Ćma Pappaciego na sercu Rahel rozpostarła swe ponure skrzydełka.

Trzep.

Trzep.

I uniosła odnóża.

W górę.

W dół.

Pobiegli wzdłuż brzegu, wołając jej imię. Ale jej nie było. Zabrała ją wytłumiona szosa. Szarozielona. Z rybami w środku. Z niebem i drzewami w środku. A nocą ze złamanym żółtym

księżycem w środku.

Nie zagrała muzyka „pod burzę”. Żaden wir nie uniósł się z atramentowych głębin Minaćal. Żaden rekin nie obserwował tragedii.

Była tylko spokojna uroczystość przekazania. Łódka wysypująca swój ładunek. Rzeka przyjmująca ofiarę. Jedno małe życie. Krótki promyk słońca. Ze srebrnym napastrkiem na szczęście w zaciśniętej małej piąstce.

Była czwarta rano, wciąż jeszcze ciemno, kiedy bliźnięta, ledwo żywe ze zmęczenia, zrozpaczone i oblepione błotem, przeszły przez mokradła i zbliżyły się do Domu Historii. Jaś i Małgosia w upiornej bajce, w którą miały być schwywane ich sny i prześnione na nowo. Położyli się na tylnej werandzie, na macie z sitowia, z nadmuchiwaną gęsią i Kantasem, misiem koala. Para przemoczonych karłów, zdrtwiałych ze strachu, czekających na koniec świata.

– Myślisz, że nie żyje?

Estha nie odpowiedział.

– Co teraz będzie?

– Pójdziemy do więzienia.

Znał się na tym jak ta lala. Mały Człowiek. Mieszkał w wozie cygańskim. Dum dum.

Nie zauważyli kogoś innego, kto leżał schowany w cieniach i spał. Samotny jak wilk. Brązowy liść na czarnych plecach. Który sprawiał, że monsuny przychodziły na czas.

17. Dworzec w Koczinie

W swym czystym pokoju w brudnym Ayemenem House Estha (nie stary, nie młody) siedział na łóżku w ciemnościach. Siedział bardzo prosto. Ramiona wyprostowane. Ręce złożone na udach. Jakby był następny w kolejce do jakiejś kontroli. Albo czekał, aż zostanie aresztowany.

Skończył prasowanie. Na desce do prasowania leżała sterta starannie złożonych ubrań. Wyprasował też ubrania Rahel. Padało bez przerwy. Nocny deszcz. Samotny dobosz ćwiczący swoją partię jeszcze długo, choć reszta orkiestry poszła już spać.

W bocznym mittam, koło osobnego wejścia na „Męskie Potrzeby”, chromowane stateczniki starego plymoutha zalśniły na chwilę w świetle błyskawicy. Przez wiele lat po wyjeździe Chacka do Kanady Baby Koćamma oddawała samochód do mycia. Dwa razy w tygodniu, za niewielką opłatą, szwagier Koću Marii, który był kierowcą żółtej śmieciarki miejskiej w Kottajam, przyjeżdżał do Ajemenem (anonsowany przez smród kottajamskich odpadków, który zalegał jeszcze długo po jego odjeździe), aby uwolnić szwagierkę od jej pensji i przejechać się plymouthem, żeby nie wyczerpał się akumulator. Po zainstalowaniu telewizora Baby Koćamma zaniedbała samochód wraz z ogrodem. Tutti-frutti.

Po każdym monsunie stary samochód coraz bardziej zapadał się w ziemię. Jak kanciasta, artretyczna kwoka siedząca sztywno na jajkach. Nie zamierzająca nigdy wstać. Tablica z napisem Marynaty i Przetwory „Paradise” zgniła i przewróciła się.

W połówce lusterka wstecznego nakrapianego plamami rtęci przeglądał się pęd bluszczu. Na tylnym siedzeniu leżał martwy wróbel. Wszedł do środka przez dziurę w przedniej szybie, skuszony wybebeszoną gąbką siedzenia, która posłużyła mu za gniazdo. Nigdy nie wydostał się na zewnątrz. Nikt nie zauważył jego przerażonych błagań o pomoc zza okna samochodu. Zdechł na tylnym siedzeniu, z nóżkami w powietrzu. Jakby to był jakiś wygłup.

Koću Maria spała na podłodze salonu, zwinięta w precinek w migoczącym świetle nie wyłączzonego telewizora. Amerykańscy policjanci pakowali skutego kajdankami nastolatka do samochodu policyjnego. Na chodniku była rozbryzgana krew. Światła samochodów policyjnych błyskały i syrena wyła ostrzegawczo. Wymizerowana kobieta, być może matka chłopca, przyglądała się strachliwie z cienia. Chłopiec stawiał opór. Górna część jego twarzy była zasłonięta rozmytą mozaiką, żeby nie mógł pozwać stacji telewizyjnej do sądu. Miał zaschniętą

krew na ustach i na przedzie podkoszulka, jak czerwone żebro. Warczał na swych oprawców, oddzielając różowe jak u niemowlęcia usta od zębów. Wyglądał jak wilkołak. Wrzeszczał do kamery przez okno samochodu.

– Mam piętnaście lat i chciałbym być lepszym człowiekiem. Ale nie jestem. Chcecie posłuchać mojej łzawej historii? Splunął w kamerę, pocisk śliny rozprysnął się na obiektywie i pociekł w dół.

Baby Koćamma była w swoim pokoju, siedziała na łóżku, wypełniając kupon, na który można było dostać dwie rupie rabatu na nową 500-mililitrową butelkę listeryny. Olbrzymie cienie małych owadów omiatały ściany i sufit. Aby się ich pozbyć, Baby Koćamma pogasiła światła i zapa liła dużą świecę w balii wody., Woda już była gęsta od przypieczonych zwłok owadzych. Światło świecy podkreślało różowość upudrowanych policzków i czerwień uszmkowanych ust Baby Koćammy. Jej mascara była rozmazana. Jej biżuteria migotała.

Obróciła kupon do światła świecy.

Jakiej marki płynu do płukania ust zazwyczaj używasz? Listeryny, wpisała Baby Koćamma. Jej pismo z wiekiem zrobiło się pajęczne.

Dlaczego?

Nie wahała się. Wyrazisty smak. Świeży oddech. Nauczyła się snobistycznego, skrótowego języka reklam telewizyjnych. Wypełniła rubrykę imię i nazwisko i zaniżyła swój wiek.

W rubryce „Zawód”: wpisała: „Ogrodnictwo ozdobne, dyplom w Roch. USA”.

Włożyła kupon do koperty z nadrukiem APTEKA, KTÓREJ MOŻESZ ZAUFAĆ. Pójdzie jutro z Koću Marią, która co rano wyruszała na wyprawę po bułki maślane do piekarni w mieście.

Baby Koćamma wzięła do ręki swój dziennik w brązowej oprawie, który kupiła razem z piórem. Otworzyła na 19 czerwca i zrobiła nowy wpis. Jej ruchy zdradzały rutynę. Napisała: „Kocham Cię Kocham Cię”.

Wpis na każdej stronie dziennika był identyczny. Miała cały kuferek dzienników z identycznymi wpisami. Niektóre były dłuższe. Niektóre zawierały dzienne rozliczenia, sprawy do załatwienia, urywki ulubionych dialogów z ulubionych oper mydlanych, lecz nawet te wpisy nieodmiennie zaczynały się od tych samych słów: „Kocham Cię Kocham Cię”.

Ojciec Mulligan zmarł cztery lata wcześniej na wirusowe zapalenie wątroby, w aśramie na północ od Ryszikeś. Lata kontemplacji świętych tekstów hinduistycznych początkowo wzbudziły

w nim teologiczną ciekawość, lecz w końcu doprowadziły do zmiany wiary. Piętnaście lat wcześniej ojciec Mulligan został wisznuitą. Wyznawcą Pana Wisznu. Pozostał w kontakcie z Baby Koćamma nawet po wstąpieniu do aśramu. Pisał do niej w każde Diwali i wysyłał kartkę z pozdrowieniami na Nowy Rok. Kilka lat wcześniej przesłał jej swoje zdjęcie, na którym zwracał się do grupy pendżabijskich wdów z klas średnich na zgrupowaniu duchowym. Wszystkie kobiety były ubrane na biało, z palu swych sari naciągniętymi na głowę. Ojciec Mulligan miał na sobie szafranową szatę. Żółtko przemawiające do morza gotowanych jajek. Jego biała broda i włosy były długie, lecz uczesane i wypielęgowane. Szafranowy święty Mikołaj z wotywnym popiołem na czole.

Baby Koćamma nie mogła w to uwierzyć. Była to jedyna z przysłanych przez niego rzeczy, której nie zachowała. Zraniło ją to, że kiedy w końcu zrzekł się ślubów, zrobił to dla innych ślubów, a nie dla niej. To tak, jakby witać kogoś z otwartymi ramionami, a ten ktoś padłby w objęcia kogo innego.

Śmierć ojca Mulligana nie wpłynęła na treść wpisów w dzienniku Baby Koćammy, ponieważ nie stał się on przez to mniej osiągalny. Jeśli już, to należał do niej po śmierci bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Przynajmniej jej wspomnienie o nim należało do niej. Wyłącznie do niej. Dziko, gwałtownie. Nie musiała go dzielić z Wiarą, a jeszcze mniej ze współzakonniami, współ-sadhu i współ-swami.

Śmierć zneutralizowała odrzucenie przez niego Baby Koćammy (co zresztą zrobił w sposób delikatny i współczujący). W jej wspomnieniu o nim objął ją. Tylko ją. Tak jak mężczyzna obejmuje kobietę. Kiedy już nie żył, Baby Koćamma zerwała z ojca Mulligana jego idiotyczne szafranowe szaty i ponownie go odziała w sutannę w kolorze coca-coli, którą tak kochała. (Tymczasem jej zmysły syciły się tym chudym, wklęsłym, Chrystusowym ciałem). Odebrała mu miskę zebraczą, wypedikiuowała jego zrogowaciałe hinduskie podeszwy i oddała mu jego wygodne sandały. Przechrzciła go ponownie na kroczonego dumnie wielbłąda, który przychodził w czwartki na lunch.

Każdej nocy, rok po roku, w dzienniku po dzienniku po dzienniku, pisała: „Kocham Cię Kocham Cię”.

Włożyła pióro z powrotem do pochewki i zamknęła dziennik. Zdjęła okulary, wysunęła językiem sztuczne zęby, rozrywając pasemka śliny, które przypinały je do dziąseł jak wiotczące struny harfy, i wrzuciła je do szklanki z listeryną. Opadły na dno, wysyłając do góry bąbelki jak

modlitwy. Szklaneczka czegoś mocniejszego do poduszki. Napój orzeźwiający z zaciśniętym uśmiechem. Poranne pikantne zęby.

Baby Koćamma oparła się o poduszkę i czekała, aż usłyszy Rahel wychodzącą z pokoju Esthy. Zaczęła czuć się nieswojo w ich obecności. Kilka dni wcześniej otworzyła rano okno (aby Zaczepnąć Świeżego Powietrza) i złapała ich na gorącym uczynku Wracania Skądś. Najwyraźniej spędzili całą noc poza domem. Razem. Gdzie mogli być? Co i jak wiele pamiętali? Kiedy wyjadą? Co robią, siedząc w ciemnościach przez tak długi czas? Zasnęła podparta poduszkami, myśląc sobie, że może deszcz i telewizor zagłuszyły odgłos otwierania się drzwi pokoju Esthy. Że Rahel już dawno poszła spać.

Nie poszła.

Rahel leżała na łóżku Esthy. W pozycji leżącej wyglądała na chudsza. Młodsza. Mniejsza. Jej twarz była odwrócona w stronę okna koło łóżka. Zacinający ukośnie deszcz uderzał o pręty kraty okiennej i rozpryskiwał się na drobnoziarnistą mgiełkę, która zraszała jej twarz i gładkie, nagie ramię. Jej miękki podkoszulek bez rękawów jarzył się żółto w ciemnościach. Jej dolna część, w niebieskich džinsach, roztopiała się w ciemnościach.

Powietrze było trochę zimne. Trochę wilgotne. Trochę milczące.

Ale co było do powiedzenia?

Stamtąd, gdzie siedział, na końcu łóżka, Estha widział ją bez przekręcania głowy. Jej rozmyty obrys. Ostrą linię jej podbródka. Jej obojczyki rozpostarte jak skrzydła od gardła do końca ramion. Ptak, którego nie chce wypuścić skóra. Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Siedział sztywno wyprostowany. Czekał na inspekcję. Skończył prasowanie. Była piękna w jego oczach. Jej włosy. Jej policzki. Jej małe, inteligentne ręce.

Jego siostra.

W jego głowie rozległ się natrętny dźwięk. Dźwięk mijających się pociągów. Światło, cień, światło, cień, które padają na pasażera siedzącego przy oknie.

Jeszcze bardziej się wyprostował. Mimo to wciąż ją widział. Wrośniętą w skórę ich matki. Ciekłe lśnienie jej oczu w ciemnościach. Jej mały prosty nos. Jej usta, jej pełne wargi. Które miały w sobie coś zranionego. Jakby przed czymś uciekały. Jakby dawno temu ktoś – mężczyzna z pierścieniami uderzał ją w nie. Piękne, zranione usta.

Usta ich pięknej matki, pomyślał Estha. Usta Ammu.

Które pocałowały jego rękę przez zakratowane okno pociągu. Pierwsza klasa, pocztowy do

Madrasu.

– Pa, Estha, Bóg z tobą – powiedziały usta Ammu. Usta Ammu, które wstrzymywały się od płaczu.

Był to ostatni raz, kiedy ją widział. Stała na peronie dworca w Koczinie, jej twarz zwrócona ku oknu pociągu. Jej skóra szara, matowa, okradziona ze swego blasku przez dworcowe neony. Światło dnia z obu stron zasłonięte przez pociągi. Długie korki, które nie wypuszczały ciemności z butelki. Poczty do Madrasu. „Latająca Rani”.

Rahel trzymała Ammu za rękę. Moskit na smyczy. Patyczak Uchodźca w sandałach od Baty. Lotniskowa Rusałka na dworcu. Tupiąca na peronie, wzbijająca tumany zastałego dworcowego brudu. Dopóki Ammu nie potrząsnęła nią i nie kazała jej przestać. Wokół nich skłębiony, przepychający się tłum. Gonitwa pośpiech sprzedają kupują tragarz dźwiga bagaże dzieci płacą ludzie srają plują wchodzą wychodzą żebrzą targują się sprawdzają miejscówki.

Echo odbija dworcowe hałasy.

Handlarze sprzedają kawę. Herbatę.

Wychudzone dzieci, blondwłose z niedożywienia, sprzedają świńskie czasopisma i żywność, której nie mogą zjeść same. Roztopione czekoladki. Papierosy czekoladowe.

Napoje pomarańczowe.

Napoje cytrynowe.

Coccolafantalodymlekoróżane.

Lalki o różowej cerze. Grzechotki. Love-in-Tokyo. Wypełnione słodyczami wydrążone plastikowe papużki z odkręcanymi łebkami.

Czerwone okulary przeciwsłoneczne z żółtymi oprawkami. Zabawkowe zegarki z wymalowaną godziną.

Cały wózek wybrakowanych szczoteczek do zębów.

Dworzec kolejowy w Koczinie.

Szary w dworcowym świetle. Wydrążeni ludzie. Bezdomni. Niedożywieni. Wciąż naznaczeni zeszłorocznym głodem. Ich rewolucja odłożona na nieokreślony termin przez towarzysza E.M.S. Nambudiripada (sowieckiego pacholka, tchórzliwego psa). Byłego pupilka Pekinu.

Powietrze było gęste od much.

Ślepiec bez powiek, z oczami niebieskimi jak wypłowiałe dzinsy i śladami po ospie na

skórce, gawędził z trędownym, który mimo braku palców zręcznie jak magik zaciągał się pozbieranymi niedopałkami papierosów, których leżała koło niego cała sterta.

– A ty? Kiedy się tutaj przeniosłeś?

Jakby mieli wybór. Jakby wybrali sobie to miejsce na dom spośród olbrzymiej liczby luksusowych osiedli mieszkaniowych, reklamowanych w wydany na błyszczącym papierze katalogu.

Mężczyzna siedzący na czerwonej wadze odpiął sztuczną nogę (od kolana w dół), na której miał namalowany czarny but i schludną białą skarpetkę. Wydrążona, wybrzuszona łydka była różowa, taka, jakie powinny być łydki. (Kiedy ktoś tworzy obraz człowieka, po co powtarzać błędy Boga?)

W środku przechowywał swój bilet. Swój ręcznik. Swój kubek ze stali nierdzewnej. Swoje zapachy. Swoje tajemnice. Swoją miłość. Swoje szaleństwo. Swoją nadzieję. Swoją bezgraniczną radość. Jego prawdziwa stopa była naga.

Kupił sobie herbaty do kubka.

Pewna starsza pani zwymiotowała. Grudowata kałuża.

I ciągnęła dalej swe życie.

Dworcowy świat. Cyrk społeczeństwa. Gdzie w handlowej gorączce rozpacz powoli twardnieje w rezygnację.

W tych czasach Ammu i jej dwujajowe bliźnięta nie miały okna plymoutha, przez które mogłyby to wszystko obserwować. Nie było siatki, która by zabezpieczała cyrkowych akrobatów.

Spakuj rzeczy i wynoś się, powiedział Chacko. Przechodząc po połamanych drzwiach. Z klamką w dłoni. Ammu, choć ręce jej drżały, nie podniosła wzroku znad niepotrzebnego obrębiania. Na jej kolanach leżała otwarta puszką ze wstążkami.

Lecz Rahel podniosła wzrok. I ujrzała, że Chacko zniknął, a na jego miejscu pojawił się potwór.

Mężczyzna o grubych wargach, z pierścieniami, ubrany na białą, kupił od sprzedawcy na peronie papierosy marki Scissors. Trzy paczki. Do wypalenia w korytarzu pociągu.

Dla Ludzi Czynu i WyCzynu Był to podróżny opiekun Esthy. Przyjaciół rodziny, który akurat jechał do Madrasu. Pan Kurien Maathen.

Ponieważ Estha miał jechać z osobą dorosłą, Mammaci powiedziała, że nie ma sensu

marnować pieniędzy na drugi bilet. Baba kupował bilet Madras-Kalkuta. Ammu kupowała Czas. Ona również musiała spakować rzeczy i wynieść się. Aby zacząć nowe życie, w którym byłoby ją stać na zatrzymanie przy sobie dzieci. Postanowiono, że do tego czasu jedno z bliźnięt może zostać w Ajemenem. Nie oboje. Razem byli niebezpieczni. natazS w hczaco. Trzeba ich było rozdzielić.

Może mają słuszość, powiedział do Ammu wewnętrzny szept, gdy pakowała walizę i sakwojaż. Może każdy chłopiec naprawdę potrzebuje Baby.

Mężczyzna o grubych wargach siedział w następnym prze dziale. Powiedział, że kiedy pociąg ruszy, spróbuje zamienić się z kimś miejscami, aby mogli siedzieć razem.

Tymczasem zostawił małą rodzinę samej sobie.

Wiedział, że unosi się nad nimi anioł z piekła rodem. Podąża za każdym ich krokiem. Kapiąc woskiem ze zgiętej świecy.

Wszyscy o tym wiedzieli.

Było o tym w gazetach. Informacja o śmierci Sophie Mol, o „konfrontacji” policji z pariasem oskarżonym o porwanie i morderstwo. O wynikłym z tego oblężeniu przez partię komunistyczną fabryki Marynaty i Przetwory „Paradise”, pod wodzą ajemenemskiego Bojownika o Sprawiedliwość i Rzecznika Uciskanych. Towarzysz K.N.M. Pillej twierdził, że kierownictwo wrobiło pariasa w sfabrykowaną przez policję sprawę, ponieważ był aktywnym członkiem partii komunistycznej. Chcieli go zniszczyć za „legalną Działalność Związkową”. Wszystko to było w gazetach. Wersja Oficjalna.

Oczywiście mężczyzna o grubych wargach z pierścieniami nie miał pojęcia o drugiej wersji.

Tej, w której oddział dotykanych policjantów przeprowił się na drugą stronę rzeki Minaćal, niemrawej i wezbranej od niedawnego deszczu, i przedzierał się przez mokre zarośla do Jądra Ciemności.

18. Dom Historii

Oddział dotykalnych policjantów przeprawił się na drugą stronę rzeki Minaóal, niemrawej i wezbranej od niedawnego deszczu, i przedzierał się przez mokre zarośla, z brzękiem kajdanek w czyjejs ciężkiej kieszeni.

Szerokie szorty w kolorze khaki były sztywne od krochmalu i podskakiwały nad wysoką trawą jak rząd sztywnych spódniczek, zupełnie niezależnie od kończyn, które poruszały się wewnątrz nich.

Było ich siedmiu. Funkcjonariuszy w Służbie Państwa. Posłuszeństwo Ofiarność Lojalność Inteligencja Czystość Jawność Apolityczność Policja kottajamska. Pluton z kreskówki. Księżęta Nowej Ery w zabawnych spiczastych hełmach. Tektura wybita bawełną. Poplamiona olejkami do włosów. Nędzne korony khaki. Niosący śmierć do Jądra Ciemności.

Unosili wysoko swe chude nogi, brnąc przez wysoką trawę. Naziemne pnącza czepiały się mokrych od rosy włosów na nogach. Łopiany i osty przydawały koloru mdłym skarpetkom. Brązowe stonogi spały przyklepione do podeszew podkutych żelazem dotykalnych butów. Szorstka trawa nacinała do krwi skórę na nogach. Mokre błoto pierdziało pod stopami, gdy z chlupotem szli przez mokradła.

Maszerowali obok nurów, które na wierzchołkach drzew suszyły przemoknięte skrzydła, rozwieszane jak pranie na tle nieba. Obok czapli. Kormoranów. Bocianów argala. Żurawi szukających przestrzeni do tańca. Purpurowych czapli o bezlitosnych oczach. Ich ogłuszające raark... raark... raark... Ptasie matki i ich jajka.

Poranny upał zapowiadał, że będzie jeszcze gorzej.

Przebmąwszy przez mokradła, które cuchnęły stojącą wodą, przeszli obok pradawnych drzew ubranych w winorośl. Gigantycznych mani. Dzikiego pieprzu. Kaskad purpurowych acuminus.

Obok soczystoniebieskiego chrząszcza balansującego na sztywnym źdźble trawy.

Obok gigantycznych pajęczyn, które przetrzymały deszcz i rozeszły się jak szeptana plotka od drzewa do drzewa. Kwiat bananowca w spowiciu bordowych przylistków zwisał ze sparszywiałego drzewa o potarganych liściach. Klejnot trzymany przez niechlujnego uczniaka. Błyskotka w aksamitnej dżungli.

Karmazynowe ważki spólkowały w powietrzu. Piętrowo. Akrobatycznie. Jeden z policjantów obserwował je z podziwem i zastanawiał się przez chwilę nad dynamiką seksu ważek i nad tym, co wchodzi do czego. Potem jego umysł stanął z powrotem na baczność i wróciły Policyjne Myśli.

Naprzód.

Obok wysokich mrowisk zamienionych przez deszcz w galaretę. Zwioteczałych jak strażnicy u bram Raju, którym podstępnie dosypano do ambrozji środek nasenny.

Obok motyli sunących przez powietrze jak radosne nowiny. Obok olbrzymich paproci.

Obok kameleona.

Obok niezwykłego obuwika.

Obok harmidru szarego ptactwa zmykającego w popłochu.

Obok drzewa muszkatołowego, którego nie znalazł Wellja Paapen.

Obok rozwidlonego kanału. Ze stojącą wodą. Zatkanego rzęsą. Podobnego do martwego zielonego węża. Z przerzuconym w poprzek drzewem. Dotykalni policjanci drobnymi krokami przeszli na drugą stronę. Obracając w rękach wypolerowane bambusowe pałki.

Owłosione czarodziejki ze śmiercionośnymi różdżkami.

Potem pnie chudych, uginających się drzew rozłupały światło słoneczne. Śmiercionośne czarodziejki weszły na palcach do Jądra Ciemności. Zgiełk cykad spotęgował się.

Szare wiewiórki zsuwały się po nakrapianych pniach pochylonych ku słońcu drzew kauczukowych. Ze starymi ukośnymi bliznami na korze. Zalepionymi. Zaleczonymi. Nie wyeksploatowanymi.

Połącze drzew kauczukowych, a potem trawiasta polana. Dom.

Dom Historii.

Którego drzwi były zamknięte, a okna otwarte.

Z zimnymi kamiennymi posadzkami i wydętymi cieniami w kształcie żaglowców na ścianach.

Gdzie woskowaci przodkowie o twardych paznokciach i oddechu zalatującym żółtymi mapami szeptali papierowate szepty.

Gdzie półprzezroczyście jaszczurki mieszkały za starymi obrazami.

Gdzie sny były przechwytywane i prześnione na nowo.

Gdzie duch starego Anglika, przybity sierpem do drzewa, został wyzwolony przez parę

bliźnięt dwujajowych – Przenośną Republikę z Czubem, który zasadził w ziemi koło siebie flagę partii marksistowskiej. Kiedy pluton policjantów minął ducha, nie usłyszeli, jak żebrze. Swym życzliwie-misjonarskim głosem: Yy, przepraszam bardzo... Nie miałoby panowie przypadkiem, yyy, nie poczęstowaliby mnie panowie cygarem? Nie?... Tak myślałem.

Dom Historii.

Gdzie, w następnych latach, Trwoga (jeszcze nie nadeszła) miała zostać pochowana w płytkim grobie. Ukryta pod radosnym podśpiewywaniem hotelowych kucharzy. Pod upokorzeniem starych komunistów. Pod powolną śmiercią tancerzy. Pod rozrywkowymi historiami, którymi przychodzili się bawić bogaci turyści.

Był to piękny dom.

Kiedyś miał białe ściany. Czerwony dach. Teraz był pomalowany na kolory pogody. Pędzlami zamoczonymi w palecie natury. Na kolor mechatozielony. Ziemnobrazowy. Gruzowoczarny. Przez co wyglądał na starszy, niż naprawdę był. Jak skarb wyłowiony z dna oceanu. Obchuchany przez wieloryby i oblepiony skorupiakami. Otulony ciszą. Wydmuchujący bąbelki przez porozbijane okna.

Obiegała go wkoło głęboka weranda. Pokoje były cofnięte, zagrzebane w cieniu. Kryty dachówką dach opadał jak burty olbrzymiej, odwróconej do góry dnem łodzi. Gnijące belki wsparte na niegdyś białych filarach wygięły się na środku, przez co powstała ziejąca, rozdziawiona dziura. Dziura Historii. Historiokształtna dziura we wszechświecie, przez którą o zmroku gęste chmury niemych nietoperzy przeciskały się jak fabryczny dym i ulatywały w noc.

O brzasku wracały z wiadomościami o świcie. Szara mgiełka w różanej dali, która nagle skrzepła i poczerniała nad domem, by runąć przez dziurę Historii, jak na puszczanym od tyłu filmie.

W ciągu dnia nietoperze spały. Wyściełając dach jak futrem. Zabryzgując posadzki odchodami.

Policjanci zatrzymali się i utworzyli tyralierę. Nie było to potrzebne, ale lubili te dotykalne gry.

Zajęli strategiczne pozycje. Przykucnąwszy pod obtłuczonym, niskim kamiennym murem granicznym.

Szybkie odlanie się.

Gorąca piana na ciepłym kamieniu. Policyjna szczyna.

Mrówki utopione w musującej żółtej cieczy.

Głębokie oddechy.

Potem razem, na kolanach i łokciach, czołgali się w stronę domu. Jak policjanci na filmach. Cicho, cichuteńko w trawie. Pałki w dłoniach. Karabiny maszynowe w głowach. Odpowiedzialność za dotykającą przyszłość na ich chudych, lecz sprawnych ramionach.

Znaleźli swoją ofiarę na tylnej werandzie. Zburzony Czub. Fontanna spięta Love-in-Tokyo. A w innym kącie (samotny jak wilk) – stolarz z czerwonymi jak krew paznokciami. Spał. Ośmieszając te całe dotykalne podchody.

Popisowa akcja policji.

, W wyobraźni nagłówki gazet.

I, NIEBEZPIECZNY PRZESTĘPCA WPADA W POLICYJNĄ SIEĆ.

Za swą bezczelność, za popsucie policjantom zabawy, ofiara zapłaciła. O tak.

‘ Zbudzili Weluthę butami.

jEsthappena i Rahel zbudził krzyk snu, któremu niespodziewanie zgruchotano kolana.

Wrzaski umarły w nich i pływały brzuchami do góry jak zdechłe ryby. Kuląc się na podłodze, kołysząc między zgrozą a niedowierzaniem, zdali sobie sprawę, że bitym mężczyzną jest Welutha. Skąd się tam wziął? Co takiego zrobił? Dlaczego policjanci go tam przyprowadzili?

i Usłyszeli głuchy dźwięk zderzenia drewna z ciałem. Buta z kością. Z zębami. Zduszony charkot, gdy kopnięty żołądek zapada się do środka. Stłumiony gruchot czaszki na betonie. Bulgot krwi w oddechu, gdy płuco jest rozrywane przez poszarpany koniec złamanego zębra.

Z sinymi ustami i oczami jak okrągłe tace patrzyli zahipnotyzowani na coś, co wyczuwali, lecz nie rozumieli: żadnej przypadkowości w tym, co robili policjanci. Przepaść w miejscu, gdzie powinien być gniew. Trzeźwa, metodyczna brutalność, oszczędność w ruchach.

Otwierali butelkę.

Albo zakręcali kran.

Rąbali drwa, więc leciały wióry.

Bliźnięta były zbyt młode, żeby wiedzieć, iż są to tylko pacholki historii. Wysłani w celu uregulowania rachunków i pobrania należności od tych, którzy złamali jej prawa. Napędzani uczuciami, które były prymitywne, lecz paradoksalnie zupełnie bezosobowe. Uczucia pogardy zrodzone z nieukształtowanego, wypychanego ze świadomości lękulęku cywilizacji przed naturą, lęku mężczyzn przed kobietami, lęku siły przed bezsilnością.

Podświadomy popęd człowieka do niszczenia tego, czego nie może ani poskromić, ani ubóstwić.

Męskie Potrzeby.

Choć wtedy o tym nie wiedzieli, Esthappen i Rahel byli tego ranka świadkami klinicznej demonstracji – w kontrolowanych warunkach (nie była to przecież wojna ani ludobójstwo) – dążenia przez ludzką naturę do dominacji. Struktury. Porządku. Całkowitego monopolu. Ludzka historia, ukryta pod maską Woli Bożej, ukazała się niepełnoletniej widowni.

W tym, co się stało tego ranka, nie było nic przypadkowego. Nie było to incydentalne pobicie czy wyrównywanie osobistych porachunków. Było to odcisnięcie przez epokę swego piętna na żyjących w niej ludziach.

Historia dała występ na żywo.

Jeżeli zmaltretowali Weluthę bardziej, niż zamierzali, to dlatego, że jakiegokolwiek powinowactwo, jakakolwiek więź jakakolwiek sugestia, że przynajmniej biologicznie jest istotą im pokrewną – została już dawno zerwana. Ich akcja nie była aresztowaniem człowieka, lecz egzorcyzmem lęku. Nie mieli odpowiedniego instrumentarium, które pozwoliłoby im zmierzyć, jak duża powinna być kara. Nie mieli sposobu oszacować, jak duże i na ile nieodwracalne są jego obrażenia. Inaczej niż mają w zwyczaju tłumy owładnięte religijnym amokiem albo krwiożercze armie zdobywców, tego ranka w Jądrze Ciemności oddział dotykalnych policjantów działał energicznie, a nie maniakalnie. Sprawnie, a nie anarchicznie. Odpowiedzialnie, a nie histerycznie. Nie wyrwali mu włosów z głowy ani nie spalili go żywcem. Nie odrąbali mu genitaliów i nie wsadzili do ust. Nie zgwałcili go. Nie ucięli mu głowy.

Nie walczyli przecież z epidemią, tylko prowadzili szczepienia, aby zapobiec jej wybuchowi.

Na tylnej werandzie Domu Historii, kiedy darzonego przez nich miłością mężczyzną gruchotano i miażdżono, pani Eapen i pani Radżagopalan, bliźniaczy ambasadorowie Bóg-wie-czego, dowiedzieli się dwóch rzeczy.

Lekcja pierwsza:

Na czarnym mężczyźnie prawie nie widać krwi. (Dum dum).

Oraz Lekcja druga:

Mimo to krew ma zapach.

Mdlącosłodki.

Jak przekwitłe róże na wietrze. (Dum dum).

i – Madiyo? – spytał jeden z Pachołków Historii.

; – Madi aayirikkum – odparł inny.

Wystarczy?

Wystarczy.

Rezultat ich pracy, porzucony przez Boga i Historię, przez Marksa, przez Mężczyznę, przez Kobietę i (w niedalekiej przyszłości) przez Dzieci, leżał zwinięty na podłodze. Był częściowo przytomny, lecz nie ruszał się.

Czaszkę miał pękniętą w trzech miejscach. Nos i obie kości policzkowe były zmiażdżone, przez co twarz zamieniła się i w bezkształtną miazgę. Cios w usta rozerwał mu górną wargę ? i złamał sześć zębów, z których trzy wbiły się w dolną wargę, ohydnie odwracając o sto osiemdziesiąt stopni jego piękny uśmiech. Miał pęknięte cztery żebra, jedno przebiło lewe płuco, przez co z ust leciała mu krew. Krew w jego oddechu była jasnoczerwona. Świeża. Pienista. Pękło mu jelito i krwawiło, krew zbierała się w jamie brzusznej. Kręgosłup był uszkodzony w dwóch miejscach, wstrząs spowodował paraliż prawego ramienia oraz utratę kontroli nad pęcherzem i zwieraczem odbytnicy. Miał przetrącone obydwie rzepki.

Mimo to wyjęli kajdanki.

Zimne.

O kwaśnometalicznym zapachu. Jak stalowe poręcze w autobusie i dłonie konduktora, który się ich trzymał. Wtedy zauważyli, że ma pomalowane paznokcie. Jeden z nich podniósł mu dłonie do góry i kokieteryjnie pomachał palcami.

Roześmiali się.

– Co to jest? – Wysokim falsetem. – Jesteś bi?

Jeden z nich trącił pałką penis Weluthy.

– No, pokaż nam swój niezwykły sekret. Pokaż nam, jaki jest duży, kiedy się spuszczasz.

Potem uniósł but (ze stonogami zwiniętymi pod podeszwą)

i opuścił na Weluthę z głuchym odgłosem.

Skuli mu ręce za plecami.

Stuk.

I stuk.

Pod liściem na szczęście. Jesiennym liściem w nocy. Który sprawiał, że monsuny przychodziły na czas.

Miał gęsią skórkę w miejscu, gdzie kajdanki dotykały skóry. – To nie on – szepnęła Rahel do Esthy. – Poznaję go. To jego brat bliźniak. Urumban. Z Koczinu.

Nie chcąc szukać ucieczki w rojeniach, Estha milczał.

Ktoś do nich mówił. Uprzejmy dotykalny policjant. Uprzejmy dla swoich.

– Mon, Mol, nic wam nie jest? Nic wam nie zrobił?

Nie jednocześnie, ale prawie, bliźnięta odpowiedziały szeptem:

– Tak. Nie.

– Nie martwcie się. Teraz jesteście bezpieczni.

Potem policjanci rozejrzeli się dokoła i zobaczyli matę z trawy.

Garnki i patelnie.

Nadmuchiwaną gęś.

Kantasa, misia koala z naderwanymi oczami z guzików. Długopisy z ulicami Londynu w środku.

Skarpetki z osobnymi kolorowymi palcami.

Czerwone okulary przeciwsłoneczne w żółtych oprawkach. Zegarek z namalowaną godziną.

– Czyje to rzeczy? Skąd się tu wzięły? Kto je tu przyniósł? – Głos zdradza zaniepokojenie.

Estha i Rahel tylko na niego patrzyli.

Policjanci wymienili spojrzenia. Wiedzieli, co należy zrobić.

Misia Kantasa zabrali dla swoich dzieci.

Jak również długopisy i skarpetki. Policyjne dzieci z różnokolorowymi palcami u nóg.

Gęś przebili papierosem. Bum. I zakopali strzępy gumy.

Gęś zupełnie bezużyteczna. Zbyt charakterystyczna. Okulary jeden z nich założył. Inni śmiali się, więc nie zdejmował ich jeszcze przez chwilę. O zegarku zapomnieli. Został w Domu Historii.

Na tylnej werandzie. Błędny zapis czasu zdarzenia. Za dziesięć druga.

Poszli.

Siedmiu książąt, kieszenie wypchane zabawkami.

Para bliźniąt dwujajowych.

I Bóg Utraconego.

Nie był w stanie iść. Więc wlekli go za sobą.

Nikt ich nie widział.

Nietoperze są przecież ślepe.

19. Uratować Ammu

Na posterunku policji inspektor Thomas Mathew posłał po dwie coca-cole. Ze słomkami. Usłużny policjant przyniósł je na plastikowej tacy i podał dwojgu ubłoconym dzieciom, które siedziały naprzeciwko inspektora po drugiej stronie stołu, z głowami opuszczonymi prawie na wysokość blatu, na którym leżały bezładnie teczki i dokumenty.

A zatem ponownie, w odstępie dwóch tygodni, butelkowany strach dla Esthy. Schłodzony. Gazowany. Inaczej niż sugerują reklamy, coca-cola to nie zawsze radość i beztraska. Bąbelki poszły mu nosem. Beknął. Rahel zachichotała.

Dmuchała przez słomkę, aż brązowy napój chlapnął jej na sukienkę. Na podłogę. Estha czytał na głos z wiszącej na ścianie tablicy.

- owtsnézsułsoP – powiedział. – owtsnézsułsoP ćsonlaizdeiwoPdo.
- ćsonlajoL, ajcnegiletnI – powiedziała Rahel.
- ćsotsyzC.
- ćsonwaJ.
- ćsonzcytilopA.

Trzeba przyznać, że inspektor Thomas Mathew zachował spokój. Wyczuwał u dzieci narastającą bełkotliwość. Zauważył rozszerzone źrenice. Dobrze znał te objawy... wentyl bezpieczeństwa ludzkiego umysłu. Wziął to w rachubę i zmyślnie formułował pytania. Aby wydawały się niewinne. Wkładał je pomiędzy: „Kiedy są twoje urodziny, Mon?” a „Jaki jest twój ulubiony kolor, Mol?”

Stopniowo, w chaotyczny i urywany sposób, wszystko zaczęło się układać. Jego ludzie powiadomili go o garnkach i patelniach. Macie z trawy. Zbyt charakterystycznych zabawkach. Bezładne słowa dzieci nabrały sensu. Inspektora Thomasa Mathew nieszczerze to ucieszyło. Posłał jeepa po Baby Koćammę. Przed jej przyjściem kazał zabrać dzieci z pokoju. Nie przywitał się z nią. – Niech pani usiądzie – powiedział.

Baby Koćamma wyczuła, że stało się coś bardzo niedobrego.

- Znalazł je pan? Wszystko jest w porządku?
- Nic nie jest w porządku – zapewnił ją inspektor. Wyraz jego oczu i ton głosu uzmysłowiły Baby Koćammie, że tym razem ma do czynienia z zupełnie inną osobą. Nie z życzliwym

oficerem policji, który wysłuchał jej podczas ich poprzedniego spotkania. Inspektor Thomas Mathew nie przebierał w słowach.

Policja kottajamska działała na podstawie wypełnionego przez nią doniesienia. Parawan został złapany. Niestety, w konfrontacji z policją odniósł poważne obrażenia i wszystko na to wskazuje, że nie przeżyje nocy. Lecz teraz dzieci powiedziały, że opuściły dom z własnej woli. Ich łódka wywróciła się i angielskie dziecko utonęło. Zwykły wypadek.

Co oznacza, że policja jest odpowiedzialna za śmierć, formalnie biorąc, niewinnego człowieka. To prawda, że to parawan. To prawda, że dopuścił się nieprzyzwoitości. Lecz czasy są niespokojne, a formalnie biorąc, zgodnie z literą prawa, Welutha jest niewinny. Mało tego, nie popełniono nawet przestępstwa.

– Próba gwałtu? – zasugerowała słabym głosem Baby Koćamma.

– Gdzie jest doniesienie ofiary gwałtu? Zostało zgłoszone? Czy ofiara złożyła pisemne zeznanie? Przeprowadziła ją pani ze sobą?

Ton inspektora był napastliwy. Niemal wrogi.

Baby Koćamma zrobiła się jakby mniejsza. Miała worki pod oczami i na podgardlu. Strach sfermentował w niej i ślina w jej ustach była kwaśna. Inspektor podsunął jej szklankę z wodą.

– Sprawa jest bardzo prosta. Albo ofiara gwałtu złoży skargę, albo dzieci rozpoznają parawana jako swego porywacza w obecności świadka z policji. Albo. – Zaczekał, aż Baby Koćamma spojrzy na niego. – Albo będzie pani odpowiadała za złożenie fałszywego doniesienia. Co w świetle prawa jest przestępstwem.

Pot poplamił jasnyniebieską bluzkę Baby Koćammy na kolor ciemnoniebieski. Postawa inspektora Thomasa Mathew nie była z jego strony złośliwością. Wiedział, że w obecnym klimacie politycznym może się znaleźć w poważnych tarapatkach. Miał świadomość, że towarzyszy K.N.M. Pillej nie przepuści takiej okazji. Inspektor wyrzucał sobie, że działał tak pochopnie. Włożył sobie za koszulę ręczniczek, aby wytrzeć pot na piersiach i pod pachami. W jego gabinecie było cicho. Posterunkowe odgłosy, tupanie butami, niekiedy skowyt bólu przesłuchiwanej osoby – wszystko to dochodziło jakby z daleka, z innego miejsca.

– Dzieci zrobią, co się im powie – oznajmiła Baby Koćamma. – Czy mogłabym chwilę porozmawiać z nimi sama? – Jak sobie pani życzy.

Inspektor ruszył do wyjścia.

– Proszę mi dać pięć minut, zanim je pan do mnie przyśle. Inspektor skinął głową i wyszedł.

Baby Koćamma wytarła łśniącą, spoconą twarz. Wyciągnęła szyję do góry, aby końcówką pallu wytrzeć pot z zagłębień między fałdami tłuszczu na szyi. Pocałowała swój krzyżyk.

– Zdrowaś Mario, Matko Boża...

Słowa modlitwy opuściły ją.

Drzwi otworzyły się. Wprowadzono Esthę i Rahel. Oblepionych błotem. Opitych coca-colą.

Na widok Baby Koćammy nagle otrzeźwieli. Ćma o nieprzeciętnie gęstych kosmkach grzbietowych rozpostarła skrzydełka nad sercami ich obojga. Dlaczego ona tu przyszła? Gdzie jest Ammu? Wciąż trzymają ją zamkniętą?

Baby Koćamma spojrzała na nich surowo. Przez długi czas nic nie mówiła. Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos był ochryply i obcy.

– Czyja to była łódka? Skąd ją wzięliście?

– Nasza. Znalezliśmy ją. Welutha naprawił ją dla nasszepnęła Rahel.

– Jak długo ją mieliście?

– Znaleziliśmy ją w tym samym dniu, w którym przyjechała Sophie Mol.

– Kradliście rzeczy z domu i przewoziliście je łódką na drugą stronę rzeki?

– To była tylko zabawa...

– Zabawa? Wy to nazywacie zabawą?

Baby Koćamma patrzyła na nich przez długi czas, zanim się ponownie odezwała.

– Ciało waszej ślicznej kuzynki leży w salonie. Ryby wyjadły jej oczy. Jej matka bez przerwy płacze. Wy to nazywacie zabawą?

Nagły powiew wiatru wybrzuszył kwiecistą zasłonę okienną. Rahel widziała zaparkowane na zewnątrz jeepy. I chodzących ludzi. Jakiś mężczyzna próbował zapalić silnik motocykla. Za każdym razem, gdy kopał dźwignię rozrusznika, hełm zsuwał mu się na bok.

W gabinecie inspektora buszowała Ćma Pappaciego.

– To straszna rzecz odebrać komuś życie – powiedziała Baby Koćamma. – Najgorsza, jaką można zrobić. Nawet Bóg tego nie wybacza. Wiecie o tym, prawda?

Dwie głowy skinęły po jednym razie.

– A jednak – spojrzała na nich ze smutkiem – zrobiliście to. – Spojrzała im w oczy. – Jesteście mordercami. – Oczekwała chwili, aby jej słowa zdążyły zapaść im w serca. Wiecie, że ja wiem, że to nie był wypadek. Wiem, jak bardzo byliście o nią zazdrośni. Kiedy sędzia spyta mnie o to w sądzie, będę mu musiała to powiedzieć, prawda? Nie mogę przecież skłamać, prawda? –

Poklepała dłonią krzesło, które stało obok niej. – Chodźcie tutaj i usiądźcie...

Cztery pośladki dwóch posłusznych pup wcisnęły się na krzesło.

– Będę musiała powiedzieć sędziemu, że mieliście Surowy Zakaz chodzenia nad rzekę bez opieki. Że zmusiliście ją, żeby poszła z wami, chociaż wiedzieliście, że nie umie pływać. Że wypchnęliście ją za burtę na środku rzeki. Bo przecież to nie był wypadek, prawda?

Cztery spodki wpatrywały się w nią. Zafascynowane historią, którą im opowiadała. A potem co się stało?

– Więc będziecie musieli pójść do więzienia – powiedziała Baby Koćamma współczującym tonem. – I wasza matka też pójdzie przez was do więzienia. Przyjemnie wam będzie? Wystraszone oczy i fontanna odwzajemniły jej spojrzenie. – Pójdziecie do trzech różnych więzień. Wiecie, jakie są indyjskie więzienia?

Dwie głowy zaprzeczyły po jednym razie.

Baby Koćamma rozbudowała swoją historię. W jaskrawych, zaczerpniętych z fantazji obrazach odmalowała im rozkosze więziennego życia. Jedzenie chrupiące od karaluchów. Brązowe pagórki chhi-chhi w ubikacjach. Zapluskwiona pościel. Chłosty. Kilkakroć powtórzyła, że Ammu będzie przez nich musiała spędzić wiele lat w więzieniu. Kiedy wyjdzie, będzie schorowaną staruszką z wszami we włosach – to znaczy, o ile nie umrze w więzieniu. Życzliwym, zatroskanym głosem nakreśliła im makabryczną przyszłość, która ich czekała. Kiedy zdeptała ostatnią isierkę nadziei, kiedy do szczętu zniszczyła im życie, jak dobra wróżka z bajki przedstawiła im rozwiązanie. Bóg nigdy im nie wybaczy tego, co zrobili, lecz tutaj, na Ziemi, istnieje sposób, by chociaż w części zadośćuczynić za wyrządzone przez nich szkody. By ocalić ich matkę od poniżenia i cierpienia z ich powodu. Pod warunkiem, że podejną do tego w sposób praktyczny.

– Na szczęście – powiedziała Baby Koćamma – na szczęście dla was policja popełniła błąd.

– Na chwilę zawiesiła głos. – Domyślcie się, jaki błąd, prawda?

W szklanym przycisku do papieru na biurku policjanta byli uwięzieni ludzie. Estha zobaczył ich. Mężczyzna i kobieta tańczący walca. Ona miała na sobie białą suknię z nogami pod spodem.

– Domyślcie się?

Usłyszeli muzykę, do której ludzie w przycisku do papieru tańczyli walca. Mammaci grała ją na swoich skrzypcach. Ra-ra-ra-rum.

Parum-parum.

– Co się stało, to się nie odstanie – mówił głos Baby Koćammy. – Inspektor twierdzi, że on i tak umrze. Więc nie będzie miało dla niego znaczenia, co powie o nim policja. Istotne jest to, czy chcecie pójść do więzienia i pociągnąć za sobą Ammu. Musicie zdecydować.

W przycisku do papieru były bąbelki powietrza, dzięki czemu mężczyzna i kobieta sprawiali wrażenie, jakby tańczyli walca pod wodą. Wyglądali na szczęśliwych. Może tańczyli na swoim weselu. Ona w białej sukience. On w czarnym garniturze i muszce. Patrzyli sobie głęboko w oczy.

– Jeżeli chcecie ją uratować, musicie tylko pójść do Wujka z dużymi meeshas. On zada wam pytanie. Jedno pytanie. Musicie tylko powiedzieć: „Tak”. Potem wszyscy pójdziemy do domu. To takie proste. Chyba warto zapłacić taką cenę. Baby Koćamma wodziła wzrokiem za spojrzeniem Esthy.

Tylko w ten sposób mogła się powstrzymać od wyrzucenia przez okno szklanego przycisku do papieru. Serce biło jej jak młotem.

– To jak? – spytała z jasnym, kruchym uśmiechem. Jej głos zaczął zdradzać napięcie. – Co mam powiedzieć inspektorowi Wujkowi? Co postanowiliśmy? Chcecie uratować Ammu czy posłać ją do więzienia?

Jakby proponowała im dwie rozrywki do wyboru. Łowienie ryb czy kąpanie świń? Kąpanie świń czy łowienie ryb? Bliźnięta podniosły na nią wzrok. Nie jednocześnie (lecz prawie) dwa przestraszone głosy szepnęły: „Uratować Ammu”.

Przez wiele lat mieli ponownie odgrywać w wyobraźni tę scenę. Jako dzieci. Jako nastolatki. Jako dorośli. Czy zostali oszukani? Czy zostali podstępnie nakłonieni do potępienia przyjaciela?

W pewnym sensie tak. Ale sprawa nie była taka prosta. Oboje wiedzieli, że zostali postawieni przed wyborem. Jak szybko się zdecydowali! Nie zastanawiali się więcej niż sekundę, zanim podnieśli głowy i powiedzieli (nie jednocześnie, ale prawie): „Uratować Ammu”. Uratować nas. Uratować naszą matkę.

Baby Koćamma promieniała. Ulga podziałała na nią jak środek przeczyszczający. Potrzebowała pójść do ubikacji. Pilnie. Otworzyła drzwi i poprosiła o zawołanie inspektora.

– To dobre dzieci – powiedziała mu, kiedy przyszedł. Pójdą z panem.

– Nie ma potrzeby, żeby szli oboje. Jedno wystarczy. Powiedział inspektor Thomas Mathew. – Wszystko jedno, które. Mon. Mol. Które z was chce pójść ze mną?

– Estha – zdecydowała Baby Koćamma. Wiedząc, że Estha jest bardziej praktyczny z tych dwojga. Bardziej uległy. Bardziej dalekowzroczny. Bardziej odpowiedzialny. – Ty idź. Dobry chłopiec.

Mały Człowiek. Mieszkał w wozie cygańskim. Dum dum.

Estha poszedł.

Ambasador E. Pelvis. Z oczami jak spodeczki i zburzonym czubem. Niski ambasador pomiędzy dwoma wysokimi poli ciantami udaje się ze straszliwą misją w czeluść kottajamskiej komendy policji. Ich kroki dudnią o wyłożoną kamiennymi płytami posadzkę.

Rahel zostaje w biurze inspektora i przysłuchuje się niemiłym dźwiękom dochodzącym z ubikacji – Baby Koćamma wypróżnia swą ulgę do muszli klozetowej.

– Spłuczka nie działa – mówi po wyjściu. – Co za koszmar. Nie mogła znieść myśli o tym, że inspektor zobaczy kolor i konsystencję jej stolca.

W celi aresztu panowały całkowite ciemności. Estha nic nie widział, lecz słyszał, jak ktoś oddycha chrapliwie, z wysiłkiem. Smród odchodów wzbudził w nim mdłości. Ktoś zapalił światło. Jasne. Oślepiające. Na brudnej, śliskiej podłodze pojawił się Welutha. Zmaltretowany dzin powołany do istnienia przez nowoczesną lampę. Był nagi, jego utyłane mundu rozwinęło się. Z czaszki płynęła mu krew jak jakiś sekret. Twarz miał spuchniętą, a jego głowa przypominała dynię, zbyt duża i zbyt ciężka jak na wysmukłą łodygę, z której wyrosła. Dynia z monstualnym, odwróconym o sto osiemdziesiąt stopni uśmiechem. Policyjne buty cofnęły się od brzegu kałuży moczu, w której leżał, odbijającej jasną, nagą żarówkę elektryczną.

W Escie pływały martwe ryby. Jeden z policjantów trącił Weluthę nogą. Nie było reakcji. Inspektor Thomas Mathew kucnął i przeciągnął kluczykiem od swego jeepa po podeszwie stopy Weluthy. Opuchnięte oczy otworzyły się. Błądziły przez chwilę w różnych kierunkach. Potem zogniskowały się przez błonę krwi na ukochanym dziecku. Estha wyobraził sobie, że coś się w nim uśmiechnęło. Nie usta, lecz jakaś część jego ciała, która nie doznała obrażeń. Na przykład jego łokieć. Albo ramię.

Inspektor postawił swoje pytanie. Usta Esthy powiedziały „Tak.

Dzieciństwo wyszło na palcach z celi.

Jak grom wpadła do środka cisza.

Ktoś zgasił światło i Welutha zniknął.

Kiedy wracali do domu policyjnym jeepem, Baby Koćamma kazała kierowcy zatrzymać się

koło apteki i kupiła środki uspokajające. Dała dzieciom po dwie tabletki. Zanim dojechali do mostu Chungam, oczy im się zamykały. Estha szepnął coś Rahel do ucha.

– Miałś rację. To nie był on. To był Urumban.

– Dzięki Bogu – odszepnęła Rahel.

– Jak myślisz, gdzie on jest?

– Uciekł do Afryki.

Kiedy zostali przekazani matce, spali mocno, ukołysani tą bajką.

Aż do następnego ranka, kiedy Ammu wytrzęsła ją z nich.

Ale wtedy było już za późno.

Inspektor Thomas Mathew, człowiek z dużym doświadczeniem w takich sprawach, miał słuszność. Welutha nie przeżył nocy.

Pół godziny po północy przyszła po niego Śmierć.

A po małą rodzinę zwiniętą i śpiącą na niebieskiej kołdrze haftowanej ścięciem krzyżkowym? Co po nich przyszło?

Nie śmierć. Tylko koniec życia.

Po pogrzebie Sophie Mol, kiedy Ammu zabrała ich ponownie na komendę policji i inspektor wybrał swoje owoce mango (pałką policyjną), ciało było już usunięte. Wrzucone do themmady kuchni – dołu nędzarzy – do którego policja rutynowo wrzucała swoje trupy.

Kiedy Baby Koćamma dowiedziała się o wizycie Ammu na komendzie policji, była przerażona. Całe jej postępowanie opierało się na jednym założeniu. Postawiła wszystko na to, że Ammu, cokolwiek innego by zrobiła, jakkolwiek byłaby wściekła, nigdy nie przyzna się publicznie do związku z Weluthą. Ponieważ, w opinii Baby Koćammy, równałoby się to zrujnowaniu życia sobie i dzieciom. Na zawsze. Lecz Baby Koćamma nie uwzględniła w swych rachubach Niebezpiecznej Żyłki, którą miała w sobie Ammu. Niemieszalna Mieszanka – bezgraniczna czułość macierzyństwa, straceńcza furia kamikadze.

Reakcja Ammu ogłuszyła ją. Grunt usunął jej się spod nóg. Wiedziała, że ma sprzymierzeńca w osobie inspektora Thomasa Mathew. Ale jak długo może na to liczyć? A jeśli zostanie przeniesiony, a sprawa wznowiona? Nie można było tego wykluczyć – zważywszy gromki, miotający sloganami tłum partyjnych robotników, których towarzyszowi K.N.M. Pillejowi udało się zgromadzić przed bramą. Nie wpuścili pracowników do środka, przez co olbrzymie ilości owoców mango, bananów, ananasów, czosnku i imbiru gniły powoli na terenie fabryki Marynaty

„Paradise”.

Baby Koćamma wiedziała, że musi jak najszybciej wywieźć Ammu z Ajemenem.

Osiągnęła to metodą, w której była najlepsza. Nawadniała swe pola, użyźniała swą glebę namiętnościami innych ludzi. Wgryzła się jak szczur w ból Chacka. W powstałej w ten sposób dziurze umieściła łatwy cel dla jego obłąkanej wściekłości. Bez większego trudu przedstawiła mu Ammu jako osobę odpowiedzialną za śmierć Sophie Mol. Ammu i jej dwujajowe bliźnięta.

Chacko, wyłamujący drzwi, był tylko godnym pożałowania bykiem miotającym się na smyczy, którą trzymała w ręku Baby Koćamma. To ona wymyśliła, że Ammu ma spakować rzeczy i wynieść się. A Estha ma zostać Oddany.

20. Pocztowy do Madrasu

I tym sposobem na dworcu kolejowym w Koczinie Estha Sam stał przy zakratowanym oknie pociągu. Ambasador E. Pelvis. Kamień u szyi z pufem. Zielonofaliste, lepkowodniste, grudowate, ośliżle, tonące, bezdenno-denne uczucie. Waliza z jego imieniem i nazwiskiem leżała pod siedzeniem. Puszka z kanapkami z pomidorem i termos z orłem stały na składanym stoliczku.

Objadająca się pani, która siedziała obok niego w zielono-purpurowym sari z Kańdżewaram i przypominającymi lśniące pszczoły kiściami diamentów w każdej dziurce od nosa, poczęstowała go żółtymi laddoo z pudełka. Estha potrząsnął głową. Pani uśmiechnęła się przymilnie, jej życzliwe oczy za okularami zamieniły się w szparki. Cmokała.

– Weź jedno. Barrdzo słodkie – powiedziała po tamilsku. Rombo maduram.

– Słodkie – wyjaśniła po angielsku jej najstarsza córka, mniej więcej rówieśniczka Esthy.

Estha ponownie potrząsnął głową. Pani pogłaskała go po włosach, burząc mu czub. Cała jej rodzina (mąż i trójka dzieci) już jadła. Duże, okrągłe, żółte okruchy laddoo na siedzeniu. Dudnienie pociągu pod stopami Esthy. Niebieskie nocne światło jeszcze nie włączone.

Włączył je synek objadającej się pani. Pani wyłączyła. Wyjaśniła dziecku, że to światło do spania. Nie do jedzenia. W pierwszej klasie wszystko było zielone. Zielone siedzenia, łóżka, podłoga. Zielone łańcuchy. Ciemnozielone Jasnozielone.

W CELU ZATRZYMANIA POCIĄGU POCIĄGNAĆ ZA ŁAŃCUCH, mówił zielony napis. W ULEC AINAMYZRTAZ L'GAŃCOP ĆĄ~V'GAŃCOP AZ HCUCŃAŁ, pomyślał Estha na zielono.

Ammu trzymała go za rękę między kratami okna.

– Nie zgub biletu – powiedziały usta Ammu. Usta Ammu, które powstrzymywały się od płaczu. – Przyjdzie kontrola. Estha skinął głową w stronę twarzy Ammu uniesionej ku oknu pociągu. W stronę Rahel, małej i usmarowanej dworcowym brudem. Cała trójka połączona świadomością, wspólną i osobną, że ich miłość zabiła mężczyznę. O tym nie napisali w gazetach.

Upłynęło wiele lat, zanim bliźnięta zrozumiały udział Ammu w tym, co się wydarzyło. Podczas pogrzebu Sophie Mol i w dniach, zanim Estha został Oddany, widzieli jej opuchnięte oczy i z typowym dla dzieci egocentryzmem w całości przypisali sobie winę za jej cierpienie.

– Zjedz kanapki, zanim nasiąkną – powiedziała Ammu. I nie zapomnij napisać.

Zlustrowała paznokcie małej dłoni, którą trzymała w swojej, i usunęła czarny sierp brudu spod paznokcia kciuka.

– I opiekuj się moim skarbem. Zanim po niego przyjadę.

– Kiedy, Ammu? Kiedy po niego przyjedziesz?

– Niedługo.

– Ale kiedy? Kiedy dokładnie?

– Niedługo, kochanie. Kiedy tylko będę mogła.

– Za dwa miesiące? Ammu?

Celowo podał bardzo długi termin, żeby Ammu powiedziała:

– Wcześniej, Estha. Myśl praktycznie. Co z ciebie za uczeń? Jak tylko dostanę pracę. Jak tylko będę mogła stąd wyjechać i dostać pracę – powiedziała Ammu.

– Ale to będzie nigdy! – Fala paniki. Bezdennenno-denne uczucie.

Objadająca się pani podsłuchiwała bez skrępowania.

– Posłuchajcie, jak on ładnie mówi po angielsku – powiedziała do swych dzieci po tamilsku.

– Ale to będzie nigdy – powtórzyła jej najstarsza córka bojowym tonem. – Nii gdy. Nigdy.

Mówiąc „nigdy”, Estha miał na myśli tylko, że to nie będzie „teraz”, że to nie będzie „niedługo”.

Mówiąc „nigdy”, nie miał na myśli „do końca życia”. Ale tak właśnie powiedział. To będzie nigdy. I tak się właśnie stało. Nigdy. Do końca życia.

To była jego wina, że daleki mężczyzna w piersiach Ammu przestał krzyczeć. To była jego wina, że umarła w nędznym pokoju, nie mając nikogo, kto usiadłby przy niej i porozmawiał z nią.

Ponieważ to on powiedział te słowa. Ale Ammu, to będzie nigdy!

– Nie opowiadaj głupstw, Estha. Przyjadę niedługo – odparły usta Ammu. – Zostanę nauczycielką i założę szkołę. Ty i Rahel będziecie do niej chodzili.

– I będzie nas na to stać, bo to będzie nasza szkoła! mówił Estha ze swym odpornym na wstrząsy pragmatyzmem. Zawsze kombinujący, na czym by tu zaoszczędzić. Darmowe przejazdy autobusem. Darmowe pogrzeby. Darmowa edukacja. Mały Człowiek. Mieszkał w wozie cygańskim. Dum dum. – Będziemy mieli własny dom – powiedziała Ammu.

– Domek – dodała Rahel.

– A w szkole będziemy mieli klasy i tablice – uzupełnił Estha.

– I kredę.

– I prawdziwych nauczycieli.

– I sprawiedliwe kary – powiedziała Rahel.

Z takich rzeczy składał się świat ich marzeń. W dniu, w którym Estha został Oddany. Kreda. Tablice. Sprawiedliwe kary.

Nie prosili o pobłażanie. Chcieli tylko, aby kary były proporcjonalne do ich przestępstw. Żeby nie przypominały szaf z wbudowanymi sypialniami. Żeby nie spędzało się w nich całego życia, wędrując po labiryncie półek.

Pociąg ruszył bez ostrzeżenia. Bardzo powoli. Źrenice oczu Esthy powiększyły się. Wpił paznokcie w dłoń Ammu, która szła po peronie. Potem zaczęła biec, gdy pocztowy do Madrasu przyspieszył.

– Z Bogiem, mój mały. Moje kochanie. Przyjadę po ciebie niedługo!

– Ammu! – zawołał Estha, gdy wypuścił jej dłoń ze swojej. Palec po palcu. – Ammu! Chce mi się wymiotować! – Głos Esthy przeszedł w skowyt.

Mały Elvis Pelvis ze zburzonym czubem na specjalne okazje. W beżowych butach w szpic. Zostawił swój głos za sobą. Na peronie Rahel wygięła się do przodu i wrzeszczała bez końca.

Pociąg wyjechał z dworca, robiąc miejsce światłu. Dwadzieścia trzy lata później Rahel, smagła kobieta w żółtym podkoszulku, zwraca się w ciemnościach do Esthy.

– Esthapappyćaćen Kuttappen Peter Mon – mówi.

Szepce.

Porusza ustami.

Ustami ich pięknej matki.

Estha, który siedzi bardzo wyprostowany, jakby czekał, aż go aresztują, przykłada do nich palec. Aby dotknąć słów, które z nich wychodzą. Aby zachować ten szept na pamiątkę.

Jego palce śledzą ich kształt. Fakturę zębów. Rahel przytrzymuje i całuje jego dłoń.

Przyciska do chłodnego policzka, zwilża rozłuczonymi kroplami deszczu.

Potem usiadła i objęła go ramionami. Pociągnęła go na dół. Leżeli tak przez długi czas. Nie śpiąc w ciemnościach. Milczenie i Pustka.

Jeszcze nie starzy. Już nie młodzi.

W wieku umieralnym.

Byli obcymi ludźmi, którzy spotkali się przypadkowo.

Znali się jeszcze przed początkiem Życia.

Na temat tego, co nastąpiło później, bardzo niewiele da się powiedzieć. W każdym razie nic, co by oddzielało (według kryteriów Mammaci) Seks od Miłości. Albo Potrzeby od Uczuć.

Może tyle, że nikt nie patrzył przez oczy Rahel. Nikt nie spoglądał przez okno na morze. Albo na łódkę na rzece. Albo na przechodnia w kapeluszu we mgle.

Może tyle, że powietrze było trochę chłodne. Trochę wilgotne. Lecz bardzo ciche.

Co więcej można było powiedzieć?

Tylko tyle, że połały się łyzy. Tylko tyle, że Cisza i Pustka pasowały do siebie jak łyżki położone jedna na drugiej. Tylko tyle, że z jednego pięknego gardła wydobywało się łkanie. Tylko tyle, że na twardym ramieniu w kolorze miodu odcisnięty był półokrąg zębów. Tylko tyle, że kiedy już było po wszystkim, długo leżeli wtuleni w siebie. Tylko tyle, że tym, co połączyło ich tej nocy, nie było szczęście, lecz straszliwy smutek.

Tylko tyle, że znowu złamali Prawa Miłości. Które stanowiły, kogo należy kochać. I jak. I jak bardzo.

Na dachu opuszczonej fabryki bębnił samotny dobosz.

Drzwi z gazy zatrzasnęły się. Po posadzce fabryki przebiegła mysz. Pajęczyny zasnuły stare kadzie na marynaty. Kadzie były puste, z wyjątkiem jednej, w której leżała kupka zakrzepłego białego proszku. Sproszkowanych kości Sowy Płomykówki. Dawno zmarłej. Marynowana Sowa.

Odpowiedź na pytania Sophie Mol: Dokąd lecą stare ptaki aby umrzeć? Dlaczego martwe ptaki nie spadają z nieba jak kamienie?

Zadane wieczorem tego dnia, kiedy przyjechała. Stała na brzegu ozdobnego stawu Baby Koćammy i patrzyła na szybujące po niebie kanie.

Sophie Mol. W dzwonach, ukapeluszniona i Od Początku Kochana.

Margaret Koćamma (ponieważ wiedziała, że kiedy podróżujesz do Jądra Ciemności – Każdemu wszystko może się zdarzyć) zawołała ją do środka, aby jej zaaplikować baterię pigulek. Nitkowiec. Malaria. Biegunka. Niestety, nie miała środka zapobiegającego śmierci przez utonięcie.

Potem przyszła pora obiadu.

– Kolacji, głuptasie – powiedziała Sophie Mol, gdy posłano po nią Esthę.

Przy kolacji, głuptasie, dzieci siedziały przy osobnym, mniejszym stole. Sophie Mol,

usadowiona plecami do dorosłych, wykrzywiła się straszliwie do kolejnych potraw. Pokazywała każdy kęs swym zachwyconym młodszymi kuzynom, przeżuty, ośliniony, leżący jej na języku jak świeże wymiociny.

Kiedy Rahel zrobiła to samo, Ammu zauważyła to i zabrała ją z jadalni, aby położyć do łóżka.

Ammu otuliła swą niegrzeczną córkę kołdrą i zgasiła światło. Jej pocałunek na dobranoc nie zostawił śliny na policzku Rahel, z czego Rahel zgadnęła, że matka się nie gniewa.

– Nie gniewasz się, Ammu. – Szczęśliwym szeptem. Jej matka kochała ją trochę bardziej.

– Nie. – Ammu jeszcze raz ją pocałowała. – Dobranoc, kochanie. Bóg z tobą.

– Dobranoc, Ammu. Przyślij szybko Esthę.

Wychodząc, Ammu usłyszała szept swej córki:

– Ammu!

– O co chodzi?

– Jesteśmy jednej krwi z tobą.

Ammu oparła się w ciemnościach o drzwi sypialni, nie mając ochoty wracać do stołu. przy którym rozmowa krążyła jak ćma wokół białego dziecka i jej matki, jakby byli jedynym źródłem światła. Ammu czuła, że umrze, zwiędnie i umrze, jeżeli usłyszy choćby jedno słowo więcej na ten temat. Jeżeli będzie musiała patrzeć na dumny uśmiech tenisowego mistrza świata na twarzy Chacka. Albo znoś fluidy seksualnej zazdrości, które emanowały z Mammaci. Albo słuchać słów Baby Koćammy, których celem było wykluczenie Ammu i jej dzieci z rozmowy, powiadomienie ich, gdzie jest ich miejsce w porządku wszechrzeczy.

Kiedy stała w ciemnościach oparta o drzwi, poczuła, jak jej sen, jej popołudniowy koszmar podnosi się w niej jak fala z dna oceanu. Pogodny jednoręki mężczyzna ze słoną skórą i ramieniem, które nagle urywało się jak nadmorska skarpa, wyłonił się z wyszczerbionych cieni okrywających plażę i podszedł do niej. Kto to był?

Kto to mógł być? Bóg Utraconego.

Bóg Rzeczy Małych.

Bóg Gęsiej Skórki i Nagłych Uśmiechów.

Mógł zrobić tylko jedną rzecz naraz.

Kiedy jej dotykał, nie mógł do niej mówić, kiedy ją kochał, nie mógł od niej odejść, kiedy mówił, nie mógł słuchać, kiedy walczył, nie mógł wygrać.

Ammu tęskniła za nim. Wrywała się ku niemu całą swą biologią.
Wróciła do stołu.

21. Cena życia

Kiedy stary dom zamknął swe zamglone oczy i zapadł w sen, Ammu, ubrana w starą koszulę Chacka założoną na długą białą halkę, wyszła na frontową werandę. Przez chwilę przechadzała się tam i z powrotem. Niespokojna. Dzika. Potem usiadła na wiklinowym fotelu pod opleśniałą głową bawołu z oczami z guzików i portretami Małego Błogosławionego i Alejuty Ammaci po obu stronach. Jej bliźnięta spały z półotwartymi oczami, jak zawsze kiedy były zmęczone dwa małe potworki. Odziedziczyły to po ojcu.

Ammu włączyła swój tranzystor w kształcie mandarynki. Zatrzeszczał w nim głos mężczyzny. Jakaś angielska piosenka, której nie знаła.

Siedziała w ciemnościach. Samotna, migotliwa kobieta patrzyła na ozdobny ogród swej zgorzkniałej ciotki i słuchała mandarynki. Głosu z daleka. Lecącego przez noc. Żeglującego nad jeziorami i rzekami. Nad gęstymi koronami drzew. Obok złotego kościoła. Obok szkoły. Telepiącego się po nie utwardzonej drodze. Po schodach na werandę. Do niej.

Nie zwracając większej uwagi na muzykę, obserwowała obłąkane owady, które krążyły wokół światła, rywalizując ze sobą w walce o gwałtowną śmierć.

Słowa piosenki nagle buchnęły jej w głowie.

Słyszałem, jak mówiła, że Nie ma czasu do stracenia Zrealizuj marzenia Zanim uciekną Cały czas umierają A jeśli stracisz marzenia Stracisz rozum.

Ammu podciągnęła kolana i objęła je ramionami. Nie mogła w to uwierzyć. Co za zbieg okoliczności. Wpatrywała się zapiekle w ogród. Sowa Ousa odbywała swój milczący nocny patrol. Mięiste kitnie połyskiwały jak armatnia stal. Ammu siedziała na werandzie przez długi czas. Już po skończeniu się piosenki. Potem nagle wstała z krzesła i wyszła ze swego świata jak czarownica. Do lepszego, szczęśliwszego miejsca.

Szybko przemierzała ciemności, jak mrówka podążająca za chemicznym tropem. Ścieżkę, która prowadziła nad rzekę, znała równie dobrze jak jej dzieci i trafiłaby nawet z zawiązanymi oczami. Nie wiedziała natomiast, co każe jej tak pędzić. Co każe jej puścić się biegiem, przybiec nad brzeg Minaćal bez tchu. Z płaczem. Jakby spóźniła się na ważne spotkanie. Na spotkanie, od którego zależało jej życie. Jakby wiedziała, że on tam będzie na nią czekał. Jakby on wiedział, że ona przyjdzie.

Wiedział.

Ta pewność weszła w niego tego popołudnia. Bez trudu.

Jak ostra klinga noża. Kiedy historia się pośliznęła. Kiedy trzymał w ramionach jej córeczkę. Kiedy jej oczy powiedziały mu, że nie tylko on ma coś dla innych w darze. Że ona też może go obdarować, w zamian za jego łódki, za jego puzderka, za jego małe wiatraki odpłacała mu się głębokimi dołeczkami swych uśmiechów. Swą gładką brązową skórą. Swymi lśniącymi ramionami. Swymi oczami, które zawsze były gdzie indziej.

Nie czekał na nią.

Ammu usiadła na kamiennych stopniach, które prowadziły do wody. Ukryła twarz w ramionach, czując się głupio, że była taka pewna.

W dole rzeki, na środku koryta, Welutha unosił się na plecach, patrząc w gwiazdy. Jego sparaliżowany brat i jedno oki ojciec zjedli obiad, który dla nich ugotował, a teraz spali. Nic więc nie przeszkadzało, by leżał na rzece i unosił się z prądem. Kłoda. Rozlениwiony krokodyl. Palmy kokosowe pochylały się ku wodzie i patrzyły, jak przepływa. Żółty bambus płakał. Małe rybki igrały sobie z nim kokieteryjnie. Podskubywały go.

Odwrócił się na brzuch i zaczął płynąć. W górę rzeki. Pod prąd. Odwrócił się w stronę brzegu, aby spojrzeć po raz ostatni, drepcząc w wodzie i czując się głupio, że był taki pewny. Kiedy ją zobaczył, detonacja była tak silna, że niewiele brakowało, a byłby utonął. Potrzebował całej swojej siły, aby utrzymać się na wodzie. Dreptał w wodzie na środku mrocznej rzeki.

Nie zauważyła kuli jego głowy chwiejącej się na mrocznej rzece. To mogło być cokolwiek. Orzech kokosowy. Zresztą nie patrzyła. Twarz ukryła w dłoniach.

Patrzył na nią. Nie spieszył się.

Czy cofnąłby się, gdyby wiedział, że jedyne wyjście z tunelu, do którego wchodzi, prowadzi do unicestwienia?

Być może.

Być może nie.

Kto to wie?

Zaczął płynąć w jej stronę. Bezszelestnie mknąc przez wo dę. Już prawie dotarł do brzegu, kiedy podniosła głowę i zobaczyła go. Jego stopy dotknęły mulistego dna rzeki. Gdy wynurzył się z mrocznej rzeki i szedł po kamiennych stopniach, zobaczyła, że świat, w którym się znajdują, jest jego światem. Że należy do niego. Woda. Muł. Drzewa. Ryby. Gwiazdy. Tak łatwo się w nim

poruszał. Patrząc na niego, zrozumiała naturę jego piękna. Zrozumiała, że ukształtowała go jego praca. Że wyciosało go drewno, które ciosał. Ugniatała go każda wycinana deska, każdy wbijany gwóźdź, każdy wykonany przedmiot. Odcisnęły na nim swe piętno. Obdarzyły go siłą, gibkością i wdziękiem.

Lędźwia miał osłonięte cienkim białym płótnem, przełożonym między udami. Strząsnął wodę z włosów. Widziała w ciemnościach jego uśmiech. Jego biały, nagły uśmiech, który zabrał ze sobą z dzieciństwa w dorosłość. Jako jedyny bagaż.

Patrzyli na siebie. Już nie myśleli. Czas na myślenie minął. Czekali ich pogruchotane uśmiechy. Ale dopiero później. Później.

Stał przed nią ociekający rzeką. Ona siedziała na stopniach i patrzyła na niego. Jej blada twarz w świetle księżyca. Nagle przeszedł go zimny dreszcz. Serce w nim załomotało. To wszystko było straszną pomyłką. Źle ją rozumiał. Uroił to sobie wszystko w wyobraźni. To była pułapka. W zaroślach ukryli się ludzie. Patrzyli. Jak mogłoby być inaczej? Widzieli go podczas marszu. Starał się, aby jego głos brzmiał normalnie. Wyszedł z tego skrzek.

– Ammukutti... co ci jest?

Podeszła i przytuliła się do niego całą długością swego ciała. On stał sztywno. Nie dotknął jej. Dygotał. Trochę z zimna. Trochę ze strachu. Trochę z pożądania. Mimo że czuł strach jego ciało gotowe było dać się złapać na przynętę. Chciało jej. Gwałtownie. Zmoczyła się o jego mokre ciało.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

Próbował myśleć racjonalnie: Jaka jest najgorsza rzecz, która może się zdarzyć?

Mogę stracić wszystko. Pracę. Rodzinę. Środki do życia. Wszystko.

Słyszała dzikie kołatanie jego serca.

Trzymała go w ramionach, dopóki się trochę nie uspokoiło. Rozpięła koszulę. Ich ciała zetknęły się. Jej brązowa skóra z jego czarną. Jej miękkość z jego twardością. Jej orzechowe piersi (które nie utrzymałyby szczoteczki do zębów) z jego gładką hebanową klatką piersiową. Czowała od niego zapach rzeki. Ten Szczególny Zapach Parawana, który budził takie obrzydzenie w Baby Koćammie. Ammu wysunęła język i skosztowała, w zagłębieniu jego gardła. Na płatku ucha. Pociągnęła jego głowę w dół i pocałowała go w usta. Puchaty pocałunek. Który domagał się odwzajemnienia. Zaczął ją całować. Wpierw ostrożnie. Potem gwałtownie. Jego ramiona powoli uniosły się za jej plecami. Głaskały ją. Bardzo delikatnie. Czuł jej skórę na dłoniach.

Zrogowaciałych. Szorstkich. Jak papier ścierny. Uważał, żeby jej nie zadrapać. Czuła, jak bardzo jest dla niego miękka w dotyku. Czuła siebie samą przez niego. Swoją skórę. Czuła, że jej ciało istnieje tylko wtedy, kiedy on jej dotyka. Reszta niej była dymem. Czuła drżenie jego ciała na swoim. Jego dłonie spoczywały na jej pośladvach (które utrzymałyby całą baterię szczoteczek do zębów), przyciągały jej biodra do jego, aby dać jej znać, jak bardzo jej pożąda.

Choreografem tego tańca była biologia. Strach wyznaczał tempo. Wybijał rytm, zgodnie z którym ich ciała reagowały na siebie. Jakby już wiedziały, że za każde drżenie rozkoszy zapłacą taką samą miarą bólu. Jakby wiedziały, że od tego, jak daleko się posuną, będzie zależało, jak daleko zostaną wygnani. Powstrzymywali się więc. Dręczyli się nawzajem. Oddawali się cał po calu. Ale to tylko pogorszyło sprawę. Podwyższyło stawkę. Więcej ich kosztowało. Ponieważ wygładziło zmarszczki, usunęło niezdarność, pośpiech nieznanej miłości i podnieciło ich do nieprzytomności.

Za nimi rzeka pulsowała w ciemnościach, połyskując jak szalony jedwab. Żółty bambus płakał.

Noc oparła się łokciami o wodę i obserwowała ich.

Leżeli pod mangostanem, gdzie tak niedawno łódkoroślina została wyrwana z korzeniami przez Przenośną Republikę. Osę. Flagę. Zaskoczony czub. Fontannę spiętą Love-in-Tokyo.; Bezładny, rozbiegany łódkoświat ulotnił się.

Białe termity w drodze do pracy.

Białe biedronki w drodze do domu.

Białe chrabąszcze chowające się przed światłem w wydrę! żonym tunelu.

Białe koniki polne ze skrzypcami z białego drewna.

Wszystko to zniknęło.

Pozostawiając po sobie miłosne łoże nagiej, suchej ziemi w kształcie łódki. Jakby Esthappen i Rahel je dla nich przygotowali. Jakby chcieli, żeby to się stało. Bliźniacze położne snu Ammu.

Ammu, teraz już naga, klęczała nad nim z ustami na jego ustach. Rozpiął nad nimi jej włosy jak namiot. Zsunęła się niżej, przylegając do innych części jego ciała. Do jego szyi. Do jego sutków. Do jego czekoladowego brzucha. Wypiła ostatki rzeki z jego pępka. Przycisnęła sobie do powiek jego , rozpalony wzwód. Skosztowała jego słony smak. Usiadł i przyciągnął ją z powrotem do siebie. Czuła, jak jego brzuch wypręża się pod nią, twardy jak deska. Czuła, że ślizga się o niego swą mokością. Wziął do ust jej sutek i ujął drugą pierś w zrogowaciałą dłoń.

Aksamit w rękawicze z papieru ściernego.

W chwili gdy wsunęła go w siebie, dostrzegła w jego oczach przelotny błysk młodości, zadziwienia odkrytą tajemnicą, i uśmiechnęła się do niego, jakby był jej dzieckiem. Kiedy był już w niej, strach został zatopiony i biologia przejęła stery. Cena życia sięgnęła niewyobrażalnych sum. Choć później Baby Koćamma miała powiedzieć, że warto zapłacić tak małą cenę.

Naprawdę tak małą?

Dwa życia. Dwa dzieciństwa.

I historyczna nauuczka dla przyszłych winowajców.

Zmętniałe oczy były utkwione w zmętniałych oczach i promienna kobieta otworzyła się na promiennego mężczyznę. Była szeroka i głęboka jak rzeka podczas powodzi. Żegłował na jej wodach. Czowała, jak wchodzi w nią coraz głębiej i głębiej. Panicznie. Gorączkowo. Chce być wpuszczony jeszcze dalej. Dalej. Zatrzymuje go tylko jej kształt. Jego kształt. Kiedy mu otworzono, kiedy dotknął jej najgłębszych głębin, ze skowyczącym, dygoczącym westchnieniem – utonął.

Leżała przywarta do niego. Ich ciała śliskie od potu. Czowała, jak jego ciało odkleja się od niej. Jego oddech staje się bardziej regularny. Zobaczyła, że jego oczy się klarują. Głaskał ją po włosach, czując, że węzeł, który w nim się rozsypał, w niej wciąż jest napięty i drżący. Delikatnie przekręcił ją na plecy. Swą mokrą szatą starł z niej pot i ziemię. Położył się na niej, uważając, by nie przygnieść jej swoim ciężarem. Małe kamyczki wciskały się w skórę jego przedramion. Całował jej oczy. Jej uszy. Jej piersi. Jej brzuch. Jej siedem srebrnych rozstępów po bliźniętach. Linie puchu, która prowadziła od pępka do ciemnego trójkąta i wskazywała, gdzie ona pragnie, aby wszedł. Wnętrze jej ud, gdzie skóra była najmiększa. Potem ręce stolarza uniosły jej biodra i niedotykalny język dotknął jej najwnętrznieszej części. Pił długo i łapczywie z jej miski.

Tańczyła dla niego. Na tym kawałku ziemi w kształcie łódki. Żyła.

Trzymał ją w ramionach, oparty plecami o mangostan, a ona śmiała się i płakała. Potem, przez całą wieczność, która naprawdę trwała nie więcej niż pięć minut, spała oparta o niego plecami. Siedem lat zapomnienia wzleciało z niej i uniosło się w mrok na ciężkich, skrzypiących skrzydłach. Jak matowa pawica ze stali. Na drodze Ammu (do starości i śmierci) pojawiła się mała słoneczna łąka. Miedziana trawa upstrzona niebieskimi motylami. Za łąką przepaść.

Powoli z powrotem wszedł w niego strach. Przerażenie tym, co zrobił. I wiedział, że zrobi

znowu. I potem znowu. Zbudziła się i usłyszała łomotanie serca w jego piersiach. Jakby szukało sobie drogi na zewnątrz. Ruchomego zebra. Ukrytych harmonijkowych drzwi. Wciąż obejmował ją ramionami, czuła ruch jego mięśni, gdy jego dłonie bawiły się suchym liściem palmy. Ammu uśmiechnęła się do siebie w ciemnościach, myśląc o tym, jak bardzo kocha jego ramiona – ich kształt i siłę, jak bardzo czuje się w nich bezpieczna, choć w rzeczywistości było to najniebezpieczniejsze miejsce na świecie.

Zgniółł swój strach w kulę i utoczył z niego idealną różę. Podał ją Ammu na dłoni. Wzięła ją od niego i wpięła sobie we włosy.

Przybliżyła się, chcąc być w nim, dotknąć go bardziej. Zagarnął ją do jaskini swego ciała. Znad rzeki powiał lekki wietrzyk i chłodził ich rozgrzane ciała.

Powietrze było trochę zimne. Trochę wilgotne. Trochę milczące.

Ale co było do powiedzenia?

Godzinę później Ammu delikatnie wyplątała się z jego objęć.

– Muszę iść.

Nic nie powiedział, nie poruszył się. Patrzył, jak się ubiera.

Teraz ważna była tylko jedna sprawa. Wiedzieli, że to jedyna rzecz, jakiej mogą od siebie żądać. Jedyna. Kiedykolwiek. Oboje to wiedzieli.

Nawet później, przez trzynaście nocy, które nastąpiły po tej, instynktownie trzymali się Małych Rzeczy. Duże Rzeczy nieustannie czaiły się wewnątrz. Wiedzieli, że nie mają gdzie pójść. Nie mieli nic. Nie mieli przyszłości. Więc trzymali się małych rzeczy.

Śmiali się ze śladów po ukąszeniach mrówek, które mieli na pośladvkach. Z niezdamych gąsienic, które ześlizgiwały się z liści, z przewróconych na plecy chrabąszczy, które nie potrafiły stanąć na nogi. Z pary rybek, które zawsze tropiły Weluthę w rzece i gryzły go. Ze szczególnie pobożnej modliszki. Z maleńkiego pająka, który mieszkał w pęknięciu ściany tylnej werandy Domu Historii i kamuflował się, zasłaniając ciało różnymi śmieciami. Paskiem skrzydła osy. Kawałkiem pajęczyny. Kurzem. Kawałkami zgniłych liści. Pustym tułowiem zdechłej pszczoły. Chappu Thamburan, nazwał go Welutha. Jego Wysokość Śmieciarz. Pewnej nocy podsunęli mu nową kreację – skrawek łupiny czosnku – i poczuli się głęboko urażeni, gdy ją odrzucił wraz z resztą swej zbroi, z której wynurzył się naburmuszony, nagi, w kolorze smar ków. Jakby nimi pogardzał za ich gust odzieżowy. Przez kilka dni tkwił w tym samobójczym stanie rozebrania. Odrzucona skorupa śmieci stała sztywno, jak już niemodny światopogląd. Przeszarżała filozofia.

Potem rozpadła się. Chappu Thamburan z czasem skompletował nową garderobę.

Nie przyznając się do tego przed sobą nawzajem, połączyli swój los, swoją przyszłość (swoją miłość, swoje szaleństwo, swoją nadzieję, swoją bezgraniczną radość) z losem pająka. Każdej nocy sprawdzali (z narastającą paniką), czy przeżył dzień. Lękali się o to, że jest taki kruchy. Taki mały. Tak niewprawny w kamuflażu. Taki samobójczo dumny.

Z czasem pokochali jego eklektyczny gust. Jego nieporadną godność.

Wybrali go, ponieważ wiedzieli, że muszą zawierzyć kruchości. Trzymać się małości. Za każdym razem, gdy się rozstawali, dawali sobie tylko jedną małą obietnicę:

– Jutro?

– Jutro.

Wiedzieli, że wszystko może się zmienić w jeden dzień.

I nie pomylili się co do tego.

Pomylili się jednak co do Chappu Thamburana. Przeżył Weluthę. Spłodził potomstwo.

I zmarł naturalną śmiercią.

Tej pierwszej nocy, w dniu, w którym przyjechała Sophie Mol, Welutha patrzył, jak jego kochanka ubiera się. Kiedy była już gotowa, przykucnęła zwrócona twarzą do niego. Dotknęła go lekko palcami i zostawiła na jego skórze pas gęsiej skórki. Jak kreda na tablicy szkolnej. Jak pokos wiatru na polu ryżowym. Jak smuga za odrzutowcem na niebieskim kościelnym niebie. Ujął jej twarz w dłonie i przyciągnął ku swojej. Zamknął oczy i powąchał jej skórę. Ammu roześmiała się.

Tak, Margaret, pomyślała. My też to ze sobą robimy. Pocałowała jego zamknięte oczy i wstała. Welutha, oparty plecami o mangostan, patrzył, jak odchodzi.

Miała we włosach uschniętą różę.

Odwróciła się, żeby powiedzieć to jeszcze raz: – Naaley.

Jutro.